



HISTORIE  
PRAWDZIWE

JOHN LAHTUSKY I ALAN PHILIPS  
**Porzucony**

Droga z koszmarnego  
rosyjskiego domu dziecka  
do nowego życia w Ameryce

# PHILIPS ALAN, LAHUTSKY JOHN

## PORZUCONY

**Droga z koszmarnego rosyjskiego domu dziecka do  
nowego życia w Ameryce**

**Wania jako chore niemowlę został opuszczony przez  
niedojrzałą matkę i umieszczony w upiornym  
rosyjskim sierocińcu. W wieku zaledwie 6 lat został  
przeniesiony na zamknięty oddział psychiatryczny, w  
którym był przywiązywany do łóżka, faszerowany  
lekarstwami, niedożywiony i przemarznięty.  
Na drugim krańcu świata w Stanach Zjednoczonych,  
Paula poznaje historię chłopca, postanawia go  
uratować: adoptuje go i sprowadza do Ameryki.  
Historia Wanii to dowód na to, że nawet najbardziej  
nierealne marzenia mogą się ziścić.**



## PRZEDMOWA

Zmuszałem się do dalszej wspinaczki. Miałem słabe nogi, lecz silne ramiona - zapewne tak silne jak ramiona każdego innego skauta w mojej grupie. Mężczyźni i chłopcy pode mną krzyczeli:

- Dalej, John! Dasz radę. - Wyciągnąłem lewą rękę, chwyciłem linę i podciągnąłem się. Tak, powiedziałem sobie, dam radę.

Wiedziałem, że żaden z moich kolegów nie podejrzewał, iż spróbuję wspiąć się po siatce. Obserwowałem ich, jak jeden po drugim brną do góry, i widziałem, że nie jest im łatwo, gdy zataczali się na wszystkie strony, jak żeglarze na takielunku podczas sztormu. Bałem się, że nogi zaplączą mi się w liny i że instruktor będzie musiał mnie ratować. Bałem się, że odpadnę i zawisnę na uprzęży. Gdy wszyscy już spróbowali, instruktor spojrzał na mnie i zapytał:

- John, ty też chcesz spróbować?

Wiedziałem, że nie będzie miał mi za złe, jeśli odmówię. Spojrzałem mu prosto w oczy.

- Tak, chcę.

Instruktor zapiął na mnie uprząż i zacisnął pasy wokół mojej talii i ramion. Włożył mi hełm na głowę i dopasował zapięcie. Wyciągnąłem rękę, chwyciłem szorstką linę i zacząłem się wspinać. Gdy tylko oderwałem stopy od ziemi, poleciałem do tyłu i musiałem z całych sił walczyć, by się utrzymać. Chwytałem się liny rękami na zmianę i piąłem się mozolnie do góry. Zacząłem się pocić i ciężko oddychać. Usłyszałem głosy na dole:

- Dalej, John!

Prawą ręką sięgnąłem po kolejną linę i nagle w mojej głowie pojawiła się wizja - mały chłopiec, nagi i otumaniony lekami, za stalowymi prętami w zamkniętym pokoju. Tamten chłopiec też próbował się wspinać. Próbował przedostać się przez szczebelki, ale były dla niego za wysokie. Próbował i próbował, aż spadł, wyczerpany, na goły gumowy materac.

Zatrzymałem się na chwilę, by złapać oddech, i znów usłyszałem głosy z dołu:

- Nie zatrzymuj się. Dasz radę. - Jakby zachęcali nie mnie, ale tego małego chłopca w mojej głowie. Tak, dam radę, pomyślałem, chwyciłem linę, zacisnąłem zęby, zebrałem wszystkie siły i podciągnąłem się. Zrobiłem to w imieniu tamtego małego chłopca, który był zupełnie sam.

Ten chłopiec to byłem ja, sześciolatek ja, mieszkający w innym kraju i mówiący zupełnie innym językiem. Miałem na imię Iwan, zdrobniale Wania.

Dotarłem na sam szczyt siatki, moi koledzy z drużyny zaczęli głośno bić brawa. Odwróciłem się do nich i uśmiechnąłem. Zadanie było trudne - ale nie mogło się nawet równać z tym, co przezwyciężyłem jako sześciolatek.

Nikt z mojej drużyny skautowskiej nie wie o mojej przeszłości. Co by mówili, gdyby się dowiedzieli?

Oto moja historia. Powiedziano mi, że jestem, być może, jedynym dzieckiem, które przeżyło najgorszy rodzaj instytucji w rosyjskim dziecięcym gułagu i zdołało rozpocząć normalne życie w Ameryce. Te instytucje, stworzone przez Stalina, po dziś dzień pożerają dzieci. Dlatego postanowiłem podzielić się moją historią.

Moja mama mówi, że jeśli dzięki temu uda się ocalić choć jedno dziecko z tego piekła, wysiłek się opłaci.

Jak tysiące innych rosyjskich dzieci zostałem w wieku pięciu lat uznany za „niezdolnego do edukacji” i skazany na „stały reżim łóżeczkowy” - śmierć za życia w gołych łóżeczkach. Mam nadzieję, że moje osiągnięcia w nauce w amerykańskim liceum - pomimo że do dziesiątego roku życia nie uczęszczałem do żadnej szkoły - pokażą, w jak wielkim błędzie są ci rosyjscy eksperci, którzy oficjalnie kwalifikują dzieci jako „imbecylów”.

Moi przyjaciele, którzy znali mnie w Rosji, często pytają, jak udało mi się przeżyć, gdy tak wiele dzieci w podobnej sytuacji umiera przed ukończeniem siódmego roku życia. Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

Książka powstawała bardzo długo. Przez wiele lat po moim przyjeździe do Ameryki moja mama wysyłała sprawozdania na temat moich postępów brytyjskiemu małżeństwu,

Alanowi i Sarah, których poznałem, gdy byłem w moskiewskim Domu Dziecka nr 10. Wysyłaliśmy im zdjęcia: moja pierwsza wizyta w Disney World, gdzie witała mnie Myszka Miki, przyjęcie z okazji uzyskania obywatelstwa, na którym miałem na głowie cylinder w gwiazdy i pasy, z podpisem „Bardzo Amerykański John” skreślonym ręką mamy, ja w smokingu przebrany za mojego idola Jamesa Bonda, ja w mundurku skauta.

W 2006 roku moja mama przesłała im coś innego - wywiad, którego udzieliliśmy dziennikarzowi lokalnej gazety na temat tego, jak się odnaleźliśmy, jak wygląda obecnie nasze życie, jak przebiegało moje wczesne dzieciństwo w Rosji. Alan odpisał nam, że po lekturze artykułu doszedł do wniosku, iż znam tylko ułamek swojej niezwyklej historii. W następnym roku, gdy Alan i Sarah przyjechali nas odwiedzić, zaczęliśmy wspominać czasy w Moskwie, gdy Alan był korespondentem prasowym, Sarah towarzyszyła mu jako małżonka, a ja znajdowałem się pod opieką państwa. Miałem mnóstwo pytań. Co stało się z moją biologiczną rodziną? Jak znalazłem się w Domu Dziecka nr 10 i dlaczego w wieku sześciu lat zostałem stamtąd odesłany do szpitala psychiatrycznego dla dorosłych? Dlaczego tak późno mnie uratowano?

Im więcej słyszałem, tym bardziej chciałem dowiedzieć się wszystkiego. Chciałem się dowiedzieć, dlaczego rosyjscy lekarze nie czynili rozróżnienia pomiędzy ułomnością psychiczną a fizyczną i dlaczego skazywali dzieci z niewielkimi ułomnościami fizycznymi na piekło. W pewnej chwili Alan powiedział, że na podstawie mojej historii powstałaby wspaniała książka. Podskoczyłem, gdy to usłyszałem.

Musisz ją napisać, powiedziałem mu. Każdy z was, ty, Sarah i Wika, powinien opowiedzieć swoją część. Świat musi się dowiedzieć.

Po przyjeździe do Ameryki wiele się dowiedziałem na temat Rosji. Ostatnio na historii wygłaszałem prezentację o upadku caratu, rewolucji Lenina i zamachu Stalina. To umożliwiło mi lepszy wgląd w system, który prawie mnie unicestwił.

Moja opowieść zaczyna się, gdy miałem zaledwie cztery lata. Moje wspomnienia z wczesnego dzieciństwa są bardzo mgliste, tak jak wspomnienia większości ludzi. Gdy przebywałem w zamknięciu, nie byłem świadom tego, że różni ludzie wkładają wiele wysiłku w to, by mnie uratować, co w końcu udało się mojej mamie.

Aby napisać tę książkę, Alan wrócił do Moskwy, by przeprowadzić wywiady z osobami, z którymi miałem styczność w tamtym okresie, wykorzystał dzienniki, fotografie, filmy wideo i oficjalne dokumenty. Moim wkładem były wspomnienia z okresu po ukończeniu szóstego roku życia, które są znacznie wyrazistsze.

Moje przeżycia w miejscach odosobnienia są ukazane moimi oczami. Zasadnicza część tej historii została jednak opowiedziana przez dwie bardzo drogie mi osoby: Wikę, młodą Rosjankę, która poświęciła wiele miesięcy życia na to, by mnie uratować, i Sarah, która nie zaznała spokoju, dopóki nie znalazła dla mnie życia poza tym morderczym systemem.

*John Lahutsky Bethlehem, Pensylwania, wrzesień 2008*

## ROZDZIAŁ 1

### UCHYLONE DRZWI

#### *Listopad - grudzień 1994*

Czy mogę dostać zabawkę?

Prośba Wani pozostała bez odpowiedzi. W pokoju było mnóstwo dzieci, ale poruszała

się tylko opiekunka Nastia, która bezszelestnie wycierała kurze wilgotną ścierką. Wania wodził za nią wzrokiem rozpaczliwie spragniony odpowiedzi. Odwróciła się do niego plecami i podeszła, powłócząc nogami, do półki, gdzie leżała nieruchomo mała Waleria w bujaku, który nigdy się nie bujał. Waleria gapiała się na nią, ale nic nie widziała, nie było żadnego kontaktu - ani dotyku, ani słowa, ani spojrzenia - pomiędzy opiekunką a dzieckiem, gdy Nastia wycierała kurze wokół niej, jakby Waleria była tylko drewnianą zabawką. Gdy ścierka musnęła jej stopy, dziewczynka wzdrygnęła się, a na jej twarzy pojawił się strach.



Wania miał nadzieję, że Nastia się odwróci, gdy skończy wycierać półkę, i wtedy zdoła spojrzeć jej w oczy. Ale nie, opiekunka przesunęła się w stronę kojca, w którym niewidomy Tola na oślep szukał zabawek, jakich w kojcu nie było. Cmoknęła tylko z niezadowoleniem, gdy zauważyła, że dzieci pogryzły poręcz.

Nastia pochyliła się, by wytrzeć chodzik, w którym dni spędzał Igor, nie mogąc się ruszyć, bo chodzik był przywiązany do kojca kawałkiem szmaty. Igor wygiął plecy i zaczął uderzać głową o szczebelki kojca za nim, by zwrócić na siebie uwagę Nastii. Jego także zignorowała.

Wania nie ośmielił się po raz drugi zapytać o zabawkę. Bał się tego, co Nastia mogłaby zrobić. Gdy zaczynała swoją zmianę, była cicha i gderliwa, po przerwie zaczynała jednak krzyczeć na swych podopiecznych albo gorzej. Raz zrzuciła Igora z przewijaka do kojca. Wania widział wielkiego siniaka, który wyrósł potem na głowie chłopca.

Wanię bardzo niepokoił martwy wyraz twarzy jego przyjaciela Andrieja, który kołysał się na boki jak dzieci w chodzikach. Andriej mógł tak robić cały dzień, ale Wania musiał z kimś porozmawiać - był jedynym dzieckiem na sali, które potrafiło mówić. Musiał coś zrobić. Nie mógł już dłużej czekać na to, by Nastia się odwróciła. Zaczęła składać ubrania w drugim kącie sali.

- Czy możemy prosić o zabawkę, Nastio? - powiedział do jej pleców.

Znów nie odpowiedziała. W głębi ducha Wania zaczął się przygotowywać na jeden z jej wybuchów. Wstrzymał oddech, gdy powoli zaczęła się odwracać od sterty ubrań.

Podeszła do wysokiej półki i zdjęła z niej poobijaną matrioszkę. Wania z trudem hamował ekscytację, gdy mu ją podała.

- Weź tę. Pobaw się z Andriejem. - Rzuciła drewnianą zabawkę na stół pomiędzy chłopcami.

Andriej przestał się kołysać, ale wyraz jego twarzy się nie zmienił.

Wania szybko zauważył, że niektóre elementy matrioszki są zepsute albo zaginęły. Ale taka zabawka, nawet zepsuta, była lepsza niż nic. Nie spiesząc się, ułożył wszystkie laleczki według rozmiaru w rzędzie przed Andriejem. Rozłożył je i złożył. Powtarzał ten proces wciąż od nowa, lecz Andriej nie reagował.

- Chodź, Andriej. Teraz twoja kolej - powiedział nagle szepem.

Andriej wciąż wpatrywał się w pustkę, lecz Wania nie zamierzał się poddać.

- Potoczę jedną w twoim kierunku, a ty ją złapiesz. Laleczka zachybotła się, uderzyła w pierś Andrieja

i spadła na pokrytą linoleum podłogę. Andriej nawet nie spróbował jej złapać.

Wania zerknął nerwowo na Nastię, by sprawdzić, czy usłyszała, jak laleczka upada na ziemię. Nie, wciąż była zajęta zwijaniem rajstop.

- Andriej, nawet nie spróbowałeś. Tym razem się postaraj. Uniósł laleczkę do twarzy przyjaciela. Andriej lekko odwrócił głowę i spojrzał na laleczkę tępym wzrokiem.

- Tak lepiej. Teraz znów ją do ciebie potoczę.

Po raz kolejny Andriej nawet nie drgnął i pozwolił laleczce spaść ze stołu. Tym razem Nastia to usłyszała.

- Rozrzucasz zabawki po podłodze? Mówiłam im, że wam nie warto dawać zabawek. - Jednym wściekłym ruchem zebrała fragmenty lalki i na oczach zszokowanego Wani umieściła je z powrotem na wysokiej półce, po czym usiadła za biurkiem, by wypełnić formularze.

Wania spojrzał na stół, równie pusty jak cała reszta sali. Zerknął na Andrieja, który unikał jego wzroku i zaczął się znów kołysać. Igor uderzał główką o szczebelki kojca z coraz większą gwałtownością. Pomiędzy kolejnymi uderzeniami do uszu Wani dochodziły pojękiwania małej Walerii.

Wzrok Wani padł na kaloryfer pod oknem. Chłopiec uśmiechnął się na jego widok i wspomnienie szorstkiej powierzchni metalu, który promieniował niosącym otuchę ciepłem. Marzył o tym, by ześliznąć się z krzesła, podpełznąć do kaloryfera i dotknąć go, ale tylko jego ulubiona opiekunka ciocia Walentyna pozwalała mu poruszać się po sali. Nastia zaczęłaby wrzeszczeć, gdyby zobaczyła go na podłodze.

Przypomniawszy sobie ten cudowny poranek, gdy drzwi się otworzyły, a do środka wszedł mężczyzna z wielką skrzynią. Ogłosił, że przyszedł naprawić kaloryfer. Wania zdołał zwrócić na siebie jego uwagę pytaniem o to, kim nieznajomy jest, i otrzymał pozwolenie, by usiąść obok i obserwować. Mężczyzna poinformował go, że jest hydraulikiem, po czym otworzył skrzynię i zaczął wyciągać narzędzia o różnych kształtach i rozmiarach.

Przez całe cztery lata swojego życia Wania nie widział tylu fascynujących przedmiotów. Hydraulik zauważył jego zainteresowanie i dał mu do potrzymania klucz francuski. Potem wziął od niego klucz i zaczął odkręcać kaloryfer. Wania

obserwował uważnie każdy jego ruch i pytał o nazwę każdego narzędzia, a potem powtarzał, by je zapamiętać. Hydraulik uśmiechał się, a gdy skończył odkręcać kaloryfer, podał klucz Wani do potrzymania. Na szczęście tamtego dnia dyżur pełniła Walentyna, która nie odciągnęła Wani na bok. Chłopczyk uśmiechnął się do siebie na wspomnienie tych ekscytujących chwil. Z rury pociekła woda i utworzyła na podłodze wielką kałużę. Walentyna poszła po ścierkę. Hydraulik poprosił Wanię o zwrot klucza, który nagle stał się mu bardzo potrzebny.

Wania zamknął oczy i zaczął odtwarzać tamtą scenę w pamięci. Teraz to on był hydraulikiem, a Andriej jego pomocnikiem, który podawał mu klucz. Powiedziałaby: „Andrieju, szybko. Podaj mi klucz. Woda cieknie!” Andriej podałby mu klucz, a on użyłby całej siły, by dokręcić nakrętkę. Woda przestałaby kapać, a Walentyna posprzątałaby cały ten bałagan. Spakowałby swoje narzędzia do lśniącej metalowej skrzynki i odszedłby, by naprawić kolejny ciekący kaloryfer. Jakie to byłoby wspaniałe!

Krzesło Nastii zaszurało o podłogę, opiekunka podniosła się gwałtownie. Wania tak wiele dni spędził na obserwowaniu każdego jej ruchu, że wiedział doskonale, iż właśnie zaczyna się jej przerwa. Podeszła do torebki, która wisiała na haczyku na ścianie, i wyjęła z niej paczkę papierosów. Wyciągnęła zapalniczkę z kieszeni płaszcza. Nie spojrzała w lustro, nie tak jak Tania, która przed każdym wyjściem nakładała szminkę.

Gdy Wania ją obserwował, jego serce zaczęło bić gwałtownie. Zauważył, że drzwi do następnego pokoju są uchylone. Zazwyczaj były zamknięte. Co za szczęśliwy traf - Nastia

wychodziła i nie zauważyła tego. Nagłe wszystkie jego zmysły ożyły na myśl o przygodzie. Gdyby Nastia wyszła, mógłby podkraść się do tamtych drzwi i zerknąć do następnej sali, gdzie mieszkała Grupa 1, jak ją nazywały opiekunki. Wiedział, że są tam inne dzieci. Może niektóre z nich umiały mówić, tak jak on. Spojrzał na Andrieja, który znów wpatrywał się przed siebie z pustym wyrazem twarzy. Nawet jeśli nie byłoby tam żadnych dzieci, mógłby spotkać jakąś sympatyczną opiekunkę, która mogłaby mu powiedzieć coś miłego, co mógłby zapamiętać i wspominać potem, podczas długiej drzemki.

Z papierosami w dłoni Nastia zawahała się jeszcze w progu i rozejrzała uważnie po sali. Wania spuścił wzrok i wstrzymał oddech. Może ona potrafi czytać w myślach i odgadła jego plan? Co ona robi? Dlaczego zwleka? Ruszyła w kierunku drzwi pomiędzy salami. Wani serce podeszło do gardła. Zauważy, że drzwi są otwarte, i zamknie je, a wtedy szansa na przygodę zniknie. Ku jego uldze Nastia zdjęła tylko torebkę z wieszaka. Cudem nie zauważyła uchylonych drzwi.

Dzieci zostały same, nie było czasu do stracenia. Wania zsunął się z krzesła i głucho uderzył o podłogę. Nie wolno mu było chodzić na czworakach; powiedzieli mu, że podłoga jest brudna i może się od tego rozchorować. Starał się nie myśleć o tym, że Nastia na pewno go uderzy, jeśli go przyłapie. Napinając mięśnie ramion ze wszystkich sił, zaczął pełznąć po lśniącej podłodze. W połowie drogi usłyszał przepiękny głos dobiegający zza uchylonych drzwi. Ktoś śpiewał. Wania przyspieszył.

Dobrnął do drzwi i uchylił je szerzej, by zajrzeć do środka. Oślepiiony blaskiem południowego słońca sączącym się

przez cienkie firanki, dostrzegł tylko zarys wysokiej postaci. Zmrużył oczy. Postać pochyliła się i dostrzegł młodą kobietę, która ostrożnie odkładała dziecko do łóżeczka. Okazywała mu tyle czułości, emanowała bezgraniczną troską i śpiewała. Podniosła kolejne dziecko i wtedy Wania zauważył, że jest ubrana całkiem inaczej niż kobiety w domu dziecka. Nie miała na sobie białego fartucha, lecz dzinsy, jej włosy były rozpuszczone, a nie zaczesane do tyłu.

Po raz pierwszy w życiu Wania stracił mowę. Chłonał tę scenę w milczeniu, bojąc się, że czar pryśnie. Chciał zapamiętać każdy szczegół, by móc przypominać je sobie, gdy będzie leżał w łóżeczku przez całe popołudnie.

Młoda kobieta spacerowała po pokoju, kołysząc dziecko. Nagle spojrzała na Wanię. Nie przerywając śpiewania, uśmiechnęła się do niego. Wania spodziewał się, że na niego nakrzyczy i każe mu wrócić do jego pokoju, ale nic nie powiedziała. Ośmielony, podczołgał się nieco bliżej sali dla niemowląt. Chciałby tam zamieszkać. Wszystko wyglądało tam zupełnie inaczej. Zastanawiał się właśnie, czy to sen, gdy tuż za nim rozległ się ostry głos.

- Wracaj tu, Wania. Nie wolno ci tam chodzić. - To Nastia wróciła ze swojej przerwy.

Cofnął się do sali Grupy 2. Nastia zatrzasnęła za nim drzwi, chwyciła go pod ramiona, przeciągnęła po podłodze i usadziła w jego krzeselku.

- Nie waż się znów tego robić - warknęła mu prosto w twarz oddechem o mdlącym zapachu.

Nadeszła pora południowego posiłku. Kobiety z kuchni przyniosły dwa wielkie aluminiowe garnki oraz tacę

z miskami i butelkami pełnymi brązowej zupy i ustawiły to wszystko na stole przy drzwiach. Wania zaczął przyglądać się uważnie tacy, szukając swej ulubionej przekąski - kromki chleba. Żadne z dzieci nie dostawało chleba, ale jego ulubiona opiekunka ciocia Walentyna zawsze przynosiła mu kawałek na swoim dyżurze. Dziś był dzień Nastii, która nigdy nie dawała mu chleba, ale może kucharka pamiętała o nim i wsunęła kromkę pomiędzy butelki.

Nastia naląła do misek dziesięć porcji zupy warzywnej i rzadkiego puree z ziemniaków. Wania i Andriej zawsze dostawali obiad pierwsi i spodziewali się swoich misek w każdej chwili. Andriej przestał się nawet kołysać. Nastia odwróciła się do Wani i warknęła:

- Zachowywałeś się dziś rano skandalicznie i dlatego dostaniesz jeść ostatni. Twój przyjaciel też może zaczekać.

Zawiedziony Wania patrzył, jak Nastia bierze miskę, kuca przy chodziku Igora, podpira mu podbródek miską, by zmusić go do odchylenia głowy, i wpycha mu do buzi wielką łyżkę. Po pierwszym kęsie Igor krzyknął. Wania wiedział, że to gorące jedzenie pali mu gardło. Nastia jednak bez słowa kontynuowała karmienie, wtykając chłopcu kopiaсте łyżki ziemniaczanego puree do ust. Igor zaczął się wiercić i odwracać głowę.

- Chyba nie jesteś dzisiaj głodny - stwierdziła Nastia.

Wstała i odłożyła miskę na stół. Podniosła Tolę z kojca, posadziła go na krzeselku i wzięła kolejną miskę. Niewidomy chłopiec dotykiem poznawał otoczenie, próbując się w nim zorientować. Gdy zaczął palcami badać krzeselko, Nastia odchyliła mu głowę do tyłu i zaczęła pakować mu mieszankę do ust. Łyżka poruszała się coraz szybciej i szybciej, a Tola

walczył z całych sił, by nadażyć z połykaniem. Ilekroć odwracał głowę, by mieć na to więcej czasu, Nastia odchyłała mu ją do tyłu i kontynuowała karmienie. Większość ulewała się z ust Toli na jego podbródek i ścierkę. Porcja szybko się skończyła, a Nastia przyniosła sobie kolejne dziecko.

Potem wzięła butelkę brązowej zupy i pochyliła się nad bujakiem, w którym leżała Waleria. Wepchnęła smoczek do maleńkich ust i przechyliła butelkę. Waleria była tak słaba, że z trudem ssała.

- Pospiesz się - rozkazała Nastia, odwracając się od dziewczynki, by rozejrzeć się po pokoju.

Odgłos rytmicznego ssania ucichł, choć butelka była prawie pełna. Nastia wyjęła ją niecierpliwie z ust dziecka i podeszła do kolejnego.

Głód Wani narastał, gdy obserwował, jak Nastia pospiesznie karmi podopiecznych. Naprawdę miał ochotę na kromkę chleba. Może gdyby ładnie poprosił... Nie, to nie był odpowiedni dzień na takie prośby. Oczywiście, gdy Nastia postawiła w końcu przed chłopcami dwie miski, w żadnej z nich nie było chleba.

- Tylko nie naróbcie bałaganu - ostrzegła ich.

W ciszy Wania i Andriej zaczęli jeść łyżkami zimną breję, w której nie było nawet nic do pogryzienia.

Gdy chłopcy jedli, Nastia kładła dzieci jedno po drugim na przewijaku i bez słowa czy jednego spojrzenia ściągала z nich przemoczone śpiochy i ubrudzone pieluchy i zastępowała je nowymi. Potem podeszła do Wani i Andrieja, by przenieść ich do łóżeczek w pokoju obok. Nadeszła pora popołudniowej drzemki.



Wania drżał na samą myśl o nudzie tych długich popołudni, które spędzał w zamknięciu. Gdy Nastia podeszła do niego, zaczął gorączkowo szukać w myślach sposobu, by odwlec nieuniknione. Kiedy dyżur pełniła ciocia Walentyna, pozwalała mu przez chwilę posiedzieć ze sobą. Uczyła go nowej piosenki albo wierszyka. Dzisiaj jednak był dzień Nastii, która już podniosła Andrieja. Wania zwlekał jeszcze chwilę z dojedzeniem zupy, a gdy ostatnia kropla zniknęła z miski, wpadł na pomysł, by nawiązać z nią rozmowę.

- Kupiłaś już dywan? - zapytał, gdy pochyliła się, by go podnieść.

Nastia zrobiła zdumioną minę.

- Skąd wiesz o moim dywanie?

- Słyszałem, jak rozmawiasz o tym z lekarzem. Powiedziałaś, że widziałaś dywan na rynku i że zamierzasz go kupić, gdy twój dyżur się skończy.

- Tak, poszłam tam i kupiłam go.

- Czy jest ładny?

- Tak, jest. - Zastygła na chwilę, podnosząc go.

- A co to jest rynek, Nastiu?

- To takie miejsce, gdzie kupuje się różne rzeczy. A teraz czas na drzemkę.

- Ale ja nie jestem śpiący.

Nastia nie odpowiedziała. Bardzo się spieszyła, by go w końcu położyć do łóżeczka. Gdy zamknęła za sobą drzwi, Wania zaczął wpatrywać się w pęknięcia na ścianie za szczebelkami jego łóżeczka. Palcem śledził linie farby, dopóki pozwalało mu na to jego więzienie. Czuł się przygnieciony bezmiarem rozciągającego się przed nim czasu. Wiedział,

że zrobi się ciemno, nim go uratują. Inne dzieci wierciły się niespokojnie i jęczały w kołyskach ustawionych pod wszystkimi czterema ścianami pokoju.

Zatkał uszy, by odciąć się od tych nieszczęśliwych jęków, i skupił się na przypominaniu sobie szczegółów swej wielkiej przygody, która rozpoczęła się, gdy Nastia wyszła z pokoju. Przywołał obraz młodej kobiety z długimi włosami, która czule przytulała niemowlę i śpiewała mu. Przypomnił sobie, jak się do niego uśmiechnęła, i zaczął sobie wyobrazać, że to jemu teraz śpiewa. Kim mogła być? Dlaczego była ubrana inaczej niż pozostałe opiekunki? Dlaczego nie nakrzyczała na niego ani go nie uderzyła za to, że odłączył się od swojej grupy? Pamiętał wszystkie szczegóły tego, co się wydarzyło, ale nie potrafił sobie tego wytłumaczyć.

Gdy już odtworzył w głowie tamtą scenę kilka razy, zaczął myśleć o czymś innym. Przywołał obraz matrioszki. Znow się nią bawił, ale tym razem nie była ani zepsuta, ani połamana, nie brakowało też żadnego elementu. Wyobraził sobie, że ustawia laleczki na stole, od najmniejszej, tak małej jak jego palec, do największej, która była tak duża jak Waleria w bujaku. Laleczek było tak wiele, że z trudem mieściły się na stole. Utworzyły wielki mur po jego stronie stołu, za którym mógł się skryć przed Andriejem, by go rozśmieszyć.

A potem zaczął toczyć laleczki po stole. Tym razem jednak Andriej nie miał już tego nieobecnego wyrazu twarzy. Wychylał się na prawo i lewo, by łapać lalki - wszystkie, i te małe, które podskakiwały na blacie, i te duże, które kołysały się i toczyły z jednej strony na drugą. Andriej łapał je i odstawiał z powrotem na stół, a Wania ustawiał je na krawędzi

i łapał je tuż przed tym, nim uderzyły o ziemię. A Nastia nic nie słyszała!

Wiedział, że nie ma szans na to, by Nastia znów pozwoliła mu tego dnia pobawić się matrioszką. Ale może jutro? Jutro przyjdzie Tania. Nie znał jej zbyt dobrze, ale przecież mógł zapytać. A w następny dzień przyjdzie ciocia Walentyna. Ona na pewno pozwoli mu pobawić się lalką. Miał na co czekać.

Dwa dni później Wania siedział przy swoim małym stole, nie mogąc się doczekać dyżuru swojej ulubionej opiekunki. Tania już włożyła swój biały płaszcz i ciągle spoglądała na zegarek, spiesząc się do wyjścia. Drzwi się otworzyły, a na progu pojawiła się ukochana postać cioci Walentyny w znoszonym płaszczu, z parasolem i wypchaną plastikową reklamówką.

Wania obserwował, jak Walentyna wiesza płaszcz i zaczyna szukać czegoś w reklamówce. Wyjęła z niej zawinięty w papier pakiecik i położyła go przed nim. Drżąc z niecierpliwości, Wania rozerwał tłuszczoodporny papier. W środku znalazł gruby plaster salami.

- Mam dla ciebie jeszcze banana - szepnęła do niego Walentyna.

Chłopiec się rozpromienił.

- Ciociu Walentyno, jesteś moją ulubioną opiekunką - oświadczył z ustami pełnymi salami.

- Zajmij się przez chwilę sobą, Waniu - poprosiła i poszła do pokoju obok. Wróciła z Kiryłem, chłopcem, który cały czas spędzał w kojcu. Wzięła go na kolana i ubrała go powoli, najpierw w podkoszulek i rajstopy, a potem jeszcze w spodnie i sweter. Miała zaaferowaną twarz.

- Ciociu Walentyno, dlaczego jesteś dziś taka smutna?  
-zapytał Wania.

- Kirył nas opuszcza. Przenosi się do internatu. Wania słyszał już to słowo, ale nie wiedział, co ono oznacza.

- A co to jest internat? - zapytał.

Walentyna nie odpowiedziała. Zaraz potem drzwi otworzyły się i do środka wkroczyła Świetłana, która zawsze miała przy sobie jakieś papiery. Kobiety zamieniły kilka zdań, Walentyna włożyła Kiryłowi płaszczyk, ucałowała go z czułością w czubek głowy i podała go Świetłanie. Drzwi się zamknęły.

Wania przypomniał sobie, że coś takiego już się zdarzało. Świetłana przychodziła po dziecko i nigdy go nie odnosiła. Może wkrótce przyjdzie po Andrieja, a wtedy Wania zostanie bez przyjaciela. Odepchnął od siebie tę myśl. Spojrzał na Walentynę, by ją znów zapytać, co to jest ten internat. Ona jednak zajęła się już przewijaniem kolejnego dziecka, a jej spojrzenie wyraźnie ostrzegało, by nie zadawać jej tego pytania.

Kilka minut później otworzyły się drzwi łączące salę Wani z pokojem niemowlaków, na progu pojawiła się zastępczyni głównego lekarza z małą jasnowłosą dziewczynką na rękach.

- Macie wolne łóżeczko. To dla was - powiedziała Walentynie, sprawdzając coś w brązowej karcie. - Nazywa się Kurdjajewa. Wcześniak. Matka oddalają po urodzeniu. Ma piętnaście miesięcy i wciąż nie potrafi usiąść bez pomocy. Wyraźny objaw opóźnienia. Zdecydowanie się do was nada.

Walentyna włożyła małą do chodzika przywiązanego do kojca tuż obok Wani i zasiadła do papierkowej roboty.

- Cześć, jestem Wania. A ty jak masz na imię?

Dziewczynka utkwiała w nim inteligentne spojrzenie i zaczęła bełkotać, z całych sił starając się coś powiedzieć, ale z jej gardła wydobywały się tylko zduszone pomruki. Rozpaczliwie starała się dołączyć do Wani i Andrieja przy stole.

- A to jest Andriej. Popatrz, ciocia Walentyna dała nam dzisiaj po zabawce.

Pokazał jej swoją - połowę plastikowego telefonu. Wania miał tarczę, a Andriej trzymał słuchawkę bez kabla. Dziewczynka z podekscytowaniem śledziła, jak palce Wani wprawiają tarczę w ruch przy akompaniamencie terkoczącego dźwięku. Daj się pobawić, mówił jej wzrok. Mając tak wdzięczną publiczność, Wania zademonstrował, jak tarcza się obraca, i przysunął jej zabawkę pod sam nos. Był tak pochłonięty swoją rolą, że nie zauważył stojącej za nim postaci.

- Och, Masza, podoba ci się, prawda? - powiedział nieznajomy głos.

Jakaś dłoń wyrwała Wani telefon i podała go dziewczynce. Wania otworzył usta ze zdziwienia. Postać odwróciła się do niego plecami i pochyliła nad nowym przybyszem.

- A teraz, Masza, musimy poćwiczyć mówienie. Powiedz mama. M-m-m-m. - Masza posłusznie powtórzyła.

Wania był zafascynowany tym spektaklem. Nie odrywał wzroku od młodej kobiety, która wstała i podeszła do Walentyny.

- Proszę mi wybaczyć moją śmiałość. Mam na imię Wika. Jestem wolontariuszką. Pomagałam przyjaciółce, która pracuje w sali dla niemowląt. Bardzo przywiązałam się do Maszy. Czy mogę ją tu teraz odwiedzać? Mogłabym też pomagać.

- Och, zawsze przyda się dodatkowa para rąk. Jak widzisz, jestem sama, a mam pod opieką tuzin dzieci, które trzeba karmić i przewijać. A ja nie jestem już taka młoda - odparła Walentyna ze śmiechem. - Możesz zostać i pomóc mi przy obiedzie, jeśli chcesz.

Gdy kobiety rozmawiały, Wania uświadomił sobie, że to właśnie tę dziewczynę widział przez drzwi łączące oddziały, gdy śpiewała dzieciom - to o niej nie mógł przestać myśleć od tamtej przygody. A teraz była na jego oddziale! Z trudem hamował ekscytację. Gdy obserwował, jak dziewczyna niezdarnie karmi Maszę łyżką, cieszyło go już samo to, że ma ją w pobliżu. Uczył się na pamięć jej imienia, powtarzając je sobie po cichu - Wika, Wika.

- Nigdy wcześniej nie mieliśmy tu wolontariuszy - zauważyła Walentyna. - Zazwyczaj nie wpuszczamy osób z zewnątrz.

- Wątpię, abym była mile widzianym gościem. W zasadzie większość personelu uważa mnie za zawadę.

Walentyna uśmiechnęła się uprzejmie.

- Ależ na pewno nie masz racji, moja droga.

Gdy kobiety rozmawiały, Wania przysłuchiwał się im bacznie. Ignorowały go, całą uwagę skupiając na Maszy, nowo przybyłej, ale nie przeszkadzało mu to. Postanowił zaprzyjaźnić się z Wiką.

Gdy Wania obudził się następnego dnia, przez chwilę nie pamiętał, dlaczego jest taki szczęśliwy. Nie dlatego, że przychodzi ciocia Walentyna. Jej dyżur był przecież wczoraj. Potem przypomniał sobie Wikę. Nie była taka jak kobiety w białych kitlach, których grafiki musiał zapamiętać.

Wika mogła się pojawić o każdej porze. Po raz pierwszy widział ją w dzień Nastii, a potem pojawiła się w dzień Walentyny, wydało mu się więc prawdopodobne, gdy leżał w swoim łóżeczku, że może przyjść także dzisiaj. Przez cały dzień jej wyglądał, ilekroć drzwi się otwierały, miał nadzieję zobaczyć jej twarz; za każdym razem jednak spotykało go rozczarowanie, aż w końcu, gdy nastał zmrok, zyskał pewność, że tego dnia już nie przyjdzie.

Nie przyszła także następnego dnia. Pocieszał się, szepcząc do siebie jej imię. Nagle zawołał:

- Wika, Wika.

Jej głowa ukazała się w drzwiach.

- Przyszłaś odwiedzić Maszę?

- Zapamiętałeś moje imię. A ty jak się nazywasz?

- Jestem Wania.

- Ach, tak. Pokazywałeś Maszy telefon. Tak, przyszłam ją odwiedzić. - Przeszła przez pokój, pochyliła się nad Maszą, wyjęła ją z chodzika i wzięła na ręce.

Twą Maszy, zazwyczaj taka smutna, rozjaśniła się w uśmiechu.

- Kim pani jest? Kto dał pani pozwolenie, by tu przebywać? Serce Wani zatrzepotało nerwowo w piersi, gdy w sypialni

pojawiła się Nastia. W całym tym podekscytowaniu zapomniał, że tego dnia wypada właśnie jej dyżur. Wika odwróciła się do opiekunki z dzieckiem w ramionach.

- Przepraszam. Powinnam była się przedstawić. Przyszłam zobaczyć się z Maszą.

- Pracuje pani tutaj? -Nie.

- To w takim razie nie powinno tu pani być.

- Ale pomagałam już przy dzieciach z Grupy 1. Przychodzę tu od miesiący.

Nastawienie Nastii nieco złagodniało, gdy dostrzegła przed sobą okazję.

- Cóż, przydałaby mi się przerwa. Może pani zostać z dziećmi na dziesięć minut.

Drzwi się zamknęły. Ku zachwytowi Wani, Wika usiadła na krzeselku przy jego stoliku z Maszą na kolanach. Odwróciła dziewczynkę twarzą do siebie, spojrzała jej w oczy i zaczęła imitować literę m-m-m.

- No, Masza, przecież możesz to zrobić.

Masza milczała. Wika przycisnęła wargi do policzka dziecka i powtórzyła dźwięk. Nadal cisza.

- No dalej, Masza, tak dobrze ci szło, gdy byłaś na oddziale dla niemowląt.

Masza wpatrywała się w nią rozradowanym wzrokiem, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Wika westchnęła. Zdjęła Maszy skarpetki, postawiła jej gołe stopy na podłodze, jej ręce oparła na blacie i wzięła ją pod ramiona.

- Musisz wzmocnić nóżki - powiedziała. Dziewczynka zawisła bezwładnie.

Wika zrobiła zrozpaczoną minę. Twarz Wani przybrała podobny wyraz, gdy dziewczyna zaczęła rozglądać się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby pobudzić Maszę. Jej wzrok rozjaśnił się, gdy zobaczyła dziecięce krzeselko z głową konia na przedzie i kierownicą. Wyciągnęła krzesło z kąta, ustawiła je przy stoliku Wani, usadziła w nim Maszę i zacisnęła jej dłonie na kierownicy. W takiej pozycji Masza mogła siedzieć prosto.



- Mądra dziewczynka! Jedziesz na koniku.

Oczy Maszy się rozjaśniły. Po raz pierwszy wyglądała na zainteresowaną.

Wika wydała z siebie odgłos galopu. Zachęciła Wanię, by do niej dołączył. Potem zaczęła klaskać w dłonie i mlaskać językiem. Wania nigdy w życiu tak dobrze się nie bawił.

- A co to za hałasy? Rozbudziła ich pani. Teraz już na pewno nie usną po południu. - Nastia wróciła z przerwy i postanowiła zakończyć zabawę. - I dlaczego zdjęła jej pani skarpetki? Przecież się przeziębii.

- Proszę zobaczyć, jaka jest szczęśliwa. To krzeselko naprawdę jej pomaga. Może mogłaby pani ją w nim usadowić od czasu do czasu...

- Jakbym nie miała dość roboty z tym całym przebieraniem, myciem i karmieniem.

Z tymi słowami Nastia wyciągnęła Maszę z krzeselka i wsadziła ją do przeznaczonego dla niej chodzika. Masza wydała z siebie przeraźliwy krzyk.

- Zresztą po co pani traci na nią czas? - Postukała się palcem w głowę, pokazując, co myśli o takim zachowaniu Wiki.

Wika uświadomiła sobie, że lada chwila straci prawo widywania Maszy, i postanowiła podjąć ostatni wysiłek, by rozstać się z opiekunką w zgodzie.

- Może pomogę pani przy obiedzie? - zaoferowała.

- Nie. Dam sobie radę. Chyba już czas na panią? I proszę tu więcej nie przychodzić.

Wika ucałowała Maszę w czubek głowy, podniosła torebkę, pomachała Wani i wyszła. Wanię znów otoczyła cisza.

Przez całe popołudnie Wania leżał w łóżeczku i rozmyślał o Wice. Nastia powiedziała jej, że ma tu nie wracać. Nigdy więcej jej już nie zobaczy. Ta strata tak mu ciążyła, że z trudem oddychał. Potem wyobraził sobie, że przeskakuje szczebelki łóżeczka, idzie do pokoju dziennego, staje przed Nastią i mówi: „Chyba już czas na ciebie? I więcej tu nie przychodź!”. Wtedy ciocia Walentyna mogłaby przychodzić w dni Nastii. Ależ byłoby cudownie.

Zesztywniał z urazy, gdy Nastia wyjęła go z łóżeczka. Zaciśkał powieki, gdy go przebierała. Gdy usadziła go przy jego stoliku, wpatrywał się w nią z nienawiścią, ilekroć odwróciła się do niego tyłem. Był taki smutny, że gdy drzwi się otworzyły, nie zareagował jak zwykle i nawet się nie obejrzał, by zobaczyć, kto przyszedł. Spóźnił się i tylko kątem oka dostrzegł kogoś w dżinsach i swetrze. Jego serce podskoczyło na myśl o tym, że to musiała być Wika. Odwrócił się i zobaczył dwie kobiety bez kitlów, ale ku jego rozczarowaniu żadna z nich nie była Wiką. Jedna z nich miała długie włosy, ale jasne, a druga śmiesznie mówiła.

Przyszły z opiekunką, którą widział wcześniej tylko dwa razy - zapamiętał, że miała na imię Żanna. Wyczuł jej zdenerwowanie i chęć jak najszybszego pozbycia się gości. Kobieta z krótkimi włosami nie przestawała jednak zadawać pytań. W końcu Żanna wypchnęła obie panie za drzwi, tłumacząc to tym, iż dzieci zaraz będą jeść kolację. Bardzo tym Wanię zaskoczyła, bo kolację rozdawano dopiero po powrocie Nastii z jej popołudniowej przerwy, której jeszcze nie było. Gdy kobiety podeszły do drzwi, Wania postanowił wykorzystać okazję.

- Proszę nas jeszcze odwiedzić - powiedział do kobiety z krótkimi włosami.

Ku jego radości odwróciła się i podeszła do niego. Dała mu samochodzik, a gdy zapytał, czy ma taki też dla Andrieja, włożyła dłoń do torebki i wyjęła jeszcze jeden. Nigdy wcześniej nie bawił się czymś takim, Andriej także. Obaj przesuwali samochodziki po blacie stołu, uśmiechając się do siebie. Byli tym tak pochłonięci, że prawie zapomnieli zapytać, jak kobieta ma na imię - Sarah - i wymóc na niej obietnicę, że znów ich odwiedzi. Powiedziała, że przyjdzie.

Przed kolacją Nastia odebrała im samochodziki i postawiła je na najwyższej półce. Następnego ranka, gdy Wania się obudził, od razu pomyślał o swoim samochodziku. Usiadł, wyciągnął rękę i wyobraził sobie, że przesuw go po poręczy łóżeczka. A potem wyobraził sobie, że zatacza nim wielki łuk na ścianie.

- Nastio, czy mogę dostać mój samochodzik? - zapytał, gdy opiekunka weszła do sypialni.

- Samochodzik? Jaki samochodzik?

Ogarnął go niepokój. Chwycił się szczebelków i podciągnął do góry.

- Wiesz, ten samochodzik, który dała mi Sarah.

- Sarah? Nie znam żadnej Sarah. Wania poczuł panikę.

- Wiesz, to ta pani ze śmiesznym głosem, która dała mi samochodzik. I Andriejowi też.

Nastia pochyliła się nad łóżeczkiem i podniosła dziecko.

- Nie pamiętam żadnych samochodzików - oświadczyła niedbale. - Musiało ci się to przyśnić.

## ROZDZIAŁ 2

### GŁOS W CISZY

#### *Październik 1994 - czerwiec 1995*

Sarah spotkała Wanię przez przypadek. W zasadzie prawie go przeoczyła. Była to końcówka bardzo długiego dnia - jej pierwszej wizyty w Domu Dziecka nr 10, podczas której bez żadnego przygotowania zanurzyła się po szyję w świecie z książek Charlesa Dickensa.

Jak wspominała dekadę później, nie wiedziała, co ze sobą począć, gdy przyjechała do Moskwy jesienią 1994 roku.

- Byłam małżonką korespondenta prasowego z dwójką dzieci, które już chodziły do szkoły. Zastanawiałam się, czym wypełnię sobie następne cztery lata. Pewnego dnia poszłam na spotkanie dla nowicjuszy w Międzynarodowym Klubie Kobiet. Była to wymówka dla kobiet obcokrajowców, by ubrać się elegancko i jeść Dunkin' Donuts, które właśnie do Rosji przywędrowały, w rezydencji amerykańskiego ambasadora. Kolejka kończyła się w połowie drogi na Kreml.

Gdy już weszłam do środka, zaproponowano mi wzięcie udziału w kursie rysowania ikon, kuchni hinduskiej, jogi, rosyjskiej literatury i wielu innych interesujących rzeczy. Wśród odzianych od stóp do głów w kreacje Gucciego żon potentatów naftowych były też dwie Brytyjki w legginsach, które sprzedawały podkoszulki prosto z kartonów. Reprezentowały grupę charytatywną, stawiającą sobie za cel pomoc Rosjanom, których życie się załamało po upadku komunizmu. Rozpaczliwie potrzebowały osób znających język w roli tłumaczy, a ja nie zdołałam im odmówić. Nie miałam pojęcia, jak ogromny wpływ wywrze ta znajomość na moje życie i że przez nią pod koniec czteroletniej kadencji męża nie będę w stanie wyjechać.

W pewien pochmurny, bezśnieżny grudniowy poranek Sarah pojechała z wizytą do domu dziecka ze swoją amerykańską przyjaciółką Louisa, która potrzebowała tłumacza. Moskwa wyglądała wtedy okropnie. Procesy, które miały przekształcić miasto w rozświetloną neonami metropolię, ledwie się rozpoczęły, a śnieg nie zdążył jeszcze przykryć zniszczonych chodników i dziurawych ulic.

Tył lśniącego czerwonego jeepa Cherokee Louisy zajmowały stosy dziecięcych zimowych płaszczy i butów, opakowania kredek i flamastrów kupione za pieniądze zebrane przez grupę charytatywną, a także pudełka ciastek, które Louisa sama upiekła i ozdobiła.

Gdy Louisa jechała obwodnicą Moskwy, mknąc po czteropasmowej jezdni, by skrócić na autostradę, była świadoma tego, że budzi powszechne zainteresowanie. Była jedyną kobietą kierowcą na drodze i zapewne jedyną kobietą

w Moskwie za kółkiem tak potężnego i drogiego samochodu. Wyróżniały ją też długie blond włosy. Gdy jechały ulicą Nowosłobodską, poobijana łada zaczęła się z nimi ścigać, a czterech krępych mężczyzn w skórzanych kurtkach łypało okiem na Amerykankę, która ośmieliła się rzucić wyzwanie męskiej dominacji na drodze.

Przedzierając się przez korki, Louisa wyjaśniła Sarah, że Dom Dziecka nr 10 to najbardziej centralnie położony sierociniec w mieście, ale też najtrudniej dostępny, ze względu na osobę ekscentrycznej lekarki naczelnej, która odnosiła się do obcych z wielką podejrzliwością. Była przekonana, że wszyscy obcokrajowcy to misjonarze amerykańskiej sekty religijnej i że ostatnia tłumaczka spojrzała na nią złym okiem. Od tamtego incydentu utrudniała wizyty grupie charytatywnej, informując, że w domu trwa właśnie kwarantanna, ilekroć ktoś do niej dzwonił, by się umówić na wizytę. Tym razem więc, oświadczyła Louisa, ich wizyta będzie niezapowiedziana.

Samochód zatrzymał się na końcu dziurawej alei przed wysoką bramą, z której obłaziła zielona farba. Uchyliły małą boczną furtkę, by wejść na teren sierocińca. Sarah dobrze pamięta tę opuszczoną scenerię: pod nagimi lipami stały dwa duże drewniane kojce z geometrycznymi dachami dekorowanymi w stylu rosyjskiej wsi. Kiedyś musiały być pięknymi ozdobami terenu ośrodka, teraz gniły. Pomiedzy drzewami znajdowały się jeszcze huśtawka bez krzeselka, niszczejaca otwarta piaskownica, porzucone plastikowe wózki bez kółek i rączek. Budynek domu dziecka był dwupiętrowy, otynkowany na żółto. Kiedyś musiała to być elegancka posiadłość,

teraz jego pilastrową fasadę szpeciły szopy, wiaty i kubły węgla, które od razu zdradzały jego państwową przynależność.

W domu mieszkało sześćdziesięcioro dwoje dzieci, od noworodków do pięciolatek. Sarah nie widziała ani nie słyszała żadnego z nich. A spodziewała się miejsca wypełnionego gaworzeniem niemowląt i raczkowaniem dwulatek. Główna ulica - pełna kupujących, domokrażców i żebraków - była sto metrów dalej, a sierociniec sprawiał wrażenie, jakby pochodził z zupełnie innego świata.

Sarah i Louisa weszły na ganek zagracony połamanymi meblami, starymi wózkami i plastikowymi zabawkami, które nie nadawały się już do naprawienia, a których nikt dotąd nie wyrzucił.

Na ławce przy drzwiach siedziała młoda kobieta w białym kitlu z mocnym makijażem, wpatrywała się w przestrzeń i paliła papierosa. Nie okazała żadnego zainteresowania dwóm cudzoziemkom, które weszły do domu przez otwarte drzwi. Minęły mały hol i otworzyły drugie drzwi, by wejść do sierocińca. Stęchłe powietrze czuć było gotowaną kapustą i moczem. Starsza kobieta w białym kitlu w grubych okularach i ze stetoskopem na szyi wyszła, by ich powitać z kartką papieru w dłoni. Rozpoznała Louise i przyjęła pudełko ciastek.

- Przywiozłyśmy płaszcze i buty, o które pani prosiła - poinformowała ją Louisa.

- Trzeba je przekazać Adeli. Zaraz ją znajdę. - Kobieta zostawiła cudzoziemki w korytarzu.

Nigdzie nie było ani śladu dzieci, ale Sarah usłyszała stłumione odgłosy płaczu. Powoli ruszyła korytarzem przed

siebie w kierunku tego hałasu, po drodze czytając tabliczki na drzwiach - GŁÓWNY LEKARZ, ZASTĘPCA, LOGOPEDA, MASAŻ. W pokojach panowała cisza. Naciskała klamki. Zamknięte. Szła dalej i w końcu odnalazła źródło dźwięku. Płacz dobiegał zza drzwi z tabliczką IZOLATKA. W drzwi wprawiono szybę. W środku stały trzy łóżeczka. W najdalszym z nich stał chłopiec w wieku około dwóch lat. Obserwowała, jak potrząsa szczebelkami łóżeczka, podskakując w górę. Wyglądał tak, jakby płakał od wieków, był tak wyczerpany, że siły wystarczało mu tylko na pojedyncze szloch. W jego łóżeczku nie było żadnej zabawki. Żadnych obrazków na ścianach. Pomieszczenie było prawie puste.

Sarah wzdrygnęła się i nie mogąc się powstrzymać, podeszła do sympatycznie wyglądającej kobiety, która właśnie wyszła z biura z tabliczką ZASTĘPCA.

- Przepraszam bardzo. Co się dzieje temu chłopcu? - zapytała.  
- Chyba jest bardzo wzburzony.

- Jego matka zostawiła go tutaj dziś rano. Nie daje sobie z nim rady - odpowiedziała kobieta. - Jest studentką. Potrzebuje odpoczynku, by dokończyć studia. Powiedzieliśmy jej, by wróciła za dwa lata. Wtedy łatwiej będzie jej sobie z nim poradzić.

- Dlaczego jest tam zupełnie sam?

- Musi spędzić w odosobnieniu trzy tygodnie. By nie zarazić niczym innych dzieci.

- Ale on nie wygląda na chorego...

- Takie są zasady... Trzytygodniowa kwarantanna. Potem zostanie przypisany do odpowiedniej grupy.

- On nie ma żadnych zabawek.



- Zabawki są niedozwolone. Mogą roznosić robaki - oświadczyła zastępczyni.

Sarah już miała zadać kolejne pytanie, lecz podeszła do niej Louisa z niezadowoloną miną.

- Przecież ci mówiłam, żebyś nie zadawała dziwnych pytań - szepnęła. - Przez ciebie już nigdy nas tu nie wpuszczą.

W tej samej chwili w korytarzu pojawiła się kobieta w grubych okularach, za którą szła starsza kobieta ze smugą sadzy na czole i kosmykami siwych włosów wysypującymi się spod zielonego czepka. W rękach niosła wiaderko węgla i parę grubych rękawic, poczerniałych od wieloletniego użytku.

Sarah pomyślała, że ta dziwaczna kobieta musi być sprzątaczką. Dopiero gdy ją przedstawiono, uświadomiła sobie, że ma do czynienia z Adelą, lekarzem naczelnym sierocińca, odpowiedzialną za życie tych sześćdziesięciorga dwojga młodych dusz.

- Trzeba naprawić bojler - oświadczyła Adela, zdejmując robocze rękawice. Jej oczy wędrowały pomiędzy gośćmi a jej zastępczynią.

- Adelu, przywiozłyśmy wam buty i płaszcze, o które prosiliście - powiedziała Sarah. - Są w samochodzie. Gdyby ktoś otworzył nam bramę, mogłybyśmy wprowadzić samochód.

Pomimo kierowniczego stanowiska Adela sama zdjęła sztabę i otworzyła ciężką bramę. Louisa wjechała na teren ośrodka i zaparkowała przed głównym wejściem, lśniący czerwony jeepa ostro kontrastował ze starą poobijaną wołgą służącą sierocińcowi. Personel czekał przy wejściu, gdy Adela zaczęła rozpakowywać dary i wnosić je do środka.

Gdy w końcu wszystko policzono i spisano, Louisa zapytała, czy grupa charytatywna może zrobić coś jeszcze dla placówki. Adela utkwiała wzrok w podłodze i mruknęła:

- Mamy wszystko, czego potrzebujemy.

Zapadła niezręczna cisza. Po chwili ośmieliła się odezwać kobieta w grubych okularach:

- Adelu Władimirowna. A pralka? Nasza popsuła się wiele miesięcy temu.

- Tak, tak. Tego właśnie potrzebujemy. Proszę to omówić z Louisą.

Na podłodze została jeszcze jedna torba z darami. Sarah dostrzegła w tym szansę dla siebie.

- Tu jest trochę zabawek, klocki Duplo i inne rzeczy. Czy mogłybyśmy rozdać je dzieciom?

Z szeregu wystąpiła inna kobieta w białym kitlu. Przedstawiła się jako Żanna, główny defektolog, można było wyczuć, że posiada tu pewien autorytet. Sarah zaczęła się zastanawiać, co może oznaczać jej ponury tytuł.

Defektolog zaprowadziła cudzoziemki długim korytarzem do klatki schodowej z zimną, pomalowaną na brązowo poręczą na stalowych prętach. U szczytu schodów znajdowało się umeblowane pomieszczenie z dywanem, czerwonymi plastikowymi sofami i anemiczną rośliną w kwietniku. Nikt tam nie siedział, nigdzie nie było dzieci. W końcu podeszły do ciężkich drzwi z tabliczką GRUPA 3. W środku bawił się tuzin dziewcząt i chłopców w wieku od czterech do pięciu lat. Wszystkie dzieci miały na sobie niedopasowane ubrania z darów i wypłowiełe niebieskie rajstopy. Wyróżniała się spośród nich jedna dziewczynka - musiała

być ulubienicą personelu, bo miała na sobie białą sukienkę w czerwone kropki, białą wstążkę we włosach i lalkę w rękach. Sarah zauważyła, że niektóre dzieci mają na twarzy wysypkę, a chłopcy - sińce i zadrapania.

Opiekunka w białym kitlu siedziała przy biurku, plecami do dzieci, i pisała coś w zeszycie.

Na podłodze leżał plastikowy domek dla lalek i kilka połamanych plastikowych zwierzątek. Ładniejsze zabawki stały w szklanej witrynie. Najwyraźniej były tylko na pokaz. Jeden chłopiec bił kolegę niezidentyfikowanym kawałkiem plastiku. Opiekunka oderwała wzrok od biurka, wykręciła głowę i krzyknęła do niego:

- Przestań natychmiast. - Nawet nie przywitała się z gośćmi. Dzieci zebrały się wokół cudzoziemek, zaczęły wpychać rączki do ich torebek i wołać:

- Daj mi, daj mi.

Gdy dzieci przepychały się do ciasteczek Louisy, defektolog objęła je szerokim gestem i powiedziała:

- To wszystko oligofrenicy.

Sarah zapytała, co oznacza to słowo.

- No, wie pani, opóźnieni umysłowo. - Lekarka pokazała gestem na dziewczynkę mieszanej rasy w luźnej sukience w kratkę. - Na przykład ta. Jej matka jest narkomanką, a ojciec wrócił na Kubę. Babcia ją odwiedzała, ale nawet już nie przychodzi. Może nie żyje.

Twarz dziewczynki wykrzywiła się, gdy usłyszała te szokujące słowa, ale defektolog najwyraźniej tego nie zauważyła. Pokazała na chłopca w fioletowej koszuli i różowych szortach.

- Tego mamy od urodzenia. Znaleziono go na dworcu. Jego matka urodziła w Moskwie, a potem wróciła na Łotwę. A matka tamtego mieszka w internacie. Zaszła w ciążę z woźnym.

W kolejnych miesiącach podczas wizyt w niezliczonych sierocińcach Sarah dowiedziała się, że takie bezduszne podejście do dzieci to norma. Tamtego grudniowego dnia jednak obcesowe słowa lekarki wywarły na niej niezatarte wrażenie.

- Nie mogłam uwierzyć w to, że ona rozmawia o tych dzieciach tak, jakby były głuche albo za głupie, by ją zrozumieć. Miała przyjemną matczyną twarz, ale chyba traciła cały instykt, gdy chodziło o jej podopiecznych. Z jej słów wynikało, że wszystkie te dzieci zostały przeklęte przy narodzinach i nie miały najmniejszych szans na uwolnienie się od swoich skażonych korzeni.

Wzięłam na ręce małą dziewczynkę. Miała krótkie włosy, byle jak obcięte. Posadziłam ją sobie na kolanach i dałam jej konika i jeźdźca z zestawu Duplo. Spodziewałam się słodkiego zapachu mojej córeczki, która była mniej więcej w tym samym wieku. Zamiast tego poczułam silny odór brudnego dziecka, niepranych ubrań i zaniedbania. Pamiętam, że zaczęłam się zastanawiać, jak to możliwe, że tak poważna instytucja nie ma nawet pralki, by zadbać o higienę podopiecznych.

Sarah i Louisa uzyskały pozwolenie defektolog na opróżnienie toreb z zabawkami na środku pokoju. Dzieci dosłownie się tratowały, by przetrząsnąć ten worek skarbów. Od razu rozebrały stos jaskrawokolorowych zabawek i podzieliły je między siebie zgłodniałe feerii barw. Ciągnęły za

rączki, naciskały guziki, wyzwalając kakofonię dzwonek, bzyczenia i gwizdów.

W Grupie 3 zapanował radosny chaos, który, jak Sarah wkrótce wyczuła, nie pasował do surowego reżimu sierocińca. Po kilku minutach defektolog dała im sygnał do wyjścia. Opuszczając pomieszczenie, powiedziała opiekunce:

- Wróć później, by zebrać zabawki i przenieść je do swojego gabinetu. To zabawki edukacyjne, którymi dzieci mogą się bawić tylko pod moim nadzorem. Nie chcemy, żeby je popsuły.

Sarah otworzyła usta, by zaprotestować, ale Louisa dźgnęła ją łokciem w zębra. Opiekunka wymknęła się za drzwi za nimi.

- Czas na moją przerwę - oświadczyła.

Wyjęła z kieszeni klucz, zamknęła dwanaścioro dzieci w pokoju i zbiegła po schodach. Sarah już miała zapytać, kto zajmie się teraz dziećmi, lecz w ostatniej chwili ugryzła się w język.

Gdy szły w kierunku schodów, minęły drzwi z tabliczką GRUPA 2.

- Czy tu jest więcej dzieci? - zapytała Sarah. - Może mogłybyśmy im dać resztę zabawek.

- O nie. To najtrudniejsze przypadki, nieuleczalne. Te dzieci nie potrzebują zabawek. Nie potrafiłyby się nimi bawić. - Coś w jej nastawieniu sprawiło, że Sarah postanowiła bez względu na wszystko zajrzeć do środka.

- Możemy je poznać? Proszę.

Ich przewodniczka niechętnie otworzyła drzwi. Powitała je głęboka cisza. Po harmidrze panującym w poprzedniej

sali ta z początku wydawała się pusta. Dopiero po chwili zobaczyły mniej więcej tuzin dzieci, z których żadne się nie ruszało.

- One głównie leżą. Wszystkie są bardzo chore - poinformowała je defektolog.

W małym krzeselku leżała nieruchomo mała jasnowłosa dziewczynka.

- Cóż za ślicznotka. Ile ma lat? - zapytała Sarah. Wyglądała na mniej więcej rok.

Defektolog odwróciła się i zadała to samo pytanie opiekunce, która sprawdziła listę nazwisk zawieszoną na ścianie i odpowiedziała:

- Iwanowa... ma cztery lata. Uszkodzenie ośrodkowego układu nerwowego.

- Ale przecież wodzi za nami wzrokiem.

- To tylko odruch. To nic nie znaczy.

Do kojca stojącego na podłodze kawałkiem szmaty przywiązano rząd chodzików, w których siedziało troje dzieci. Były ustawione na linii jak kierowcy rajdowi, ale żadne z nich donikąd się nie wybierało. Ich główki opadały w tył. Musiały tak siedzieć od wielu godzin.

Obok kojca na podwyższeniu leżała w bujaku mała dziewczynka. Była zbyt słaba, by wprawić bujak w ruch. Jej ogromne jasne oczy wpatrywały się z zainteresowaniem w kobiety spod długich rzęs.

- To Kowalczyk. Ma chore serce.

- Nie ma imienia? - zapytała Sarah, wyciągając dłoń, by dotknąć policzka dziecka.

Mała wzdrygnęła się i odwróciła głowę.

- Nic tu nie ma - odparła opiekunka, stukając się po głowie. - Jej matka oddała ją tuż po urodzeniu.

W drugim kojcu raczkował w kółko chłopiec z plastikowym patykiem, do którego umocowane było kółko.

- A to kto?

Opiekunka znów musiała spojrzeć na listę na ścianie.

- To Simonów. Jest ślepy.

Ślepy nie oznacza opóźniony, pomyślała Sarah. I dlaczego nie używają jego imienia? Już otworzyła usta, by wypowiedzieć na głos swoje wątpliwości, ale gdy zobaczyła kose spojrzenie Louisy, zamknęła je.

W kojcu wisiało lustro w ciężkiej drewnianej ramie. Po co niewidomemu chłopcu lustro? I co może być bardziej niebezpieczne niż lustro w kojcu? Całe to miejsce tonęło w oparach absurdu - lustro dla ślepego chłopca, chodziki przywiązane tak, by dzieci nie mogły uczyć się chodzić, bujak, który się nie bujał, dzieci, które bały się pieszczot, czterolatki o rozmiarach niemowląt.

Coraz trudniej przychodziło Sarah zachować milczenia. Czuła narastający w niej gniew. Pomimo rzucanych w jej kierunku ostrzegawczych spojrzeń chciała krzyknąć do tych kobiet: Dlaczego te dzieci tak leżą? Dlaczego nikt nie zwraca na nie uwagi? Dlaczego waszym zdaniem one nie potrzebują tego samego co inne dzieci? Nie macie swoich własnych pociech?

Gdy Sarah szukała w myślach słów, by jak najlepiej wyrazić swoje wątpliwości po rosyjsku, ignorując przy tym coraz surowsze spojrzenia Louisy, jasnowłosego chłopczyk w kojcu zaczął uderzać główką o szczebelki. Poczwała na sobie

stanowcze pchnięcie dłoni defektolog, która zaczęła kierować gości w stronę drzwi. I wtedy Sarah usłyszała te słowa:

- Proszę nas jeszcze odwiedzić.

Odwróciła się zdumiona głosem dziecka, który rozbrzmiał w martwej ciszy pokoju. Skąd dobiegał ten głos? Spojrzała w lewo i dostrzegła przy drzwiach mały stolik, przy którym siedzieli dwaj chłopcy. Mogli mieć około trzech lat. Ignorując rozgniewany wzrok lekarki, uklękła.

- Cześć, chłopcy. Nie zauważyłam was. Chłopiec odezwał się znowu:

- Proszę spojrzeć. Dostaliśmy dziś zabawkę.

Na blacie przed nim leżała plastikowa zabawka z czterema dużymi guzikami. Gdy się je naciskało, spod każdego z nich wyskakiwało zwierzątko - takie zabawki dawało się dzieciom sześciomiesięcznym. Zajrzała do torby i wyjęła resorówkę.

- To zabawka bardziej odpowiednia dla chłopca w twoim wieku.

Rozmowny chłopiec rozpromienił się z zachwytu, gdy potoczyła samochodzik w jego stronę. Zapragnął sam to robić.

Obaj chłopcy mieli na sobie dżinsy i wyglądali jak mali staruszkowie przy swoim stoliku. Zauważyła, że ich stopy są tak skrepowane przez za małe rajstopy, że ich palce się podwijają. Przypominali jej przez to gejsze.

- Podoba ci się ten samochodzik? - zapytała.

- Bardzo, ale czy mógłbym prosić o jeszcze jeden, dla An-drieja? - Pokazał gestem swego przyjaciela, ślicznego małego chłopca z wielkim sińcem na czole.

- Na szczęście mam dla niego jeszcze jeden.



Chłopiec uśmiechnął się, krzywiąc lekko wargi.

- Jak pani ma na imię?

- Sarah.

Powtórzył obcojęzyczne słowo z doskonałą wymową. De-fektolog zaczęła wydawać z siebie niecierpliwe sapnięcia.

- Muszę już iść.

- Proszę znów nas odwiedzić. Bardzo proszę. - Spojrzał jej prosto w oczy.

Obiecała, że przyjdzie.

- A jak ty masz na imię?

- Wania, mam na imię Wania.

## **LUTY 1995**

Mijały tygodnie, a Sarah nie miała czasu, by wrócić do sierocińca i odwiedzić Wanię, tak jak obiecała. Minęło Boże Narodzenie, potem Nowy Rok, zaczął się pochód rodzinnych urodzin. Zabawę z okazji szóstych urodzin jej córki Catherine - wygłupy klaunów, magik z brytyjskiej ambasady, tort w kształcie lalki Barbie upieczony przez Louise, stos prezentów - zakłócała jej myśl o Wani w tamtym pogrążonym w ciszy pokoju. Jeden z wielu prezentów, które otrzymała Catherine, dostarczyłby mu stymulacji na tydzień.

Regularnie odwiedzała inne sierocińce jako tłumaczka i w każdym z nich przeżywała prawdziwy wstrząs emocjonalny.

- Przy każdej wizycie dowiadywałam się więcej na temat złego traktowania dzieci. Po wszystkim czułam się tak

wyczerpana, że mogłam tylko położyć się przed telewizorem i oglądać niosące ulgę bzdury na kablówce. Łatwiej było mi skoncentrować się na przyrządzeniu posiłku z kurzej piersi, dwóch zielonych papryk i banana, niż przetrwać to, co widywałam.

Nawet telewizja nie zdołała jednak zablokować wspomnień o rozmownym chłopcu w cichym pokoju dla nieuleczalnych przypadków. W każdym sierocińcu był taki oddział, dla dzieci, które nie umiały chodzić. Takich sal nigdy nie udostępniano gościom, a nastawienie personelu wyraźnie sugerowało, iż uważa tych swoich podopiecznych za coś mniej niż ludzi. W żadnym z tych pomieszczeń Sarah nie spotkała dziecka tak elokwentnego jak Wania. Nigdy nie spotkała też dziecka, które poprosiłoby o zabawkę dla przyjaciela. Podczas każdej jej wizyty w sierocińcu dzieci błagały ją o zabawki

i słodycze, ale tylko dla siebie. Sarah dręczyło pytanie, jak ten porzucony chłopiec zdołał wykształcić w sobie taką dojrzałość emocjonalną.

Pewnego lutowego poranka stała przy oknie swego mieszkania, znów roztrząsając dręczące ją wątpliwości, wpatrzona w sznur samochodów na moskiewskiej obwodnicy. Jej dzieci były w szkole, a Alan w biurze „Daily Telegraph” tuż obok.

- Zrobię to dzisiaj - postanowiła.

Nietrudno było jej dotrzeć do sierocińca, problem stanowiła Adela. Sarah wiedziała, że jeśli źle rozpocznie wizytę, już nigdy nie będzie mogła tam wrócić. Musiała wymyślić jakiś plan, musiała mieć coś, co mogłaby zawieźć Wani. W przeciwieństwie do Louisy, nie miała całej spiżarni zastawionej pudełkami z domowymi ciastkami. Czując się

jak złodziej, zaczęła myszkować w pokojach dzieci. W jednej z szafek znalazła zapomnianą zabawkę - kawałek płyty wiórowej, młotek, gwoździe i kolorowe deseczki. Wepchnęła ją do torby.

Dziwnie się poczuła na myśl o dotarciu na miejsce w drogim samochodzie i postanowiła pójść na piechotę. Była przekonana, że zajmie jej to dwadzieścia minut.

Po czterdziestu wciąż ślizgała się i potykała na oblodzonych chodnikach. Wokół niej rosła nowa Rosja; dom dziecka był wyspą pośrodku wielkiego placu budowy. Stare budynki burzono i zastępowano je apartamentowcami dla „nowych Ruskich”. Rozbórka tylko pogłębiała izolację sierocińca od reszty Moskwy. Wysoki płot z blachy wsparty na betonowych bloczkach zajmował pół alei, która wiodła do bram sierocińca, i stanowił prawdziwą przeszkodę dla tych, którzy próbowali uniknąć pośliznięcia się i upadku do rowu albo potknięcia się na ukrytych pod śniegiem stertach gruzu.

Gdy Sarah szła, uważnie patrząc pod nogi, zauważyła przed sobą kobietę, dla której było to jeszcze trudniejsze. Sarah zwolniła i spostrzegła, że kobieta się zatacza. Było wpół do jedenastej rano, a ona już była pijana. Z kierunku, w którym zmierzała, można było wnioskować, że pracuje w sierocińcu i wkrótce przejmie pieczę nad tuzinem dzieci. Chwiejąc się, przeszła przez bramę i zniknęła za nią.

Gdy Sarah wyszła za róg, usłyszała męski głos - rzadki dźwięk w świecie kobiet. Przed sierocińcem stała karetka.

Kierowca karetki krzyczał na stojącą na schodach członkinię personelu ośrodka. Sarah zrozumiała, że odmawia wzięcia do szpitala jednego z dzieci.

- I po co marnujecie mój czas? - krzyczał mężczyzna.  
-Naprawdę myślałyście, że ją wezmę? Mam potąd roboty i bez martwienia się o sieroty.

Kobieta dzielnie stawiała czoło jego agresji.

- Ale ona jest już niebieska, umiera. To serce.

- I który szpital ją przyjmie? Żaden. Powinniście to wiedzieć!

Sarah stanęła za jedną z opiekunek, która przyglądała się scenie zza filara, i zapytała:

- Co się tu dzieje? Gdzie Adela?

- Och, gdzieś w środku.

Korzystając z zamieszania, Sarah wśliznęła się do budynku. Przeszła obok zamkniętych drzwi i zapukała do tych z tabliczką: LEKARZ NACZELNY.

- Kto tam? - dobiegł ją onieśmielony głos.

- To ja, Sarah, Angielka. Co się tam dzieje na zewnątrz? Usłyszała szcęk klucza w zamku. Drzwi uchylły się nieco. Twarz Adeli wykrzywiła panika. Potem drzwi znów się zamknęły. Adela skryła się w swoim biurze, by uniknąć konfrontacji z kierownicą karetki.

- Adelu, wpuść mnie.

Drzwi ponownie się uchylły i tym razem Adela wciągnęła Sarah do środka. Dosłownie trzęsa się ze strachu. Znów zamknęła drzwi.

Wyrzuciła z siebie naprędce całą historię. W nocy Waleria, dziewczynka z Grupy 2, zsiniała i przestała oddychać. Nad ranem Adela wezwała karetkę. Upłynęła godzina, a ambulans wciąż nie nadjeżdżał. Waleria oddychała coraz słabiej. Przenieśli ją do izolatki na parterze. Adela znów zadzwoniła,

by błagać ich o przyjazd. A gdy kierowca w końcu się zjawił, zerknął tylko na Walerię i odmówił zabrania jej, ponieważ to sierota i musiałby jeździć po całej Moskwie, i szukać szpitala, który by ją przyjął.

Na zewnątrz rozległ się ryk silnika. Adela i Sarah wyjrzały przez okno i zobaczyły, że karetka wytacza się za bramę pusta. W izolatce Waleria walczyła o każdy oddech, jej status najniższej formy życia został właśnie brutalnie potwierdzony.

Sarah wpadła na pewien pomysł i poprosiła Adelę o pozwolenie skorzystania z telefonu. Zadzwoiła do biura Alana.

- Alan, mam tu poważny kryzys.

- Co ty powiesz. W Rosji na każdym kroku wybucha poważny kryzys. Armia grozi buntem, a Jelcyn znów zniknął na jednym ze swoich przyjęć.

Zignorowała go i zaczęła naciskać.

- Mógłbyś zrobić coś pożytecznego dla odmiany. Mała dziewczynka potrzebuje twojej pomocy. Umiera. Możesz zdobyć listę praktykujących w Moskwie kardiochirurgów, prawda? Przywieź ją tutaj. Musimy pilnie zorganizować operację serca. Męski głos to większy autorytet.

Adela siedziała na brzegu małej sofy ze wzrokiem utkwionym w podłogę przerażona tym, że interwencja cudzoziemców może ją wpędzić w kłopoty. Pół godziny później przyjechał Alan z listą chirurgów i zaczął do nich dzwonić z biura Adeli. Co ciekawe, lekarzom wcale nie przeszkadzało to, że niepokoi ich obcokrajowiec. W tamtym czasie Rosja była na krawędzi bankructwa, a obcokrajowcy mieli pieniądze i mogli zaradzić wielu problemom.

Po godzinie profesor Iljin, kardiolog dziecięcy, zgodził się przeprowadzić operację. Adela siedziała na sofie oszołomiona. Gdy przysłuchiwała się toczonym rozmowom, była wyraźnie zdumiona tym, że skromny telefon w jej biurze może posłużyć do kaptowania tuzów rosyjskiej medycyny. Adela była kobietą w pełni ukształtowaną na sowiecką modłę: dla niej telefon był narzędziem używanym przez przełożonych, by wydawać rozkazy i udzielać reprimendy. Nie był środkiem obustronnej komunikacji. A już na pewno nie mógł być środkiem agresywnego nacisku, wykorzystywanym przez dziennikarzy do niepokojenia możliwych tego świata.

A jednak Walerii obiecano operację serca. Została wyciągnięta z niebytu właśnie dzięki interwencji - jak Sarah to ujęła - „dwojga nic nieznaczących osób”. Co więcej, Alan i Sarah zdobyli tym zaufanie Adeli, która, choć nie wyzbyła się swojej podejrzliwości w stosunku do ludzi z Zachodu, już nigdy nie zamknęła przed nimi drzwi, nawet gdy ich przyjaźń była wielokrotnie wystawiana na próbę w kolejnych latach.

Związek pomiędzy Adelą a parą obcokrajowców został przypieczętowany szklanką kefiru, na który ich zaprosiła w ramach podziękowań. Wiedziała, że byli Anglikami, i poinformowała ich, że jest wielką fanką aktorki Vivien Leigh. Alan podbił jej serce opowieścią o swojej matce, która kiedyś stała obok Vivien Leigh w dziale rękawiczek u Harrodsa i mówiła potem, że jej skóra była tak delikatna, że prawie przezroczysta. Adela była oszołomiona nie tylko historyjką, ale też rosyjskim akcentem Alana, który języka nauczył się jako chłopiec od hrabiego emigranta.

Szybko jednak jej nastrój się zmienił. Zaczęła im opowiadać o wyspie czcicieli diabła, która w zdumiewający sposób przypominała Wielką Brytanię. Wyspa została ukarana przez Boga i połknęło ją morze. Dzięki temu ziemia została oczyszczona. Adela zerknęła na swoich gości, jakby chciała powiedzieć: „Jesteście moimi przyjaciółmi, ale co do waszego kraju - nie jestem pewna”.

- Czy w Anglii jest wielu niewierzących? - zapytała Alana.

- Adelu, w Anglii mamy kościół prawie na każdym kroku - odparł, nie wspominając już o tym, że większość z nich jest pusta.

Nie udało mu się jej jednak przekonać. Zaczęła opowiadać inną historię, pozornie bez związku z tematem ich rozmowy. Setka rosyjskich pielgrzymów dotarła ostatnio do Ziemi Świętej bez paszportów, biletów czy wiz. Po prostu wsiedli w samolot w Moskwie i cudownie przelecieli do Jeruzalem, gdzie przywitano ich z otwartymi rękami. Anegdota skończyła się równie nagle, jak się zaczęła, bez żadnego wyjaśnienia. Z czasem Alan i Sarah przywykli do rozszyfrowywania jej zagadek. Tym razem chciała im powiedzieć w oględny sposób, że Bóg każdego dnia zsyła jakiś cud, ale tylko dla prawosławnych Rosjan, nie anglikanów, baptystów czy katolików. Ciągle próbowała pogodzić się z ideą dwojga emisariuszy wyspy, czcicieli diabła, jako narzędzi, dzięki którym na jej oczach ziścił się cud medyczny.

W nadchodzących miesiącach Sarah często zastanawiała się, jak Adela otrzymała swoje wysokie stanowisko i objęła pieczę nad tak licznym personelem. Wiele lat później powiedziano jej, że Adela dostała tę pracę przez przypadek,

gdy okazało się, że poprzedni dyrektor - mężczyzna - uganiał się za sprzątaczkami. Adela została w ten sposób nagrodzona za lojalność wobec partii. Może lata służby bezdusznym komunistom ciążyły jej na sumieniu?

- Czy mogę przywitać się z Wanią? - zapytała Sarah, gdy kefir się skończył, a Alan wrócił do biura, by pisać o buncie armii. - Mam dla niego prezent.

- Tak, ale najpierw muszę ci coś pokazać - oświadczyła Adela. - W żadnym innym sierocińcu nie ma czegoś takiego. Chodź ze mną.

Gdy Sarah szła za Adelą ciemnym korytarzem, zastanawiała się, co takiego zaraz zobaczy. Te dzieci tak wiele potrzebowały. Może chodzik dla Wani? Sprzęt do fizjoterapii dla dzieci, które spędzały życie, leżąc? Zatrzymały się przed drzwiami do składziku.

Adela otworzyła je, oczy Sarah przez chwilę przyzwyczajały się do ciemności. Migoczący płomień za czerwoną szybką rzucał blade światło. Dostrzegała zarysy błyszczących mosiądzem przedmiotów. Przede wszystkim jednak wyczuć można było silny zapach kadzidła. To pomieszczenie kiedyś może i było składzikiem, ale teraz stało się poświęconą ziemią, kaplicą, z lampką oliwną u sufitu i ikoną Matki Boskiej. Złota farba lśniła na religijnych malowidłach na ścianach, co w zdumiewający sposób kontrastowało z burą monotonią reszty sierocińca.

- To wspaniałe - powiedziała Sarah, tłumiąc rozczarowanie. - Nigdy wcześniej nie widziałam kaplicy w sierocińcu.

Adela postanowiła powierzyć jej swój sekret: całą swoją energię poświęcała tej kaplicy, w której dostrzegała



spełnienie potrzeb jej podopiecznych. Jej priorytety były jasne - chodziło jej głównie o ocalenie ich dusz. Podeszła do ołtarza.

- W każdy wtorek przyjeżdża ksiądz, by pobłogosławić dzieci. Przyjeżdża z daleka. Musi wstać o piątej, by tu dotrzeć. Przywozi ze sobą swoich parafian. Wszystkie dzieci w sierocińcu są ochrzczone.

Wyraz twarzy Adeli się zmienił. Jakby poczuła, że zdradziła zbyt wiele. Przez całe życie żyła w komunistycznym reżimie, który nauczył ją, że wszyscy przybysze z Zachodu to szpiedzy CIA. Równie szybko, jak postanowiła otworzyć dla Sarah kaplicę - i serce - zamknęła je na klucz.

- Czy mogę teraz odwiedzić Wanię? - zapytała Sarah.

- Tak, znasz drogę - mruknęła naczelną lekarka, wracając do biura.

Twarz Wani rozświetliła się na widok Sarah.

- Sarah - powiedział. - Wiedziałem, że wrócisz.

- Przepraszam, że zajęło mi to tyle czasu. Przyniosłam ci coś, co może ci się spodobać.

Uklękła przy stoliku Wani i rozpakowała zestaw majsterkowicza. Wania wziął młotek do ręki i już po chwili trzymał pewnie gwoździe palcem wskazującym i kciukiem i przybijał je do deski. Uderzał w gwoździe, nie zatrzymując się, z głową pochyloną nad deską, spragniony jakiegokolwiek aktywności.

Gdy czas wizyty dobiegł końca, Sarah obiecała:

- Wkrótce znów cię odwiedzę.

- Będę ciągle o tobie myślał - odparł Wania.

## CZERWIEC 1995

W tygodniach po wypadku z ambulansiem i siną dziewczynką z chorym sercem Sarah została ostatecznie przyjęta do osobliwego świata Domu Dziecka nr 10.

- Gdy patrzę wstecz, dochodzę do wniosku, że bezwstydnie odegrałam rolę Angielki z rosyjską duszą, a personel ośrodka dał się na to nabrać, ponieważ grupa charytatywna zapewniała mu tak wiele: potrzebował jej, a Rosja była w tym czasie na kolanach. Inne sierocińce były znacznie bardziej wymagające. Szybko nauczyły się wykorzystywać hojność zagranicznych ofiarodawców i prosić o wielkie telewizory dla personelu, magnetowidy, nowe zasłony, dywany, nowe meble do gabinetu dyrektora. Adela prosiła tylko o cukier, mleko w proszku, proszek do prania, noże do warzyw do kuchni. Byłam zdumiona, gdy dowiedziałam się, że kuchnia sierocińca ma słownie jeden nóż do przygotowywania posiłków dla ponad sześćdziesięciorga podopiecznych.

Inne domy dziecka otrzymywały też prezenty jako zapłatę za zagraniczne adopcje. Do Domu Dziecka nr 10 ten proceder jednak nie dotarł, bo elegancko ubrani agenci adopcyjni szybko zrezygnowali z robienia interesów z Adelą. U niej nigdy nie widziało się ładniejszych dzieci na dietach przedadopcyjnych, co było powszechną praktyką w innych miejscach.

Pewien moskiewski bank zgodził się nawet zasponsorować program szkoleń psychologicznych dla personelu kilku moskiewskich domów dziecka na temat współczesnej opieki nad dziećmi, by zasypać przepaść powstałą przez

siedemdziesiąt lat zaniedbań. Sama myśl o psychologu, nawet rosyjskim, przeraziła Adelę do tego stopnia, że odmówiła całkowicie wzięcia udziału w programie, pomimo oferty pomocy finansowej. Wykluczała z góry każdy pomysł, który łączył się ze słowami: „eksperyment” i „badania”.

- Dzięki mojej świeżej przyjaźni z Adelą mogłam przeprowadzić do ośrodka zagranicznych specjalistów, by badali dzieci. Adela oficjalnie nigdy nie wydała zgody na te wizyty, ale nie zrobiła też nic, by położyć im kres. Wierzyłam, że te diagnozy zmienią nastawienie personelu.

To, jak naiwna była Sarah w swym przekonaniu, stało się jasne latem 1995 roku. Dwoje australijskich fizjoterapeutów przyjechało do Moskwy na konferencję, nie trzeba było wiele, by przekonać ich do rezygnacji z ich jedyne wolnego poranka na rzecz wizyty w domu dziecka.

- Trudno, plac Czerwony zwiedzimy kiedy indziej - powiedzieli.

Byli głęboko zszokowani stanem dzieci w pokoju Wani i w ogóle nie mogli zrozumieć, dlaczego Andrieja i Wani nie zachęca się do nauki chodzenia. Doszli do wniosku, że krępowanie stóp ciasnymi ubraniami to faktycznie sposób na to, by ich do chodzenia zniechęcić. Wprost wyrazili wątpliwość nawet w diagnozę porażenia mózgowego. Po wizycie kobieta nie potrafiła powstrzymać łez.

- Nie ma powodu, dla którego tamci dwaj chłopcy nie mogliby się nauczyć chodzić. To po prostu zaniedbanie.

Następnym zadaniem stało się więc ściągnięcie do sierocińca lekarza, który mógłby zbadać dzieci. Grupa charytatywna znalazła nowojorskiego pediatrę pracującego

tymczasowo w Moskwie, doktora RONALDA SWANGERA, który zgodził się odwiedzić placówkę.

O mało co wizyta nie doszłaby do skutku. Sarah nie mogła tego dnia pełnić funkcji tłumacza; gdy doktor Swanger pojawił się w ośrodku, Adela czekała już na niego u szczytu schodów i powiedziała mu, by sobie poszedł, bo właśnie trwa kwarantanna. Następnego dnia Sarah poszła więc z nim. Tym razem go wpuszczono, a Adela ukryła się w swoim biurze; wołała nie brać udziału w tym rewolucyjnym wydarzeniu i nie słyszeć tego, co powie specjalista. Jak zwykle jedna z jej zastępczyń została wydelegowana, by ich oprowadzić.

Personel nigdy wcześniej nie widział kogoś takiego jak doktor Swanger. Musiał wyglądać dla nich jak klaun, w swoich wielkich okularach, które podkreślały zawadiacki błysk w jego oczach. Łamał wszystkie zasady dorosłego zachowania. Siadał na podłodze i pokazywał dzieciom język, a one odpowiadały mu nikłymi uśmiechami.

Teatralnym zachowaniem i przesadną gestykulacją zaszarował personel. Gdzie jego biały kitel? Gdzie jego godność? Siedział na podłodze po turecku i pozwalał dzieciom grzebać w swojej torbie medycznej. Wystarczyło, by ich dotknął, a ich twarze się rozjaśniały. Pod jego wpływem nawet zastępczyni dyrektorki poddała się i usiadła na podłodze.

Mówił cicho i z optymizmem, który jaskrawo przeczył królującemu w placówce fatalizmowi. Każde dziecko w sali dla nieuleczalnie chorych jego zdaniem miało potencjał i mogło wieść lepsze życie - tu operacja, tam napój proteinowy lub miłość matki.

Oświadczył, że mały chłopiec z zespołem Downa jest bardzo bystry i potrzebuje tylko domowego środowiska.

- Nie może pani skontaktować się z jego matką i poinformować ją, jak dobrze mały sobie radzi? - zapytał zastępczynię.

Wiele dzieci wymagało tylko drobnych operacji - usunięcia rozszczepienia podniebienia czy katarakty. Zawsze istniała jakaś wymówka, dlaczego operacja nie została dotąd przeprowadzona. Ten chłopiec miał ospę. Tamten miał serce po złej stronie.

Spośród wszystkich dzieci doktor Swanger znał wcześniej tylko przypadek Walerii, „niebieskiej dziewczynki”, której odmówiono transportu do szpitala. Po interwencji Sarah i Alana Waleria ostatecznie doczekała się hospitalizacji, została zbadana i wróciła do domu dziecka, by czekać na operację. Doktor Swanger omówił jej przypadek z doktorem Iljinem. Chirurg działał prawdziwe cuda w fatalnie wyposażonej sali operacyjnej, bez rękawiczek jednorazowych i odpowiednich antybiotyków. Nie mógł jednak przywrócić dziecku chęci do życia.

- Jest tylko jeden sposób, by ona przeżyła - oświadczył doktor Swanger. - Gdy zostanie wypisana z oddziału intensywnej terapii, musi znaleźć się pod całodobową obserwacją kogoś, komu na niej zależy, kogoś, kto będzie ją stymulował, karmił i opiekował się nią. - Brzmiało to tak, jakby w zasadzie potrzebowała jednej osoby, której nie mogła mieć: matki.

Sarah widziała rosnący smutek amerykańskiego lekarza, który zauważał to, że jego wiedza pada na bardzo niepodatny grunt. Personel śledził go ze wzmożoną uwagą, jakby stanowił dla niego rozrywkę, lecz nikt nie pofatygował się nawet, by spisać jego sugestie.

Jego spokój został wystawiony na bardzo ciężką próbę, gdy poznał czteroletnią Annę, sparaliżowaną od pasa w dół po urazie kręgosłupa. Pomimo bariery językowej śmiali się i rozmawiali. Lekarz dał jej swój otoskop, by mogła zbadać jego uszy, zanim on to samo zrobił jej.

Na jego twarzy odmalował się szok, gdy zbadał plecy dziewczynki. Potrzebowała gorsetu, bo jej przygarbiona postawa tylko pogłębiała problem. Zastępczyni głównego lekarza poinformowała go, że mała miała gorset, ale zbyt sztywny, więc nie chciała go nosić. Bez słowa lekarz wyjął długopis i narysował w zeszycie prosty gorset, który można było zrobić domowym sposobem, by powstrzymać pogarszanie się stanu zdrowia dziecka. Przede wszystkim mała potrzebuje wózka, oświadczył - czegoś, czego w domu dziecka nigdy nie widziano.

Doktor Swanger pożegnał się z Anną i wszedł na górę, by odwiedzić Grupę 2, drugi pokój dla nieuleczalnie chorych.

- Anna to taka mądra dziewczynka. Przypomina mi Wanię. Czy oni się znają? - zapytała Sarah zastępczynię dyrektorki, gdy szły po schodach.

- Są w innych grupach.

- Ale na pewno bardzo dobrze by się czuli w swoim towarzystwie. Mogliby rozmawiać.

- Nie. To niemożliwe. Żadne z nich nie umie chodzić. Byłoby to zbyt wielkie obciążenie dla personelu. Musimy rozdzielać trudne przypadki pomiędzy grupami.

Gdy weszli do sali, Wania podniósł głowę zachwycony perspektywą poznania kogoś nowego, zwłaszcza mężczyzny.

- Kim jest ten młody człowiek? - zapytał doktor Swanger.

- Pastukow. Wcześniak. Ma porażenie mózgowe, jak widać - odparła zastępczyni.

Sarah na chwilę zrezygnowała z roli biernego tłumacza.

- Panie doktorze, to jest Wania. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Żałuję, że nie rozmawiacie w tym samym języku. Wania uwielbia rozmawiać.

- Cześć, Waniu. Jestem Ronald.

Wania spojrzał na lekarza z wielką koncentracją. Mężczyzna ukląkł przy nim.

- Młody człowieku, masz zeza. Trzeba będzie to naprawić. Odwrócił się do zastępczyni.

- To bardzo prosta operacja. Trzeba ją przeprowadzić możliwie jak najszybciej.

- Mieliśmy się tym zająć - odparła kobieta, szukając w głowie jakiejś wymówki - ale on jest bardzo chorowity.

- I nie chodzisz? - Doktor Swanger spojrzał z konsternacją na chłopczyka i zaczął badać jego stopy. Zdjął mu skarpetki powiązane wstążkami i odsłonił stopkę pajacyka, która była zdecydowanie za mała. - Dobrze byłoby, gdyby to dziecko chodziło boso. Dzięki fizjoterapii mógłby nauczyć się chodzić.

Sarah posłusznie przetłumaczyła ten rewolucyjny pomysł. Dodała od siebie, że nigdy nie widziała, by personel zachęcał dziecko do chodzenia. Tak jak jego australijscy koledzy, doktor Swanger nie mógł doszukać się usprawiedliwienia dla diagnozy porażenia mózgowego.

- Czy małego nie można oddać do adopcji? - kontynuował. Nikt nie odpowiedział. Dopiero wiele lat później przez przypadek Sarah poznała prawdę. Zastępczyni dyrektora

przyznała bez śladu skruchy, że odwiodła Adelę od oddania Wani do adopcji, gdy chłopczyk miał dwa lata. Przypomniała dyrektorze, że Wania rozwija się z opóźnieniem. Powiedziała jej, że na pewno wkrótce pojawią się oznaki porażenia. Nie należy oszukiwać rodziców adopcyjnych, argumentowała. Adela, słaba jak zawsze, poddała się.

I tak los Wani został przypieczętowany. Skończył w pokoju dla nieuleczalnie chorych, gdzie tylko jedna rzecz była pewna - fatalistyczne nastawienie personelu miało zrobić z niego kalekę.

Żadna z sugestii doktora Swangera nie została wprowadzona w życie. Nikt nie skontaktował się z matką Walerii, nie wykonano gorsetu dla Anny, nie przeprowadzono operacji oczu u Wani. Życie ośrodka w niczym się nie zmieniło. Pozostało tylko wspomnienie egzotycznego Amerykanina, który przyszedł pewnego dnia i dał pokaz.



## ROZDZIAŁ 3

### ANANASY I PAWIE

#### *1994-1995*

Może się to wydawać dziwne, ale nikt w domu dziecka nie przedstawił sobie Sarah i Wiki. Sarah nie wiedziała, że gdy zaczęła odwiedzać Dom Dziecka nr 10, Wika była w nim już od kilku miesięcy. Dopiero Wania je połączył. To stało się jednak dopiero wtedy, gdy chłopiec znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, z dala od sierocińca.

Był rok 1994, żelazna dyscyplina czasów sowieckich słabła, otwierając dla wszystkich możliwości niedostępne od czasów przed komunizmem. Może dlatego Wika nie miała trudności z regularnymi wizytami w domu dziecka, choć Adela ryzykowała konsekwencjami, gdyby jej przełożeni się o tym dowiedzieli.

- Właśnie zostałam chrześcijanką i szukałam sposobu, by nadać mojemu życiu sens - opowiada Wika. - Ukończyłam

pięcioletnie studia fizyczne. Zamiast szukać pracy, zapisałam się na kurs Nowego Testamentu. Nie powiedziałam mojemu księdzu, że planuję pomagać w domu dziecka. Bałam się, że nie pobłogosławi mojego pomysłu. Wolałby zapewne, bym pracowała na terenie parafii, może nawet w samym kościele. Ja wierzyłam jednak, że chrześcijanie powinni robić coś dla społeczności. Utrzymywałam wizyty w sierocińcu w tajemnicy.

Zaprzyjaźniłam się z kobietą, która pracowała jako opiekunka w domu dziecka. Chodziłam tam z nią. Nikt nie próbował mnie powstrzymać, ale nikt też mnie nie zachęcał. Moja koleżanka pracowała z noworodkami z Grupy 1. Tam bardzo przywiązałam się do małej dziewczynki o imieniu Masza. Specjaliści postawili na niej krzyżyk. Nie ukończyła jeszcze roku, gdy zaklasyfikowali ją jako inwalidkę i oligofrenika. Ja jednak widziałam, że dziecko potrzebuje tylko miłości i zachęty. Miała taką inteligentną twarz. Zaczęła próbować mówić.

Gdy Wika koncentrowała całą swą uwagę na Maszy, sama stała się ośrodkiem czyjegoś zainteresowania. Mały chłopiec z kręconymi włosami zaczął zaglądać do niej przez drzwi prowadzące do pokoju obok.

- Wymyślił taką zabawę. Zaglądał, a potem ktoś wzywał go z powrotem. Chciał, żebym go zauważyła, ale nie wolno mu było opuszczać jego sali. Ta zasada była surowo przestrzegana.

Przyjaciółka Wiki szybko popadła w rozgoryczenie. Nie mogła nic zrobić dla tych dzieci. Mogła je tylko karmić i przebierać. Reżim domu dziecka uniemożliwiał przywiązanie się dzieci do personelu i na odwrót. Gdy przyjaciółka przywiązała się bardzo do jednej z dziewczynek, zostały

rozdzielone. W sierocińcu ciągle przenoszono dzieci z jednej grupy do drugiej, oddzielano je od znajomych opiekunek i przyjaciół. Najbardziej druzgocący podział przebiegał na linii chory - zdrowy. Dzieci chore zsyłano do Grupy 2. Kiedyś przyjaciółka Wiki pokazała palcem drzwi prowadzące na tamten oddział i powiedziała:

- Wszystkie te dzieci wkrótce umrą. Wika w ogóle jej wtedy nie rozumiała.

- Myślałam, że zwariowała - przypomina sobie. Wkrótce potem jej przyjaciółka rzuciła pracę. Pewnego ranka Wika ze zdumieniem odkryła, że Masza

została przeniesiona do Grupy 2. Do dziś pamięta pierwsze wrażenie, jakie wywarła na niej ta sala.

- Panowała tam przygnębiająca cisza, jak na oddziale szpitalnym dla umierających. Gdy tylko Masza tam trafiła, zaczęła zapominać, co już umiała. W Grupie 1 nauczyła się chwycić różne przedmioty rękami i przeżuwać, choć może nieco później niż jej rówieśnicy. Dawano jej nawet łyżkę, by sama jadła. Opiekunki w Grupie 2 szybko się jednak znecierpliwiły, stwierdziły, że karmienie jej zajmuje zbyt dużo czasu, i powróciły do butelki. Przywiązały ją do krzesła tak, by nie mogła się ruszać. Jedna z nich powiedziała mi: „Po co uczyć ją różnych rzeczy? Niezależnie od tego, co zrobisz, nie nadgoni do czwartego roku życia, a wtedy zostanie skazana”.

W tym pokoju był tylko jeden dowód życia, chłopiec z kręconymi włosami, który przedstawił mi się jako Wania. Nauczył się mojego imienia i witał mnie z uśmiechem, ilekroć przyszedłam odwiedzić Maszę. Nie potrafiłam zrozumieć, jak może się uśmiechać w tak odrażającym miejscu.

Wika pamięta, jak nagabywał ją w najmilszy możliwy sposób, by zabrała go z pokoju. Szybko zorientował się, że dziewczyna zabiera Maszę do ogródka, i postanowił także wyjść na zewnątrz. Wika ignorowała jednak jego prośby. Była pewna, że on potrzebuje jej znacznie mniej niż Masza.

Ilekcio wracała z Maszą ze spaceru, Wania pytał:

- Czy możesz teraz mnie wziąć na spacer, Wiko?

Zawsze odpowiadała: nie. Pewnego dnia jednak, gdy zobaczyła wyraz przygnębienia na jego twarzy, poddała się. Nie potrafił opanować zachwyty, gdy wzięła go na ręce.

Na zewnątrz przez wysokie kłębiaste chmury przebijało słońce. Gdy stanęli na podwórku, stało się dla niej jasne, że Wania nie jest przyzwyczajony do słonecznego światła - zakrył oczy dłonią. Zachowywał się tak, jakby przez całe życie nosił ciemną opaskę, którą ktoś nagle zerwał z jego oczu. Rozglądał się ze zdumieniem po zagraconym podwórku.

Wika postanowiła dać mu lekcję i nauczyć go nazw drzew. Podeszła z nim do lipy i pokazała mu ciemny pień i jasnozielone liście.

- To jest lipa, Waniu. Widzisz liście? Mają kształt serca. Latem robią się lepkie. - Pomogła mu dotknąć liścia, był wyraźnie zafascynowany.

Zacząła rozglądać się wokół za kolejnym drzewem.

- Jakie jeszcze drzewa znasz?

Wania milczał. Wika go ponagliła - jodła, dąb, klon? Była zszokowana, gdy zrozumiała, że chłopiec nie ma pojęcia, o czym ona mówi.

Wania miał przecież wkrótce iść do szkoły. Musiał poznać nazwy drzew i kwiatów. Posadziła go na ziemi i zaczęła szukać kwiatków, ale wokół rosły tylko chwasty i więdnąca trawa.

Odwróciła się i zobaczyła, że Wania wyciąga rękę do samotnego żółtego kwiatka, plamy złota w cieniu drzewa. Zerwała kwiat i podała mu go. Trzymał go za łodyżkę i wpatrywał się w wymyślny wzór płatków.

- To mlecz. Wygląda jak słońce, prawda? - powiedziała.

- Słońce - powtórzył Wania. - Co to jest słońce?

Te trzy krótkie słowa wystarczyły, by Wika poznała straszną prawdę. Dla Wani świat „na zewnątrz” był jak zupełnie inna planeta, której nigdy nie odwiedzał. Znał tylko więzienie czterech ścian sali Grupy 2.

- Byłam oszołomiona - wspomina Wika. - Pokazywałam mu wszystko wokół i wypełniałam pustkę. Nie miał pojęcia, co to jest niebo, zbierające się nad nami chmury, trawa, na której siedzieliśmy, huśtawki, które wisiały beczynnym za nami, czy brama, która oddzielała go od świata. Z rosnącą rozpaczą szukałam czegoś, czegokolwiek, co mógłby rozpoznać. Wymienił tylko nazwę poobijanej wołgi zaparkowanej przed wejściem: samochód, bo raz bawił się małym samochodzikiem.

Czuła, że przerastają zadanie, które przed sobą postawiła. Od czego zacząć jego edukację?

- Zaczniemy od kolorów - oświadczyła na głos. Wstała i zaczęła szukać czegoś, na czym mogłaby mu je pokazać, zostawiając Wanię na trawie.

Chmury gęstniały, powietrze stawało się coraz cięższe. W suchej ziemi rósł jeden szkarłatny mak. W piaskownicy znalazła niebieskie wiaderko. Zignorowała pierwsze krople deszczu i dalej szukała kolorowych plam. Nagle rozległo się uderzenie pioruna, z nieba zaczęły lecieć wielkie krople

deszczu, pobiegła więc do miejsca, w którym zostawiła Wanię. Gdy wyszła z za rogu, zauważyła, że Wania klęczy na ziemi, odchyła głowę do tyłu, wyciąga rączki do góry i z rozkoszą unosi twarz do wody, która zmoczyła mu już całą koszulę.

Wyglądał jak dziecko z nękanego suszą kraju, które od dawna wyczekiwało monsunu. Ten chłopiec mieszkał przecież jednak w Rosji, kraju wilgotnym, i nigdy dotąd nie doświadczył deszczu, bo mu tego zabraniano.

Wika podbiegła do niego, wzięła go na ręce i zaczęła z nim tańczyć, dzieląc jego radość.

- Deszcz, Waniu, to jest deszcz.

- Deszcz - powtórzył, odchylając głowę do tyłu, by móc poznać siłę nawałnicy. - Kocham cię, deszczu.

To wtedy, w deszczu, Wika uświadomiła sobie, że Wania potrzebuje jej pomocy równie mocno jak Masza. Ten operatywny chłopiec sam nauczył się mówić w świecie ciszy, a jednak wciąż był bezwstydnie zaniedbywany. W wieku pięciu lat nie znał pór roku, nie wiedział, ile ma lat, w jakim mieszka mieście. Jeśli miał takie luki w edukacji, jak miał kiedykolwiek poradzić sobie w szkole?

Wika dzieliła się swoimi troskami z jedną tylko opiekunką - Walentyną. Ona jedyna wśród personelu nie zgadzała się z opinią, jakoby wszystkie dzieci upośledzone fizycznie musiały być opóźnione w rozwoju. Wiedzę na temat wychowania dzieci czerpała od matki, która nabyła jej z kolei, jeszcze zanim bolszewicy ogłosili wojnę z rodziną. Nie miała żadnych kwalifikacji, ale instynktownie rozumiała

więcej niż wszyscy specjaliści w sierocińcu, wykształceni w komunistycznej utopii, która oczekiwała, że dzieci upośledzone będzie się ukrywać.

Żaden ze specjalistów nie uważał, by miał coś jeszcze do zrobienia w Grupie 2. Oni już skreślili te dzieci. A mimo to Walentyna uczyła Wanię wierszyków i piosenek sprzed rewolucji, które przekazały jej matka i babcia. Cieszyła się jego zabawnymi uwagami. Gdy wracała po pracy do domu, jej mąż zawsze pytał: „I co też dzisiaj mówił nasz mały Wania?” Pomimo otepiałającego ciężaru dwudziestoczworogodzinnych dyżurów zmuszała dziecko do stawania przy ścianie i chodzenia. Inne opiekunki zakładały mu pieluchę, ona nakłaniała go, by korzystał z nocnika.

Po kilku miesiącach Wika nauczyła się tak planować swoje wizyty, by wypadały w dni dyżuru Walentyny. Walentyna pracowała raz na cztery dni. Była żoną pułkownika rosyjskiej armii i pracowała w szpitalach wojskowych w całym Związku Radzieckim. Gdy jej mąż odszedł na emeryturę, podjęła pracę, by dokładać się do jego mizernej pensji. Zachowywała wysokie standardy, pomimo że płaca była marna, a pracy było bardzo dużo.

Pewnego grudniowego dnia Walentyna poprosiła Wikę o przyjście przed końcem popołudniowej drzemki, by pomogła jej we wprowadzeniu w życie pewnego planu. - To niespodzianka dla Wani.

Cztery dni później Wika przyszła nieco później niż zwykle i zobaczyła, że Walentyna wcześniej wyniosła Wanię z sypialni. Siedział w bieliźnie na podłodze, a opiekunka wyjmowała z torby schludną paczuszkę w brązowym papierze.

- Wika, w samą porę. Już się martwiłam. Musimy cię z Wanią prosić, byś zajęła się przez chwilę innymi dziećmi. -Wania był tak podekscytowany, że nie potrafił się uspokoić. Walentyna odwróciła się do niego: - Popatrz, co dla ciebie zrobiłam. Pół nocy mi to zajęło.

Wyjęła z papieru oliwkowozieloną koszulę. Uniosła ją do góry, by mu ją pokazać. Nigdy wcześniej Wania nie posiadał własnych ubrań.

- Spójrz, to koszula wojskowa. Mój mąż jest pułkownikiem. Ma trzy gwiazdki. Ty możesz mieć jedną, będziesz majorem.

Koszula miała dwie kieszonki na piersi, rząd mosiężnych guzików i pagony na ramionach, na których błyszcząły pięcioramienne gwiazdki oznaczające jego nowy stopień.

Oczy Wani rozjaśniły się, gdy włożyła mu koszulę i z miłością zapięła guziki.

Z torby Walentyna wyjęła jeszcze parę spodni zapraso-wanych w kant.

- To spodenki mojego wnuka. Już z nich wyrósł. - Pomogła mu włożyć do nogawek chude nóżki. Wyciągnęła szelki. - A to mojego męża. Skróciłam je dla ciebie - powiedziała, przypinając je do spodni. Wyjęła zielony krawat i wygładziła go. Na końcu zaciesała do tyłu gładko jego loki, by pasowały do munduru. - Jak ładnie wyglądasz z takimi szerokimi ramionami. - Przytuliła chłopca do obfitej piersi. -Mój mały major.

- Do usług, towarzyszu majorze! - zsalutowała Wika. Wania nie miał pojęcia, kim jest major, ale bardzo mu

się podobało, jak wygląda. Po raz pierwszy miał na sobie ładne ubranie.



Walentyna przyniosła z domu papier i długopis. Położyła kartkę przed chłopcem i zacisnęła jego palce na długopisie.

- Wypisujesz rozkazy dla żołnierzy. - Obie kobiety cofnęły się, by go podziwiać. Wyglądał tak ładnie!

W tej samej chwili do sali weszła Adela, jeszcze bardziej rozkojarzona niż zwykle, i zaczęła się rozglądać. Udawała, że nie zauważa obecności Wiki.

- Krzesła - wymamrotała. - Potrzebujemy więcej krzeseł. Zabawa zaraz się zacznie.

Dopiero po chwili rozpoznała siedzącego przy stole chłopca, który trzymał w dłoni długopis i rysował coś na kartce.

- A co my tu mamy? Dobry Boże... student! - Klasnęła w dłonie. - Waniu, jak ty dorośle wyglądasz! - Podziwiała go przez chwilę, po czym wyszła, ciągnąc za sobą dwa krzesła.

Walentyna wyjawiała swój sekret. Zamierzała wziąć Wanię na zabawę noworoczną. Wania miał na niej zaśpiewać piosenkę o choince, której go nauczyła.

- A Andriej i Masza? Czy oni też mogą iść? - zapytał Wania.

- Dzieci z Grupy 2 nie są zaproszone - wyjaśniła mu opiekunka - ale my dwoje i tak pójdziemy. Na nogach.

Chwyła go pod ramiona, pomogła mu wstać i podejść do drzwi na korytarz. Jedną ręką trzymał się ściany, drugą ścisnęła ona. Poruszali się boleśnie wolno, gdy Wania ciągnął jedną nóżkę za drugą. Słyszeli akordeon wygrywający skoczne melodie ludowe na końcu korytarza. Wania był zbyt podekscytowany, by zawracać sobie głowę chodzeniem. Próbował usiąść na podłodze i dalej już iść na czworakach, ale Walentyna postawiła go na nogi.

- Major się nie czołga - oświadczyła. Spojrzał na nią błagalnym wzrokiem, by go zaniósła, ale ona była nieugięta. -Jeśli chcesz wziąć udział w zabawie, musisz na nią pójść.

Wika obserwowała ich powolny spacer korytarzem. Było dla niej jasne, że Walentyna to babcia, której Wania nigdy nie miał. Całe swoje doświadczenie z dziećmi przelała na tego chłopca, którego tak zawiedli eksperci. W końcu dotarli do końca korytarza i weszli do świetlicy, którą otwierano tylko na specjalne okazje. Pomieszczenie było całkowicie odmienione. W kącie stała choinka, która sięgała prawie do sufitu, udekorowana złotymi i srebrnymi łańcuchami. Zakurzone kaktusy na parapetach zostały przykryte pachnącymi słodko gałęziami jodły. Dzieci siedziały w rzędach na małych drewnianych krzeselkach, specjalnie na tę okazję pomalowanych na czarno, czerwono i złoto.

Personel także przeszedł transformację. Na akordeonie grała przyjaciółka Adeli, jasnowłosa aktorka przebrana za Śnieżynkę, w niebieskiej sukni wyszywanej srebrem. Kołysała się i podrygiwała ze swym nieporęcznym instrumentem, lekka i śliczna jak motyl. Starsze opiekunki tańczyły. Gdy Śnieżynka podchodziła do nich, wygrywając skoczną melodię, kładły dłonie na biodrach, podnosiły nogi i młodniały o co najmniej dwie dekady. Nagle muzyka umilkła. Personel zaczął się rozglądać, ale Adeli nie było nigdzie w pobliżu. Śnieżynka wystąpiła więc w roli mistrza ceremonii.

- Kto wyrecytuje wierszyk? - zapytała.

Mała dziewczynka z wielką białą wstążką we włosach wstała i powiedziała kilka linijek cienkim głosem.

- Kto jeszcze? - dopytywała Śnieżynka.

Dzieci siedziały nieruchomo na krzesłach. W końcu odezwała się Walentyna.

- Tak... Wania coś przygotował.

Personel wymienił zdumione spojrzenia, gdy Walentyna pomogła Wani stanąć przed choinką. Najwyraźniej wszyscy zastanawiali się, czy to naprawdę ten chłopiec z Grupy 2. I skąd ma takie ładne ubranko. Walentyna usiadła na krześle z Wanią na kolanach.

- Wania zaśpiewa piosenkę o choince - oświadczyła. Wszyscy umilkli, czekając na pierwsze takty. Wania się jednak nie spieszył. Jego pierwsze słowa zaskoczyły wszystkich.

Kociątko, kociątko, gdzieś się podziało? Czemuś mi do buta nasikało?

Rozległy się chichoty. Wania uśmiechnął się szeroko uradowany tym, że wzbudził małą sensację. Mówił więc dalej.

Przepraszam, kociątko się zmytygowało, Naprawdę bardzo mi się chciało.

Wszyscy wybuchli śmiechem. Walentyna z zawstydzeniem na twarzy zaczęła besztać swego ulubieńca.

- Waniu, dlaczego wyrecytowałeś ten wierszyk? Miałeś zaśpiewać o choince. - Była cała czerwona. Nauczyła go fry-wolnej rymowanki o kociątku, ale nie przypuszczała, że malec wyrecytuje ją przed całym ośrodkiem.

Było to wyjątkowe wydarzenie w Domu Dziecka nr 10. Niezaproszony na zabawę, skazany na życie w ciszy pomiędzy

niemowami chłopiec został gwiazdą dorocznego przyjęcia. Podczas gdy „normalne” dzieci siedziały cicho na krzesłach, czekając, aż ktoś wywoła je do odpowiedzi, jeden z „inwalidów” znalazł w sobie odwagę, by rozbawić cały personel. Ten bezradny chłopiec zademonstrował wszystkim swój dar nawiązywania osobistej relacji z każdym, kto pojawił się na jego drodze. Ważniejsze było jednak to, że wstrząsnął systemem, na którym opierał się dom dziecka - podziałem na dzieci chore i zdrowe, nadające się do dalszej edukacji i odgórnie jej pozbawiane, te z potencjałem i te skazane na niebyt. Część personelu rozbawiona wierszykiem była jednak zbyt głęboko zakorzeniona w przeszłości, by dostrzec prawdę. Co ciekawe, dostrzegła ją Adela, ale czuła się zbyt bezsilna, by cokolwiek dla chłopca zrobić.

Dziesięć dni później poranna rutyna Walentyny została zakłócona, gdy do sali Grupy 2 wbiegła zdenerwowana Adela, pytając, dlaczego Wania jeszcze nie wstał, skoro czeka na niego komisja. Słowo „komisja” przyprawiło Walentynę o nerwowy dreszcz. Była to delegacja ze Szpitala Psychiatrycznego nr 6, która oceniała czterolatki pod kątem ich dalszej przydatności społecznej. Z jakiegoś powodu ocena Wani została przełożona o dwa lata. Chłopiec miał już prawie sześć lat i tym razem nie było ucieczki.

Walentyna ubrała go szybko, chciała jeszcze dać mu owsiankę i mleko, ale Adela stała nad nimi, podrygując nerwowo i powtarzając, że komisja nie może czekać. Nie pozwoliła Walentynie nawet go uczesać.

- To nie czas na to - powiedziała, wzięła Wanię na ręce i wybiegła.

Walentyna stanęła na progu i obserwowała, jak Adela z dzieckiem na rękach spieszy korytarzem, którym Wania tak dzielnie maszerował w mundurze majora na noworoczne przyjęcie. Tego dnia jednak miał głowę odwróconą w drugą stronę. Posłał Walentynie błagalne spojrzenie. Opiekunka wyciągnęła do niego ręce i nagle drzwi zamknęły się tuż przed jej nosem.

Nie była na tyle ważna, by wziąć udział w ocenie chłopca, choć to ona z całego personelu ośrodka знаła go najlepiej. Choinka, dekoracje, łańcuchy zostały zastąpione dwoma stołami, za którymi siedziało pięć kobiet w białych kitlach.

Adela posadziła dziecko na krześle przed nimi i cofnęła się. Wania siedział sztywno przed nieznanymi sparaliżowany strachem. Miał potargane włosy - niektóre przykleiły mu się do twarzy, reszta sterczała dziko w różnych kierunkach. Jego oczy wędrowały z jednego końca stołu na drugi, uważnie śledząc twarze siedzących przed nim osób w poszukiwaniu kogoś, z kim można by nawiązać kontakt. Odwrócił się do Adeli, ale ona pochylała się nad samowarem, przygotowując herbatę dla członków komisji.

Zastępczyni Adeli wystąpiła do przodu z grubą teczką zawierającą historię medyczną Wani. To, co przeczytała, sprawiało wrażenie beznadziejnego przypadku - przyszedł na świat w szóstym miesiącu ciąży, musiał być intubowany, porażenie mózgowe, matka alkoholiczka, porzucony przez rodziców w wieku osiemnastu miesięcy.

Zanim skończyła, jedna z lekarek wstała z za stołu, bez słowa podeszła do Wani i zaczęła strzelać palcami za jego głową, nad nią i obok niej. Potem to powtórzyła.

Zastępczyni kontynuowała raport. Pomimo regularnej fizjoterapii, powiedziała, chłopiec nigdy nie nauczył się chodzić.

W tym momencie Wania przemówił.

- Przecież przyszedłem tutaj na noworoczne przyjęcie.

Członkinie komisji wymieniły zdumione spojrzenia. Zastępczyni Adeli powiedziała, że chłopiec gada bzdury i że wcale nie przyszedł tutaj o własnych siłach, trzeba było mu pomóc.

Przewodnicząca komisji poprosiła jedną z lekarek, by zbadała stopy Wani. Lekarka podwinęła jego spodenki i zaczęła szczypać jego nogi. Popychała jego stopę do góry i na dół. Ignorowała jego krzyki. Oświadczyła, że w jego nogach nie ma mięśni, a ścięgna są zbyt napięte i że chłopiec nigdy nie będzie mógł chodzić.

W komisji zasiadała też logopeda, starsza kobieta, która zapytała, dlaczego w teczce nie ma raportu od jej kolegów po fachu. Postanowiła sama zbadać Wanię. Nie przedstawiając się, zaczęła pokazywać mu różne obrazki i pytać, co chłopiec na nich widzi.

Najpierw pokazała mu zdjęcie brzozy i zapytała, co to za drzewo.

- To lipa - odparł Wania, przypominając sobie jedyny gatunek drzewa, który rósł na terenie sierocińca.

Następny przedmiot też rozpoznał. Była to matrioszka. Nie zrozumiał jednak pytania kobiety: z czego to jest zrobione? Myślał i myślał, aż w końcu powiedział:

- Ja robię lalki z Andriejem.

Z każdym obrazkiem było gorzej. Kobieta pokazała mu zdjęcie sygnalizatora i zapytała, które światło oznacza, że można iść. Wania nigdy nie widział światel ulicznych, bo nigdy nie był na ulicy.

Potem pokazano mu zdjęcie bochenka chleba, którego nie rozpoznał, bo widywał dotąd tylko pojedyncze kromki. Ananas, mrówka, kalarepa, wieże Kremla, wędka i w końcu paw. Kobieta odłożyła obrazki i zapytała go, jaki mamy dzień.

- Dzień cioci Walentyny - odparł Wania.

Nie rozumiał, dlaczego kobieta patrzy na niego z taką dezaprobatą.

- A jutro? - zapytała.

- Jutro jest dzień Nastii - poinformował ją i już od siebie dodał, że pojutrze będzie dzień Tani.

- A w jakim mieszkasz mieście? - padło ostatnie pytanie. Znów zapadła chwila długiego milczenia.

- Mieszkam tutaj, w domu dziecka.

- I gdzie to jest.

- Niedaleko.

Na tym badanie się skończyło. Członkinie komisji zaczęły rozmawiać między sobą. Padały słowa „imbecyl”, „opóźniony”, „wyraźny kretynizm” i „niewykształcona mowa”.

Przewodnicząca komisji postanowiła zakończyć dyskusję:

- Nadaje się tylko do internatu.

Jedna z młodych lekarek wstała i zasugerowała, by przenieść chłopca do ośrodka dla dzieci z porażeniem mózgowym, gdzie mógłby zdobyć podstawowe wykształcenie. Przewodnicząca ostro ją usadziła.

Oznajmiła, że to koniec badania, i poleciła Adeli odprowadzić Wanię. Adela porzuciła syczący samowar, wzięła Wanię na ręce i dopiero wtedy, gdy jego los został już przypieczętowany, wtrąciła nieśmiało:

- On zna dużo piosenek i wierszyków. Może je zaraz wyrecytować.

Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Komisja przeglądała już teczkę następnego dziecka.

Przez dwa tygodnie Wika nie wiedziała o wizycie komisji i ciężkiej próbie Wani. Była zajęta przygotowaniami do prawosławnego Bożego Narodzenia, które wypada w Rosji szóstego stycznia. Dopiero przy kolejnej wizycie zauważyła, że Walentyna jest w złym stanie. Płakała. Miała okropne wieści na temat Wani. Usłyszała je od opiekunki, po której przejęła dyżur.

- Słyszałaś, dokąd zsyłają naszego kochanego chłopca? -zapytała ze szlochem.

Z twarzy Wiki wyczytała, że dziewczyna o niczym nie wie.

- Właśnie przyszły jego papiery. Przenoszą go do internatu razem z najgorszymi przypadkami.

Walentyna powiedziała Wice, w jakim była szoku, gdy dowiedziała się, że dziecko trafi do szpitala psychiatrycznego. Wika również była wstrząśnięta.

- Ale przecież tam się niczego nie nauczy. Jak oni mogą mu to robić?

- Jedzie do bardzo mrocznego miejsca - odparła Walentyna. - Przysłali już papiery, więc nic nie możemy zrobić. Za późno.

- Powiedziałam jej, że ja mogę coś zrobić - wspomina Wika. - Podeszłam do łóżeczka i wzięłam Wanię na ręce. Tak



się ucieszył na mój widok. Chciał od razu zacząć się bawić, ale wyczuł mój smutek. Nie protestował, gdy zaniósłam go do okna. Pokazałam mu chmury i powiedziałam, że to jest niebo. Niebo, powtórzył z poważną miną.

- Waniu, w niebie mieszka Bóg. Co się mówi Bogu?

- Co się mówi? Powiedz mi.

- Gdy dzieje się coś złego, Waniu, musisz modlić się do Boga, a on ześle ci Anioła Stróża, by nad tobą czuwał.

Przez kolejne tygodnie Wika nadal odwiedzała Wanię, choć wiedziała już, jaki los czeka jej ulubieńca, i że nie może nic zrobić. Chłopiec wyczuwał chyba, że wkrótce wydarzy się coś złego.

Za każdym razem gdy Wika wychodziła, patrzył na nią z niepokojem.

- Przyjdiesz znowu, prawda? Przyjdiesz, Wiko?

## ROZDZIAŁ 4

### POZA ZASIĘGIEM ANIOŁÓW

*Luty 1996*

Dlaczego wkładasz mi płaszcz? - zapytał Wania. -Czy jadę do szpitala? - Wkrótce się dowiesz - mruknęła Nastia, zapinając niedopasowane, za duże okrycie.

Pierwsza oznaka tego, że coś się wydarzy, pojawiła się tuż po obiedzie. Nastia, jak zwykle, zaczęła kłaść dzieci do łóżeczek. Tylko Wanię zostawiła w jego krzeselku. Próbował zrozumieć, dlaczego ubiera się go do wyjścia. Żaden z lekarzy nie pojawił się rano, by powiedzieć Nastii, że Wania jedzie do szpitala. Był to jedyny powód, dla którego dzieci z Grupy 2 opuszczały swoją salę, chyba że Wika zabierała je na spacer.

Nastia zdjęła mu pantofle i zaczęła wpychać jego stopy do butów. Buty były za małe. Zamki były zepsute, ale i tak obuwie nie pasowało. Nastia przeklinała pod nosem, popychając

i popychając. Gdy palce chłopca zawinęły się aż pod stopy, wzruszyła ramionami i poddała się.

Na koniec włożyła mu jeszcze różową czapeczkę z syntetycznej wełny na głowę i naciągnęła mu ją na uszy.

- Ale ja nie jestem dziewczynką - zaprotestował Wania. Zignorowała go. Zostawiła go ubranego na krześle.

- Nie ruszaj się. Zaraz wracam.

Wania nie miał pojęcia, jak miałby się ruszać w tym ciężkim płaszczu i ciasnych butach. Mógłby zsunąć się z krzesła, ale nie zdołałby raczkować.

Gdy czekał na powrót Nastii, przypomniał sobie ostatni raz, gdy go tak ubierano - nie brutalnie, jak Nastia dzisiaj, lecz z miłością, jak ciocia Walentyna. Jaką śliczną koszulę dla niego uszyła, z tymi złotymi gwiazdkami na ramionach. Nazywała go „swoim małym majorem”. Po przyjęciu rozebrała go i ostrożnie poskładała jego nowe ubrania. Odłożyła je do swojej torby. Nie chciał tego, lecz oboje wiedzieli, że wszystko to zniknęłoby, gdyby zostało w sierocińcu.

Jego sen na jawie został przerwany przez krzyki Andrieja dobiegające ze wspólnej sypialni. Drzwi były otwarte, Wania wychylił się i zobaczył twarz przyjaciela pomiędzy drewnianymi szczebelkami łóżeczka.

- Andriej! - zawołał. - Włożyła mi płaszcz i buty, i czapkę. Chyba jadę do szpitala. Nie zapomnij o mnie. Ja będę ciągle o tobie myślał.

Andriej zaczął płakać.

- Wania, nie zostawiaj mnie. Potrzebuję cię. Zostań. Zostań.

- Będę o tobie myślał, Andriej.

Drzwi się otworzyły i do sali weszła wytrącona z równowagi Świetlana. Niosła narecze papierów, jak zwykle. Wania zauważył, że ma na sobie płaszcz. Wzięła go na ręce.

- Musimy się spieszyć. Samochód czeka.

- Dokąd jedziemy, Swietłano? - zapytał ją Wania, gdy schodzili po schodach.

- Skąd wiesz, jak mam na imię? - zapytała ze zdumieniem.

- Słyszałem, że tak na ciebie mówią.

- Ach tak, ty jesteś tym małym chłopcem, który wszystko pamięta. Właśnie przyszły twoje papiery, jedziesz do internatu. - Westchnęła ciężko.

Znów to słowo. Co ono oznacza? Kirył pojechał do internatu i nigdy nie wrócił.

Wyszli na zewnątrz. Lodowate powietrze dosłownie spo-liczkowało Wanę, sprawiając, że aż się zachłysnął. Podwórko wyglądało całkiem inaczej niż wtedy, gdy Wika zabierała go na spacer. Ziemia była pokryta czymś brudno-białym. To musi być śnieg, pomyślał. Wika tłumaczyła, że nie może wziąć go na zewnątrz, bo jest zimno i leży śnieg. Teraz już wiedział, co miała na myśli.

Wołga czekała przy bramie. Świetlana posadziła go z tyłu i zapięła mu pas.

- Czy mogę usiąść na twoich kolanach, Swietłano? - poprosił.

- Nie, to zabronione - oświadczył kierowca.

Trzasnął drzwiami. Samochód ruszył. Ciągle stawał i ruszał. Wania słyszał też inne silniki na drodze. Podróżował dotąd tylko tym prowizorycznym ambulansem i nie wiedział o innych samochodach. Był pewien, że to inne karetki

wiozące dzieci do szpitala. W jego myślach ulica pełna była poruszających się dzieci.

Żałował, że nie może usiąść wyżej i wyjrzeć przez okno. Bardzo chciał zobaczyć inne karetki i chociaż rzucić okiem na inne dzieci. Nawet jednak gdyby mógł usiąść wyżej, niczego by nie zobaczył. Wołga miała takie dziwne okna, przez które nic nie było widać. Próbował odnaleźć się w świecie za pomocą uszu. Słyszał rozmowę kierowcy i Swietłany. Słyszał, jak melodia silnika unosi się i opada, gdy ambulans zatrzymywał się i ruszał. Poczł, że jedzie coraz szybciej, a przystanki są coraz rzadsze. Nagle ambulans skręcił tak gwałtownie, że Wania poleciał na drzwi. Był poobijany i wstrząśnięty. To naprawdę bolało. A potem wołga stanęła. Zapadła cisza. Nie było słyhać innych samochodów, tylko szczekanie psa.

- Co za nora. - W głosie kierowcy pobrzmiwał gniew. -To na pewno tutaj?

Swietłana mówiła tak, jakby się go bała.

- Nie wiem. Nigdy tu nie byłam. Ministerstwo nigdy wcześniej nie przydzielało tutaj dzieci.

Wania usłyszał szelest papierów. Jej głos był jeszcze cichszy, gdy wypowiedziała ciąg wyrazów, który nic dla niego nie znaczył.

- Obwód moskiewski, rejon leniński, wieś Filimonki, Internat Psychiatryczno-Neurologiczny nr 5. Tylko tyle jest tu napisane.

- Cóż, to bardzo pomocne... - W głosie kierowcy słyhać było coraz większy gniew.

Ambulans ruszył z piskiem opon. Nagle rozległ się głos Swietłany.

- Popatrz, jest tabliczka... INTERNAT.

Samochód podskoczył jeszcze kilka razy na wybojach, a potem się zatrzymał. Drzwi kierowcy się otworzyły, potem kierowca otworzył tylne drzwi, a Swietłana wzięła Wanię na rękę. Ściemniało się. Chłopiec podniósł głowę i zobaczył wysoki budynek, który w jego oczach prawie sięgał nieba.

Swietłana zauważyła dwie kobiety przy drzwiach, podbiegła do nich z Wanią.

- Przepraszam, czy panie tu pracują?

- Nie, ja tylko odwiedzam - odparła jedna z nich. - Odwiedzam siostrę. - Skinęła głową w kierunku swej towarzyszki, którą trzymała za rękę.

Kobieta uśmiechnęła się, a Wania zauważył, że nie ma zębów.

- Może wie pani, gdzie tu jest skrzydło dla dzieci?

- Jakie skrzydło dla dzieci? Nigdy wcześniej nie widziałam tu żadnego dziecka, a przychodzę co tydzień.

Wtedy pojawiła się kobieta w białym kitlu z pękiem kluczy w dłoni.

- Kim jesteście? - zapytała. Przypominała Wani Tanię przez tę jaskrawoczerwoną szminkę, choć ta kobieta miała jeszcze na przedzie złoty ząb. Nie ucieszyła się na ich widok.

- Jesteśmy z Domu Dziecka nr 10.

- Co? Nie słyszałam o żadnej dostawie dzisiaj. Tak czy inaczej, dyrektor poszedł już do domu. Ja go zastępuję.

- Przepraszam za spóźnienie. Zabłądziliśmy - wyjaśniła Swietłana. - Ale mam dla was tego chłopca, Pastukow, lat sześć. Proszę spojrzeć, mam wszystkie papiery.

Na widok dokumentów kobieta się poddała.

- Dobrze, chodźcie za mną.

Wanię ogarnął niepokój. Stało się dla niego jasne, że to nie jest szpital. Podróż trwała zbyt długo. Nigdzie nie było widać żadnych innych ambulansów. Gdyby tylko była tu ciocia Walentyna, aby mu wszystko wyjaśnić. Świetlana nic nie chciała mu powiedzieć.

Weszli do budynku. Było w nim jeszcze ciemniej niż w sierocińcu. Pokonali jedną kondygnację betonowych schodów, potem drugą. Szli długim korytarzem, w którym unosił się paskudny zapach. Wania dostrzegał w mroku zarysy ludzkich sylwetek. Kołysali się na boki jak dzieci w Grupie 2, tyle że byli dorośli. W drzwiach pojawił się mężczyzna. Wania poczuł szok, gdy zauważył, że nie ma on na sobie ubrania.

Zastępczyni dyrektora zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami i zadzwoniła kluczami. Przepuściła Świetlanę i zamknęła drzwi od wewnątrz. Tym razem skręcili w prawo, w inny korytarz. Wania dostrzegł drobną postać. Czy to było dziecko? Takie jak on? Gdy podeszli bliżej, poczuł rozczarowanie, bo drobna osoba miała starą twarz. Była to kobieta, miała na sobie szarą luźną sukienkę, jej kończyny były widmowo białe i pokryte sińcami. Miała ogoloną głowę. Nic nie powiedziała, gdy ją mijali.

Na końcu korytarza były kolejne schody, jeszcze ciemniejsze niż poprzednie, bo nigdzie wokół nie było okien. Wicedyrektor zwolniła. Świetlana zaczęła ciężko oddychać, bo te schody były bardziej strome. Ciężar Wani zaczynał jej dokuczać.

Jesteśmy na miejscu... skrzydło dla dzieci - mruknęła wicedyrektor, jeszcze raz brzęcząc kluczami. Otworzyła dwa

zamki i pchnęła drzwi na oścież. W pośpiechu otworzyła jeszcze jedne drzwi prowadzące do dużej sali.

Oszołomiony podróżą przez szpital Wania wpatrywał się z przerażeniem w malującą się przed nim scenę. Pokój był zastawiony po brzegi łóżeczkami. Nie drewnianymi, jak w domu dziecka, lecz większymi, z wysokimi metalowymi prętami, jak klatki. W każdym łóżeczku leżał goły materac. Nie było prześcieradeł ani koców. Na każdym materacu leżało dziecko. Niektóre z nich były nagie. Inne miały na sobie tylko brudne podkoszulki. Leżały w kałużach własnego moczu. Jedno w odchodach. Ktoś uderzał brutalnie głową o szczebelki. Dzieci jęczały i płakały.

Nim Wania zdołał cokolwiek powiedzieć, wicedyrektor odebrała go Świetłanie, zerwała z niego płaszcz i buty

i wrzuciła go do pustego łóżeczka. Gdy Wania zaczął się podnosić, zauważył, że chłopiec w łóżeczku obok jest związany starym prześcieradłem tak, by nie mógł ruszać rękami. Kołysał się na boki.

Wania chwycił się prętów łóżeczka i zaczął gorączkowo rozglądać za Świetlaną. Stała przy drzwiach, nawet na niego nie patrzyła.

- Świetlano, Świetlano. Dlaczego tu jestem? - zawołał, zakłócając ciszę. - Dlaczego ta pani włożyła mnie do łóżeczka?

- Och, umie mówić, tak? - powiedziała zaskoczona wicedyrektor. - Przywieźliście nam gadułę... małego wichrzyciela? Jakbyśmy nie mieli dość problemów.

Nagle okrutna prawda uderzyła w Wanię niczym cios w żołądek.

- Chyba mnie tu nie zostawisz, prawda?



Swietłana wciąż na niego nie patrzyła. Wicedyrektor podeszła do niej.

- Jest pani pewna, że przywiozła właściwego dzieciaka?

- Ależ tak. Komisja zbadła go dwa miesiące temu. Został tu przydzielony. Mam list z ministerstwa. - Swietłana odnalazła dokument.

- Nie zostawiaj mnie tu, Swietłano! - zawołał Wania z drugiego końca sali. - Ciocia Walentyna na pewno by tego nie chciała. Jestem jej małym majorem. - Swietłana wciąż jednak na niego nie patrzyła. Szukał w myślach sposobów na to, jak ją przekonać, by odwiozła go z powrotem do sierocińca. - Adela będzie się nudzić beze mnie. Bardzo lubi śmieszne historie, które jej opowiadam.

Swietłana się nie odwróciła. Wicedyrektor ponagliła ją do wyjścia i zamknęła za nimi drzwi. Wania rzucił się na pręty i zaczął krzyczeć z całych sił:

- Nie zostawiaj mnie tu, Swietłano. Usłyszał, że ktoś przekręca klucz w zamku.

Był środek nocy. Wania bezustannie myślał, jak stąd uciec. Próbował wyjmować szczebelki z łóżeczka, ale były bardzo dobrze umocowane. Chwycił metalowe pręty i zaczął je rozciągać z całą siłą swego wątłego ciała. W końcu upadł wyczerpany na goły materac. Zrozumiał, że nawet gdyby udało mu się wyjść z łóżeczka, nie zdołałby otworzyć drzwi. Głowa go bolała od nadmiaru myśli. Nagle poczuł, jak bardzo mu zimno. Zabrali mu ubrania, a nie miał żadnego koca. Zaczął płakać, lecz w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby go

pocieszyć, Tęsknił za Wiką, marzył, by przyszła, wzięła go na ręce i zabrała stąd. Co kazała mu robić? Podniosła go do okna i powiedziała mu, by patrzył w niebo i modlił się do Boga.

Chwycił się szczebelków i zaczął rozglądać się za oknem. W pobliżu żadnego jednak nie było, nie mógł więc zobaczyć nieba ze swego łóżeczka. A poza tym i tak przecież było ciemno. Ale co powiedziała Wika? Módl się do Boga, a przyjdzie Anioł Stróż. Jak jednak anioł przedostanie się przez kraty w oknach? Wania postanowił pomodlić się mimo wszystko, ukląkł na plastikowym materacu, chwycił się szczebelków łóżeczka i utkwiał wzrok w czarnym oknie. „Proszę, Boże, ześlij mi Anioła Stróża”. Powtarzał to tak długo, aż zasnął z rączkami zaciśniętymi na prętach i głową opartą o chłodny metal.

Anioł Stróż nie pojawił się ani tamtej nocy, ani następnego dnia, ani w kolejnym tygodniu. Było tak, jakby Wania znalazł się poza zasięgiem aniołów, w najniższym kręgu piekła, w którym stopniowo pozbawiano go człowieczeństwa. Najpierw zgolono mu głowę, zaczął więc przypominać więźnia. Nie miał z kim rozmawiać, więc jego umiejętność mowy zaczęła się cofać, a jego głos został zredukowany do szeptu. Gdy leżał pośród najbardziej odrażających aktów przemocy i zaniedbania, zaczął tracić pewność siebie i opanowanie. W końcu jego rączki zaczęły drżeć niekontrolowanie od leków, które mu podawano, by go otumanić. Spadał w najgłębszą otchłań, w której człowiek przestawał być członkiem rasy ludzkiej i sięgał punktu, z którego nie było już powrotu.

## ROZDZIAŁ 5

### NADLUDZKI WYCZYN

#### *Marzec - czerwiec 1996*

Minęły trzy tygodnie, nim Sarah dowiedziała się, że Wania trafił do zakładu dla obłąkanych. - To było niewybaczalne - mówi Sarah, próbując zrozumieć swoje poczynania sprzed ponad dekady. - Żałuję, że nie byłam bardziej czujna, lecz w moim życiu tyle się wtedy działo. Z całych sił starałam się zrozumieć tajemniczy świat porzuconych dzieci, w którym nagle się znalazłam. Gdy odwiedzałam kolejne sierocińce, próbowałam pojąć sens istnienia tych instytucji, których personel był ślepy na cierpienia swych małych podopiecznych. Nie miałam wykształcenia medycznego, ale czułam, że sierocińce tworzą ułomności. Każde dziecko, które przyszło na świat z jakąś wadą, choćby najdrobniejszą, zostawało wessane przez ten wir i zaszufladkowane jako „inwalida” lub „chory”. A mnie wydawało się, że chory jest ten system, a nie dzieci.

Seria drobnych wydarzeń pozwoliła jej zrozumieć pewne rzeczy.

- Po świętach Stephanie Wood, żona ówczesnego brytyjskiego ambasadora, zadzwoniła do mnie, by powiedzieć, że z przyjęcia w ambasadzie, które wydano dla dzieci, zostało ciasto, i zapytała, czy zawiozę je do sierocińca. Posłusznie pojechałam do Domu Dziecka nr 10, gdzie cały personel zebrał się, by podziwiać to arcydzieło sztuki cukierniczej. Gdy wychodziłam, byłam pewna, że wizja głodnych dzieci zajadających się pysznym ciastem i uśmiechających się ustami umazanymi czekoladą, którą miała Stephanie, nigdy się nie ziści. Ciasto zostanie zjedzone przez personel podczas długich popołudniowych przerw na drzemkę. Gdy dotarłam do domu, nie mogłam opanować gniewu na myśl o przeznaczeniu tego ciasta. Podzieliłam się tym z Alanem. Alan powiedział, że personelowi płacą tak mało, iż nie stać go nawet na opłacenie przejazdu do pracy, więc zasługuje na poczęstunek tak jak dzieci. Nie o to chodzi, odparłam. Niezależnie od tego, ile mu płacą, od tego jest, by stawiać na pierwszym miejscu dobro dzieci.

W tym samym czasie grupa charytatywna rozpoczęła współpracę z rosyjskimi organizacjami obywatelskimi, które wierzyły, że opieka instytucjonalna jest zła i że rodziny powinno się zachęcać do tego, by zajmowały się dziećmi w domu. Bezinteresowni, dalekowzroczni ludzie tworzyli dzienne ośrodki opieki przy bardzo napiętych budżetach i w najbardziej odrażających lokalizacjach, by zająć się dziećmi z upośledzeniami i poważnymi problemami,

dzięki czemu mogły zostawać w rodzinnych domach. Ci wspaniali ludzie potrzebowali wsparcia. Od państwa mieli go nigdy nie otrzymać.

- Pewnego dnia rozmawiałam z rosyjską nianią mojej sąsiadki, gdy nasze dzieci jeździły na łyżwach w parku Gorkiego - opowiada Sarah. - Miałam ogromny szacunek dla jej inteligencji i przenikliwości. W tym czasie wszyscy w Rosji, od prezydenta poczynając, zajmowali się tym, czym nie powinni byli. Panował taki chaos, że ludzie otrzymywali pracę całkowicie przez przypadek. Ona była nianią, ale mogła też być prezenterką telewizyjną. Odpadła na ostatnim etapie kwalifikacji, bo miała krzywe zęby i nie stać jej było na to, by je wyrównać. Tak jak inne zdolne kobiety, które uczyły się na naukowców i inżynierów i nie znalazły pracy w swoich dziedzinach, i ona skończyła jako niania w cudzoziemskiej rodzinie, gdzie dobrze płacono. Widać było, że przygotowała się do naszej rozmowy, chciała mnie przekonać do swoich racji. Zapytała, dlaczego przekazuję datki na domy dziecka. Wszyscy doskonale wiedzieli, że ludzie pracowali w sierocińcach nie dlatego, że kochali dzieci, lecz dlatego, że mogli tam bezkarnie kraść. Jeśli dostarczano mięso, podkradano je, a dzieci dostawały chleb i ziemniaki. Tak samo było z pościelą. Zawsze zniknęła tylnymi drzwiami. Cały system był przeżarty korupcją, a ja pogarszałam jeszcze sytuację, wspierając go.

Jej słowa nabierały głębokiego sensu w świetle tego wszystkiego, czego byłam świadkiem. Zaczynałam rozumieć, że przyszłość opieki nad dziećmi w Rosji leży w obywatelskich organizacjach, a nie w rękach państwa.

Inne członkinie grupy charytatywnej podzielały te poglądy. Ich zmiana nastawienia spotkała się jednak z podejrzliwością ich patronek z Międzynarodowego Klubu Kobiet. Była to organizacja dyplomatyczna i jej obowiązkiem było szanować ambasadorską hierarchię. Grupa charytatywna stawiała się natomiast zbyt „profesjonalna” - słowo to w słowniku MKK równało się przekleństwu.

- Teraz widzę, iż faktycznie nie szanowałyśmy dostatecznie hierarchii dyplomatycznej i jej staromodnych norm społecznych. Jedną z liderek naszej grupy, utalentowana dwudziestoczteroletnia psycholożka, nie była nawet żoną swojego partnera, szok! Wyobrażam sobie, co one o nas myślały. Z drugiej strony MKK w ogóle nie doceniał pracy, którą grupa wykonywała w jego imieniu.

Przyznaję, że czułam się bardziej swobodnie przy rosyjskich entuzjastach pracujących z autystycznymi dziećmi w zawilgoconych piwnicach niż z liderkami MKK. Tygodnie paskudnych plotek i zwyczajnego oczerniania zaowocowały spotkaniem dyscyplinarnym, na którym zostałyśmy nazwane, w jednej z rzadkich chwil odejścia od dyplomatycznego dekorum, „zrakowaciałą cystą, którą trzeba wyciąć”, i wydalone z MKK. Na szczęście dla nas nie miało to żadnego znaczenia. Założyłyśmy i zarejestrowałyśmy organizację charytatywną, by kontynuować naszą pracę, nieniepokojone troskami MKK. To wszystko zajęło mi kilka tygodni.

Sarah wróciła do Domu Dziecka nr 10 pod koniec marca z dobrymi wieściami - miała wózek inwalidzki dla Anny, żywiołowej, inteligentnej dziewczynki, która oczarowała od-wiedzającego placówkę amerykańskiego pediatrę. Trwało to

dziewięć miesięcy, ale Anna miała w końcu dostać swój wózek. Dziewczynka w zdumieniu przyglądała się brytyjskim lekarzom, którzy rozłożyli wózek, dopasowali poduszkę na siedzisko i w końcu ją w nim umieścili. Po kilku sekundach nauczyła się, jak nim manewrować. Poruszała się do przodu i do tyłu, w lewo i prawo, odchyłała głowę i śmiała się z zachwytem. Opiekunki zebrały się wokół niej, splatając nerwowo dłonie. Mała dziewczynka, która spędzała całe dnie w plastikowym krzeselku albo w kącie kojca, nagle na oczach wszystkich odżyła, stała się prawdziwym dzieckiem.

Bez żadnego ostrzeżenia Anna upomniała się o swoją wolność. Wyjechała z pokoju, w którym spędzała dwadzieścia cztery godziny na dobę, na korytarz, przyspieszyła i zjechała z wykładziny na linoleum. Na oczach Sarah grupa roześmianych widzów zaczęła zachęcać ją, by objechała sierociniec naokoło. Dzięki wózkowi Anna zyskiwała możliwość, by gdy zrobi się ciepło, opuszczać pokój razem z dziećmi, które mogły chodzić na spacer, nie musiała już zostawać w środku. Sarah obserwowała ją, nie wiedząc, że wózek nie wystarczy, by uratować Annę od jej tragicznego przeznaczenia. Musiała dopiero rozłożyć skrzydła i polecieć do innego kraju, by jej potencjał został doceniony.

Widząc zachwyty na twarzy dziecka, Sarah poczuła wyrzuty sumienia. Była to jej druga wizyta w ośrodku z organizacją, która zakupiła wózek, i za każdym razem przychodziła za późno, by udać się do Grupy 2 i odwiedzić Wanę.

Adela zniknęła, jak zawsze wtedy gdy w placówce pojawiali się zagraniczni specjaliści. Sarah wbiegła na schody i ostrożnie uchyliła drzwi do sali Grupy 2. Od razu zrozumiała, że

coś się stało. Pokój był pusty i bez życia. Andriej siedział tam gdzie zwykle, kołysał się na boki z nieszczęśliwą miną. Krzeselko obok niego było puste.

- Gdzie jest Wania? - zapytała Sarah chłopca.

Na dźwięk imienia przyjaciela Andriej poderwał głowę. Gdy go nie zobaczył, znów pogрузzył się w apatii.

Nadeszła pora obiadu, opiekunka weszła do sali z tacą misek.

- Gdzie on jest?

- Gdzie jest kto?

- Wania.

- Ach, on. Dostał papiery. - Opiekunka mówiła tak, jakby Wania był postacią sprzed wieków, a nie osobowością, która jeszcze do niedawna rozświetlała ten pokój. - Przeniesiono go do internatu.

- Którego?

- A skąd mam wiedzieć?

Opiekunka odwróciła się, by podać butelkę Maszy. Jej krzeselko się zepsuło, została więc umieszczona w przywiązany chodziku.

Sarah uklękła przy Andrieju, a chłopiec podniósł na nią ospały wzrok. Pogłaskała go po ramieniu.

- Musisz bardzo tęsknić za Wanią.

- Wania - powtórzył ledwie słyszalnym głosem. Okrutny system rozdzielił chłopców, którzy byli dla siebie jak bracia.

- Czy Andriej trafi do tego samego ośrodka co Wania? - zapytała Sarah.

Masza właśnie jadła. Opiekunka poiła ją jak zwierzę. Pochylała się nad Maszą i podawała jej butelkę wyciągniętą



dłonią, okazując mniej czułości niż pasterz cieleciu czy jagniątku. Nie patrzyła jej w oczy i nie mówiła do niej. Odwróciła się do Sarah.

- Nie wiem. To zależy od tego, gdzie będzie wolne miejsce.
- Ale Andriej jest bez niego taki zagubiony.
- To nie ma nic do rzeczy.

Te słowa sygnalizowały koniec rozmowy. Sarah szła opustoszałymi korytarzami do drzwi. Słyszała brzęk talerzy i odgłosy rozmów zza drzwi defektologów, logopedów i masażyistów i czuła coraz większy gniew na to, że nie pracowali oni z dziećmi. W każdej grupie była jedna starsza opiekunka, która przewijała i karmiła dwanaścioro dzieci. Dlaczego te leniwe kobiety nie pomagają im w porach posiłków? Gdzie jest Adela w ten ważny dzień? Przecież w placówce są też inne dzieci potrzebujące wózków inwalidzkich, a nikt z personelu nie przekazał lekarzom z organizacji listy. Była to wyjątkowa okazja, by poprawić los dzieci w sierocińcu, lecz nikt nie miał zamiaru z niej skorzystać. Jakaś staruszka z Walii upiekła tuziny ciastek i opróżniła strych, by zebrać pieniądze na ten wózek. A wszystko, co robiły te kobiety tutaj, to bierne przyjmowanie tego, co im oferowano.

Sarah pchnęła tapicerowane drzwi wejściowe. Na zewnątrz panował wiosenny chłód. Śnieg już prawie stopniał, tworząc kałuże błota na podwórku. Gałązki lip zieleniły się na końcach drobnymi pączkami, które miały wkrótce zamienić się w liście. Po długich miesiącach zimy natura budziła się ze snu, wkrótce miało nadejść lato. W tym domu dziecka panował jednak bezruch. Dla tych dzieci zawsze była zima.

Sarah dotarła prawie do bramy, gdy usłyszała, że ktoś biegnie za nią przez kałuże. Zdumiała się na widok Adeli, jej radziecki czepek lekarski przekrzywił się na jedno ucho, a cienkie buciki przemokły.

- Sarah, Sarah. Muszę z tobą porozmawiać. Proszę cię, wróć do środka.

To dziwne, pomyślała Sarah, Adela sama mnie zaprasza. Musiała mnie szpiegować z okna gabinetu i zobaczyła, że wychodzę. Czego może chcieć?

Adela zaprosiła gestem Sarah do swojego gabinetu i zamknęła drzwi. W kącie leżał stos starych ubrań, w zasadzie szmat.

- To ubranka dla internatu - oświadczyła Adela. - Tam dzieci nie mają ubrań, rozumiesz? To tam przebywa Wania. To okropne miejsce.

Adela mówiła coraz mniej zrozumiale, ale Sarah stopniowo domyśliła się całej historii. Wania został umieszczony w Fi-limonkach, w szpitalu psychiatrycznym dla dorosłych. Gdy Adela usłyszała sprawozdanie Świetlany z wizyty w tamtej placówce, ogarnął ją wstyd, że pozwoliła, by coś takiego się wydarzyło, i wysłała tam swoją córkę na przeszpiegi. Córka wróciła z szokującymi nowinami. Wanię przetrzymywano w placówce nagiego. Był bardzo wzburzony i błagał, by zabrano go z powrotem do sierocińca. A potem było jeszcze gorzej.

- Moja córka spotkała tam pewną dziewczynkę. Ta dziewczynka powiedziała jej, że przyjeżdżają autobusem mężczyźni... Płacą gotówką... Dziecko było... - Nie mogła zmusić się, by powiedzieć to na głos, ale wykonała bardzo sugestywny gest.

- Płacili za seks z tą dziewczynką?

Adela skinęła głową. Chwyciła długopis, skrawek papieru i zaczęła pisać. Wepchnęła świstek w dłoń Sarah.

- Tu jest adres. Powiem ci, co masz robić.

Sarah kiwała głową oniemiała, gdy Adela otwierała drzwi i odprowadzała ją do bramy. Na ulicy rozłożyła karteczkę, którą otrzymała. „Pastukow LA. 15.03.1990. Internat Psychiatryczno-Neurologiczny nr 5, Filimonki”.

A więc to tam zesłano Wanię. Do szpitala psychiatrycznego oddalonego od sierocińca o wiele przystanków autobusem. Na dole Adela dopisała: „Odwieźć do Domu Dziecka nr 10”. Takie więc były jej rozkazy - Sarah miała nie tylko zawieźć do internatu trochę ubrań, ale jeszcze uratować chłopczyka z zakładu. Jak ona, nieznająca realiów cudzoziemka, miała to niby zrobić? Jakie wyjątkowe moce miała, zdaniem Adeli?

- Gdyby Adela poprosiła, bym odwiedziła Wanię - wspomina Sarah - mogłabym tam od razu pojechać. Ale wyciągnięcie go z tak odległej instytucji przekraczało moje możliwości. Mogłam zorganizować wizytę lekarską, zebrać środki na operację, pomóc rosyjskim organizacjom obywatelskim nawiązać kontakty z zachodnimi specjalistami, ale walka z biurokracją mnie przerastała. Nie wiedziałam nawet, od czego zacząć. Czułam się jak postać z bajki, której czarownica przebrana za miłą starszą panią kazała zdobyć się na jakiś nadludzki wyczyn.

Tak więc skrawek papieru z nabazgraną instrukcją utonął w końcu pod listami z bardziej realnymi prośbami.

- Wiele bólu i cierpienia dałoby się uniknąć, gdyby Adela zmobilizowała całą przyszywaną rodzinę Wani: Wike, mnie

i Walentynę, do pomocy i poprowadziła nas do walki z biurokracją. Tak się jednak nie stało. Ona była urzędniczką radziecką, przyzwyczajoną do przyjmowania rozkazów od przełożonych i niekwestionowania hierarchii, nawet jeśli była przekonana, że postępują oni niesłusznie. Uświadomiłam sobie, że Adela dorastała za czasów Stalina, gdy zatrzymywano dla siebie wszystkie prywatne myśli. Nawet tamtego dnia nie powiedziała mi o istnieniu Wiki, a Wice o mnie.

Gdy Sarah roztrząsała ogrom zadania, które jej powierzono, Adela przekazała to samo polecenie Wice, a dziewczyna podjęła się wyzwania z energią charakterystyczną dla młodych idealistów.

## ROZDZIAŁ 6

### NIKOMU NIE ZALEŻY

*Maj 1996*

"Tak Sarah początkowo nie była w stanie wypełnić zadania powierzonego jej przez Adelę, tak Wika potrzebowała czasu, by zebrać się w sobie i pójść z wizytą do Wani.

- Wybrałam się do domu dziecka na początku marca -wspomina Wika. - Adela i jej zastępczyni były bardzo poruszone. Powiedziały mi, że Wania dzień wcześniej został przewieziony do internatu, zgodnie z instrukcjami z ministerstwa. Świetlana była w szoku, gdy stamtąd wróciła. Było znacznie gorzej niż w innych takich miejscach, do których wcześniej zawoziła dzieci. Wania wpadł podobno w histerię i rzucił się na pręty łóżeczka, błagając Swietlanę, by go tam nie zostawiała. Może powinnam iść go tam odwiedzić, wypaliłam. Adela wzięła mnie za rękę, spojrzała mi w oczy i powiedziała, bym szła jak najszybciej. Wzięła długopis i na skrawku papieru napisała mi dokładną instrukcję,

którą wcisnęła mi w dłoń ze słowami: „Idź, koniecznie do niego idź”.

Tygodnie mijały. Ta sprawa ciążyła mi na sumieniu. Wymyślałam kolejne wymówki: potrzebowałam całego dnia, by się tam dostać. Gdy patrzę wstecz, widzę, że byłam pełna wątpliwości, czy jestem w ogóle w stanie zrobić cokolwiek dla tego chłopca. Kim byłam, by utorować sobie drogę do internatu dla dorosłych? Odkładałam to i odkładałam.

Pewnego dnia obudziłam się jednak i uświadomiłam sobie, że nie mogę już dłużej zwlekać. To myśl o Wani, takim, jakim opisywała go Adela, nagim za kratami, popchnęła mnie do działania. Zadzwoiłam do szefa i powiedziałam, że jestem chora. Przez długi czas szukałam tej pracy i naprawdę potrzebowałam pieniędzy. Mój nowy szef nie był zadowolony.

Wika pojechała metrem do końca linii i zaczęła szukać w torebce kartki ze wskazówkami, którą dała jej Adela. Miała poszukać autobusu numer 611. Przepchnęła się przez tłum do autobusu. Droga prowadziła pośród identycznych czternastopiętrowych wieżowców. Jechali bardzo długo, aż w końcu zaczęły się pola i lasy. Autobus zatrzymał się na środku pustkowi. Wika poszła w ślady pasażerów i wspięła się po schodach na kładkę nad autostradą. Po drugiej stronie drogi nie było żadnych śladów życia. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje, ale dzielnie szła przed siebie. Zeszła do rowu, przeszła przez porośnięty trawą nasyp i wijącą się ścieżką dotarła w końcu do betonowego osiedla. Na głównym placu stały trzy podmiejskie autobusy. Były bardzo stare, miały ciągle otwartą klapę silnika, by kierowca mógł w każdej chwili

wyskoczyć i naprawić drobną usterkę. Wika znalazła autobus nr 15 i usiadła w nim, by czekać na odjazd.

Stary autobus powoli wypełniał się pasażerami. Wsiadł mężczyzna, który miał przy sobie tylko butelkę szamponu Head & Shoulders. Wika zaczęła się zastanawiać, czy on także jedzie do zakładu. Była to instytucja dla dorosłych. Może jechał tam, by wykopać krewnego. Tuż obok usiadła kobieta z reklamówką pełną bananów. Może wiezie smakołyki dla syna, pomyślała Wika. Wkrótce autobus zappełnił się po brzegi.

Wika wyjrzała przez okno. Jechała teraz przez wsie i pola zieleniące się wiosenną trawą. Ten widok podnosił na duchu. Szyby autobusu były tak podrapane i zakurzone, że czuła się tak, jakby miała na nosie brudną parę pożyczonych okularów.

Autobus wjechał do wioski i zatrzymał się przed wałącym się drewnianym domkiem, który przechylał się pod przedziwnym kątem i zapadał się w ziemię. Na podwórku leżały arkusze blachy, a przywiązany do budy pies zaczął szczekać na autobus.

- Czy to Filimonki? - zapytała kobietę z bananami.

- Nie. Następny przystanek.

Autobus opuścił wioskę i ruszył dalej drogą pośród pól wysokiej trawy. Za zakrętem, po drugiej stronie doliny jej oczom ukazał się stojący pośrodku pustkowia potężny kompleks sześciopiętrowych budynków podobnych do wojskowych baraków. Wika od razu zrozumiała, że te paskudne budynki to musi być internat, i zaczęła się zastanawiać, jak ma tam odnaleźć Wanię. Zauważyła samotną wieżę z cegieł sterczącą pomiędzy blokami. Iglica kościoła. Jeśli jest tam kościół, pomyślała, to może to wcale nie jest takie złe miejsce.

Gdy autobus się zatrzymał, wysiadła razem z mężczyzną z szamponem.

- Czy pan też idzie do internatu? - zapytała.

- Nie. Ale mogę ci powiedzieć, jak tam dotrzeć. Przejdź na drugą stronę drogi, przez pole, a potem zobaczysz znak.  
-Odwrócił się w przeciwnym kierunku.

Autobus odjechał i Wika została sama na wijącej się ścieżce przez pola. Ruszyła pewnie przed siebie, czując żdźbła trawy na łydkach. Wyobraziła sobie, że zabiera Wanię na piknik. Na wszelki wypadek wzięła z domu bułeczki, jabłka i ogórki.

Ścieżka zaprowadziła ją do brzozowego zagajnika. Pomiedzy wiotkimi srebrnymi pniami dostrzegła budynki, połączone wysokimi kładkami. Zwolniła, gdy dotarła do bramy. Teraz znacznie wyraźniej widziała zarys ogromnego kościoła z czerwonej cegły pośrodku kompleksu. Ogarnęło ją przerażenie, gdy dostrzegła, że kościół i iglica dosłownie się sypią, nie ma dachów, szyb w oknach, a cegły poczerniały przez dekady deszczu i mrozu. Z czubka iglicy wyrastały gałęzie. Natura odzyskiwała swoje terytorium. Ku jej zdumieniu brama ośrodka była otwarta, więc po prostu weszła.

Przez chwilę stała w miejscu, zastanawiając się, w którym kierunku pójść. Nie było jednego głównego wejścia. Nie wiedziała, czego ma szukać - zapewne czegoś w rodzaju sierocińca, gdzie dzieci są pod kontrolą, odgródzone od reszty. Wszędzie wokół szwendali się jednak dorośli pacjenci. Kobieta z ogoloną głową w prostej sukience pomagała mężczyźnie, który nie mógł chodzić bez asysty. Jego kończyny były powyginane, kołysał głową na boki i ciągnął za sobą kolorowy kawałek plastiku na sznurku. Upadł, a kobieta



pochyliła się nad nim, by pomóc mu wstać. Zbeształa go i zaczęła rozglądać się, szukając pomocy. Jej wzrok padł na Wikę. Wika dosłownie wrosła w ziemię. Szły w jej kierunku trzy inne kobiety z ogolonymi głowami. Tutaj dorośli mieli wzrost dwunastolatek. Jedna z kobiet miała na sobie zapinany na guziki długi sweter, ale jednego guzika brakowało, przez co wyraźnie było widać, że nie ma na sobie bielizny. Podeszły do niej z wyciągniętymi rękami i zaczęły dotykać jej włosów i ubrań, mrużąc coś pod nosem niezrozumiale. Miały okropnie popsute zęby.

Z tyłu o ścianę opierał się najwyższy mężczyzna, jakiego Wika kiedykolwiek widziała. Jego wargi się poruszały, bełkotał coś i potrząsał rękami. Miał na sobie górę od piżamy, a jego spodnie utrzymywał w pasie kawałek płótna. Tłoczyło się wokół niej coraz więcej tych dziwnych ludzi. Zaczęła panikować. Jedna z kobiet otoczyła ją ramionami i zaczęła wyciągać szyję, by ją pocałować.

Wika już miała się odwrócić i uciec, gdy nagle dobiegł ją męski okrzyk:

- Zostawcie ją w spokoju. - Kobiety natychmiast się pochowały, a oczom Wiki ukazał się nastolatek w źle dopasowanych brudnych ubraniach. - Szukasz kogoś?

- Przyszłam odwiedzić Wanię, Wanię Pastukowa. Młody mężczyzna zrobił zdziwioną minę.

- Ma sześć lat. Przyjechał tutaj dwa miesiące temu. Chłopak namyślał się przez chwilę.

- Chodzi ci o tego, który umie mówić?

- Tak, tak. Jak on się miewa?

- Zaprowadzę cię do skrzydła dla dzieci.

Kobiety ruszyły za nimi, ale nastolatek gestem nakazał im zostać. Poprowadził Wikę długim korytarzem do klatki schodowej, a potem kładką do następnych schodów, aż w końcu całkiem straciła orientację. Wspięli się na jeszcze jedne schody i dotarli do zamkniętych drzwi. Młody mężczyzna zapukał do nich i wyraźnie czekał na odpowiedź.

Gdy stali tak na zamkniętej klatce schodowej, Wika zapytała go o imię.

- Ilia.

- Czy Wania naprawdę jest za tymi drzwiami? Nastolatek nie odpowiedział, tylko znów załomotał do drzwi, tym razem mocniej.

Po chwili w szparze ukazała się wroga twarz kobiety w białym kitlu. Wika uśmiechnęła się i powiedziała:

- Przyszłam odwiedzić Wanię.

Kobieta nie uśmiechnęła się w odpowiedzi, ale w końcu niechętnie pozwoliła jej przejść, pokazując gestem liii, by pokazał jej drogę, po czym zniknęła w korytarzu. Ilija zaprowadził Wikę do kolejnych zamkniętych drzwi. Nic nie mogło przygotować jej na to, co zobaczyła, gdy drzwi się otworzyły.

- Najpierw uderzył mnie ten odór. Jak w oborze, prawie zbiło mnie z nóg. Weszłam do pokoju pełnego łóżeczek. Chyba spodziewałam się, że usłyszę: „Wika, Wika”, szczęśliwy okrzyk Wani, który ucieszy się na mój widok. Gdy jednak przyglądałam się łóżeczkom, nie widziałam ani śladu chłopca z kręconymi włosami i radosnym uśmiechem. Widziałam tylko dręczone ofiary, całe rzędy dręczonych ofiar. Niektóre z nich leżały bezwładnie, inne kołysały się na boki.

Jedne uderzały główkami w kraty, inne, w kaftanach bezpieczeństwa, wystawiały do góry gołe pupy.

Pograżona w szoku Wika zaczęła szukać opiekunki albo chociaż sprzątaczkę, by ta wskazała jej Wanię. W sali nie było jednak żadnych dorosłych. Ilia zaprowadził ją w róg pokoju. Przepchnęła się pomiędzy łóżeczkami, wszystkimi zmysłami szukając śladów chłopca, którego kiedyś знаła. Na gołym materacu, z kałużą moczu na jednym z końców, ujrzała w końcu chłopca, który klęczał i cichutko kołysał się w przód i w tył. Miał ogoloną główkę i był ubrany tylko w podkoszulek. Powoli uniósł głowę, by na nią spojrzeć, i na jego nieobecnej twarzy pojawił się nikły uśmiech.

- Wania, co oni ci zrobili? - szepnęła Wika z trudem. Podniosła go z łóżeczka i przytuliła mocno. Nie mogła powstrzymać łez. Chłopiec otworzył usta i jakby straciwszy zdolność używania strun głosowych, wyszeptał tylko jedno słowo: „Wika”.

- Znajdź dla niego jakieś ubranie, Ilia, bardzo cię proszę. Muszę go wynieść z tego pokoju. - Zniosła Wanię na korytarz, gdzie odór moczu i odchodów nie był tak obezwładniający.

Ilia zaprowadził ją do małego wyłożonego białymi płytkami pomieszczenia, które wyglądało jak kostnica. Były w nim dwa małe stoły, jakieś stalowe krzesła i skrawek potarganego dywanu na podłodze.

- Tu możesz zostać - oświadczył chłopak. - Ja muszę dać teraz dzieciom butelki.

Usadowiła Wanię na jednym z krzesel. Gdy wstawała, uderzyła głową o rurę wentylacyjną, która zwisała bezużytecznie

z sufitu. Ból był niczym w porównaniu z szokiem, który poczuła na widok stanu Wani.

Malec żuł powoli ogórek, ale ledwie miał siłę na to, by siedzieć na krześle bez podpierania się. Wyglądał tak, jakby śmierć zabierała go po kawałku. Wika wkroczyła do podziemnego świata, w którym dzieci uznawano za martwe, choć ich serduszka jeszcze biły, a ciała się poruszały. Przypomniała sobie, jak blisko byli z Wanią związani. Teraz była pomiędzy nimi bariera nie do pokonania - kamień nagrobny. W domu dziecka Wania był taki pewny siebie. Wiedział, że jest inny niż pozostali „nieuleczalnie chorzy” i że zasługuje na lepszy los. Teraz stał się nikim, tak jak wszyscy wokół.

Dręczyło ją poczucie winy, że zbyt długo zwlekała z wizytą. Gdyby tylko była silniejsza, nie tak niedojrzała i bo-jaźliwa, mogłaby temu wszystkiemu zapobiec.

Wyjęła z torebki książeczkę z obrazkami - historię o trzech małych świnkach, ulubioną opowieść Wani.

- Jaki dźwięk wydaje świnka? - zapytała. - Pamiętasz, robiliśmy tak razem.

Wania namyślał się przez chwilę, już miał coś powiedzieć, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Czytała mu, na głos wymawiając słowa jak automat, bo mogła myśleć tylko o tym, jaki szok przeżyła, gdy zobaczyła dzieci zamknięte w tamtym pomieszczeniu. Wzdrygnęła się, gdy przypomniała sobie, jak opowiadała parze Amerykanów o mądrym chłopcu, który wniósłby radość do ich domu. Co by powiedzieli, gdyby zobaczyli tego cichego ducha dziecka z ogoloną głową? Jak bardzo byliby rozczarowani?

Czytała dalej.

- Wilk powiedział: dziś zdmuchnę twój domek. - Gdyby tylko jakiś wilk przyszedł i zdmuchnął cały ten internat, pomyślała, mogłaby wyciągnąć Wanię spod gruzów i uratować go.

Do sali weszła opiekunka, która musiała być jedynym pracownikiem na dyżurze, i podała Wice butelkę szarego płynu. To miał być obiad Wani.

- Przepraszam bardzo. Czy Wania może dostać dzisiaj miskę i łyżkę? Pomogę mu.

Kobieta zmarszczyła gniewnie brwi, ale po chwili wróciła z tym samym szarym płynem w misce i aluminiową łyżką, zdecydowanie zbyt dużą dla dziecięcych rączek i ust. Wania zacisnął na niej palce, a Wika ze zdumieniem zauważyła, że jego dłonie drżą tak bardzo, iż nie może unieść płynu z miski do ust bez rozlewania. Co mu zrobili, że jego dłonie aż tak się trzęsą?

Gdy opiekunka wróciła, zauważyła bałagan.

- Tak myślałam, on nie umie sam jeść. Teraz trzeba będzie to uprać.

Wika poczuła się okropnie. Właśnie straciła wszelkie szanse na to, by jeszcze kiedyś chłopcu pozwolono samemu jeść. I przez cały ten czas przeraźliwie bała się chwili, gdy będzie musiała go odnieść na ten poplamiony moczem materac.

Jej rozmyślania przerwał Ilia, który wrócił z dwojgiem znudzonych nastoletnich przyjaciół, chcących przyjrzeć się gościowi. Mieli inteligentne twarze, ale wyglądali znacznie surowiej niż Ilia. Jeden z nich nie miał skarpetek i nosił za krótkie spodnie, odsłaniające chude kostki. Miał brudną twarz. Drugi był chyba ich liderem. Miał na sobie obcięte džinsy, które sam musiał skrócić.

- Masz papierosy? - zapytał ten bardziej pewny siebie, nie zawracając sobie głowy oficjalną prezentacją.

Odpowiedziała, że niestety nie ma, po czym sięgnęła do torebki i wyjęła dwa jabłka, które im podała. Wzięli je i włożyli do kieszeni. Chłopiec bez skarpetek trzymał w palcach papierosa domowej roboty - szczyptę tytoniu zawiniętą w skrawek papieru.

- Jesteś jego matką? - zapytał chłopiec w obciętych dżinsach.

- Nie, nie jestem. - Przez chwilę zastanawiała się, jak im wyjaśnić swój związek z Wanią. - Jestem jego matką chrzestną.

Gdy rozmawiali, Wika karmiła Wanię kawałkami jabłka, które malec z namaszczeniem przeżuwał. Zaczęło się jej wydawać, że i tę umiejętność wkrótce straci.

Zapytała chłopców, dlaczego znaleźli się w zakładzie. Ten najbardziej pewny siebie powiedział, że uciekł z domu dziecka i został tu umieszczony za karę. Stąd także jednak wkrótce zamierzał uciec.

- I z czego będziesz żył?

- Wiem, skąd brać pieniądze - zaczął się chełpić.

Ilia powiedział, że on także uciekł z domu dziecka, szukał schronienia u księdza, ale został złapany i odesłany tutaj. To było dwa lata temu, był pewien, że zostanie w zakładzie już na zawsze. Spod podkoszulka wyjął krzyżyk zawieszony na sznurówce. Dodał, że chodzi na wszystkie msze w krypcie zrujnowanego kościoła i marzy o tym, by zostać księdzem.

Wszyscy w zakładzie byli zaszufadkowani jako niekwalifikujący się do edukacji, ale Ilia nauczył się pisać, jeszcze zanim się tu znalazł. Wziął od Wiki długopis i kawałek papieru. Gdy pozostali rozmawiali, napisał list do księdza z błagalną prośbą

o wizytę. Podał go Wice i poprosił, by go dostarczyła. List był napisany wielkimi literami, bez przerw pomiędzy słowami.

Rozpaczliwie pragnął udowodnić Wice, że potrafi czytać. Wziął od niej *Trzy małe świnki* i zaczął je czytać na głos, potykając się na dłuższych słowach, jakby litery były jakimś szyfrem.

Opiekunka wetknęła głowę w szparę drzwi i oświadczyła, że teraz jest cisza i że Wania powinien wrócić do łóżeczka.

- Zaraz go przyniosę - zadeklarował Ilia, a opiekunka mu uwierzyła.

Ilia wyjaśnił, że personel zakładu często goni nastolatków do roboty, głównie do zajmowania się przykutymi do łóżka dziećmi i do najbrudniejszych prac.

Gdy pochylał się, by wziąć Wanę na rękę, Wika położyła mu dłoń na ramieniu i zapytała:

- Czy mógłbyś czasami wynieść Wanę na dwór? Dobrze by mu zrobiło świeże powietrze.

- Nie wolno nam wynosić ich na zewnątrz.

- A czy mógłby tu od czasu do czasu poraczkować? Naprawdę musi ćwiczyć nóżki.

- Nie wolno ich wyciągać z łóżeczek.

- Ale mógłbyś z nim rozmawiać.

- Tak, mogę z nim rozmawiać.

Chwytając się kurczowo tej obietnicy, Wika ucałowała Wanę w czoło i obiecała, że wkrótce znów go odwiedzi. Gdy szła do drzwi, usłyszała cichy głos, prawie szept:

- Wika. - Wania chciał jej coś powiedzieć. Zaczęła się bać, że poprosi ją, by go ze sobą zabrała.

- Pozdrów ode mnie ciocię Walentynę i Adele.

## PONIEDZIAŁEK 20 MAJA 1996

Wika wróciła tego wieczoru do mieszkania babci wyczerpana całodniową podróżą i przerażona tym, co widziała. Tej nocy nie mogła spać. Ilekroć zamykała oczy, widziała obraz dziecka w tamtym pokoju, w którym normalna osoba nie wytrzymałaby nawet minuty. Gdy nastał świt, zrezygnowała z prób zaśnięcia i poszła do kościoła na pierwszą mszę. Kiedy weszła do pogrążonego w mroku wnętrza, włożyła kilka rubli do skrzynki na ofiary, wzięła długą, cienką, woskową świecę, zapaliła ją i umieściła na tacy przed ikoną Madonny z Dzieciątkiem.

- To dla Wani - szepnęła i zmówiła modlitwę.

Gdy słuchała znajomej pieśni wykonywanej przez chór głosów różnych wysokości narastających w harmonii i znów zlewających się w jedno, uświadomiła sobie, że popełniła wielki błąd. Próbowwała wszystko zrobić sama. Była taka arogancka. Jej arogancja powstrzymała ją przed poproszeniem o pomoc.

Po mszy zwierzyła się księdzu i innym członkom wspólnoty. Elena, kobieta, którą rzadko wcześniej zauważała, powiedziała, że za Moskwą w miasteczku o nazwie Dmitrow jest Dom Dziecka nr 19, do którego przyjmują dzieci z porażeniem mózgowym i kształcą je. Wika zapytała, co powinna zrobić, by przenieść tam Wanię. Pierwszym krokiem miała być petycja do dyrektora skrzydła dziecięcego w zakładzie dla obłąkanych z prośbą o kopię diagnozy Wani i dostarczenie jej do Dmitrowa.



Następnego dnia Wika znów zadzwoniła do pracy, by powiedzieć, że jest chora, i wybrała się w kolejną długą podróż do Filimonek, tym razem, by porozmawiać z dyrektorem. Siedziała przed jego gabinetem i czuła się nieprzytomna z braku snu i głodu, żałowała, że nie zjadła jednak śniadania. Sekretarka siedząca za biurkiem po drugiej stronie pokoju piła herbatę. Wika miała na sobie garsonkę, którą wkładała do pracy, a włosy związała, by wyglądać na więcej niż dwadzieścia cztery lata.

- Wasilij Iwanowicz przyjmie panią. - Sekretarka otworzyła drzwi do gabinetu dyrektora, za którymi skrywały się drugie drzwi, obite grubą czarną skórą.

Wika otworzyła je i weszła do środka.

Dyrektor siedział za masywnym biurkiem. Po lewej stronie miał trzy telefony w odcieniach beżu i szarości oraz czerwieni. Po prawej stronie od biurka stał stół z krzesłami, ale dyrektor nie poprosił Wiki, aby usiadła, zajęty stertą papierów, która leżała przed nim. Na chwilę podniósł głowę i spojrzał na nią. Miał pulchną twarz. Jego korpulentne ciało było wciśnięte w szary garnitur. Wrócił do papierów i zaczął je podpisywać wielkimi zawijasami. W końcu podniósł czerwoną słuchawkę, warknął kilka rozkazów swojej sekretarce, kazał jej między innymi upewnić się, że kierowca dostarczy papiery do ministerstwa w ciągu godziny. Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Wiki.

- Co panią do nas sprowadza, młoda damo? - zapytał protekcjonalnym tonem.

Wika wciąż stała przed jego biurkiem, nie poprosił jej, by usiadła. Wzięła głęboki oddech i powiedziała mu, że przyjechała

porozmawiać o chłopcu, który został umieszczony pod jego opieką w dziecięcym skrzydle na piątym piętrze.

Wtedy dyrektor jej przerwał i zaczął opowiadać, jakie miał problemy z ustanowieniem tego skrzydła. A wszystko dlatego że dziecięce szpitale psychiatryczne były przepełnione. Urzędnicy z departamentu przyjechali osobiście i błagali go, by udostępnił na ten cel jakąś przestrzeń. Była to ogromna niedogodność - musiał bowiem zatrudnić nowy personel w bardzo krótkim czasie - ale sobie z nią poradził.

Wika zupełnie nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, więc po prostu przeszła do swojej prośby.

- Chłopiec nazywa się Wania, Wania Pastukow. Nie powinien tu być. Jest inteligentny, mówi, potrzebuje edukacji i pomocy w nauce chodzenia.

- Bzdura. Wszystkie dzieci, które tu trafiają, zostają najpierw zdiagnozowane przez komisję jako niekwalifikujące się do edukacji. Innymi słowy, to nieuleczalni oligofrenicy, potrzebują tylko opieki. A my im tę opiekę zapewniamy. Karmimy i utrzymujemy w czystości. Zapewniam panią.

Jego słowa były jak cios w głowę. Wika zebrała w sobie wszystkie siły, by móc kontynuować.

- Myślę jednak, że sam dojdzie pan do wniosku, Wasiliju Iwanowiczu, że w tym przypadku komisja popełniła błąd. A ja przyjechałam prosić pana o kopię jego akt medycznych, aby umożliwić mu przeniesienie do Domu Dziecka nr 19, gdzie Wania mógłby się uczyć.

Gdy dyrektor zrozumiał, że Wika nie zamierza odejść, wezwał sekretarkę i poprosił ją o przyniesienie teczki Wani. Gdy czekali, powiedział Wice, że nigdy nie słyszał o domu dziecka w Dmitrowie i że oni nigdy nikogo tam nie przenosili.

Przejrzał teczkę, a potem ogłosił triumfalnym tonem:

- Proszę spojrzeć, oto diagnoza, i to całkiem świeża. Oli-gofrenia w stadium wyraźnego kretynizmu. Praktycznie imbecyl. Tak jak mówiłem. - Posłał jej protekcyjnalne spojrzenie. - Słowami laika, młoda damo, oznacza to całkowitą niezdolność do nauki.

Nie czekając już dłużej na zaproszenie, Wika przysunęła sobie krzesło i usiadła. Postanowiła podjąć ostatni wysiłek, by dotrzeć do tego mężczyzny.

- Ja znam Wanię. Odwiedzałam go w domu dziecka co tydzień przez dwa lata. Szybko się uczy. Zna różne piosenki i wierszyki. Tyle że mieszkał w cichym pokoju, w którym żadne z dzieci nie mówiło.

- Myśli pani więc, że zna się na tym lepiej niż specjaliści? Brnęła dalej.

- Nie należy przetrzymywać go w łóżeczku dwadzieścia cztery godziny na dobę. On potrzebuje stymulacji. Musi żyć.

Mężczyzna w szarym garniturze wyraźnie się zdenerwował. Odepchnął krzesło i wstał.

- Pójdę osobiście zobaczyć tego chłopca i wtedy zobaczymy, czy zgadzam się z pani diagnozą.

Wrócił po dziesięciu minutach, usiadł za biurkiem i wziął do ręki długopis. Odzyskał spokój.

- Widziałem go. Wypiszę dla pani kartkę.

- Och, dziękuję, dziękuję, Wasiliju Iwanowiczu. - Dyrektor zaczął pisać. - I zmieni pan diagnozę, by mógł iść do szkoły, prawda? Nie przyjmą go, jeśli we wniosku wpisze pan: imbecyl.

Dyrektor przestał pisać i utkwiał w Wice wrogie spojrzenie.

- Nie mam zamiaru zmieniać mu diagnozy. To nie tylko imbecyl, ale też brudas niezdolny zatroszczyć się o samego siebie. Cieknie mu z nosa i nie umie korzystać z nocnika.

Gdy znów zaczął pisać, Wika mogła już tylko wbić wzrok w podłogę i modlić się za niego, by przestał być ślepy na potrzeby dzieci, które powierzono jego pieczy, i zaczął dostrzegać w nich ludzi, a nie tylko beznadziejne przypadki. Nagle skrobanie długopisu na kartce ustało.

- Oczywiście, gdyby nas zmuszono do życia w takich warunkach, Bóg jeden wie, w co byśmy się zamienili.

Zdumiona Wika podniosła głowę. Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Wpatrywała się w dyrektora, szukając oznak zmiany nastawienia. Czy naprawdę usłyszała te słowa? Miała się nad tym zastanawiać przez długie lata. Dyrektor kontynuował jednak wystawianie złowrogiego aktu oskarżenia dla Wani, jakby te słowa nigdy nie padły z jego ust.

Znów przerwał pisanie. Coś przyszło mu do głowy.

- A kim pani jest tak w ogóle? Krewną?

Musiała myśleć szybko. Czy powinna skłamać i przedstawić się jako ciotka Wani?

- Jestem jego matką chrzestną.

- Czyli nikim. A ja nie muszę nic dla pani robić. - Podniósł kartkę i przedarł ją w połowie. - Mam już pani dość. Jeśli poprosi pani o coś jeszcze, pani także wystawię złą diagnozę. A teraz proszę wyjść. - Jego twarz stała się jaskrawo-czerwona, wykrzywił ją gniew. Wstał i krzyknął jeszcze na pożegnanie: - Mamy tu ludzi dokładnie takich jak pani. W zasadzie to miejsce właśnie dla was stworzono.

Gdy Wika wyszła z gabinetu, czuła się upokorzona, jak uczennica, która otrzymała reprimendę. Zaczęła wchodzić po schodach na piąte piętro, ale po chwili się zatrzymała. Jak miałyby teraz spojrzeć Wani w oczy? Czuła, że go zawiodła. Wszystkie jej wysiłki spełzły na niczym. Odwróciła się i pobiegła do wyjścia odetchnąć świeżym powietrzem. Usiadła na trawie pod brzozą, oparła się plecami o pień i zaczęła wpatrywać się w zielone pola na horyzoncie.

Elena podpowiedziała jej, jak uratować Wanię, a ona właśnie wszystko zniszczyła. Nikt na nią nie patrzył, więc pozwoliła płynąć łzom. Dlaczego nie powiedziała, że jest jego ciotką? Dlaczego zirytowała dyrektora, prosząc go o zmianę diagnozy? Ból nie opuszczał jej przez cały dzień. - Czułam, że przez to, co powiedziałam, Wania utknął w tym strasznym miejscu na zawsze. Wiedziałam, że wkrótce przestanie mówić. Przestanie się ruszać, a jego kończyny zeszywnieją, tak jak kończyny innych dzieci. Pomyślałam, że lepiej byłoby, gdyby Bóg zabrał go szybko do siebie. Wyobraziłam go sobie w niebie biegającego po słonecznej dolinie.

Oryginalny plan zakładał uzyskanie listu u dyrektora zakładu, zawieszenie go do Domu Dziecka nr 19 i błaganie jego pracowników, by wzięli Wanię. Wika nie miała jednak listu, nie udało się jej zmienić diagnozy i nie mogła liczyć na pomoc dyrektora. Wyrwała z ziemi kępkę trawy. Ostatnie pięć lat poświęciła zdobywaniu dyplomu z fizyki, lecz co dobrego mogło ją spotkać w świecie, w którym trzeba pochlebiać biurokratom, by zgodzili się chociaż kiwnąć palcem dla ciebie? Czego nauczył ją jeden z jej profesorów? Nawet jeśli

podejrzewasz, że znasz odpowiedź, i tak musisz zadać pytanie, by wykluczyć wszystkie inne możliwości. Wynik negatywny nie oznacza, że eksperyment się nie powiódł. Uświadomiła sobie nagle, że to tylko jeden kierunek. Musi jechać do tamtego sierocińca i tam zadać pytanie. Wstała, otrzepała trawę ze spódnicy i poszła na przystanek.

Nim dotarła do Domu Dziecka nr 19, jej pewność siebie zniknęła. Jechała tam z pustymi rękami. Mogła im tylko dać słowo, że Wania nadaje się do nauki. Nie poddała się tylko dlatego, że jej nowa przyjaciółka z kościoła zapewniła ją, iż personel w tym sierocińcu to dobrzy ludzie i że na pewno jej wysłuchają.

Pierwsze pytanie, które jej zadano, dotyczyło diagnozy Wani. Wika nie mogła skłamać.

- Nie możemy go przyjąć z taką diagnozą - odpowiedział wprost dyrektor. - Nasze dzieci chodzą do szkoły.

Powiedziała mu, że właśnie tego Wania potrzebuje - edukacji, ale nie dało się go przekonać.

Po rozmowie Wika usiadła na ławce na zewnątrz. Zaczęła płakać i siedziała tam przez dłuższą chwilę. Wyszedł do niej dyrektor z asystentką. Próbowwała ukryć łzy, ale dyrektor wszystko zauważył.

- Dużo pani myśli o tym chłopcu - stwierdził.

Potem zadeklarował, że pojedą sami zobaczyć Wanę, jeśli Wika znajdzie dla nich samochód, który zabierze ich i po wszystkim odwiezie.

Wika nie miała samochodu, ale zdołała zamówić jeden dla dyrektora na dwa dni później. Sama pojechała autobusem

i spotkała się z dyrekcją na miejscu. Przyprawiono im Wanię. Chłopiec był w strasznym stanie, znacznie gorszym niż przed dwoma tygodniami, gdy Wika widziała go po raz pierwszy. Był w szoku. Prawie nie poznał Wiki i bardzo bał się obcych.

Poprosili go, by pokazał kwadraty i trójkąty i dopasował je do siebie. Wika obserwowała go i modliła się. Zdołał w końcu to zrobić, ale potem test stał się trudniejszy. Dali mu ołówek i kartkę papieru i kazali narysować okrąg. Dłonie Wani drżały. Z całych sił starał się narysować okrąg, ale nie zdołał. Wika dostrzegła na twarzach mężczyzn, że już podjęli decyzję. Próbowwała im wyjaśnić, że chłopiec bardzo się cofnął, odkąd trafił do internatu.

- Może ma potencjał - zgodził się z nią dyrektor Dmitrowa - ale w tym stanie się do nas nie nadaje.

Było mu naprawdę przykro, ale nie mógł przyjąć chłopca. Wika nie zdołała go przekonać.

- Winiłam siebie - wspomina. - Gdybym wcześniej poprosiła o pomoc kongregację, Wania nigdy nie trafiłby do internatu i nie skończyłby w takim stanie. To moja pycha sprawiła, że myślałam, iż mogę wszystko zrobić sama.

Wika zrozumiała w końcu, że traci czas, próbując znaleźć dla Wani jakieś miejsce w Rosji, gdzie mógłby się kształcić i rozwijać. Rosja odrzuciła tego wyjątkowego chłopca, ten dar od Boga. Postanowiła więc udać się w kolejną podróż, by znaleźć jedyną osobę, która mogła mu pomóc - jego matkę.

## ROZDZIAŁ 7

### OPOWIEŚĆ MATKI

#### *Czerwiec 1996*

Całą wieczność zajęło nam odnalezienie ulicy Miakinińskiej 2 - wspomina Wika ten okropny czerwcowy dzień. - Znów na pierwszym miejscu postawiłam Wanię. Obiecałam szefowi, że tylko poranek wezmę wolny, ale gdy nadeszło południe, a ja wciąż nie znalazłam szukanego adresu, stało się jasne, że i tego dnia nie pojawię się w pracy. Wieś Miakinino była maleńka, ale i tak zabłądziliśmy, a wszyscy przechodnie, których spotykaliśmy, mówili, że takiej ulicy w ogóle tam nie ma. W wiosce nie było zresztą tabliczek z nazwami ulic, tylko drewniane domki rozrzucone wśród drzew. Czas mijał, a ja coraz bardziej bałam się, że miły człowiek, który zgodził się być moim kierowcą podczas tej skomplikowanej operacji, straci cierpliwość i wróci do Moskwy. A ja nawet jeszcze nie zaczęłam tego, co chciałam zrobić.



Kierowca po raz trzeci zaparkował samochód na głównej ulicy. Zobaczyli przechodzącą obok kobietę i poprosili ją o wskazówki.

- To nie w tej wiosce na dole - uświadomiła im. - Wy szukacie nowego osiedla, na wzgórzu. Skręćcie w lewo i jedźcie do góry, a na pewno znajdziecie. To jedyny trzypiętrowy budynek w okolicy.

Najwyraźniej kobieta była jedną z tych osób, które musiały wiedzieć o wszystkim, co się dzieje w ich wsi.

- A kogo tam szukacie?

- Nataszy Pastukowej - odparła Wika. Kobieta otworzyła szeroko oczy.

- Natasza Pastukowa... nie wiem, czy ją tam znajdziecie. Ona to mieszkanie wynajmuje. Nie widziałam jej od wielu miesięcy.

Wika i kierowca wjechali na wyboistą główną ulicę i skręcili w polną drogę. Na szczycie wzgórza zauważyli cztery małe bloki z białej cegły. Wika wysiadła, a kierowca powiedział jeszcze:

- Zostanę tu na wypadek, gdyby mnie pani potrzebowała. Tylko jeden blok miał trzy piętra, Wika przeszła przez

brzozowy zagajnik obok podwórka dla dzieci i weszła do środka. Mężczyzna z brodą, który ją tego dnia woził, pracował dla amerykańskiej agencji adopcyjnej. To on powiedział Wice, że jedyną osobą, która może uwolnić Wanię z zakładu, jest jego biologiczna matka. Dzięki swojej pozycji w agencji mężczyzna odnalazł jej adres, a gdy Wika powiedziała mu, że nie ma nikogo, kto mógłby jej towarzyszyć, zgodził się ją tam zawieźć. Teraz Wika musiała jeszcze tylko przekonać Nataszę, by zrobiła tę straszną rzecz, która ocali jej syna.

Stała przed drzwiami mieszkania Nataszy i nacisnęła dzwonek. Gdy rozległ się cichy dźwięk, przyłożyła ucho do drzwi. W środku panowała cisza. Znów zadzwoniła. Tym razem usłyszała jakiś szelest, a po chwili ktoś zawołał:

- Kto tam?

- Mam na imię Wika. Czy to Natasza, Natasza Pastukowa?  
Zapadło milczenie.

- Tak, to ja. Czego pani chce?

- Przyszłam w sprawie Wani, pani syna.

Rozległ się szczeł zamka, w uchylonych drzwiach stała szczupła kobieta z kręconymi brązowymi włosami. Miała na sobie stary bawełniany szlafrok i kapcie. Gestem zaprosiła Wikę do salonu. Pokój był prawie pusty, stała w nim tylko kanapa pełna dziur po papierosach z poduszką i kocem w rogu, połamany fotel, poplamiony stolik kawowy i telewizor balansujący na kuchennym zydłu.

Natasza usiadła w fotelu, a Wika na sofie. Kobieta miała takie same kręcone brązowe włosy i usta jak Wania. Mieszkanie było czyste, ale wydawało się niezamieszkanе.

- Czy Wania dobrze się czuje? Nie umarł chyba? - zapytała Natasza cicho.

- Nie, ale potrzebuje pani pomocy.

Wika opowiedziała, jak zaczęła odwiedzać Wanię w domu dziecka, w którym chłopiec oczarował cały personel i nauczył mówić swojego kolegę. Pomimo jego oczywistej inteligencji został zdiagnozowany jako niekwalifikujący się do edukacji i odesłany do internatu. Teraz cofał się w rozwoju skazany na zamknięcie w łóżeczku. Natasza nic nie mówiła, ale chłoneła każde słowo Wiki. Wika opowiedziała jej też, że poznała przedstawiciela amerykańskiej agencji adopcyjnej.

- Wydaje się bardzo miły. Mówi, że umieści Wanię w klinice i zapłaci za operację nóg i zmianę diagnozy. Potem poszuka jakiejś pary za granicą, która zechciałaby go adoptować. Myślę, że to jedyna nadzieja dla Wani. - Wika spojrzała Nataszy prosto w oczy i dodała: - Ale nie da się tego zrobić, jeśli nie zrzeknie się pani swoich praw rodzicielskich. Czy zrobi to pani dla Wani?

Z początku Natasza milczała pogrążona w bolesnych wspomnieniach. Wika zaczęła naciskać.

- Czy zrobi to pani dla swojego syna? Czy zrzeknie się pani praw rodzicielskich dla dobra swojego syna?

- A czy to naprawdę mu pomoże?

- Tak. To jedyny sposób.

- Dobrze, w takim razie zrobię to dla dobra Wani.

Gdy Wika wspomina tę rozmowę, wciąż czuje niedowierzanie.

- Wtedy nie byłam świadoma absurdu tego spotkania. Byłam skoncentrowana na tym, by nakłonić Nataszę do zrzeczenia się praw rodzicielskich. Gdy jednak teraz patrzę wstecz, widzę, jak okrutny był ten system. Gdy Wania znalazł się w tragicznej sytuacji, jedyne, co mogła zrobić jego biologiczna matka, to wyrzec się go całkowicie.

Taka była potworna logika radzieckiego systemu opieki nad dziećmi. Komuniści zdegradowali rodzinę do najniższego poziomu, ogłosili, że to państwo powinno przejąć opiekę nad dziećmi, które miały nigdy nie wyrosnąć na zdolnych do pracy robotników, co w praktyce oznaczało ukrywanie ich i pozbawienie wszelkiego kontaktu z rodzinami, edukacją i leczeniem.

Nadejście kapitalizmu dało nielicznym możliwość ucieczki z tego dziecięcego gułagu. Jeśli pojawiała się szansa na eksport dziecka, na którym dzięki zagranicznym agencjom adopcyjnym można było zarobić, nagle okazywało się, że dziecko może trafić do szpitala na leczenie, na które dotąd nie miało szans. Rosyjscy lekarze robili wtedy, co mogli, by te wybrakowane egzemplarze zamienić w najwyższej klasy materiał eksportowy. Miłość matki nie miała żadnego znaczenia dla tego procesu. Jej rola polegała tylko na zrzeczeniu się praw, by maszyna mogła pójść w ruch.

Natasza rozumiała pokrętną logikę tej sytuacji. Rodzicom, którzy postanowili zatrzymać swe niepełnosprawne dzieci w domu, państwo nie udzielało żadnej pomocy. Przyszłość Wani leżała za granicą. Jej obowiązkiem było mu w tym pomóc. Zgodziła się na to. Nie była jednak gotowa na kolejne żądanie Wiki - to, które na pierwszym planie stawiało jej poczucie winy wobec syna.

- Zrobię to dla dobra Wani - powtórzyła. - Zaraz napiszę list. - Zaczęła się rozglądać po pustym mieszkaniu. - Nie mam żadnej ładnej papeterii.

- Pani nie rozumie. Musi pani jechać ze mną do zakładu i napisać taką deklarację przy dyrektorze.

- A nie mogłabym napisać jej tutaj i przekazać pani?

- Nie. To trzeba zrobić oficjalnie. Musi pani wziąć dowód osobisty.

- Nie mogę jechać dzisiaj.

- Samochód już na nas czeka. Mam go tylko dzisiaj, a bardzo trudno dotrzeć do zakładu transportem publicznym.

- Jest jeszcze jeden problem. Nie mam przy sobie dowodu  
Pożyczyłam go koleżance.

- Cóż, w takim razie będziemy jeszcze musiały znaleźć tę  
koleżankę.

Natasza chyba zrozumiała, że nie ma sensu się sprzeczać bo  
zniknęła w sypialni, by się przebrać. Wydawało się, że się  
poddaje i zgodziła jechać do Filimonek, ale Wika wciąż się  
martwiła, że jednak zmieni zdanie.

Natasza wróciła po chwili z uczesnymi włosami, w kiedyś  
drogiej, a teraz sfatygowanej czarnej skórzanej kurtce i czarnej  
spódnicy. Wsiadły do samochodu i zjechały ze wzgórza do  
wioski. Zatrzymały się przed niskim blokiem lo tu mieszkała  
przyjaciółka Nataszy, Mama Wina Wika zastanawiała się, kim  
może być ta kobieta - zapewne filarem lokalnej społeczności,  
skoro można bez obaw powierzyć jej dowód.

Na ławce przed domem siedziały dwie staruszki, które od razu  
rozpoznały Nataszę.

- Mamy Winy nie ma w domu. Godzinę temu wyszła do  
sklepu.

Natasza bez słowa wróciła do samochodu. Sklep był oddalony  
od bloku o dwie minuty jazdy. Natasza nie weszła do sklepu,  
zamiast tego weszła na ścieżkę w trawie po drugiej stronie drogi.  
Wika szła tuż za nią. Zdumiała się, gdy Natasza uklękła na ziemi  
i zaczęła szukać czegoś w krzakach Po chwili wyciągnęła z nich  
podchmieloną kobietę, która nie była w stanie ustać na nogach.  
To była właśnie Mama Wina Gdy zaczęła się kołysać na boki, z  
krzaków wypełznął zaniedbany mężczyzna z oznakami  
ostatniego stadium alkoholizmu

Wika śmieje się, gdy przypomina sobie, jaki szok ją ogarnął.

- Przez sekundę widziałam siebie oczami babci: niewinna młoda dziewczyna szukająca towarzystwa wyrzutków, którzy całe dni spędzają na picciu w parku.

Natasza zdołała zagonić jakoś oboje pijaków do samochodu. Odwieźli ich do domu Mamy Winy. W szufladzie znaleźli dowód Nataszy. Natasza podała go Wice.

- Proszę... proszę go wziąć. Proszę jechać beze mnie. Znów Wika musiała jej przypominać, że to jedyna szansa

Wani, że Natasza nie ma wyboru - musi z nią jechać.

Gdy tylko wsiadły do samochodu, Natasza zaczęła płakać. Opowiedziała jej wszystko.

- Jakby się spowiadała - mówi Wika. - Miała już dwoje dzieci, gdy zaszła w ciążę z Wanią. Jej pierwsze dziecko, Wadim, przyszło na świat, gdy miała ledwie osiemnaście lat i była z pierwszym mężem. Nie była gotowa, by zostać matką, więc oddała chłopca na wychowanie swojej matce. Cztery lata później, gdy poznała swojego drugiego męża Anatolija, urodziła córkę Olgę. Dla niej była już znacznie lepszą matką. Ale wydarzyło się coś strasznego. Najpierw zmarł jej ojciec, potem matka, na raka, w odstępie miesiąca. Straciła całe wsparcie. Jej były mąż przygarnął Wadima, a Olgę zabrano do domu dziecka.

Wtedy Natasza dowiedziała się, że znów jest w ciąży. Przeprowadziła się do mieszkania rodziców z Anatolijem. Oboje zrezygnowali z picia i postanowili zacząć od nowa. Przekonała władze, by oddały jej Olgę. Bez matki było jej jednak bardzo ciężko. Bardzo za nią tęskniła.

Nie dbała o siebie, gdy była w ciąży. Obwiniła siebie za przedwczesny poród Wani. Przyszedł na świat w szóstym miesiącu i ważył niewiele ponad kilogram. To był cud, że przeżył. W szpitalu powiedzieli jej, że wcześniaki zawsze nabawiają się porażenia mózgowego i że malec będzie wielkim ciężarem dla niej i jej rodziny. Naciskali, by zrzekła się praw rodzicielskich i oddała chłopca pod opiekę państwu, nawet zaczęli dyktować jej list. Ona jednak odmówiła.

Nie było jej łatwo. Od dnia narodzin Wania więcej czasu spędzał w szpitalu niż w domu. Ciągłe zapadał na zapalenie płuc. Odwiedzała go tak często, jak tylko mogła. Ale Olgi nie wpuszczano do szpitala, a jej mąż pracował. Sąsiedzi mieli już dość jej próśb o to, by zajęli się Olgą. Byłoby całkiem inaczej, gdyby żyła jej mama.

Lekarze powiedzieli jej, że dziecko nigdy nie będzie chodzić ani mówić. Wania czynił jednak postępy; tyle że lekarze woleli tego nie widzieć. Pracowała z nim i nauczyła go wstawać. A lekarze wciąż doradzali jej, by się poddała.

- Był taki ładny i miał kręcone włoski. Co tydzień zabierałam go na masaż. Kiedyś masażysta powiedział: „Proszę spojrzeć, jakie ma szerokie ramiona. To prawdziwy mężczyzna”. Ta uwaga dodawała mi sił przez wiele miesięcy. A potem zabrałam go do szpitala, a sanitariusz rzucił: „Wydałaś na świat Bóg wie co i teraz przynosisz to nam do leczenia. Po co go tu przyprowadzasz?”.

W jej głosie było tyle bólu, nawet sześć lat później te słowa były jak otwarta rana w jej sercu.

- To doświadczenie wpędziło mnie w głęboką depresję. Sąsiedzi też już nie chcieli pomagać. Powiedzieli, że

powinnam oddać małego do domu dziecka. Gdybym tylko nie była taka słaba. Znów zaczęłam pić. To wszystko moja wina. Ma zeza. To też moja wina, bo podawałam mu butelkę od złej strony.

Wika wyjaśniła jej, że takie coś wcale nie powoduje zeza i że Natasza nie powinna się obwiniać. Kobieta jednak w ogóle jej nie słuchała, kontynuowała swoją spowiedź. Wszystkie złe wspomnienia, które próbowała zagłuszyć alkoholem, teraz się z niej wylewały. Opowiedziała Wice, jak kiedyś zostawiła synka pod opieką Olgi, a mały spadł z łóżka.

Wika odpowiedziała, że wszystkie dzieci spadają z łóżek, ale Natasza ją zignorowała, powtarzała, że to jej wina i że Olga była za mała, by zostawiać ją z dzieckiem. Płakała w ciszy przez kilka minut, a potem zapytała:

- Wiko, czy naprawdę ktoś go zechce? Czy ktoś go weźmie i da mu dobre życie? Tego właśnie pragnę najbardziej na świecie.

Godzinę później weszły do biura dyrektora - tego samego miejsca, w którym dwa tygodnie wcześniej Wika została tak upokorzona. Ku jej zdumieniu, ten sam mężczyzna, który spurpurowiał z gniewu z powodu jej bezczelności, teraz powitał ją z uśmiechem, jak kogoś znajomego. Wkrótce pojęła, skąd ta zmiana nastroju - pojawił się jeszcze słabszy cel, nad którym mężczyzna mógł się znieść.

Zwrócił się do Nataszy.

- Co pani robi w moim biurze?

- Przyszłam pomóc mojemu synowi - odparła Natasza ledwie słyszalnym głosem.

- Na to chyba już trochę za późno - zadrwił dyrektor.



- Proszę, chcę, by otrzymał najlepszą opiekę medyczną i został adoptowany. - Rzuciła Wice nerwowe spojrzenie.

- A widziała gopaniwogóle? Wie pani, w jakim jest stanie?

- N-n-nie. - Natasza zbladła jak ściana.

- To w takim razie sprawdźmy. - Dyrektor podniósł czerwoną słuchawkę i warknął: - Przyprowadźcie Pastukowa.

Kilka minut później do gabinetu weszła kobieta w białym kitlu z Wanią na rękach. Chłopiec był blady jak duch, jego rozbiegany wzrok nie rozpoznawał tego dziwnego otoczenia i obcych ludzi. Był tak przerażony, że nie poznał nawet Wiki. Opiekunka postawiła go na środku pokoju i chwyciła go pod ramiona.

- Odwróć go - rozkazał dyrektor. Opiekunka odwróciła Wanię jak rolnik wystawiający zwierzę na rynku, tyle że ona akurat miała za zadanie pokazać go od jak najgorszej strony. - Proszę się przyjrzeć swojemu synowi. Właśnie tak wygląda.

- Natasza była równie przerażona jak jej syn - wspomina Wika. - Siedziała tylko i wpatrywała się w niego. Mężczyzna z agencji adopcyjnej siedział pomiędzy nimi i patrzył to na mnie, to na Nataszę. Musiałam położyć kres upokarzaniu Wani. Podeszłam do niego, by go uspokoić, zachęcić go do mówienia, ale z jego ust nie padło żadne słowo. Staralam się, jak mogłam, ale nie odpowiedział na żadne z pytań dyrektora. System zredukował go do stanu, który lekarze przepowiedzieli mu sześć lat wcześniej.

Nikt nawet nie pomyślał, by powiedzieć Wani, że przyszła jego matka i że pomimo wszystkich błędów, które popełniła, wciąż jej na nim zależy, że myśli o nim każdego dnia. Natasza była zbyt zdruzgotana, by się bronić.

Wania został zabrany z powrotem na piąte piętro, do swojego łóżeczka na oddziale dziecięcym. Natasza w obecności dyrektora napisała odręczny list, zgodnie z wymogami prawa. On dyktował. „Ja, Natalia Iwanowna Pastukowa, niniejszym zrzekam się praw rodzicielskich do mojego syna...” Zrobiła to, przed czym tak dzielnie broniła się sześć lat wcześniej, w szpitalu.

Gdy Wika wspomina tamte dni, dostrzega, że więź matki z synem, tak nisko ceniona przez komunistów, została zerwana na długo przed tym, nim Natasza napisała list, w którym zrzekła się praw rodzicielskich. To w tych upokarzających okolicznościach widzieli się oni po raz ostatni.

Gdy wszyscy troje wsiedli do samochodu, kierowca oświadczył, że nie może odwieźć Nataszy do domu, ale może ją podrzucić do ostatniej stacji metra. Gdy Natasza wysiadała z samochodu, dowód wysunął się z potarganej kieszeni jej skórzanej kurtki i upadł do rynsztoka. Wika go wyłowiała i oddała jej. Natasza włożyła go do tej samej kieszeni i zniknęła na schodach prowadzących do metra. Wyglądała krucho i samotnie pośród kłębiącego się tłumu.

## ROZDZIAŁ 8

### SZCZUR

#### *Kwiecień - czerwiec 1996*

Wania leżał w swoim żelaznym łóżeczku senny po podaniu bardzo silnego środka uspokajającego. Przywykł już do tego uczucia, które go ogarniało po każdej wizycie w pokoju z brązowymi płytkami. Po raz pierwszy zabrano go tam po tym, gdy opiekunka pełniąca dyżur próbowała mu włożyć do ust butelkę. Odwrócił głowę i oświadczył:

- Jestem już za duży na butelkę. Jem przy stole. Chwilę później ktoś wziął go na ręce, zaniósł do pokoju obok i położył na brzuchu na ławce. Poczł ukłucie bólu w pośladku. Gdy wrócił na salę ogólną, nie zaproponowano mu już nic do jedzenia - nawet butelki - tylko wrzucono z powrotem do łóżeczka.

Gdy tak leżał, czuł się zbyt ospały, by poprosić o pozwolenie skorzystania z nocnika. Zawsze ignorowali jego prośby,

ale on i tak za każdym razem pytał. Nienawidził siusiać na plastikowy materac jak inne dzieci, ale nie miał wyboru. Na początku było mu ciepło, gdy płyn tworzył kałużę na materacu, ale potem wszystko stygło, a on z niecierpliwością czekał, aż ktoś przyjdzie i wytrze plamę, co mogło trwać nawet pół dnia. Czuł wstyd, gdy przypominał sobie, jak ciocia Walentyna uczyła go korzystać z nocnika i przestawała go całować, gdy zdarzył mu się wypadek.

Nagle usłyszał drapanie. Brzmiało to tak, jak szczury, które chodziły po pokoju nocą. Zebrał w sobie wszystkie siły i uniósł głowę. Na końcu materaca siedział ogromny gryzoń i wpatrywał się w niego wielkimi oczami. Wania chciał usiąść i krzyknąć, ale narkotyki odebrały całą moc jego ciała i związały mu język. Próbował go kopnąć, ale jego nogi nie reagowały. Szczur siedział na materacu jak na swoim łóżku i drwił z niemocy Wani. Ośmielony, oparł się na czterech łapach i pobiegł brzegiem materaca do jego głowy. Wanię ogarnęło przerażenie. Szczur zbliżał się do jego twarzy. Na pewno go pogryzie, a on nie może się ruszyć. Zacisnął powieki i czekał. Wyczuł na twarzy pęd powietrza, gdy szczur przemknął obok niego i skoczył na podłogę.

Znów popadł w otepienie. Chciał tylko leżeć nieruchomo. Nie próbował już ruszać rękami i nogami. Miał zamknięte oczy. Czas mijał, ale Wania nie wiedział, ile go upłynęło. Nagle na piersi usiadło mu coś ciężkiego, pozbawiając go tchu. Wania otworzył oczy i zobaczył Sławę, chłopca z łóżeczka obok, który zazwyczaj był przywiązany. Sława zdołał się jakoś uwolnić, uciekł ze swojego łóżeczka i wszedł do łóżeczka Wani. Usiadł na piersi kolegi i zaczął na niej podskakiwać.

Wania nie miał na tyle siły w nogach, by go strząsnąć, ale zdołał zepchnąć go ze swojej piersi. Sława chwycił go za rękę i ugryzł z całej siły. Wania krzyknął. Zachęcony Sława przesunął się wyżej i zacisnął zęby na uchu Wani. Wania walczył obiema rękami, by odepchnąć swego oprawcę, przepełniony bólem promieniującym ze zranionego ucha i ramienia.

Sławie sił dodawały wszystkie demony, tłukące mu się po głowie. Wania walczył o oddech, ale demony wygrywały. W tej samej chwili gdy Wania zrozumiał, że dłużej już nie wytrzyma, miazdzący mu płuca ciężar zniknął. Zaczepnął tchu. Jego ucho zostało uwolnione spod szczęk Sławy. Usłyszał głos mężczyzny:

- Wystarczy. Puść. - Silne palce oderwały dłonie Sławy z ramienia Wani.

Jego głowa opadła z powrotem na plastikowy materac. Sławę ktoś odniósł do jego łóżeczka. Chłopak, który przerwał walkę, wrócił do Wani i spojrzał na jego pogryzione ucho i ramię.

- Lepiej cię umyjemy - powiedział, biorąc Wanię na ręce.

Był to młody mężczyzna z niesfornymi rudawymi włosami i piegami. Na szyi na sznurówce miał zawieszony krzyżyk. Wania nigdy wcześniej go nie widział i teraz nie mógł oderwać wzroku od swego wybawcy, który okazał się częściowo chłopcem, a częściowo mężczyzną.

Wania rozluźnił się w objęciach nieznanego, gdy szli korytarzem. A może to właśnie jest jego Anioł Stróż? Czy tak wyglądają anioły?

Weszli do pomieszczenia, którego Wania nigdy wcześniej nie widział. Ten pokój miał białe płytki i krany. Nastolatek

rozglądał się przez chwilę w poszukiwaniu jakiegoś miejsca dla Wani, aż w końcu włożył go do umywalki.

- Zaraz wracam. Tylko nie zakrwaw tu wszystkiego.  
-Uśmiechnął się, a Wania zauważył, że brakuje mu jednego zęba.

Gdy tak siedział w umywalce z nogami przewieszonymi na zewnątrz i zakrwawionym uchem, starał się ignorować ból. Niewygodę całkiem zagłuszała radość z nawiązania pierwszego kontaktu z żywym człowiekiem. Po tylu tygodniach w zakładzie ktoś w końcu się do niego uśmiechnął.

Nastolatek wrócił z dużą brązową butlą i wacikami. Zanurzył watę w płynie, który zabarwił ją na jaskrawy zielony kolor. Przecierał rany Wani, aż całe przedramię chłopca stało się zielone. Wania krzywił się przy każdym muśnięciu, bo płyn wywoływał nieznośne pieczenie.

- Nie płacz, maluchu. Do wesela się zagoi.

- Do wesela się zagoi - powtórzył Wania. - Tak mówi ciocia Walentyna, gdy zrobię sobie krzywdę.

- Czyli jednak mówisz? A masz jakieś imię?

- Wania. A ty?

- Ilia.

- Czy jesteś moim Aniołem Stróżem? Ilia spojrzał na chłopca ze zdumieniem.

- Co masz na myśli?

- Wika powiedziała, że gdy stanie się coś złego, muszę tylko przywołać mojego Anioła Stróża, a on na pewno przyjdzie. Sława mnie gryzł, a ty mnie uratowałeś. Musisz być moim Aniołem Stróżem.

- A czy mam skrzydła i aureolę? - Uśmiechnął się. Od dawna nie słyszał czegoś tak zabawnego.

- Czyli nie jesteś moim Aniołem Stróżem. - Wania nie potrafił ukryć rozczarowania. Zastanawiał się przez chwilę. Nigdy wcześniej nie widział opiekunki płci męskiej. - Czy to twój dyżur?

- Tak jakby. Często każą mi po was sprzątać.

Ilia odstawił butelkę i pochylił się, by wziąć Wanię na ręce. Wanię natychmiast ogarnęła panika na myśl, że zaraz zostanie ułożony w łóżeczku pomiędzy jęczącymi, kołyszącymi się na boki dziećmi.

- Ilia, czy mógłbyś mnie zabrać na zewnątrz? - zaczął błagać rozpaczliwie. - Tylko na chwilę.

- Nie wolno mi wynosić cię na zewnątrz. Wania spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Przecież tu pracujesz.

- Wania, ty nic nie rozumiesz. Ja tu mieszkam, tak jak ty. -Ilia zamilkł. Gdy zobaczył wyraz twarzy Wani, wpadł na pewien pomysł. - Odniosę tę butelkę i pójdziemy pooglądać telewizję. Czas na mój ulubiony program. Ja się dziś wami zajmuję, więc nikt nie zauważy, że nie ma cię w łóżeczku.

Ilia zaniósł Wanię korytarzem do ponurej świetlicy. Usiedli na ławce przed starym telewizorem, na którym stała przywiedła roślina w białej doniczce. Wania był zachwycony tym, że nie musi wracać do łóżeczka. Ilia włączył telewizor i nagle mroczny korytarz wypełniła głośna muzyka.

Wania otworzył szeroko oczy ze zdumienia. W krótkich seriach telewizor pokazywał silnych, młodych mężczyzn rozkoszujących się słońcem, piękne domy z bujnymi ogrodami i lśniące morze z drzewami o dziwnych kształtach wyrastającymi z piasku.

- To Santa Barbara, w Ameryce - objaśnił Ilia. - Słońce świeci tam codziennie. Nie ma deszczu ani śniegu. Wszyscy są bogaci.

Na ekranie Wania zobaczył chłopca w swoim wieku. Miał ładnie uczesane włosy, tak jak Wania, gdy ciocia Walentyna przebrała go za majora. Były tam jeszcze dwie kobiety, lecz żadna z nich nie wyglądała jak panie, które znał. Nie miały na sobie białych kitlów, przypominały więc raczej Wikę i Sarah, a nie opiekunki. Tyle że ich ubrania były kolorowe i błyszczące.

Jedna miała jasne włosy, a druga ciemne. Przekrzykiwały się nad głową chłopca. Opiekunki często krzyczały na Wanię. Te panie krzyczały jednak na siebie, a chłopiec wcale się ich nie bał. Był jak Andriej, gdy przybierał nieobecny wyraz twarzy.

- To mój syn. Trzymaj się od niego z daleka! - krzyczała ciemnowłosa.

- On zawsze będzie mój. Ukradłeś mi go! To ja jestem jego prawdziwą matką - odpowiedziała jasnowłosa. Trzymała rękę na ramieniu chłopca. Chroniła go. Ciemnowłosa pani zrobiła smutną minę, a potem wyszła z pokoju.

Wania widział, że Ilia jest wręcz pochłonięty tym, co się dzieje na ekranie. Trząsł się cały, ale nic nie mówił. Wania wrócił do oglądania.

Chłopiec z uczesаныmi włosami został właśnie przedstawiony nieco starszej dziewczynce.

- Brandon, to twoja siostra - powiedziała jego nowa mama.

- Zawsze chciałem mieć siostrę - odparł chłopiec.



Mama, chłopiec i dziewczynka uścisnęli się.

- Już nigdy się nie rozstaniemy - powiedzieli.

Program się skończył, a Ilia wyłączył telewizor. Wania widział, że płacze, ale próbuje to ukryć. Gdy się uspokoił, odwrócił się do Wani.

- To jest Ameryka. W Ameryce matki nie oddają swoich dzieci. Walczą o nie. Co za kraj.

Wania nie rozumiał ani słowa. Zaczął się zastanawiać, czym jest ta Ameryka.

W pokoju Wani dzieci były nienormalnie pobudzone. Wania nie wiedział o tym, ale był jeden bardzo prosty powód: zapas leków uspokajających się skończył. Te dzieci, które mogły siadać lub klękać, kołysały się i uderzały głowami w żelazne szczebelki łóżeczek. Te leżące tylko kwiliły rozdzierająco. Wszystkimi opiekowała się tylko jedna udręczona opiekunka. Okna były ściśle zasłonięte, ale światło słoneczne i tak sączyło się do środka przez każdą szparę, malując na podłodze jaskrawe pasy. W powietrzu latały muchy, karmiące się ekskrementami z materaców i osiadające na pupach i oczach maluchów.

Wania wielokrotnie usiłował nawiązać kontakt z dziećmi w łóżeczkach obok. Mała blondynka nazywająca się Iwanowa nigdy nie próbowała siadać, mogła poruszać tylko głowę, którą kręciła z jednej strony na drugą, by cokolwiek zobaczyć. Jej ciało było sztywne, a mięśnie tak napięte, że nogi miała stale zgięte w kolanach. Odwróciła się od niego i zobaczył łysy placek z tyłu jej głowy, wytarty od ciągłego

kontakty z materacem. Dziewczynka nigdy nic nie mówiła, a Wania zauważył, że w ostatnich dniach przestała nawet jęczeć i całkiem umilkła. Teraz już nigdy nie zdoła nakłonić jej do uśmiechu. Opiekunki wciąż podawały jej butelkę trzy razy dziennie, ale dziewczynka straciła całą chęć do ssania. Wania zauważył, że opiekunki poświęcają coraz mniej czasu, by ją do tego nakłonić.

Jego drugim sąsiadem był Sława. Jego potężne ramiona były skrepowane szorstkim kawałkiem płótna, związane za plecami i umocowane do żelaznego pręta łóżeczka. Sława nie mógł się ruszać nawet w obrębie łóżeczka, kołysał się więc tylko gwałtownie w przód i w tył. Wania zawołał go po imieniu, ale nie miał nadziei na odpowiedź. Uśmiechał się do niego, choć Sława nie reagował. W przeciwieństwie do Wani, nie tęsknił za kontaktem z ludźmi. W zasadzie nie okazywał w żaden sposób, że poznaje swego sąsiada, choć upłynęło już przecież mnóstwo czasu.

Na środku czoła Sława miał siniak, który zmieniał już barwę z czerwonego na fioletowy. Musiał go sobie nabić, gdy uderzał głową w kraty. Wania nigdy dotąd nie widział tak wielkiego siniaka i wpatrywał się w niego z zafascynowaniem. Pomyślał o tym dniu, kiedy Sława ugryzł go w rękę i w ucho, przypomniał sobie z zachwytem młodego człowieka, który go opatrzył i posmarował tym piekącym zielonym płynem. Zaczął się zastanawiać, czy Ilia dzisiaj pracuje. Gdyby przyszedł, Wania by go zawołał i poprosił, by czoło Sławy też posmarować tym zielonym. A potem Wania i Ilia mogliby porozmawiać o różnych rzeczach, bo Sława nigdy nic nie mówił, a Ilia musiał przecież chcieć czasami z kimś pogadać.

Wania z trudem tłumił w sobie podekscytowanie na myśl, że coś takiego mogłoby się wydarzyć. Nasłuchiwał dźwięku uderzających o siebie butelek, oznaczających porę południowego karmienia. To wtedy przychodził Ilia. Odwrócił się do drzwi przekonany, że to jego przyjaciel je zaraz otworzy.

Siedział na czworakach twarzą do drzwi i był tak skoncentrowany, że gdy drzwi w końcu się otworzyły, zaczął się zastanawiać, czy to nie jeden ze snów na jawie, które nawiedzały go po wizycie w pokoju z brązowymi płytkami. To nie był Ilia, lecz wysoki mężczyzna z długimi, sterczącymi, czarnymi włosami przyprószonymi siwizną. Miał włosy wokół ust. Wszystko w nim było ogromne - nos, dłonie, wzrost. Z kieszonki na piersi wyjął plastikową rurkę, przyłożył ją sobie do ust, a jego długie palce odnalazły odpowiednie dziurki. Rurka wyglądała śmiesznie w jego dłoniach: ona była taka mała, a jego dłonie wielkie. Zaczął dmuchać, a wtedy z rurki wydobyła się melodia. Gdy grał, przeskakiwał niezręcznie z nogi na nogę jak roztańczony niedźwiedź, przeciskał się pomiędzy łóžeczkami, pochylał się nad nimi i grał każdemu dziecku. Wania dostrzegł, że każda twarz na sali odwraca się w jego kierunku. Nawet Sława przestał się kołysać i słuchał muzyki.

Inne dzieci przyglądały się fleciście w milczeniu, a Wania zaczął podskakiwać w swoim łóžeczku, robiąc wszystko, by mężczyzna go zauważył. Nie mógł odejść, nie przywitawszy się z nim. To było ważne. To była najważniejsza rzecz pod słońcem - by flecista podszedł do jego łóžeczka porozmawiać.

Na szczęście zmierzał w jego kierunku. Utorował sobie drogę do łóžeczka Wani i pochylił się nad nim. Wania

przestał podskakiwać i usiadł wpatrzony w twarz tego muzykującego olbrzyna. Gdy rozległa się melodia, olbrzym zamknął oczy, jakby musiał odciąć się od świata, by móc skoncentrować się na tańcu palców na dziurkach w piszczałce. Potem uniósł powieki, zatoczył piszczałką łuk w powietrzu i powrócił do wystudiowanego skupienia. Odjął piszczałkę od ust i pogłaskał Wanię po głowie.

- Witaj, młody człowieku. Chyba podoba ci się moja muzyka.

- Och, tak. Bardzo.

- Ty mówisz! Jak masz na imię?

- Wania. I wiem, kim pan jest. Jest pan moim Aniołem Stróżem, prawda?

Flecista się roześmiał.

- Tak naprawdę jestem pianistą. Ale bardzo chciałbym być twoim Aniołem Stróżem.

- Wika powiedziała mi, że przyjdiesz, jeśli spojrzę w niebo i będę się modlił. Ale ja nie widzę nieba przez te zasłony w oknach.

- Znam Wikę. Powiedziała mi, jak się tu dostać.

- A znasz też Sarah?

- Oczywiście.

- Pozdrów ją ode mnie. Powiedz jej, że o niej myślę.

- Powiem. A teraz zagram jeszcze jedną melodię, specjalnie dla ciebie.

Sala znów wypełniła się radosnymi dźwiękami piszczałki. Wania nie posiadał się ze szczęścia, że zdołał zwrócić na siebie uwagę tego pana o miłej twarzy. Słuchał muzyki i zastanawiał się, co jeszcze może mu powiedzieć.

Nikt nie usłyszał skrzypienia otwieranych drzwi. Nagle zabawę przerwał oburzony głos.

- Kim pan jest? Co pan tu robi?

- Jestem muzykiem. Przyszedłem pograć dzieciom.

- Nie powinien pan tu przebywać. Osoby z zewnątrz nie mają tu wstępu.

- Ale przecież tymi dziećmi nikt się nie zajmuje. Wania rozpoznał kobietę z brzęczącymi kluczami, która włożyła go do łóżeczka pierwszego dnia.

- Przyniosłem owoce dla dzieci. - Mężczyzna pokazał gestem reklamówkę, którą zostawił przy drzwiach.

- Mają wszystko, czego potrzebują. Są karmione trzy razy dziennie. Nie potrzebują świeżych owoców. Szczerze mówiąc, i tak nie zauważyłyby różnicy.

- I przyniosłem też książeczki do kolorowania.

- Proszę się rozejrzeć. Czy one są w stanie utrzymać kredkę w rękach? Jak już mówiłam, mają wszystko, czego potrzebują.

- Jak pani może tak mówić? - Gość popadał w coraz większą złość. Zaczął krzyczeć, ale nie przeraził tym Wani, nie krzyczał tak jak opiekunki, gdy się na kogoś zdenerwowały. - Nic im tu nie dajecie. Te dzieci potrzebują miłości, stymulacji, kształcenia. To ludzkie istoty.

- To nie szkoła. A poza tym nie mamy na tyle personelu. Dziś jestem tylko ja i dwaj sanitariusze, a mamy pod opieką sześćdziesięcioro dzieci.

- Tym bardziej chyba powinna być pani wdzięczna za pomoc z zewnątrz.

- Jak już mówiłam, to zamknięta instytucja.

- Cóż, powiem pani, że to, co się tutaj wyprawia, nadaje się do kryminału. W Finlandii wszystkie te dzieci chodziłyby do szkoły.

Gdy muzyka umilkła, dzieci zaczęły płakać ze wzmożoną siłą.

- I co pan narobił? Rozbudził je pan. Jak myje teraz uspokoiimy? Na pewno nie usną po południu. Proszę już iść.

Z ciężkim westchnieniem flecista pochylił się i zebrał swoje torby i prezenty. Gdy się wyprostował, spojrzął na Wanię. Jego wzrok zdawał się mówić: nie zapomnę o tobie. Potem odwrócił się i wyszedł.

## ROZDZIAŁ 9

### WIADOMOŚĆ Z GUŁAGU

*Czerwiec 1996*

Piątkowe wieczory były w domu Sarah wieczorami filmowymi. Przyjaciele jej dzieci zbierali się, by oglądać filmy na wideo, a mamy rozmawiały w kuchni nad butelką wina. Tego wieczoru rozmowa dotyczyła przyjaciela Wani Andrieja i jego niewiarygodnego szczęścia. Sarah wciąż wozila wolontariuszki do Domu Dziecka nr 10, jedna z nich bardzo przywiązała się do Andrieja. Gdy usłyszała, że chłopiec, tak jak Wania, ma zostać przeniesiony do szpitala psychiatrycznego, zadzwoniła do swojej siostry w Stanach z prośbą o znalezienie dla niego jak najszybciej adopcyjnych rodziców.

Zdumiewającym zrzędzeniem losu wystarczyło tylko kilka telefonów, by znaleźć na Florydzie małżeństwo oczekujące na adopcję. Nie myślało o dziecku z Rosji, ale gdy otrzymało telefon, doszło do wniosku, że to Bóg pokierował je do Andrieja.

Wania nie miał takiej szansy. Przyjaciółka Sarah Viv wzbudziła w niej prawdziwe wyrzuty sumienia, gdy zaczęła dopytywać o los Wani i o to, dlaczego Sarah dotąd go nie odwiedziła w zakładzie.

- Nie sądzisz, że powinnaś tam jechać? Jedź go odwiedzić. Mogę cię nawet zawieźć - zaproponowała.

- Wciąż się wahałam - wspomina Sarah. - Czułam, że nic nie mogę dla Wani zrobić. Rosja skazała go na powolną śmierć, a dzieci z zakładów nie brano pod uwagę przy adopcjach, nie było więc szans na to, by wysłać go za granicę. Co do życzenia Adeli, bym wydostała chłopca ze szpitala... Jeśli ona, lekarz naczelny domu dziecka, nie mogła tego zrobić, to jak, na Boga, ja miałam to osiągnąć? Odwiedzając go, dałabym mu tylko fałszywą nadzieję.

Kilka tygodni później tuż przed północą w domu Sarah zadzwonił telefon. Tylko jedna osoba mogła dzwonić o tej godzinie: Siergiej, kiedyś pianista koncertowy, obecnie działacz na rzecz praw dziecka. Był on jedną z najbardziej inspirujących, a jednocześnie irytujących osób na ziemi. Gdy na świat przyszło jego drugie dziecko, z zespołem Downa, Siergiej postanowił sprawdzić, jaki los spotyka niepełnosprawne dzieci w Rosji. Był tak zszokowany tym, czego się dowiedział, że założył Moskiewskie Stowarzyszenie Syndromu Downa. Bez pieniędzy, bez wsparcia politycznego walczył w pojedynkę, by obudzić sumienie Rosji na krzywdę dziesiątek tysięcy dzieci zamkniętych w zakładach dla obłąkanych. Jego aktywizm nie znał żadnych granic: każdego rubla, którego zarobił, każdą godzinę nocy i dnia, każdego przyjaciela i znajomego - wszystko to poświęcał w imię swojej sprawy.



Oczekiwał stuprocentowego zaangażowania, co oznaczało, że nigdy nie był zadowolony z oferowanej mu pomocy. Sarah od razu przygotowała się na niemożliwą do spełnienia prośbę.

- Mam dla ciebie wiadomość. - Jego głos był miękki, zacinał się nieco, co jeszcze podkreślało wagę jego słów. - Odwiedziłem dzisiaj kolejny szpital psychiatryczny, pod Moskwą, na prowincji, przerażające miejsce. Grałem dla dzieci

i spotkałem chłopca, który powiedział, że zna Sarah. Zakładam, że chodziło o ciebie. Poprosił, bym cię od niego pozdrowił i przekazał, że nie przestaje o tobie myśleć.

- To musiał być Wania. Odwiedzałam go w domu dziecka. Naprawdę cięży mi na sumieniu. Wiem, że powinnam go odwiedzić. Spróbuję jeszcze w ten weekend. Dziękuję, że zadzwoniłeś.

- Musisz go odwiedzić. Pytał o ciebie.

- Zrobię to. Obiecuję.

Następnego ranka Sarah zadzwoniła do Viv, by skorzystać z jej propozycji podwiezienia i moralnego wsparcia.

Sarah i Viv niewiele miały pożytku z instrukcji, które przekazała im Adela - przystanek metra i dwie linie autobusowe. Pytając ciągle o drogę, w końcu pośrodku pustkowia znalazły przystanek autobusowy INTERNAT. Pojechały zakurzoną drogą w lewo i napotkały tabliczkę ze słowem INTERNAT, napisanym wielkimi literami, i strzałką w prawo. Ktoś musiał w niego wjechać, bo znak się wygiął i teraz strzałka wskazywała ziemię.

W przeciwieństwie do Domu Dziecka nr 10, ukrytym w samym sercu miasta, zakład stanowił punkt orientacyjny w sercu bezkresnej pustki rosyjskiej wsi. Tylko najbardziej sumienni krewni docierali do tego zapomnianego miejsca.

Zaparkowały obok znaku i poszły do zakładu na piechotę. Nie było bram ani strażników. Miejsce to, jak dowiedziała się Wika, było tak odosobnione, że nie potrzebowało bramy. Sarah i Viv podeszły do najbliższych drzwi i stanęły przed nimi, zastanawiając się, co dalej, gdy podszedł do nich nastolatek w brudnych, niedopasowanych ubraniach i ze skrętem w dłoni. Zgodził się zaprowadzić je do skrzydła dla dzieci i poprowadził je labiryntem korytarzy i klatek schodowych do metalowych drzwi. Tłukł w nie pięściami, dopóki opiekunka nie uchyliła ich odrobinę. Sarah odegrała rolę głupiej cudzoziemki. Powiedziała opiekunce, na jednym oddechu, że przyszła odwiedzić chłopca, którego poznała w Domu Dziecka nr 10, że ma dla niego prezent i że bardzo prosi, by ją do niego wpuszczono choćby na minutę. Wciąż to powtarzała, nie dając opiekunce szansy zatrzęsnać jej drzwi przed nosem. Opiekunka zaczęła jednak nalegać, by najpierw uzyskały zgodę lekarz dyżurnej, po czym wezwała sanitariusza, by zaprowadził je na dół, do gabinetu.

Lekarz dyżurna siedziała w przytulnym pokoju z dywanami i roślinami za masywnym biurkiem i wpatrywała się w wielki kolorowy telewizor.

- Była bardzo wrogo nastawiona - wspomina Sarah. - Ja jednak od początku wiedziałam, że będę się musiała bardzo postarać, by ją przekonać, że może nas wpuścić na oddział.

Zapytała, dlaczego przyszłyśmy. Po raz kolejny powtórzyłam moją historyjkę. Powiedziałam, że znam Wanię, bo odwiedzałam go w sierocińcu, w którym się bardzo zaprzyjaźniliśmy. Wtedy lekarka wtrąciła, że tamto to było jedno miejsce, ale to tutaj to zupełnie co innego. Odparłam, że to dyrektorka domu dziecka poprosiła mnie, bym tu przyszła. Powiedziałam, że mam prezent dla Wani. To wywołało reakcję. Chciała wiedzieć, co mi kupiłam. Oznajmiła, że nie będzie żadnej wizyty, bo trwa kwarantanna. Ze spojrzenia, które posłała sanitariuszowi, od razu wyczytałam, że to kłamstwo. Zaczęłam nalegać, aż w końcu się poddała. Uprzedziła tylko sanitariusza, by nie prowadzić nas na salę, gdzie śpią dzieci, i że ktoś musi być cały czas obecny przy wizycie.

Sanitariusz zaprowadził je na górę i otworzył metalowe drzwi. Sarah i Viv poszły za nim korytarzem do kolejnych drzwi, które otworzyły się przed nimi. Tak jak Wika, wręcz zamarły z przerażenia na widok oddziału - nagich dzieci na plastikowych materacach za kratami, wyglądających jak zwierzęta w klatkach. Wszystkie leżały w kałużach moczu i nieczystości. Niektóre były skrepowane prowizorycznymi kaftanami bezpieczeństwa.

- Krzyknęłam z oburzenia, gdy rozpoznałam dzieci, które widywałam wcześniej w różnych domach dziecka - wspomina Sarah. - W łóżeczku przy drzwiach leżał Dima z Domu Dziecka nr 19 w kałuży moczu. Rozpoznał mnie i zaczął się do mnie wrywać. Zwyczajnie wyglądający maluch, który podskakiwał w łóżeczku w kącie, też wydał mi się znajomy. Był to Alosza z Domu Dziecka nr 4.

Sarah zaczęła rozglądać się za Wanią, ale zanim zdążyła go zauważyć, sanitariusz zaprowadził ją do pomieszczenia obok i zamknął drzwi.

- Wiedzą, że źle robią, i dlatego nie pozwalają nam na to patrzeć - szepnęła Viv.

Wanię przyniósł do pokoju nastoletni chłopiec, który musiał pospiesznie przebrać dziecko w przypadkowy zestaw ubrań uszytych z kiedyś jaskrawokolorowych, a teraz wypłowiałych ze starości resztek materiałów. Wania miał na sobie czarno-zieloną koszulę w kratkę z szorstkiego płótna, workowate spodnie od piżamy i krzykliwy fioletowo-czerwony sweter.

Jak zwykle zaczął od zakomunikowania im rzeczy najważniejszych.

- Jestem taki śpiący - powiedział ledwie słyszalnym głosem.

Obie kobiety widziały, że z całych sił walczy, by pozostać przytomnym, boryka się ze skutkami silnych leków uspokajających. Nie był w stanie nawet prosto usiąść, opierał się na krześle jak staruszek.

Sarah pokazała mu zdjęcie Andrieja i zapytała, kto to. Najpierw Wania powiedział, że to on sam, ale w końcu stwierdził:

- Andriej.

Nie spędziły z nim nawet trzech minut, gdy weszła opiekunka. Sarah zapytała ją, czy dzieci mają tu jakieś zabawki. Opiekunka przytaknęła i powiedziała, że dzieci mają do dyspozycji świetlicę pełną zabawek. Gdy Wania to usłyszał, odwrócił głowę i posłał opiekunce spojrzenie znacznie bardziej

wymowne niż słowa. Ty kłamczucho, mówiło. Opiekunka oświadczyła, że daje im jeszcze pięć minut.

Jej wizyty kontrolne były coraz częstsze, co całkowicie popsuło atmosferę spotkania.

- Postanowiłyśmy jeszcze raz spojrzeć na salę, gdzie, jak się domyśliłyśmy, Wania spędzał dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gdy do niej weszłyśmy, Dima znów rzucił się w moim kierunku. Wyciągnęłam do niego rękę, ale wtedy niegrzecznie nakazano mi wyjść. Gdy podałam Wanię opiekunce, szepnęła: „Będę o tobie myślała”.

Nastolatki chciały odprowadzić Sarah i Viv do wyjścia, ale opiekunka się nie zgodziła. Pokazała cudzoziemkom schody palcem, wciągnęła chłopców do środka i zamknęła drzwi.

Gdy Sarah i Viv w końcu znalazły się na zewnątrz, usłyszały za sobą głosy. To wołali ich nastoletni chłopcy. Nie dostrzegły ich twarzy, tylko ich dłonie machające na pożegnanie przez kraty w oknach na piątym piętrze. Wołali:

- Proszę przyjechać znowu, proszę wrócić jutro. Jutro będzie lepiej. Proszę przyjechać jutro.

Siedząc w samochodzie, obie długo nie mogły otrząsnąć się z szoku.

Viv próbowała dostrzec jakikolwiek sens w tym, czego była świadkiem.

- W domu dziecka personel przypomina personel zoo - powiedziała. - W zakładzie psychiatrycznym personel to bardziej strażnicy więzienni. Tak szybko nas wyrzucili. Zupełnie jakbyśmy odwiedzały skazańca.

- I to szczególnie niebezpiecznego skazańca, mordercę. - Gdy jechały przez poła, Sarah dodała: - Najgorsze jest to, że

szpitale psychiatryczne są odizolowane, ukryte przed zwykłymi Rosjanami, jak kiedyś nazistowskie obozy koncentracyjne. Łatwo jest wtedy ludziom mówić, że nie wiedzą, co się dzieje za ich murami.

- Świat musi się o tym dowiedzieć, Sarah.

- Tak. Ale od czego zacząć?

- Twój mąż jest dziennikarzem. Niech o tym napisze.

- Boże, próbowałam go do tego przekonać. Wielokrotnie mu to sugerowałam, ale on powtarza ciągle, że to żaden „news”. Gazety chcą tylko artykułów o tym, kiedy do władzy powrócą komuniści.

- Powiedz mu, co dzisiaj widziałaś. Może powinien tam pojechać i sam się przekonać.

Sarah i Viv dotarły do centrum miasta. Plakaty na każdym rogu obiecywały ludziom świetlaną przyszłość, jeśli tylko będą głosować za reelekcją Jelcyna, pijaka. Miliony dolarów inwestowano w reklamy, by przekonać Rosjan, że żyje się im coraz lepiej. W rzeczywistości dla biednych i słabych nic się nie zmieniało, tylko rządzący się bogacili. Wybory prezydenckie niewiele obchodziły Sarah. Dla niej liczyło się tylko jedno: jak to społeczeństwo może nazywać się wolnym, jeśli zamyka w więzieniach tysiące dzieci bez żadnego powodu?

Sarah miała tego dnia jeszcze jedno zadanie. Poprosiła Viv o podwiezienie do Domu Dziecka nr 10. Po raz pierwszy nie bała się, że zostanie odesłana, powierzono jej zadanie, a ona jechała tam, by zdać Adeli relację z jego wypełnienia. Zdumiała się na widok ustawionych pod lipami dwóch kojców pełnych tak zwanych nieuleczalnie chorych dzieci, którym pozwolono zaczerpnąć nieco świeżego powietrza.

Wszystkie leżały w dokładnie takich samych pozycjach, w jakich spędzały całe swoje dnie w zamknięciu; mrugały tylko w oślepiającym słońcu, trupio blade, jak nocne stworzenia nagle wywabione na światło dnia. Trzej malcy siedzieli w chodzikach nieprzywiązanych do kojca, ale i tak się nie ruszali, bo kółka zaplątały się w wysoką trawę i chwasty.

Adela pochyliła się nad jednym z kojców. Jedna ze ścianek się poluzowała i dyrektorka przywiązywała ją właśnie jakimś starym sznurkiem. Podniosła głowę, gdy usłyszała kroki.

- Właśnie wracam od Wani - wypaliła Sarah bez żadnych formalności.

- Dziękuję, dziękuję. Jak on się miewa? - Adela splotła dłonie wdzięczna za spełnienie jej życzenia.

- Miałaś rację, Adelu. To odrażające miejsce. A nawet gorzej. Nie rozumiem, jak Wania się tam znalazł.

Część personelu pojawiła się nagle znikąd i zaczęła przysłuchiwać się ich rozmowie.

- To jest obóz koncentracyjny. Nie ma na to innego określenia.

Opiekunki zatkało, gdy usłyszały z ust cudzoziemki to zakazane słowo. Adela zacisnęła powieki, jakby chciała nie dopuścić do siebie słów, które właśnie padły.

- Nie rozumiem - powiedziała Sarah, po raz pierwszy nie bacząc na słowa. - Dlaczego posyłasz swoje dzieci do takich miejsc?

Adela dosłownie straciła mowę. Jedna z opiekunek postanowiła się wtrącić.

- To nie myje tam posyłamy. Jesteśmy podwładnymi Ministerstwa Zdrowia. Te miejsca znajdują się pod jurysdykcją

Ministerstwa Opieki Społecznej. To jego urzędnicy decydują, dokąd wysłać dzieci.

- Wiecie, jakie warunki panują w internatach?

- Nie, nigdy w nich nie bywamy. Gdy dzieci opuszczają sierociniec, nigdy ich już nie widzimy.

Adela mruknęła coś niezrozumiale i weszła do środka. Opiekunki zniknęły. Sarah została sama. Ta krótka wymiana zdań wyjaśniła jej w końcu to, co dręczyło ją od miesięcy. Nie mogła zrozumieć, dlaczego personelu sierocińców nie interesuje los podopiecznych. Dlaczego nie wcielono w życie sugestii doktora Swangera? Dlaczego personel nie uczył dzieci mówić i chodzić? Dlaczego nie przeprowadzano najprostszych nawet operacji? Dlaczego nie skorygowano zęza Wani?

- Nagle wszystko stało się dla mnie jasne. Personel nie miał obowiązku troszczyć się o te dzieci długofalowo. Dom dziecka był tylko przystankiem na drodze tych dzieci do nieznanego celu, wszyscy podejrzewali, że cel jest okropny, ale nikt nie przyglądał się temu bliżej. Nie mogli pozwolić sobie na zaangażowanie emocjonalne, chronili samych siebie. Po co nawiązywać bliską relację, jeśli danego dziecka nie zobaczy się już nigdy w życiu? Dom dziecka był tylko poczekalnią, w której przechowywano dzieci do czasu przybycia dokumentów, a potem personel odsyłał je pod wskazany adres.

Jedno dziecko jednak, wyjątkowy chłopiec, który odmówił poddania się trybikom tego odrażającego systemu, wybił dziurę w murze otaczającym zakłady i wysyłał przez nią wiadomości na drugą stronę. Ten słaby, mały chłopiec, głodzony i nafaszerowany lekami, pozbawiony rodziny, walczył z systemem od wewnątrz. Ale nawet on toczył walkę, którą wymógł na nim tenże system.



Adela wróciła i pomachała Sarah przed oczami pojedynczą kartką papieru. List składał się z ośmiu linijek, napisanych odręcznie po angielsku. Sarah czytała je z rosnącym zdumieniem. „Nazywam się Wiktorja Kitajewa. Zależy mi na chłopcu (lat 6), Wani Pastukowie, który obecnie jest w bardzo złym stanie, ale jest dzieckiem mądrym i dobrym. Czy mogłaby Pani zadzwonić do mnie do pracy albo do domu przed 8 lub po 22?”

- Adelu, kim jest ta osoba?

- To Wika. Bardzo przywiązała się do Wani, gdy tu mieszkał.

- Należy do personelu?

- Nie, to wolontariuszka, jak ty. Młoda dziewczyna, bardzo religijna. Przychodziła do nas z wizytą.

- Jak to możliwe, że nigdy jej nie spotkałam? Dlaczego wcześniej mi o niej nie powiedziałaś?

Na to Adela nie miała odpowiedzi.

- Wika odwiedza go w internacie. Próbuje mu pomóc. Musisz się z nią skontaktować. Nie czytam po angielsku, ale to są chyba jej numery telefonów?

- Zadzwonię do niej. Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego wcześniej mi o niej nie powiedziałaś.

Adela mruknęła coś na temat kuchni i uciekła do środka.

Sarah stała na podwórku oszołomiona i zaciskała palce na kawałku papieru. Zawsze marzyła o spotkaniu rodowitego Rosjanina, który dostrzeże potencjał w tych dzie-ćiach skazanych na zgubę. Jak jednak miała to zrobić? Za dwa dni wyjeżdżała z Moskwy na letnie wakacje ze swoimi dziećmi. Wiele miesięcy zostało zmarnowanych przez pasywność Adeli. Może przynajmniej zdołam się skontaktować z Wiką, zanim wyjadę, pomyślała.

## ROZDZIAŁ 10

### KWAŚNE WINOGRONO

#### *Lipiec - październik 1996*

Gdy w sobotni poranek o siódmej trzydzieści rozległ się dźwięk budzika, Wika miała ochotę tylko odwrócić się na drugi bok i na powrót zasnąć. W nocy było jej tak gorąco, że nie mogła spać. Mieszkanie jej babci, położone na poddaszu, latem stawało się nie do zniesienia. Przypomniała sobie jednak, że koło ósmej ma przyjść mąż Sarah. Zadzwoił kilka dni wcześniej i poprosił ją, by zabrała go do Filimonek, w odwiedzinach do Wani. Wika naprawdę nie chciała tam wracać. Wciąż jeszcze nie doszła do siebie po sprawie z przekonaniem Nataszy, by zrzekła się swoich praw rodzicielskich. A potem mężczyzna z agencji adopcyjnej powiedział, że jeszcze sześć miesięcy zajmie zamknięcie procesu prawnie, więc Wania miał zostać oddany do adopcji dopiero pod koniec roku. Była pewna, że chłopiec nie wytrzyma tak długo. Nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby zrobić.

Gdy Alan zadzwonił, w pierwszym odruchu zapragnęła odmówić, powiedzieć mu, by pojechał sam. Był jednak taki uprzejmy i miły, że nie zdołała tego zrobić. Dotąd myślała, że dziennikarze są szorstcy i obcesowi, ale przekonała się, że używają wielu sposobów, by osiągnąć cel.

- Pojadę, jeśli odbierze mnie pan z mieszkania babci -powiedziała.

Alan zapewnił ją, że będzie o ósmej. Miała pół godziny, a nawet nie była ubrana.

Na szczęście babcia już była w kuchni i parzyła herbatę. Wika szybko złożyła kanapę, którą dzieliły, i schowała pościel. Krzyknęła do babci, by zrobiła herbatę także dla niej i przygotowała coś do jedzenia. Na stole stały tylko miseczka z kostkami cukru, talerz z zieloną cebulką i zakurzona paczka wafli.

Wika znalazła plecak i zaczęła szukać małych butów, które członek jej wspólnoty przekazał jej dla Wani. Nie było nic do jedzenia, co mogłaby wziąć na piknik, pomyślała więc, że będzie musiała poprosić Alana, by zatrzymał się po drodze, by mogła zrobić zakupy. Gdy zadzwonił domofon, Wika wpuściła gościa do środka. Gdy Alan wspinał się po schodach, psy na każdym piętrze głośno go obszczekiwały.

Otworzyła drzwi i pierwsze, co przyszło jej do głowy, to było pytanie, jak ma niby przekonać kogokolwiek, że ten wysoki, tyczkowaty mężczyzna w koszuli w kratkę to jej kuzyn? Wyglądał wyjątkowo angielsko. Nie miał koszuli z krótkim rękawem, którą każdy Rosjanin wkładał w letnią sobotę, lecz długi rękaw podwinięty do łokci.

- Jest pani gotowa? - zapytał.

- Nie całkiem. Proszę wstąpić na herbatę i poznać moją babcię.

Wika posadziła Alana przy stole, mężczyzna zaczął się rozglądać i oceniać jej skromne warunki bytowe. Pomyślała, że być może on wychowywał się w pałacu. Tak właśnie mówił, z arystokratycznym akcentem, miał brązowe skórzane wypolerowane na wysoki połysk buty z dziurkami. Nie powiedział nic, by ją uspokoić. Gdy nalewała herbatę, nie trafiła do filiżanki i woda rozchlapała się po całym stole. Urok osobisty, którym Alan emanował przez telefon, zniknął, czuła tylko jego zniecierpliwienie.

Po chwili Alan wstał.

- Wziąłem karton soku pomarańczowego i trochę winogron. Po drodze możemy kupić resztę - powiedział.

Wika wrzuciła do plecaka jeszcze kilka rzeczy i pożegnała się pośpiesznie z babcią, przypominając jej o lekturze Biblii.

Gdy wsiadła do samochodu, zobaczyła na tylnym siedzeniu duży czarny aparat, taki, jakim posługują się profesjonaliści.

- Nie może pan wnieść tego na teren zakładu. Jeśli dowiedzą się, że jest pan dziennikarzem, od razu pana wyrzucą. I już nigdy więcej nie wpuszczą mnie.

- Ale ja muszę mieć zdjęcie. Nie ma zdjęcia, nie ma artykułu.

Wika zrozumiała, że nie będzie łatwo. Zaczęła mu wyjaśniać, że nie może tak po prostu wejść tam i zacząć myszkować. Personel zakładu stał się bardzo podejrzliwy po wizycie Siergieja, pianisty koncertowego. Film, który potajemnie nakręcił Siergiej w szpitalu, został wyemitowany przez rosyjską

telewizję. Dyrektor wpadł we wściekłość i obciął personelowi po połowie pensji za karę. To Wika powiedziała Siergiejowi, jak dotrzeć do zakładu, ale na szczęście nikt z personelu o tym nie wiedział. Miałyby ogromne problemy, gdyby ktoś połączył ją z Siergiejem.

Jechali do zakładu w niezręcznym milczeniu. Droga była zakorkowana przez samochody uciekające z miasta na weekend.

Wika pokazała Alanowi targ przy drodze, na którym mogli kupić jedzenie. Poprowadziła go obok kiosków, gdzie sprzedawano wódkę, puszki ginu z tonikiem, papierosy i batoniki Snickers, do budek osób handlujących płodami swoich przydomowych ogródków.

Przystanąła przed kobietą sprzedającą ogórki, zieloną cebulkę i buraki. Dostrzegła ostatni plastikowy kubeczek pełen czarnej porzeczki. Owoce były soczyste i dojrzałe, właśnie takich potrzebował Wania. Alan zaoferował, że za nie zapłaci, i po chwili targowania się podał kobiecie zwitek rubli, dzięki któremu Wika mogłaby żywić swoją babcię przez tydzień.

Zapytał, czy Wika chce bułeczkę. Bez zastanowienia pokazała mu stosik wypieków z mięsem, którymi handlował Gruzin z rzymskim nosem i obfitymi wąsami.

- Wolałabym coś takiego. - Od razu pożałowała swojej bezpośredniości i chciwości.

Handlarz mrugnął do niej i uśmiechnął się lubieżnie, odsłaniając rząd złotych zębów. Zarumieniła się.

Gdy zebrali swoje zakupy - słodką bułeczkę, dwa paszteciki z mięsem, winogrona i cenne czarne porzeczki - i zanieśli je do samochodu, zobaczyli ulotkę z napisem „fast food”. Wika nigdy wcześniej nie widziała tego angielskiego wyrażenia.

- Czy to jedzenie, które można jeść, gdy się pości\*? - zapytała bez zastanowienia.

Alan uśmiechnął się do niej ciepło.

- To byłaby prawdziwa żyła złota, biorąc pod uwagę te wszystkie postne dni w prawosławnym kalendarzu.

Zakupy znacznie ociepliły atmosferę. Alan zapytał Wikę, czym się zajmuje, a ona wyjaśniła mu, że pracuje jako sekretarka w fińskiej firmie budowlanej, ale jej głównym polem zainteresowań są wieczorowe studia nad Nowym Testamentem. Zajęcia trwały nawet do północy. Z tego powodu oraz ponieważ często brała wolne, by odwiedzać Wanię, nie poświęcała pracy dużo energii. Jej szef zaczynał z tego powodu tracić cierpliwość.

- Dlaczego więc ciągle odwiedzasz Wanię? - zapytał Alan.

- Nikt mnie dotąd o to nie zapytał - odpowiedziała tylko. - Twój artykuł mu pomoże, prawda? Co zamierzasz napisać?

- Będę wiedział dopiero, gdy tam dotrę. Zazwyczaj nie zajmuję się takimi ckliwymi tematami. Celem brytyjskiej prasy nie jest pomaganie ludziom, lecz wzbudzanie zamieszania. Pomacham im czerwoną płachtą przed oczami i zobaczę, kto spróbuje mnie stratować.

- Jaką płachtą?

- Chodziło mi o to, czy wywołam jakąś reakcję.

Ruch się zmniejszył, gdy wyjechali poza granice Moskwy i znaleźli się na prowincji. Moglibyśmy wziąć Wanię na piknik, pomyślała Wika. Na pewno by go to uszczęśliwiło.

**\* Fast (z ang.) - szybki, ale też: post, pościć (przyp. tłum.).**

Gdy wysiedli z samochodu, cała przyroda jakby zamarła w oczekiwaniu. Słońce zniknęło za chmurami, wszystko ucichło, ptaki i owady pochowały się przed deszczem. Bramy zakładu były wciąż otwarte, pomimo zamieszania wywołanego przez Siergieja. Wika poczuła ulgę, okazało się to jednak przedwczesne, bo zaraz podeszli do nich strażnicy w przeciwsłonecznych okularach, którzy wyglądali jak osiłki z hollywoodzkich filmów. Wika zaczęła się zastanawiać, czy uda się jej przejść, gdy ciągnie za sobą tego obcokrajowca. Szła jednak dalej, poinformowała tylko strażników przez ramię, że idą na spotkanie do lekarza naczelnego, którego nazwisko na szczęście zapamiętała. Alan milczał i strażnicy pozwolili im przejść.

Po drodze napotykali kolejne dowody wzmożonych środków ostrożności. Pojedyncza szyba w drzwiach do skrzydła dziecięcego została zabita deską, całkowicie odcinając dzieci od świata zewnętrznego. Wika załomotała do drzwi i zaczęła krzyczeć. Po kilku minutach w drzwiach pojawiła się opiekunka.

- Nie wolno tu wchodzić bez pozwolenia.

- Przecież wielokrotnie już odwiedzałam Wanię. Dyrektor mnie zna.

- Mamy nowe przepisy.

- Cały tydzień dzwoniłam, by uzyskać pozwolenie. To nie moja wina, że macie zepsuty telefon.

Opiekunka w końcu uległa.

- Możecie zostać piętnaście minut.

W upale zapach moczu i kału był jeszcze bardziej obezwładniający. Wika pokazała Alanowi pokój z białymi płytkami i poprosiła go, by tam zaczekał.

- Nie mogę wejść do pomieszczenia, w którym trzymają dzieci w klatkach? Muszę zobaczyć takie rzeczy.

- Nie. To wzbudziłoby podejrzenia. Musisz robić to, co mówię, albo oboje nas stąd wyrzucą.

Wika poszła po Wanię i przyniosła go do pokoju odwiedzin. Opiekunka szła za nią krok w krok. Wika zapytała, czy mogłaby zabrać chłopca na zewnątrz.

- Potrzebuje świeżego powietrza i słońca. Opiekunka zareagowała bardzo stanowczo.

- Zaraz będzie padać. Dzieci są wyczerpane upałem, nie możemy ryzykować, że zmokną.

- Jak odrobina letniego deszczu miałyby zrobić krzywdę tym dzieciom? - zapytał Alan, gdy kobieta wyszła. - Chyba większą krzywdę odczuwają, siedząc w tym pomieszczeniu dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Wika posadziła Wanię na krześle przy oknie, by mógł obserwować betonowe podwórko, i usiadła obok niego. Nie widzieli nic poza watahą zbłąkanych psów. Gdy spadły pierwsze krople deszczu, Wika wystawiła dłoń przez kraty, a potem wciągnęła ją do środka, by pokazać Wani.

- Deszcz. Pamiętasz deszcz? - powiedziała.

Wanię znacznie bardziej jednak interesowały czarne porzeczki. Było mu trudno, ale wyjmował je z kubka i wkładał do buzi pojedynczo, rozkoszując się ich mocnym, słodkim smakiem.

Deszcz przeszedł w ulewę, padało tak bardzo, że woda wylewała się z rynien i tworzyła fontanny.

Wania odwrócił się od okna i spojrzał na Wikę. Znow odzyskał mowę.



- Jak się czuje Andriej?

- Dobrze, ale bardzo za tobą tęskni.

- Powiedz mu, że o nim myślę. Kiedy go tu przywiozą?

- Nie wiem, Waniu. Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczysz Andrieja. - Nie mogła się zmusić, by powiedzieć mu prawdę: że już nigdy nie zobaczy swego przyjaciela. Odwróciła się do Alana i powiedziała po angielsku: - Wiesz, że Andriej leci do Ameryki, prawda?

- Tak, wiem. Do rodziny na Florydzie.

- On też by tu trafił, ale nie wytrzymałby długo.

Powiedziała Alanowi, że Wania nauczył Andrieja wszystkiego, co sam umiał. Bez Wani Andriej nigdy nie nauczyłby się mówić.

Wika ułożyła na stole rząderek z czarnych porzeczek i poprosiła Wanię, by je rozdzielił. Chłopiec powoli wracał do życia, jak uschnięta roślina pod zbawiennym wpływem wody. Odzyskał pewność na tyle, by rozdać jagody, wtrącał proszę i dziękuję w odpowiednich miejscach.

- Widzisz, to inteligentny chłopiec.

- Tak. Niczym się nie różni od mojego syna. Opiekunka przyniosła miskę rzadkiej zupy warzywnej

i kromkę chleba, po czym ustawiła wszystko przed Wanią.

- Proszę go nakarmić, skoro już to jesteście, ale potem naprawdę musicie już iść.

Wika zapytała, czy mogą nakarmić też dziewczynkę, sąsiadkę Wani. Wzięła ją na ręce i posadziła na kolanach Alana.

- To jest Swieta - powiedziała. - Musimy ją nakarmić. Oni twierdzą, że w ogóle nie chce jeść. - Wsadziła pełną łyżkę zupy do ust dziecka. Swieta skrzywiła się z bólu i odchyliła głowę.

- Za gorące - stwierdził Alan. - Jako ojciec muszę ci powiedzieć, że trzeba podmuchać, by trochę ostygło.

- Jako absolwentka fizyki muszę ci powiedzieć, że nie trzeba tłumaczyć mi takich rzeczy.

W obecności ojca i absolwentki fizyki Swieta w końcu odzyskała apetyt. Alan nakreślił Wice szkic swego artykułu.

- Dwaj mali chłopcy z domu dziecka, którzy są dla siebie jak bracia. Ich losy dramatycznie się od siebie różnią. Jeden zostaje brutalnie skazany na pobyt w zakładzie dla obłąkanych na rosyjskiej prowincji, drugi zyskuje wolność na Florydzie. Opowieść o dwóch chłopcach, tak to trzeba zrobić. Nawet redaktor o najbardziej zatwardziałym sercu nie odmówi publikacji czegoś takiego. Ale potrzebne mi zdjęcie, Wika. Bez odpowiedniego ujęcia nie będzie artykułu.

Zaczął się podnosić i ze zdumieniem zauważył, że wciąż ma na kolanach Swietę. Dopiero gdy się poruszył, uświadomił sobie, że dziewczynka jest cała mokra, tak jak jego spodnie.

- Wika, muszę iść po aparat. Muszę zrobić Wani zdjęcie.

- Nie, to zbyt wiele problemów - zaprotestowała Wika stanowczo.

- Wika, Wika. - Wania zaczął podskakiwać, ale został zignorowany.

- Nie rozumiesz mechanizmów działania prasy. Bez odpowiedniego zdjęcia Wania nigdy nie trafi do gazet.

- A ty nie rozumiesz, jak trudno jest wejść do takiego miejsca.

- Wika pomachała łyżką, by podkreślić swój punkt widzenia, i rozlała odrobinę zupy na podłogę. - Mogą w każdej chwili zamknąć mi drzwi przed nosem.

- Przyjechałem tutaj, by coś dla niego zrobić, a nie tylko siedzieć w kałuży sików.

Wpatrywali się w siebie wojowniczo ponad głową Swiety.

- Wika, Wika. Wujku Alanie! - Tym razem Wania zdołał zwrócić na siebie ich uwagę. Oboje spojrzeli na niego zaskoczeni tym, że zapamiętał angielskie imię. Malec uśmiechnął się i pokazał palcem okno. - Przestało padać. Weźmiecie mnie na zewnątrz?

Mimo że nakazano im jak najszybciej opuścić zakład, nikogo nie było w pobliżu, gdy wzięli Wanię na ręce i wynieśli go na korytarz. Personel nakarmił dzieci i udał się na zasłużoną przerwę. Jediną osobą w sali był Ilia, nastoletni chłopiec z krzyżykiem na sznurówce na szyi.

- Ilia, miałam nadzieję, że cię tu dziś spotkam. Chcielibyśmy wziąć Wanię na zewnątrz.

- Pójdę z wami.

Deszcz wymył świat do czysta. Wszyscy oddychali pełną piersią wdzięczni za uwolnienie od odoru. Poszli do ruin ogromnego kościoła z czerwonej cegły. Bujna roślinność porastała nawy, wysokie, nieprzycinane nigdy drzewa otaczały budynek, jakby chciały go ukryć przed ludzkim wzrokiem. Tylko różowy palec iglicy i puste okna prześwitywały przez liście.

Za kościołem był sad pełen jabłoni i niekoszonej trawy. Ilia wytarł do sucha ławkę dla Wani. Gdy malec mrużył oczy, przyzwyczajając się do dziennego światła, Wika wyjęła z plecaka buty i zaczęła mu je wkładać.

- Nie mają tu dla niego butów? - zapytał Alan.

- Wania stale przebywa w łóżeczku. Żadne z tych dzieci nie ma butów. Nie mają nawet ubrań. Ubierają je tylko wtedy, gdy spodziewają się jakiejś wizyty.

Wika postawiła Wanię na nogi, chwyciła go pod ramię i poprosiła Ilię, aby wsparł go od drugiej strony. Próbowali zachęcić go do chodzenia po piaszczystej ścieżce. Wiedziała, że to ćwiczenie jest bezowocne. Wania potrzebował zachęty i ćwiczeń każdego dnia, a nie tylko okazjonalnej pomocy od dobrze mu życzących amatorów.

Alan zauważył zadbaną małą przybudówkę przy ścianie kościoła, która w przeciwieństwie do reszty budynku była w dobrym stanie. Była pomalowana na żółto, miała połatany dach i stalowe drzwi z dwiema nowymi kłódkami. Na drzwiach wisiała tabliczka. KOSTNICA.

- To naprawdę kostnica? - zapytał Alan Ilię.

- Tak. Do moich obowiązków należy między innymi przenoszenie tam ciał.

- Często się to zdarza?

- Och, tak. Kilka tygodniowo. W tym ciała ze skrzydła dziecięcego. - Chłopak najwyraźniej dobrze się bawił, szokując gości realiami ponurego życia zakładu.

- Paranoja - stwierdził Alan, przechodząc na angielski, by chłopak go nie zrozumiał. - Wszystko, co mają zapewnione te dzieci, to miejsce w tej kostnicy i przypomina im się o tym za każdym razem, gdy wychodzą na zewnątrz. - Oświadczył, że idzie do samochodu po aparat.

Oczy liii zabłyśły.

- Masz samochód! Mogę iść z tobą?

Gdy Alan wrócił, Wania zdążył już odzyskać nieco ze swojej dawnej radości dzięki uwadze, którą mu poświęcano. Dziennikarz nie był z tego zadowolony.

- Wania - powiedział, patrząc na chłopca przez wizjer.  
- Wystarczy już tych uśmiechów. Potrzebna mi smutna buzia. Musimy wstrząsnąć czytelnikami „Daily Telegraph”. Nie uda nam się tego osiągnąć zdjęciem roześmianego dziecka.

Wika zaczęła się śmiać.

- Uśmiecha się, bo jest z nami szczęśliwy.

- A nie mogłabyś sprawić, żeby posmutniał?

- Cóż, w tej akurat chwili nie cierpi.

- Wika, musisz się czegoś nauczyć o mediach. Podaj mi winogrono.

- Ale one są niedojrzałe. Będzie go bolał brzuch.

- Doskonale. Wania, weź winogrono.

Wania włożył owoc do ust i ugryzł go z entuzjazmem. Gdy kwaśny sok trysnął mu do ust, wykrzywił buzię. Rozległ się trzask migawki.

- Świetnie. Wiedziałem, że sobie poradzisz. Teraz możesz wypluć. - Odwrócił się do Wiki. - To na pewno poruszy kilka serc. Chyba skończyliśmy. Możemy iść.

Pół godziny później siedzieli już w samochodzie. Wika nagle poczuła ogromny głód i zasugerowała, by zjedli swoje paszteciki. Alan wolał jednak jak najszybciej opuścić teren zakładu. Zaparkował w pobliżu brzoźowego zagajnika. Pod drzewami zakwitło morze ślicznych żółtych kwiatków z liliowymi listkami na czubkach. Ziemia była jeszcze mokra po deszczu, zostali więc w samochodzie, otworzyli tylko drzwi; dzielili się sokiem pomarańczowym i jedli paszteciki z mięsem.

Alan poczęstował Wikę papierosem, którego chętnie przyjęła.

- Psujesz mnie - powiedziała.

- Nie, to ty mnie psujesz. Nie powinienem się angażować w takie rzeczy. Moja praca polega na tym, by wzmacniać uprzedzenia, które moi czytelnicy żywią do Rosji. Powinienem trzymać się na uboczu i nie mieszać się w te wszystkie charytatywne sprawy.

- To dlaczego to robisz?

- Gdy rano zadałem ci to samo pytanie, nie odpowiedziałaś. Więc ja też nie odpowiem.

- Ale napiszesz coś o Wani? To jego jedyna nadzieja.

- Postaram się. Nie mogę o nim pisać teraz, gdy zbliżają się wybory i autobusy w Moskwie wybuchają. Wania będzie musiał zaczekać. - Alan włączył radio, by posłuchać wiadomości.

Nadzieje Wiki po raz kolejny zostały zawiedzione. Czy ten dziennikarz nie rozumiał emocjonalnego wysiłku, jaki wkładała w każdą wizytę w Filimonkach? Gdyby tylko miała pieniądze na autobus, sama wróciłaby do domu.

Wyrzucili papierosy w wilgotną trawę i pogrążeni w zadumie, ruszyli w drogę powrotną do Moskwy. Niezaangażowany dziennikarz i młoda dziewczyna, która stała się żarliwą wojowniczką.

Dwadzieścia cztery godziny później Wika wciąż czuła się zawiedziona obojętnością dziennikarza na los Wani; musiała się dowiedzieć, czy napisze o nim artykuł. Choć było

już po północy, postanowiła zadzwonić do Alana. Znowu przywitał ją czarujący Anglik. Powiedział, że nie zapomniał o Wani, bo odór szpitala wsiąkł w jego notatnik. Rozmawiał ze swoim wydawcą, który obawiał się, iż taka historia rozpali czytelników w Anglii i wywoła falę telefonów do gazety z ofertą pomocy.

- To chyba dobrze? - zauważyła Wika. - Może ktoś zapragnie nawet zaadoptować Wanę.

Alan wyjaśnił jej, że gazeta nie chce się angażować w takie sprawy i nie ma personelu, który mógłby odbierać takie telefony. Dodał też, że przekonał wydawcę do zarezerwowania miejsca na artykuł w sierpniu, gdy i tak nic ciekawego się nie dzieje.

Wika odłożyła słuchawkę. Nie mogła pojąć, jak Alan może nie rozumieć, że jest to sprawa niecierpiąca zwłoki. Każdy dzień, który Wania spędzał w tamtym przybytku, wysysał z niego życie. Czuła się tak, jakby była jedyną osobą na świecie, która jest tego świadoma.

Alan ostatecznie napisał artykuł i pokazał go Wice, nim oddał go do druku. Nie mogła zaakceptować jednego. Napisał, że chłopcy tacy jak Ilia są skazani na przedwczesną śmierć, więzienie albo życie w szpitalu psychiatrycznym.

- To nieprawda. Powinieneś napisać, że wiara liii daje podstawy, by mieć nadzieję, iż uda mu się uniknąć losu pozostałych.

Artykuł ukazał się ostatecznie w sierpniu, z nagłówkiem SIEROTY, O KTÓRYCH MATKA ROSJA ZAPOMNIAŁA. Znalazło się w nim kilka wstrząsających zdjęć chłopca w kaftanie bezpieczeństwa i dzieci z zespołem Downa

zamkniętych w jednym kojcu bez zabawek. Te zdjęcia zrobiono w Internacie nr 30, ponurym szpitalu psychiatrycznym na obrzeżach Moskwy, w których setki dzieci przetrzymywano w warunkach nie lepszych niż te w Filimonkach. Było też jedno zdjęcie Andrieja, uśmiechającego się radośnie w słońcu, które rozświetlało jego jasne włosy. Z plastikową słuchawką przy uchu wyglądał tak, jakby rozmawiał ze swoją przyszłą rodziną z Florydy. Zdjęcie kontrastowało wyraźnie z fotografią Wani, ogolonego i spoglądającego prosto w obiektyw, jakby chciał zapytać: „Dlaczego tu jestem? Czym sobie zasłużyłem na taki los?”. Tylko najbardziej spostrzegawcze oko mogło doszukać się małego wybruszenia w jego policzku, gdzie zabłąkało się kwaśne winogrono.

Odzew brytyjskiej opinii publicznej był ogromny. Pewna kobieta zaoferowała nawet, że zaadoptuje Wanię, ale międzynarodowe adopcje były w Wielkiej Brytanii bardzo trudne do przeprowadzenia, zwłaszcza z Rosji, jako że obu krajów nie łączyła żadna umowa w tym względzie. Szanse, że tej kobiecie się powiedzie, były praktycznie żadne. Wania wciąż czekał na swojego Anioła Stróża.

W październiku Wika straciła pracę. Ciągle zastanawiała się, co jeszcze może zrobić dla Wani. Jej dotychczasowe wysiłki spełzły na niczym. Próbowwała przenieść go do domu dziecka, w którym zyskałby szansę na edukację, ale jej wniosek został odrzucony. Wykorzystała swój dar przekonywania, by wymóc na Nataszy zrzeczenie się praw rodzicielskich, żeby chłopiec mógł zostać adoptowany, ale powiedziano jej, że to dopiero początek długiego i skomplikowanego procesu. Zawiozła do zakładu dziennikarzy, by mogli na własne oczy



przekonać się, w jakich warunkach mieszkają tam dzieci, lecz to również nic nie dało. Wania wciąż doświadczał powolnej śmierci.

Nie miała już siły, by walczyć. Gdy modliła się o wskazówki, nagle zrozumiała, że to nie ona jest winna temu, co spotyka Wanię. To nie ona wydała go na świat. Nie ona oddała go pod opiekę państwa. Nie ona umieściła go w zakładzie dla obłąkanych. Nic więcej nie była w stanie dla niego zrobić.

- Sięgnęłam dna. Zrozumiałam, że jestem nikim. Postanowiłam umyć od tego ręce.

Pozostało jej już tylko poinformować pracowników domu dziecka, że nie udało się jej pomóc Wani. Czowała, że jest im to winna, bo wierzyła, że oni także cierpieli z tego powodu. Zmusiła się do wstania z łóżka, zrobiła sobie mocną herbatę z trzema łyżeczkami cukru. Podniosła słuchawkę i wybrała numer sierocińca. Długo nikt nie podnosił słuchawki. Gdy w końcu ktoś odebrał, nieśmiały głos został całkowicie zagłuszony przez zakłócenia na linii.

- Adelu, czy to ty?

Padła jakaś niewyraźna odpowiedź.

- Adelu! - krzyknęła Wika. - Muszę z tobą porozmawiać o Wani.

- Tak, to wspaniałe, prawda?

Wika zmarszczyła brwi. O czym ta Adela mówi?

- Ale przecież ja nic nie zrobiłam. Zawiodłam. Tak mi przykro.

Trzaski w słuchawce stały się jeszcze głośniejsze. Wika zrozumiała tylko kilka słów. Chyba usłyszała, że Adela mówi:

- Jest tutaj. Wrócił.

- Kto? Kto wrócił? - Wika usiadła na podłodze.

- Wania jest tutaj. Wrócił do domu dziecka. Przywieźli go dziś rano. Dopiero przyjechał. Przyjdź i sama zobacz.

Wika dotarła do Domu Dziecka nr 10 w mniej niż godzinę. Nikogo nie było na podwórku. Z korytarzy sierocińca dobiegały jednak głośne krzyki, udała się więc w ich kierunku. Głos wydał się jej znajomy, ale to przecież nie mógł być Wania... Dlaczego miałyby krzyczeć tak histerycznie? Z naprzeciwka nadeszła kobieta w białym kitlu.

Spojrzała na Wikę oskarżycielsko.

- Och, to ty. Może ty nam to wyjaśnisz. On mówi, że chce wracać do zakładu. A ty powtarzałaś cały czas, że to jakieś okropne miejsce.

Tym razem Wika faktycznie usłyszała wyraźnie, że Wania krzyczy:

- Ja chcę do domu!

- Gdzie on jest?

- Umieścili go w Grupie 6. Adela poszła na górę po Walentynę. Może ona zdoła przemówić mu do rozumu.

Wika pobiegła do sali Grupy 6. Wania, czerwony na twarzy, po której strumieniami lały się łzy, wił się w objęciach opiekunki, której nie znał. Ciągłe pokazywał palcem sufit i skandował „dom, dom, dom”. Wika nigdy wcześniej nie widziała go w takim stanie. Był zbyt rozstrojony, by zauważyć, że weszła do sali. Opiekunki z sierocińca zebrały się wokół chłopca, ich twarze wyrażały nieme niedowierzanie. Nigdy dotąd nie widziano w placówce takiego pokazu upor.

Nie trzeba było długo czekać na wyjaśnienie zagadki osobliwego zachowania Wani. Gdy tylko w drzwiach pojawiła się

Walentyna, której po piętach deptała Adela, trzęsąc się ze strachu z powodu wywołania tego kryzysu, Wania skoczył opiekunce na szyję i przytulił się do jej bujnej piersi. Spokój został przywrócony. Jak stateczny liniowiec Walentyna pożegłowała z chłopcem w ramionach do sali na górze - jedynego domu, jaki znał Wania. Całe cierpienie ostatnich ośmiu miesięcy eksplodowało w gwałtownej prośbie, by pozwolono mu wrócić do „domu”, do Walentyny. Dla każdego innego dziecka ten cichy pokój pełen nieuleczalnie chorych był ostatnim miejscem do życia. Dla Wani, który cudem wyrwał się ze stałego reżimu łóżeczkowego zakładu dla obłąkanych, Grupa 2 była domem.

To, o co Wika tak uporczywie się starała, nagle się urzeeczywistniło. Jak jednak do tego doszło? Musiała usłyszeć wyjaśnienie. Adela był zbyt rozemocjonowana, by mówić sensownie. Wika zaczęła więc wypytywać personel, jak Wania wrócił do sierocińca, jak mogło wydarzyć się coś, co wszystkim wydawało się niemożliwe.

- Wprowadzono nowe przepisy - wyjaśniła jej w końcu zastępczyni Adeli.

Jej koleżanka przytaknęła.

- To dzięki nim wrócił do sierocińca na dalsze leczenie i weryfikację diagnozy.

- A inne dzieci z zakładu? - zapytała Wika. - Czy one także powróciły do sierocińców?

- Nie. To tyczy się tylko Wani. Wszystkie inne dzieci zostały przeniesione do Internatu nr 30.

Skrzydło dziecięce w Filimonkach ewakuowano i zamknięto. Szpital potrzebował więcej miejsca dla swych stałych pacjentów.

Wika próbowała złożyć w sensowną całość strzępy informacji. Niewątpliwie zdemaskowanie przemocy, której dopuszczano się wobec dzieci w Filimonkach, skłoniło władze do zamknięcia oddziału dziecięcego. Wszyscy mali pacjenci zostali przewiezieni do Internatu nr 30 na obrzeżach Moskwy.

Jak Wania zdołał uniknąć ich losu? Wszyscy zgodnie powtarzali, że coś takiego nigdy dotąd się nie zdarzyło. Nikt nie przypominał sobie przypadku, by dziecko powróciło do sierocińca.

- To cud - powtarzała Adela pod nosem.

W drodze do domu Wika w końcu pojęła naturę przeznaczenia.

- Tego pamiętnego lata 1996 roku otrzymałam bardzo ważną lekcję. Nawet gdy zniknie ostatnia nadzieja, nie wolno się poddawać. Jednak dopiero gdy zrozumiesz swoją bezradność, Bóg odpowie na twoje modlitwy. Powrót Wani naprawdę był cudem.

## ROZDZIAŁ 11

### W OSTATNIEJ CHWILI

#### *Sierpień - grudzień 1996*

Artykuł o Wani ukazał się w nie najlepszym momencie - w sierpniu, gdy Alan i Sarah byli na wakacjach w Grecji. Zatrzymali się w położonej na uboczu willi należącej do ekscentrycznego angielskiego profesora, w której nie było ani prądu, ani telefonu. Alan zostawił jako swój numer kontaktowy numer do pobliskiej tawerny na plaży, ale tam nikt nie mówił po angielsku.

Artykuł ukazał się w sobotę, przez cały weekend zakurzony telefon w tawernie dzwonił prawie bez przerwy. Nikt z dzwoniących nie zdołał przełamać bariery językowej aż do poniedziałku, gdy Sarah, która akurat jadła tam lunch, została poproszona do telefonu. Kobieta z Anglii o miłym głosie powiedziała, że dzwoniła już do biur „Daily Telegraph” w Londynie i Moskwie, potem do biura organizacji charytatywnej Sarah i w końcu wielokrotnie do tawerny. Przeszła od razu do rzeczy.

- Nie mogę spędzić reszty życia, ciesząc się tym, co mam, ze świadomością, że ten chłopiec przeżywa piekło.

Kobieta powiedziała, że Wania z fotografii w gazecie przypomina jej syna Philipa, obecnie czternastoletniego, u którego również zdiagnozowano porażenie mózgowe, a który pokonał swoją chorobę. Ona sama była fizjoterapeutką i doskonale wiedziała, jak nauczyć Wanię chodzić.

Sarah uświadomiła jej, że nim będzie mogła to zrobić, będzie musiała przezwyciężyć wiele przeszkód związanych z adopcją z Rosji do Wielkiej Brytanii. Proces mógł być kosztowny i długotrwały; mogło się też okazać, że nie uda się adoptować dziecka, które przebywało w internacie. Nic, co mówiła, nie było jednak w stanie zniechęcić Angielki. Obiecała, że zacznie zbierać fundusze i złoży podanie o paszport.

Gdy Sarah odłożyła słuchawkę, poczuła się rozdarta. Z jednej strony na pierwszy rzut oka nie można było znaleźć dla Wani lepszej matki. Z drugiej strony jednak Sarah nigdy nie miała zamiaru angażować się w międzynarodową adopcję. Wciąż jeszcze myślała, że jest gdzieś w Rosji miejsce dla tego utalentowanego i zdeterminowanego chłopca, tylko ona dotąd go nie znalazła. Zrozumiała, jacy byli z Alanem naiwni. Uczynili z Wani przykład ilustrujący losy rosyjskich sierot, którym stawiano błędne diagnozy i skazywano je przez to na okrutny los. Nie przewidzieli jednak, że to doprowadzi do nieuniknionych ofert adopcyjnych. Gdy poznała Wikę, pojęła, że dziewczyna przez cały czas o krok ją wyprzedzała. Wypróbowała już wszystkie opcje rosyjskie i na tej podstawie uznała, że zagraniczna adopcja to jedyne rozwiązanie.

W kolejnych miesiącach dzwoniąca kobieta, Linda, pozostawała w cieniu, zbierając środki na podróż do Moskwy i spotkanie z Wanią.

Co do samego Wani, powrót z zakładu nie oznaczał dla niego wcale początku nowego życia. Znow przebywał w sali z leżącymi, nieuleczalnie chorymi dziećmi. Po pobycie w szpitalu wyglądał jak ludzki szkielet; dłonie wciąż mu drżały i wydawały się ogromne w porównaniu z patykowatymi kończynami; jego twarz była trupio blada, tylko pod oczami miał ciemne kręgi. Mógł się jednak znow cieszyć obecnością swojego przyjaciela Andrieja i miłością opiekunki Walentyny, którą widywał raz na cztery dni. Deklaracje „dalszego leczenia” - powód, dla którego rzekomo został odesłany do domu dziecka - okazały się jednak mrzonką. Żaden z defektologów, logopedów, masażystów ani lekarzy pracujących w domu dziecka nie podjął się terapii Wani, a Adela nigdy im tego jako ich przełożona nie nakazała.

Mniej więcej w tym samym czasie Sarah przyprowadziła do sierocińca młodą żonę dyplomaty, która z wykształcenia była przedszkolanką i bardzo chciała wypróbować swoje umiejętności muzykoterapeutyczne. Zazwyczaj na widok zagranicznego gościa Adela uciekała i chowała się w biurze, tego dnia jednak wyszła do nich. Było widać, że jest wzburzona i musi się z kimś podzielić swymi troskami.

- Życie jest takie ciężkie - oświadczyła bez wstępów. Sarah zrobiła zatroskaną minę.

- Wczoraj kobieta, która opiekowała się Grupą 3, wpadła w szał i zaczęła wszystkich bić, nie mogłam jej powstrzymać. Od dawna męczyła mnie o podwyżkę. Mówiła, że sobie nie

radzi, bo ma dwie córki na utrzymaniu. Nie mam pieniędzy, by jej dać. A poza tym to nie miało żadnego sensu. Przecież właśnie wygrała milion rubli na wyścigach karaluchów. Powiedziała, że potrzebuje więcej. A najgorsze jest to, że chyba nie wróci już do pracy.

Przyjaciółka Sarah z ambasady rozglądała się ze zdumionym wyrazem twarzy, z której można było wyczytać pytanie: kim jest ta szalona staruszka? Sarah przez chwilę zastanawiała się, czy nie przetłumaczyć jej dylematów Adeli związanych z zarządzaniem personelem, ale doszła do wniosku, że prawda raczej zniechęciłaby młodą kobietę do wizyt w sierocińcu.

Równie szybko, jak wylała swe troski przed obcymi, Adela zamknęła się w sobie i bardzo niechętnie zgodziła na zajęcia z muzykoterapii. Jak wszystko, co dobre w Domu Dziecka nr 10, i to nie trwało długo. Po trzech czy czterech zajęciach wolontariuszka została wyrzucona z sierocińca. Podobno zajęcia muzyczne za bardzo pobudzały dzieci.

Sarah straciła wtedy całą wiarę, którą pokładała w domu dziecka, z tym większym więc zdumieniem przeczytała w rosyjskiej gazecie artykuł, który przedstawiał królestwo Adeli jako „gniazdo aniołów”, ostatni bastion dobra w tym szalonym mieście, z ciężko pracującą, kochającą i bardzo zaangażowaną ekipą. Wszystko, co dziennikarka odmalowała w barwach pozytywnych, Sarah wydawało się krzywdzące i ograniczające, ukazane w niewłaściwym świetle. W artykule żurnalistka, członkini organizacji kościelnej, chwaliła na przykład placówkę za wysoki płot, który chronił dzieci przed bezdomnymi i alkoholikami.



- Moim zdaniem ten płot odgradzał dzieci od prawdziwego życia - wspomina Sarah, wpatrując się w pozólkłą kopię artykułu.  
- Tworzył ukryty świat, w którym pozwalano sobie na różnorakie akty przemocy, i trzymał z dala krewnych, którzy pragnęli dzieci odwiedzać. Nie mogłam uwierzyć, że autorka chwaliła „monotonie” życia w sierocińcu, nazywała ją błogosławionym wytchnieniem od pędzącego naprzód, zdeprawowanego świata zewnętrznego. Usprawiedliwiała nawet zaniedbania, jakich personel dopuszczał się wobec dzieci. Jako że wszystkie maluchy były „bardzo chore”, a przez to „przeklęte”, nie potrzebowały przecież opieki medycznej.

Gdy przeczytałam jej sprawozdanie dotyczące Anny, błyskotliwej małej dziewczynki, która otrzymała wózek inwalidzki od brytyjskiej organizacji charytatywnej, krew się we mnie dosłownie zagotowała. Dziennikarka nie napiętnowała zaniedbań personelu, który nie dopasował nawet dziecku gorsetu zgodnie z zaleceniami doktora Swangera. Przyjęła za to za dobrą monetę jego tłumaczenie, zgodnie z którym nie było sensu skazywać na niewygodę dziecka i tak nie mającego żadnych perspektyw.

Co najbardziej zdumiewające, napisała, że Anna, „błyskotliwa, dociekliwa dziewczynka”, została właśnie zdiagnozowana jako „imbecyl”, zupełnie tak jak Wania, co oznaczało skazanie jej na „intelektualną śmierć”. Nie powiązała jednak tego wyroku z okrutnymi zaniedbaniami, jakich dopuszczono się wobec Anny w pokoju cichych dzieci. Doszłam do wniosku, że dla członków tej grupy religijnej Adela nie była w stanie zrobić nic złego tylko z tego tytułu, że była

wierząca. Jak bardzo to podejście różniło się od podejścia Wiki, która pomimo swej gorącej wiary widziała wyraźnie, że sierocińce nie tylko nie leczą upośledzeń, ale wręcz je tworzą.

Pewnego grudniowego poranka Sarah i Wika zawiozły Wanię na badania do Centrum Pedagogiki Terapeutycznej, nowatorskiego ośrodka opieki dziennej.

- Miało to miejsce niedługo po tym, jak Wania wrócił do domu dziecka, i kontrast pomiędzy tymi dwiema instytucjami był tym bardziej jaskrawy. Jak to możliwe, że taki ośrodek założono w tym samym mieście, które utrzymywało Dom Dziecka nr 10? Tu po raz pierwszy Wania został potraktowany jak ludzka istota. Nikt tam nie nosił białego kitla. Dyrektor miał na sobie podkoszulek z hasłem „Każde dziecko może się uczyć”. Personel wypytywał Wanię, czy dobrze się czuje, zanim zaprosił go do zabawy z liczydłem. Zachęcał go do dotykania drewnianych kulek i chwalił, ilekroć powiedział coś mądrego. Po raz pierwszy w życiu Wania przeszedł sesję z fizjoterapeutą, który rozciągał go na wielkiej gumowej piłce. Pod koniec sesji Wanię zaproszono, by usiadł z personelem i napił się herbaty z prawdziwej porcelanowej filiżanki, zachęcano go też, by sam sobie posłodził. Była to szokująca wręcz odmiana w porównaniu z karmieniem brejowatą substancją z butelki przez szczelbelki łóżeczka. Miałyśmy szansę dostrzec, jak mogłoby wyglądać jego życie.

- Gdy obserwowałam tego wychudzonego sześciolatka z nóżkami jak patyczki, poddawanego różlicznym testom, próbowałam sobie wyobrazić, jak osoba z zewnątrz, bez

żadnej wiedzy o rosyjskim systemie opieki, zareagowałyby na widok jego przerażającego stanu. Taka osoba na pewno byłaby zaskoczona, że żaden z siedzących przy stole ekspertów nie chwyta za słuchawkę i nie dzwoni na policję, by donieść o ciężkim przypadku znęcania się nad dzieckiem. Wszyscy w tym pokoju wiedzieli, że państwo akceptowało sposób, w jaki jego instytucje traktowały Wanię, i że żadne prawo nie zostało przy tym złamane. W instytucjach państwowych to dziecko zawsze obwiniano za jego stan, przecież było chore, było imbecylem. Z oficjalnego punktu widzenia instytucje były nieomyłne. Osoby siedzące przy tamtym stole przy herbacie wiedziały jednak, że jest całkiem odwrotnie. To system redukowało utalentowane dzieci do poziomu upośledzonych szkieletów.

Jedynymi osobami, które brały na siebie odpowiedzialność za rozwój Wani, byli wolontariusze. Wika zmobilizowała swoją przyjaciółkę Asię, by przychodziła do sierocińca i dwa razy w tygodniu udzielała Wani i Andriejowi lekcji. Wania szybko uczył się kolorów, pór roku i rosyjskich bajek. Po dwóch miesiącach był już zupełnie innym dzieckiem. Sarah widziała jedną z takich lekcji. Była to pierwsza prawdziwa nauka dla tych dzieci. Tego dnia Asi pozwolono skorzystać z sali z drabinkami, ogromnym lustrem ściennym i poręczami zamocowanymi na poziomie dzieci. Dywan, który wyglądał tak, jakby nigdy nie tknęła go ludzka stopa, ujawniał prawdziwy cel istnienia tej sali - była na pokaz. Chłopcy przeżyli całe swoje dotychczasowe życie w domu dziecka i nigdy wcześniej tam nie byli; potraktowali ją jak prawdziwą jaskinię Aladyna.

- Byłam zdumiona, gdy widziałam, że Wania, w przeciwieństwie do innych dzieci z placówki, ma własne zdanie - wspomina Sarah. - Wybierał, do których ćwiczeń chce się włączyć. Jeśli nie był zainteresowany, odchodził na bok, podciągał się na poręczy, przewieszał przez nią i wykonywał przewroty. Ciągłe testował granice. Gdy Asia go wołała, mówił: „chwileczkę” i kończył to, co właśnie robił, zanim do niej podszedł.

Gdy chłopcy odkrywali tajemnice sali i wkładali różne rzeczy do pudełek, było widać, że szybko nadrabiają te etapy rozwoju, których nie pozwalano im pokonać. Czerpali prawdziwą radość z czynności, które wykonywały dzieci jednoroczne i dwuletnie - lubili huśtanie na kolanie i wkładanie różnych przedmiotów do pudełek, by je potem wyciągać.

Wania był zafascynowany odłączonym telefonem, który stał na niskim stoliku. Sarah udawała, że rozmawia przez niego z Wiką, i zachęcała go, by przyłączył się do zabawy. Wania jednak odmówił.

- Sarah, ten telefon jest zepsuty. Jak mam przez niego rozmawiać z Wiką?

Gdy Asia zaczęła śpiewać, przerwał zwiedzanie sali i podpełznął do niej na czworakach tak szybko, jak tylko mógł. Uwielbiał powtarzać refren: „Obudziłem się”.

Wania rozwijał się w przyspieszonym tempie, a dom dziecka pozostawał niezmienny. Nikt nie miał zamiaru załatwić dla niego żadnego leczenia, więc to Sarah, za pośrednictwem kolejnej rosyjskiej organizacji założonej przez matkę niepełnosprawnego dziecka, umówiła go na wizytę u naczelnego lekarza Szpitala nr 58 dla dzieci z porażeniem mózgowym.

Gdy Wania fikał koziółki i przysłuchiwał się bajce opowiedanej przez Asię, do pokoju weszła Świetłana - kobieta, która odwiozła go do zakładu - i usiadła przy stole w kącie. Sarah przypomniała jej o tym, że podjęła się zabrać Wanię za dwa dni do szpitala. Świetłana wydawała się zadowolona, powiedziała nawet Sarah, gdzie odebrać wyniki badań krwi chłopca. Sarah wskazała gestem Andrieja.

- Czy to nie wspaniale, że Andriej jedzie na Florydę? Wani też dobrze by zrobiło, gdyby wyjechał za granicę.

- O tak, zwłaszcza teraz, gdy przyszły papiery o przeniesieniu go do Internatu nr 30.

- Internat 30... przecież to okropne miejsce. - Sarah była wstrząśnięta. - To tak samo, jakby odesłać go do tego zakładu, w którym był.

Świetłana chyba poczuła wstyd.

- Ale to właśnie tam został przydzielony.

Wania uważnie przysłuchiwał się ich rozmowie. Przestał nawet robić przewroty, gdy zrozumiał, że wymiana zdań dotyczy jego osoby. Malec, który jeszcze przed chwilą radośnie bawił się jak dziecko, nagle stał się minidorosłym, który wiedział, że może polegać tylko na sobie.

Po powrocie do domu Sarah wciąż nie mogła uwierzyć, że Świetłana tak lekkim tonem obwieściła coś tak strasznego. Wania ledwie doszedł do siebie po ośmiomiesięcznym pobycie w zakładzie, a teraz miał trafić do następnego - kolejnej przechowalni dla dzieci skazanych na całkowite zapomnienie i śmierć. Było to tym bardziej zdumiewające, iż Świetłana była naprawdę wstrząśnięta tym, że musiała odwieźć Wanię do poprzedniej placówki. Widać było, że zależy jej

na chłopcu i w sercu pragnie dla niego jak najlepiej. A jednak nie dopuszczała do siebie myśli, że mogłaby mieć jakikolwiek wpływ na jego los. W ostatniej chwili okazało się, że Wania będzie bezpieczny w Szpitalu nr 58, gdy kolejna grupa dzieci zostanie odesłana z sierocińców do różnych zakładów psychiatrycznych.

Dwa dni później Wania został poddany intensywnemu badaniu przez naczelnego lekarza szpitala, imponującego człowieka z tapirowaną grzywą białych włosów. Wszyscy twierdzili, że ten szpital to najlepsza w całym byłym Związku Radzieckim placówka rehabilitacji dzieci z porażeniem mózgowym. Sarah była pewna, że na korytarzach będą tłumy, że dzieci wjeżdżają do szpitala w wózkach, a kilka tygodni później wychodzą z niego o własnych siłach. Placówka była ogromna, ale niewiele się w niej działo, spotkali tylko kilka osób. Mijali ciągnące się kilometrami puste korytarze i całe oddziały bez ani jednego pacjenta. Pomimo potężnych rozmiarów szpitala lekarz przeprowadzał badanie na korytarzu. Był, tak jak wszyscy chirurdzy świata, bardzo pewny siebie i przekonany, że mógłby operować Wanię.

- Dlaczego nikt wcześniej nie przyprowadził do mnie tego dziecka? - zapytał surowym tonem.

Młoda terapeutka z sierocińca, która została oddelegowana jako towarzyszka Wani, w ogóle się nie stropiła, słysząc reprimendę. Nie uważała się za odpowiedzialną za stan fizyczny Wani.

Wkrótce okazało się, że nie była to pierwsza wizyta Wani w Szpitalu nr 58. Jego biologiczna matka przyprowadziła go tam, gdy był niemowlęciem, przepelniona wiarą

w umiejętności lekarzy, która właśnie tam została zdruzgotana. To w tym szpitalu Natasza usłyszała od sanitariusza te okrutne słowa: „Wydałaś na świat Bóg wie co i teraz przynosisz to tutaj, byśmy to leczyli”.

Po kilku dniach przeprowadzono pierwszą operację nóg Wani. Można by pomyśleć, że w tak prestiżowej instytucji Wania miał zapewnioną pierwszorzędną opiekę. Tak właśnie myślała Sarah, być może naiwnie, i nie spieszyła się z wizytą - nie była pewna, czy spotka się z miłym przyjęciem. Dopiero przyjaciółka, która miała syna cierpiącego na porażenie mózgowe i знаła ten szpital, surowo ją zbesztła za pozostawienie Wani samego w cierpieniu tuż po operacji.

Sarah zadzwoniła więc do Wiki, umówiły się, że następnego dnia pójną tam razem. Po drodze do szpitala wpadły jeszcze do domu dziecka po Walentyne, która właśnie skończyła dyżur i przebrała się w elegancki niebieski wełniany płaszcz oraz pasujący do niego kapelusz. Sarah wzięła ogromną piłkę do fizjoterapii, którą kupiła dla personelu sierocińca, by wykorzystywał ją na zajęciach z Wanią, a która od tamtej pory leżała nieużywana. Ta wielka piłka miała zapewnić tym kobietom, trzem muszkieterkom, które Wania zwerbował, by odmieniły jego przeznaczenie, wstęp do szpitala.

W samochodzie Walentyna rozpakowała prezent, który własnoręcznie dla Wani zrobiła - pomarańczowo-brązowy sweter z wełny. Na piersi wyhaftowała „W Pastukow”, żeby Wania nie zaginął w szpitalu. Ze swej nędznej pensji wysokości około czterdziestu dolarów miesięcznie zakupiła też jabłka, ciastka i plastikową zabawkę.

Gdy dojechały na miejsce, ogromna piłka od razu ściągnęła na nie uwagę strażników, którzy nie pozwolili im wejść na oddział. Wika musiała zadzwonić do pielęgniarki dyżurnej i błagać, by je wpuszczono, powiedziała, że są częścią zagranicznej delegacji, która przywiozła ważny sprzęt medyczny. Gdy w końcu weszły do środka, wpadły na ordynatora, małego człowieczka o twarzy łasicy. Powitał je uprzejmie. Sarah podarowała mu piłkę. Mężczyzna zniknął z podarunkiem, a gdy wrócił po kilku minutach, uprzejmy doktor Jekyll zamienił się w pana Hyde'a. Zamknął wejście na oddział i krzyknął do Wiki:

- Kto wam dał pozwolenie na odwiedzanie tego chłopca? I dlaczego sądzą, że potrzebuje gości? Nie jesteś jego matką. On właśnie przeszedł operację. Tylko matki mają prawo do odwiedzin.

Gdy wrzeszczał jak szaleniec, wtrąciła się Sarah.

- Ten chłopiec nie ma matki. Wika to osoba, która kocha go najbardziej na świecie.

Wybuchła kłótnia, Sarah kątem oka zauważyła, że Walentyna zdejmuje buty i wkłada biały kitel i czepek - swój uniform roboczy z sierocińca. W tym przebraniu prześliznęła się obok wrzeszczącego lekarza i wyruszyła na poszukiwania Wani.

W końcu ustalono, że łóżko Wani zostanie przewiezione na korytarz, by „niematki” mogły z nim spędzić kilka minut.

- Dlaczego ten lekarz tak dziwnie się zachowuje? - zapytała Sarah przechodzącą pielęgniarkę.

- Ach, on. Zawsze taki jest. - Pielęgniarka wzruszyła ramionami. - Nazywamy go psychopatolekarzem.

Ze swego miejsca na korytarzu trzy kobiety obserwowały oddział pełen matek troszczących się o swoje dzieci,



karmiących je jedzeniem, które przyniosły z domu, i czytających im bajki. Wania był tego wszystkiego pozbawiony. Nie był centrum niczyjego świata.

Wyraźnie ucieszył się na ich widok, ale mógł się tylko słabo uśmiechać, bo bardzo bolały go nogi. Trzy opiekunki stawały się coraz bardziej ponure, gdy uświadamiały sobie, jakim samotnym miejscem jest szpital dla dziecka bez matki. Gdy stały przy jego łóżku, przyszła pielęgniarka, by sprawdzić opatrunki pomiędzy jego palcami, ale do nich nie odezwała się ani słowem.

- Gdy lepiej poznałam ten szpital - opowiada Sarah - zrozumiałam, że cały ten system opiera się na matkach trwających przy swych dzieciach. To matki udzielały lekcji w basenie i dbały o fizjoterapię po zabiegu. Wanię pozostawiono samemu sobie. Znów to na mnie i Wikę spadł obowiązek zmobilizowania ludzi, by go odwiedzali. Wika zwróciła się do swojego Kościoła, ja znalazłam dwoje chętnych angielskich studentów, którzy właśnie robili sobie rok przerwy od nauki.

Tym razem i Wania wziął swój los w swoje ręce. Znalazł sobie nową najlepszą przyjaciółkę - Elwirę, piękność o kruczoczarnych włosach, swoją rówieśnicę, która była najmądrzejszym dzieckiem z sierocińca na całym oddziale. Oczarował matkę innego dziecka i nakłonił ją, by czytała mu bajki i przynosiła jedzenie z domu. Jego największym osiągnięciem było jednak przekonanie lekarza naczelnego szpitala, by dostrzegł coś więcej niż diagnoza na papierze. Lekarz zadeklarował, że Wania to „całkowicie normalny mały chłopiec”. Niestety, w przypadku dziecka powierzonego opiece państwa, pozbawionego rodziców, którzy mogliby się za nim wstawić, taka opinia nie miała wpływu na jego przeznaczenie.

## ROZDZIAŁ 12

### DZIECI W LESIE

*Marzec 1997*

Wania pisał z radości, gdy na jego oczach Sarah i Wika odmieniały wygląd pokoju, który dzielił z Elwirą. Kobiety złączyły wszystkie małe stoliki w jeden długi. Poczłł niepokój, gdy zobaczył, jak znoszą krzesła i ustawiają je przy stołach. Uznał, że musi je ostrzec.

- Sarah, Wiko, nie wolno przenosić krzesel. Nakrzcą na was za to.

Wika zmierzwiła mu włosy.

- Nie martw się, Waniu. Dziś jest wyjątkowy dzień. Dziś można tak robić.

Dlaczego dziś jest wyjątkowy dzień, zaczął się zastanawiać chłopiec.

Wika ustawiła największe krzesło, to z podłokietnikami, na końcu stołu. Królowało nad mniejszymi, plastikowymi krzeselkami.

- To twoje miejsce, Waniu - powiedziała, pomagając mu w nim usiąść.

Sarah postawiła przed nim torbę z zakupami.

- A teraz, Waniu, znajdź obrus i serwetki.

Chłopiec zaczął przeglądać zawartość reklamówki pełnej intrygujących przedmiotów, których nigdy przedtem nie widział. Wyjął paczkę miękkich kolorowych drobiazgów i zaczął się im uważnie przyglądać.

- Co to takiego? - zapytał.

- Dziękuję, Waniu. Znalazłeś baloniki. Zaraz je nadmuchamy.

Potem Wania wyciągnął z torby ciekawie wyglądającą puszkę. Ośmielił się uchylić pokrywkę i z radością stwierdził, że puszka jest pełna czekoladowych ciastek. Bez wahania zanurzył w nich rękę, wyjął jedno i odgryzł potężny kęs. Gdy Sarah i Wika zaczęły się śmiać, spojrzał na nie z miną winowajcy.

- Nie martw się, Waniu. Możesz zjeść jedno. Dziś są twoje urodziny.

Odgryzł kolejny kęs i zaczął się zastanawiać, kiedy po raz pierwszy usłyszał to obco brzmiące słowo „urodziny”. To było w domu dziecka. Podśluchał rozmowę opiekunek o herbacie i torcie. Urodziny obchodzili jednak tylko członkowie personelu. Czy dzieci też mogły je mieć?

Gdy się nad tym zastanawiał, Sarah znalazła papierowy obrus. Niebieski, w samochodziki. Serwetki i talerzyki miały taki sam wzór.

Wika zapragnęła coś mu pokazać. Miała w dłoni puszkę i właśnie ściągała pokrywkę.

- Popatrz, co dla ciebie zrobiłam, Waniu. To ciasto. Nigdy wcześniej nie piekłam ciasta. To twój urodzinowy tort.

Stół był już nakryty. Poza ciastkami i tortem znalazły się też na nim pokrojone na ćwiartki jabłka, banany i soczki.

Wania zauważył dwie pielęgniarki, które stały w progu i z dezaprobatą przyglądały się przygotowaniom. Znów poczuł niepokój.

- Nie wolno nam jeść w pokojach, w których śpimy. Nie wolno wносить jedzenia - oświadczył na głos.

- Nie martw się, to przyjęcie. - Sarah odwróciła się w tym samym kierunku co on i zapewniła pielęgniarki: -Po wszystkim posprzątam. Nie zostawimy bałaganu.

- Proszę nie zapomnieć odnieść na miejsce wszystkich mebli - upomniała ją siostra.

Wika zaczęła dmuchać baloniki. Wania wybuchnął śmiechem na widok jej wydętych policzków i czerwonej twarzy. Urwała, by zaczerpnąć tchu.

- Dziś kończysz siedem lat. Nigdy wcześniej nie miałeś urodzinowego przyjęcia. To dzisiejsze ma ci to wynagrodzić. - Dokończyła dmuchanie balonika i przywiązała go do łóżeczka. - Zaprosiłam wszystkich twoich przyjaciół, wszystkich, którzy cię odwiedzają.

W progu pojawiła się znajoma postać. Była to Ola, przyjaciółka Wiki, która raz w tygodniu przychodziła do Wani, by mu poczytać.

- Ola! - zawołał Wania. - Dziś są moje urodziny.

- Wszystkiego najlepszego - powiedziała Ola, podeszła do Wani, by go pocałować, poprosiła, by siedział nieruchomo przez chwilę, i zawiązała mu na szyi mały drewniany

krzyżyk. Dała mu jeszcze wielką torbę cukierków i poleciła podzielić się ze wszystkimi gośćmi.

Tuż po Oli do sali weszły jeszcze dwie przyjaciółki Wiki. Pierwsza dała Wani piankowy torcik.

- Wania, ty szczęściarzu! - zawołała Wika. - Tort z ptasiego mleczka. Uwielbiałam go, gdy byłam w twoim wieku.

Wzrok Wani powędrował już jednak do kolejnego gościa, który sięgał do przepastnej torby. Wania z trudem hamował podekscytowanie. Z torby wynurzył się drewniany konik na biegunach, misternie rzeźbiony i wypolerowany. Wania wolałby samochodzik, ale i tak uśmiechał się przepełniony radością z powodu całej uwagi, którą mu poświęcano.

Nagle na oddziale rozległy się dwa młode angielskie głosy.

- Cześć, solenizancie. To my.

- Barnik! Emily! - Wania podskoczył z zachwytem na widok Barneya i Emily, dwojga angielskich studentów.

Barney wyjął z plecaka małą plastikową torebkę i podał ją Wani. Wania wyjął z niej czapkę bejsbolową, przyjrzał się jej, po czym oddał ją młodemu Anglikowi.

- Barnik. To twoja czapka.

- Teraz jest już twoja, Wania. Tak bardzo ci się spodobała, że postanowiłem ci ją podarować. - Wsadził ją Wani na głowę.

Tymczasem Emily przyprowadziła do pokoju śliczną ciemnowłosą dziewczynkę, która miała nogi zagipsowane aż do ud.

- Elwiro, chodź i usiądź obok mnie! - zawołał Wania do swej najlepszej przyjaciółki.

Ze zdeterminowaną miną Elwira stawiała usztywnione nogi jedna za drugą, jak robot, a Emily szła za nią, trzymała ją za ręce, by mała nie straciła równowagi, i prowadziła ją do Wani. Gdy podeszły do solenizanta, Wika podała Elwirze bukiet goździków. Elwira z wielką gracją pomimo bólu w nogach przekazała kwiaty Wani.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w sali pojawił się tuzin dzieci w rajstopach i starych ubraniach. Wśród pielęgniarek rozeszła się wieść, że dla dzieci z sierocińców, które nie mają matek, organizowana jest zabawa. Przysłały więc do sali całą tę porzuconą gromadkę, by mogła wziąć udział w przyjęciu.

Sarah zaczęła rozglądać się wokół w panice.

- Mamy jedzenie, ale nie mamy krzeseł.

Posłała Barneya na inne oddziały, by tam poszukał krzeseł na ten bankiet żebraków.

Zanim dzieci zaczęły opychać się czekoladowymi ciastkami, Wika klasnęła w dłonie i zawołała:

- Zaczekajcie. Nie zaczynajcie jeszcze jeść. Musimy zaśpiewać *Korowajl*

Razem z przyjaciółkami ustawiła dzieci w kręgu wokół Wani, który stał na środku, opierając się na balkoniku. Dorośli zaczęli śpiewać tradycyjną piosenkę o pieczeniu ogromnego urodzinowego kołacza - korowaja.

- Taki wielki! - zaintonowała Wika, unosząc obie ręce do sufitu.

Dzieci również zaczęły wyciągać ramiona do góry.

- Taki mały! - zaśpiewała, kucając. Wszyscy poszli w jej ślady.

- Taki szeroki!

Krąg się poszerzył. W tej samej chwili do sali weszło nieśmiało jeszcze jedno porzucone dziecko i od razu zostało wciągnięte do zabawy.

- Taki wąski!

Krąg zacieśnił się wokół Wani. Wszyscy zaczęli śpiewać chórem:

- Korowaj, korowaj, kogo lubisz, wybieraj! Ponaglony przez Wikę Wania odparł śpiewnie:

- Oczywiście wszystkich lubię, a najbardziej lubię... -Wania umilkł i zaczął się rozglądać, dzieci wstrzymały oddech w oczekiwaniu. - Elwira!

Dzieci uśmiechnęły się do siebie i zamieniły miejscami. Elwira stanęła pośrodku kręgu podtrzymywana przez Emily. Gra trwała, dopóki wszystkie dzieci choć raz nie znalazły się w kręgu i nie odegrały roli urodzinowego wypieku. Krąg się rozrastał, bo w drzwiach pojawiały się kolejne dzieci, które chętnie zapraszano do zabawy.

Nim gra dobiegła końca, a obcokrajowcy nauczyli się choć niektórych rosyjskich słów, Wika już pomyślała o torcie i świeczkach.

Dzieci usadzono przy stole, nieregularny tort Wiki udekorowano siedmioma świeczkami, a Wania pochylił się nad nimi, by je zdmuchnąć.

Wika nie powiedziała mu, że świeczki powinno zdmuchnąć się naraz, a Wania nigdy wcześniej nie był na urodzinowym przyjęciu. Z namaszczaniem gasił płomyki jeden po drugim. Wika pospiesznie zapaliła je jeszcze raz i tym razem Wania zgasił je wszystkie jednym potężnym dmuchnięciem.

Był z siebie bardzo dumny, zapragnął to zrobić po raz kolejny. Wika odwróciła jego uwagę, mówiąc mu, że powinien teraz pomyśleć życzenie, które ma szansę się spełnić. Pokroiła tort na małe kawałki, by nakarmić nim jak największą część ciągle powiększającej się gromady gości.

Gdy w końcu cały tort został zjedzony do ostatniego okruszka, Sarah wyjęła torbę z prezentami, z których każdy był oddzielnie zapakowany. Podała Wani największy, oczy chłopca zajaśniały, gdy rozerwał papier i zobaczył samochodzik, zielonego jaguara, na którym Sarah napisała jego imię żółtą farbą, by zapobiec ewentualnej kradzieży.

Mała dziewczynka wstała i zapytała:

- Czy ja też mogę mu coś dać?

Sarah podała jej małą paczuszkę. Wszystkie te dzieci, które nigdy nie miały nic swojego, rzuciły się do wręczania prezentów Wani, a on dopilnował, by podziękować każdemu z nich, gdy podchodziły do niego na chwiejnych nogach i wręczały mu podarki.

Następnie wszyscy odśpiewali radosne *Happy Birthday* po angielsku. Potem przyjaciel Wiki zaintonował głębokim głosem melancholijny hymn kościelny, życząc Wani długiego życia. A na koniec, na prośbę Wani, Barney puścił z taśmy afrykański pop.

Spełniło się marzenie Wiki. Przyjęcie zakończyło się pełnym sukcesem. Gdy Emily i Barney odwiedzili chłopca dwa dni później, okazało się, że wszystkie jego prezenty zniknęły, ale nikt nie mógł mu ukraść wspomnienia jego pierwszego urodzinowego przyjęcia.



Wania i Elwira siedzieli w szpitalnej stołówce przy stole zarezerwowanym dla dzieci z sierocińców i czekali na obiad. Pielęgniarka położyła przed nimi talerze i aluminiowe łyżki. Na każdym talerzu leżała góra zastygłego ryżu, rozgotowana marchewka i wielki kawałek mięsa. Nie dano im noży ani widelców, by mogli pokroić sobie mięso na kawałki, a pielęgniarki, które stały nieopodal, założyły ręce na piersiach i nie zamierzały im pomóc.

- Widzisz to mięso na twoim talerzu? - zapytał Wania Elwirę. - Wygląda jak twój brązowy but. Elwira z trudem stłumiła śmiech. Gdy tak siedzieli nad swoim niedojedzonym obiadem, z fascynacją przyglądali się sąsiadującym stolikom, przy których siedziały dzieci karmione przez kochające matki. Matki, które zrezygnowały ze szpitalnego wikt i przynosiły z domów zupy, paszteciki i smażony ser. Mogły podgrzewać jedzenie w szpitalnej kuchni, wspaniałe zapachy unosiły się więc wszędzie. Mama jednego z chłopców kroić na kawałki jabłko i wkładała je synkowi do buzi. Wania i Elwira przesuwali jedzenie po talerzach z nadzieją, że któraś z matek się nad nimi zlituje. Jedna z nich była dla nich szczególnie miła. Czytała im bajki i od czasu do czasu czymś ich częstowała, ale tego dnia jej nie było. Po dziesięciu minutach zabrano im talerze z zimnym jedzeniem i odwieziono ich na oddział.

- Widziałaś, co przyniosła mama Saszy? - zapytał Wania.

- Tak! To była czekolada! - odparła Elwira.

- Nie bądź głupia. Mamusie nie dają dzieciom czekolady na obiad.

- Przecież była w sreberku. To musiała być czekolada.

- Ale była biała. Moim zdaniem wyglądała jak ser.

- Gdybym miała mamę, na pewno przynosiłaby mi na obiad czekoladę. Dawałaby mi wszystko, co bym chciała.

- Gdybym ja miał mamę, upiekłaby mi ciasto. Nie takie małe. Wielkie. Pełne jabłek... i... salami.

- Nie można wkładać salami do ciasta, głuptasie. Wania uśmiechnął się psotnie do przyjaciółki i rozpoczął

ich ulubioną szpitalną grę. Leżąc w łóżeczku, zaczął machać rękami, imitując przesadną gestykulację dorosłego mężczyzny. Zerknął przez szczebelki łóżeczka i zauważył, że Elwira już podąża jego śladem - byli dwojgiem bardzo ważnych lekarzy, którzy robili obchód na oddziale.

- Pani doktor, jak się dziś miewa nasz pacjent Sliozkin?  
-zapytał Wania autorytatywnym tonem.

Elwira pisnęła z zachwytu, słysząc nazwisko lekarza, którego lubiła najmniej ze wszystkich.

- Bardzo źle - odparła głębokim głosem, kręcąc głową i marszcząc brwi. - Nie robi żadnych postępów.

- Żadnych? Ale przecież wczoraj daliśmy mu dwa zastrzyki.

- Och, to bardzo trudny przypadek. Co powinniśmy zrobić?  
Dać mu trzy zastrzyki?

- To nie wystarczy - oświadczył Wania. - Przepiszę Slioz-k i nowi... - Urwał dla większego efektu. - Pięć zastrzyków dziennie.

Elwira zaczęła chichotać i po chwili oboje wybuchli śmiechem.

- Wania, nie rozśmieszaj mnie więcej. Muszę siusiu. Wiesz, że pielęgniarka przyjdzie za sto lat.

- Powiem ci, co zrobimy. Poczytam ci bajkę. - Wania chwycił za szczebelki i podciągnął się, aby usiąść, krzywiąc się z bólu w obandażowanych nogach. Wyciągnął rękę i zdjął ze stolika starą książeczkę. Zaczął udawać, że czyta, naśladować Olę i Wikę, które wielokrotnie widział w takiej sytuacji. - Dawno, dawno temu żył sobie pewien kowal, który miał żonę i piękną córkę, Wasylisę.

- Jak ona wyglądała?

- Nie przerywaj mi. Czytam. - Próbował nadać swojemu głosowi surowe dorosłe brzmienie. Zerknął na Elwirę. - Miała piękne, długie, ciemne włosy. Ale pewnego dnia zdarzyło się coś strasznego. Mama Wasylisy umarła. A ojciec wziął sobie za żonę złą macochę, która była bardzo okrutna dla Wasylisy. Wołała dwie własne córki. Kowal musiał wyjechać, żeby szukać pracy. Byli tak biedni, że mieszkali na skraju wielkiego lasu. Gdy wyjeżdżał, uprzedził żonę, by nie pozwalała dzieciom chodzić do lasu. W lesie mieszkała Baba Jaga, okrutna czarownica, która lubiła pożerać dzieci.

- A jak wyglądała Baba Jaga?

- Miała nos tak wielki, że sięgał podbródka. I żelazne zęby, z których sypały się iskry. A jej dom stał na kurzej stopce - powiedział Wania, powtarzając słowa, których nauczył się na pamięć.

- I co było dalej?

Wania spojrział do książki, jakby szukał miejsca, w którym przerwał opowieść.

- Macocha kazała Wasylisie iść do lasu nazbierać jagód. Wasylisa zabłądziła.

- O nie! W lesie mieszka Baba Jaga. Na pewno ją pożre!

- Tak. Przed sobą Wasylisa zobaczyła domek Baby Jagi, drzewa zamknęły się za nią. Baba Jaga wystawiła głowę przez okno...

- Nie mów już nic więcej - poprosiła Elwira. - Znam zakończenie. Wasylisa uciekła. I poślubiła księcia. I teraz chodzi w srebrnych sukienkach.

- Skąd wiesz, że w srebrnych? Tego nie ma w książce.

- Wiem, bo srebrny to mój ulubiony kolor.

- Wystarczy już tej bajki. Przeczytam ci inną. Tej na pewno nie znasz. Nosi tytuł *Złota rybka*. Dawno, dawno temu nad morzem mieszkał sobie ubogi rybak. Pewnego dnia w jego sieci zaplątała się mała rybka. Była złota i błyszcząca. Rybka powiedziała do rybaka: „Jestem za mała, by wystarczyć ci na kolację. Wypuść mnie, a spełnię twoje życzenie”. A rybak powiedział: „Mam wszystko, czego mi potrzeba”. I wrzucił rybkę do wody. Gdy jednak wrócił do domu, żona powiedziała mu, że był bardzo głupi, o nic nie prosząc. Kazała mu wrócić nad morze i poprosić rybkę o wielki pałac pełen złota.

Ta historia znudziła Elwirę.

- Och, Waniu. Lepiej powymyślajmy swoje własne życzenia. Ja chciałabym mieć tyle czekolady, ile tylko mogłabym zjeść.

- A ja chciałbym codziennie jeść tort, taki, jaki Wika upiekła mi na urodziny.

- A ja chciałabym mieć walkmana takiego jak Barney i portmonetkę z pieniędzmi.

- A ja chciałbym mieć samochód.

- Wania, a czego chciałbyś najbardziej?

- Ty powiedz.

- Nie, ty.

- Nie, ty.

Oboje umilkli. Były życzenia zbyt bolesne, by się nimi dzielić. W szpitalu zrozumieli, że nie są tacy jak inne dzieci. Byli odmienni. Tamte dzieci miały swoją wyjątkową osobę, która przynosiła im smaczne jedzenie, pocieszała je, gdy leżały w bólu po operacjach, nosiła je do łazienki, gdy tylko zachciało im się siusiu, i całowała je na dobranoc. Oni nie mieli nikogo.

## ROZDZIAŁ 13

### KONIAK I CZEKOLADA

*Kwiecień - wrzesień 1997*

Minęło osiem długich miesięcy od dnia, w którym Linda Fletcher przeczytała o Wani w „Daily Telegraph”, do dnia jej przyjazdu do Moskwy. W tym czasie Wania przeniósł się z zakładu dla obłąkanych do domu dziecka, stamtąd do szpitala, a ze szpitala do Sanatorium Dziecięcego nr 26, ukrytego w moskiewskim parku. Cały system okrutnie ignorował wszystkie zawarte przez niego przyjaźnie. Gdy tylko nawiązał silną relację z Elwirą, został od niej oderwany i przeniesiony do sanatorium. Nikt mu nie powiedział, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy, czy wróci do Szpitala nr 58. Jedynym stałym punktem odniesienia w jego życiu była sieć wolontariuszy, która podążała za nim krok w krok. Czasami zajmowało to trochę czasu, ale jego przyjaciele zawsze ostatecznie go odnajdywali.

Linda nigdy wcześniej nie opuszczała Wielkiej Brytanii, lecz bez lęku wybrała się w podróż do Moskwy. Miasto wyglądało okropnie. Śnieg zamienił się w błoto, a wiosna się spóźniała. Sarah i Wika zabrały Lindę kolejką do parku, który wyglądał jak brzozowy las. Wika poprowadziła je przez rozklekotany mostek wzdłuż błotnistej alei do starej willi.

W Sanatorium nr 26 panowała przyjemniejsza atmosfera niż w domu dziecka. Wania trafił do Grupy 4. Przez drzwi zobaczyły czworo dzieci przy stole jedzących zupę z miseczek. Wania siedział plecami do drzwi. Choć nie wyglądał już jak żujący winogrona malec z ogoloną głową, który przyciągnął jej wzrok w gazecie, Linda nie musiała nawet pytać, które to dziecko. Podeszła prosto do niego. Spojrzał na nią przez ramię i uśmiechnął się do niej szeroko, jakby chciał powiedzieć: nareszcie po mnie przyjechałaś.

Od pierwszej chwili nie było pomiędzy nimi ani odrobiny niezręczności. Kilka minut później Linda siedziała na dywanie i trzymała Wanię w ramionach. Chłopiec przytulał się do niej bez żadnej rezerwy. Gdy rozmawiał z Wiką i Sarah, mimowolnie ścisnął w dłoni pasmo jej włosów. Wika z zachwytem obserwowała, jak jej mały protegowany szybko nawiązuje relacje ze swoją przyszłą matką. Linda wyjęła z torby parę solidnych tenisówek na rzepy, którymi zastąpiła jego różowe buciki.

Gdy Wika wyjaśniła personelowi, że to przyszła matka Wani, niechętnie wydano zgodę na jego udział w pamiątkowej fotografii na tle srebrnych brzoź. Zdjęcie miało też być wkrótce powieszona w Domu Dziecka nr 10 jako dowód pomyślnego zakończenia tego okropnego rozdziału w jego życiu.

Przebiegiem wizyty Lindy w Moskwie kierował chyba sam Bóg. Zrządzeniem losu w tym samym czasie zjawiała się w mieście rodzina z Florydy, aby zakończyć proces adopcji Andrieja. Tom był menadżerem hotelu. Jego żona Roz uczyła w domu ich dwoje dzieci, Johna Davida i Sarah. Przekonanie, że wypełniają boże przykazania, dało tej parze siłę, by pokonać rosyjską biurokrację. Rosja była dla nich z gruntu obca, ale nigdy nie narzekali.

W dniu, w którym Tom i Roz przyjechali do Domu Dziecka nr 10, by zabrać Andrieja, przez placówkę przewinęła się niespotykana dotąd liczba gości. Najpierw przyjechała Sarah, która przywiozła Amerykanów. Adela przemogła się i osobiście powitała ich. Ci obcokrajowcy przyjeżdżali przecież oficjalnie, więc nikt nie mógł jej za to zrugać. Potem zjawiał się Alan, który zamierzał napisać dalszy ciąg artykułu o dwóch chłopcach; przywiózł ze sobą profesjonalnego fotografa. Na końcu przyjechała Wika z Lindą i Wanią, który otrzymał specjalną przepustkę z sanatorium, by móc pożegnać się z przyjacielem.

Chłopcy zobaczyli się wtedy po raz pierwszy od trzech miesięcy. Wania rozpromienił się na widok starego przyjaciela.

- Andriusza, gdzie ty się podziewałeś? - zapytał.

Na tę okazję Adela otworzyła kolejny pokój. Na jednej ze ścian była fototapeta przejrzystego Morza Śródziemnego, otoczonego wysokimi sosnami i skałami zwisającymi nad wodą w kolorze najczystszej błękitu. Po drugiej stronie Adela ustawiła stół, na którym znajdowały się herbata, sałatki i wybór sklepowych ciast. Dyrektorka kręciła się wokół, rozdając wszystkim filiżanki.



Wszystko wypadło doskonale - choć oczywiście nie obyło się bez pewnych wpadek. Przyszła siostra Andrieja nie mogła znieść stęchłego, przesyconego odorem kapusty powietrza w sierocińcu i musiała regularnie wychodzić na zewnątrz, by zaczerpnąć tchu. Nowe buty Wani, kupione po wielu przymiarkach i przefaksowaniu Lindzie do Manchesteru zarysów jego stóp, zniknęły w tajemniczych okolicznościach, a chłopiec znów miał na nogach swoje stare różowe buciki. Okazało się też, że Adela nie do końca przezwyciężyła swoją niechęć do zagranicznych adopcji. Zwierzyła się ze swoich wątpliwości szeptem Alanowi.

- Ci Amerykanie to chyba dobrzy ludzie - powiedziała, szukając u niego zapewnienia.

Alan znał ją już na tyle, by wiedzieć, że dyrektorka myśli całkiem odwrotnie.

- Tak, to dobrzy chrześcijanie.

- Nie sprzedadzą go na organy, prawda?

- Na miłość boską, Adelu. Dlaczego mieliby zrobić coś takiego?

- Tak robią cudzoziemcy. Czytałam w gazecie. Kradną chore rosyjskie dzieci, tną je na kawałki i sprzedają ich organy do transplantacji.

- Spójrz na nich, Adelu. Wierzą, że to Bóg wezwał ich, by dali dom temu dziecku. - Nie była to odpowiednia pora, by dodać, że gdyby oni nie zabrali go do Ameryki, Andriej wkrótce umarłby w rosyjskim szpitalu psychiatrycznym.

Fotograf ustawił wszystkich do grupowej fotografii - dwie adopcyjne matki stały w środku z chłopcami w ramionach. Wszyscy byli zdumieni, widząc fizyczne podobieństwa

po między chłopcami a ich adopcyjnymi rodzinami. Andriej miał jasne włosy i ciemne oczy, tak jak jego adopcyjna siostra. Wania miał ciemne kręcone włosy, prawie takie same jak Linda.

Jak wiele dziecięcych uroczystości, i ta zakończyła się Izami, gdy Wania dowiedział się, że jego przyjaciel jedzie do Ameryki, by zamieszkać ze swoją nową rodziną.

- Będę za tobą tęsknił, Andriusza - płakał malec, ciesząc się jednocześnie okazywaną mu uwagą.

Wkrótce łązy obeschły. Nikt nie powiedział Wani, że on także zostanie adoptowany, ale chłopiec wyczuwał, że ta pełna matczyńskich uczuć kobieta, która trzymała go w ramionach, odegra istotną rolę w jego życiu.

Tom i Roz nalegali, by Sarah zrobiła im jeszcze jedno grupowe zdjęcie, tym razem w Grupie 2. Na zdjęciu Walentyna trzyma na rękach Andrieja, a Roz obejmuje ramieniem Adelę. Adela uśmiecha się ciepło, jakby wszystkie jej podejrzenia ostatecznie się rozwiały.

W pamięci Sarah utkwił moment tuż po trzasku migawki, gdy Amerykanie wynosili Andrieja z pokoju.

- Usłyszałam kwilenie, jak jęk bólu. Odwróciłam się i spojrzałam w dół. Zobaczyłam Maszę, uwięzioną jak zwykle w spętanym chodziku. Łzy lały się z jej oczu strumieniami. Bez wątplenia rozumiała, że Andriej znalazł rodzinę, i całym swoim jestestwem błagała, by i ją stamtąd zabrano. Rozumiała, że nigdy nie stanie się centrum niczyjego świata.

W kolejnych dniach zakończył się proces adopcji Andrieja, co dobrze wróżyło też Wani i Lindzie. Rosyjski sędzia bez wahania zatwierdził amerykański wniosek o adopcję,

Andriej przeszedł serię badań lekarskich, których wymagał rząd amerykański, amerykańska ambasada błyskawicznie wydała wizę, Andriej bez wysiłku zaczął przyswajać kolejne angielskie słowa i wykształcił w sobie wielką miłość do płatków Cheerios. Jego nowe rodzeństwo go uwielbiało.

Pomiędzy kolejnymi spotkaniami udało się nagrać film, na którym Andriej zwiedza Moskwę, by wiedział, skąd pochodzi. Był na placu Czerwonym, na Kremlu, odbył rejs po rzece Moskwie. Była to wycieczka w poszukiwaniu korzeni dla dziecka bez korzeni. Od dnia, w którym pięć i pół roku wcześniej Andriej przyszedł na świat, nie widział nic poza murami sal Grupy 1 i Grupy 2 Domu Dziecka nr 10. Nigdy nie widział miasta, nigdy mu o nim nie opowiadano.

Gdy Tom i Roz zegnali się z Lindą, zasugerowali jej, by skorzystała z usług ich prawnika, młodego człowieka o imieniu Grigorij, który został im polecony przez amerykańską ambasadę jako tańsza alternatywa dla wielkich amerykańskich agencji adopcyjnych. Grigorij brał udział w pracach komitetu parlamentarnego, który pisał nowe rosyjskie prawo adopcyjne, i wyrobił sobie opinię pogromcy korupcji, która trawiła biznes adopcyjny. Gdy Linda poszła na spotkanie z nim, które odbyło się w maleńkim pokoiku wynajmowanym od ministerstwa handlu zagranicznego, Grigorij powiedział jej, że potrzeba ogromnych sum, by naoliwić trybiki maszyny sterującej zagranicznymi adopcjami w Moskwie. Duża amerykańska agencja adopcyjna pobierała opłatę w wysokości trzydziestu tysięcy dolarów za dziecko, a spora część tych pieniędzy trafiała do kieszeni rosyjskich biurokratów.

- Jeśli pozwoli mi pani siebie reprezentować, daję pani słowo honoru, że ani cent z pani środków nie zostanie przeznaczony na łapówki - zapewnił ją Grigorij.

Gdy Linda zdała relację z tego spotkania grupie wsparcia Wani, nikt nie uświadomił jej, że w tym przeżartym korupcją systemie rezygnacja z łapówek to proszenie się o kłopoty.

Gdy Linda szykowała się do powrotu do domu, jeszcze raz potwierdziła, że jest przekonana do adopcji Wani. Czuła, że chłopiec jest gotowy stać się członkiem jej rodziny, martwiła się, że nie ma dostępu do regularnej fizjoterapii, której potrzebował. Przygotowywała się psychicznie na wizytę lokalnych angielskich władz, która miała zweryfikować, czy nadaje się na adopcyjnego rodzica, i planowała zaangażować całą rodzinę w zbiórkę kilku tysięcy funtów, których potrzebowała, by zainicjować proces. Nie miała pojęcia, na jaką długą i zdradliwą ścieżkę wkracza.

Dziesięć dni po powrocie Lindy do Londynu Alan otrzymał telefon od redaktora działu zagranicznego „Daily Telegraph” z Londynu.

- Ten wasz chłopak jest na pierwszej stronie. Jeśli będzie tak jak ostatnio, nie dadzą nam spokoju przez kilka tygodni.

- Nie martw się - odparł Alan. - Więcej o nim nie napiszę. Jest już w drodze do Anglii. Będzie się nim mógł zająć dział krajowy.

Pół godziny później zadzwoniła Linda. Była oszołomiona.

- To zdjęcie jest ogromne. Pokazuje Wanię i Andrieja, ze mną i Wiką w tle. Wania wygląda jak aniołek z tymi swoimi loczkami.

- Nie mogła uwierzyć, że historia Wani zajęła miejsce na pierwszej stronie, przysyłając doniesienia

O nieuchronnej przeprowadzce Tony'ego Blaira na Downing Street 10 i o intruzie, który prawie wdarł się do pałacu Buckingham.

Na kolejnych stronach było jeszcze więcej zdjęć, w tym zdjęcie ogolonego Wani wykrzywiającego buzię w zakładzie. Pod artykułem umieszczono numer skrytki pocztowej, na który czytelnicy mogli przysyłać datki.

W kolejnych tygodniach do Lindy płynął stały strumień pieniędzy - banknoty pięciofuntowe od biednych emerytów i czeki od lepiej sytuowanych czytelników. Wszyscy pragnęli pomóc Wani rozpocząć nowe życie.

Gdy Wania zyskiwał sławę w Anglii, jego leczenie w Rosji posuwało się według ustalonego harmonogramu. Wiosna przeszła w lato, a on został przeniesiony z Sanatorium nr 26 z powrotem do Szpitala nr 58 na kolejną operację. We wrześniu w końcu nadszedł czas, by Wania opuścił szpital, w którym przebywał z przerwami od dziewięciu miesięcy, i wrócił do domu dziecka.

Sarah przez wiele dni zastanawiała się, jak podziękować lekarzom i pielęgniarce za opiekę nad Wanią i, co ważniejsze, jak tym samym zapewnić sobie miłe przyjęcie, gdyby chłopiec miał wrócić na dalsze leczenie. Dostali już piłkę do fizjoterapii, a jeden z lekarzy otrzymał telewizor. Wika zasugerowała, by włożyć do zwykłych brązowych kopert po pięćdziesiąt dolarów i rozdać je personelowi. Matka chłopca z porażeniem mózgowym powiedziała im jednak, że gotówki oczekuje się od dzieci, które mieszkają w domu

z rodzicami, lecz nie od tych, które są pod opieką państwa i że herbata i ciastka w zupełności wystarczą.

Wczesnym rankiem Alan i Sarah pojechali więc do hotelu Praga, który słynął ze swej kawiarni i cukierni. Lokal był urządzone w najlepszych radzieckich czasach, miał więc kryształowe żyrandole i marmurowe podłogi. Teraz podłoga była wytarta i brudna, a nienakryte stoliki bezpowrotnie zniszczone, widać było jednak, że idzie nowe. Na ladzie stał błyszczący ekspres do kawy, który strzelał aromatycznym płynem do plastikowych kubków. Co ciekawe, kawa smakowała dokładnie tak samo jak w czasach radzieckich, była mętna i miała na dnie ziarenka. Alan i Sarah wydali wszystkie pieniądze na największy tort czekoladowy „Praga”, dwa wielkie pudełka czekoladek z niedawno sprywatyzowanej fabryki Czerwony Październik i batoniki dla dzieci.

Te prezenty miały trafić do pielęgniarek, ale wciąż pozostawało pytanie, czym obdarować chirurga. Dowiedzieli się, że jest to mężczyzna o niezwykle wybuchowym usposobieniu i kosztownych przyzwyczajeniach - zbyt późno też powiedziano im, że jest wielbicielem cygar. Prezent musiał być wyjątkowy. Wódka została zdegradowana do poziomu czegoś, co daje się zamiataczowi podwórek. Alan wybiegł na zewnątrz, wyjął z bankomatu gruby zwitek rubli i wrócił do lady alkoholowej po butelkę koniaku Remy Martin. Po otrzymaniu takiego podarku chirurg na pewno będzie myślał o Wani z sympatią i przyjmie go do szpitala, jeśli okaże się konieczne dalsze leczenie, stwierdzili.

Zadowoleni z tego, że dogodzili wszystkim, małżonkowie udali się do szpitala. Mieli się spotkać z Wiką na zewnątrz, ale dziewczyna jak zwykle się spóźniała.

Sarah i Alan weszli na trzecie piętro, mijając sale pełne pustych łóżeczek. Nikogo nie było w pobliżu. Postanowili zajrzeć jeszcze do neurologa, zanim odwiedzą Wanię. Lekarka siedziała w przestronnym gabinecie, w którym królował wielki telewizor ze ściszonego głosem. Pomieszczenie emanowało spokojem, jakby praca szpitala została zakończona, a każde rosyjskie dziecko z porażeniem mózgowym wyzdrowiało.

Neurolog powiedziała coś, co dodało Alanowi i Sarah otuchy - była pierwszym lekarzem instytucji państwowej, który się na to zdobył. Była pod wrażeniem rozbudowanych zdań, których używał Wania. Posunęła się nawet do tego, by za jego stan winić społeczne i edukacyjne zaniedbanie.

- To dobrze - dodała. - To oznacza, że wszystko szybko nadrobi.

Po raz pierwszy lekarz mówił o Wani jak o dziecku, które ma przyszłość. Poza murami sierocińca i zakładu lekarze mogli pozwolić sobie na to, by dostrzegać w nim inteligentnego chłopca, którym w istocie był.

Dodała też, że wraz z kolegami przekonała naczelnego psychiatrę do ponownej oceny umiejętności Wani.

- Podwyższyliśmy jego status - oświadczyła z dumą. - Nie jest już imbecylem. Zdiagnozowaliśmy u niego tylko kretynizm, w przyszłym roku będzie mógł pójść do szkoły.

Sarah obiecała, że przekaże dobre wieści kobiecie, która zamierzała go adoptować. Wręczyła też lekarce pudełko czekoladek ozdobione etnicznymi wzorami ognistych ptaków i sań. Spotkanie nie zakończyło się jednak optymistycznie.

- Wezwiemy go ponownie w grudniu - kontynuowała neurolog. - Do tego czasu będzie się nim zajmował sierociniec, gdzie chłopiec będzie codziennie ćwiczył w szynach.

- Nie sądzę - odparła Sarah. - On nigdy nie otrzymywał tam właściwej opieki.

Neurolog zrobiła zbolaną minę. Nie dopuszczała do siebie dotąd myśli o lenistwie swoich kolegów po fachu zatrudnionych w placówkach opiekuńczych.

Przed gabinetem lekarki, na końcu długiego korytarza, stał mały chłopiec z promieniejącą radością buzią i szerokim uśmiechem.

- Sarah, Alan! Spójrzcie na mnie! - zawołał i zaczął powoli iść w ich kierunku, opierając się na balkoniku.

W całym szpitalu unosiło się echo jego triumfalnych okrzyków. Szedł z wyprostowanymi plecami i wysoko uniesioną głową. Zniknęło dziecko, które pełzało po podłodze i musiało korzystać z pomocy dorosłych. Jego postępy były powolne i okupione bólem, ale Wania był zdeterminowany, by pokazać rosnącej publiczności, co potrafi. Spojrzał na Wikę, która stała nieco dalej, spóźniona jak zwykle o godzinę, i zawołał:

- Nie złapiecie mnie! Nie złapiecie mnie! - W myślach już biegał po korytarzu.

W rzeczywistości jednak brnął mozolnie do przodu centymetr za centymetrem z twarzą wykrzywioną z wysiłku, ciągnąc za sobą zeszywniałe nogi i popychając balkonik. Wszystkich ogarnęło wzruszenie na widok jego hartu ducha.

Wyczerpany ćwiczeniami Wania stanął w końcu przy oknie i zaczął przyglądać się szarej wołdze, którą wkrótce



miano go odwieźć do domu dziecka. Alan i Sarah pożegnali się z nim i Wiką. Gdy nacisnęli przycisk windy, drzwi się otworzyły, ukazując zagubioną straszą panią w zielonym lekarskim czepku. Była to Adela, która osobiście przyjechała po Wanię. Była zawstydzona swym spóźnieniem i wytłumaczyła się tym, że jedzie prosto z pogrzebu.

Następnego dnia przy herbacie Wika zrelacjonowała osobliwe okoliczności towarzyszące wyjściu Wani ze szpitala i jego powrotowi do sierocińca. Na oczach Adeli personel szpitala pożegnał się z Wanią jak z prawdziwą osobą godną szacunku. W pewnej chwili jedna z matek małych pacjentów - ta, która przynosiła Wani jedzenie z domu - przedarła się przez otaczający chłopca krąg białych kitlów i płacząc, uścisnęła go i pocałowała na pożegnanie. Adela była wyraźnie poruszona. Gdy przywiozła go do domu dziecka, nikt z personelu ich nie powitał. Nikt nie zamienił z nimi nawet słowa. Adela była tak zszokowana tym kontrastem, że po raz pierwszy w życiu zdobyła się na odwagę, by udzielić reprimendy swoim podwładnym.

- W szpitalu nauczyli go chodzić i wszyscy chcieli się z nim pożegnać. A wy... wy nawet się z nim nie przywitaliście, choć tak długo go nie było. - Wika oglądała jej wybuch z otwartymi ze zdumienia ustami.

Pomimo nowo odnalezionej asertywności Adeli i pięćdziesięciodolarowego banknotu, który miał zagwarantować współpracę jednego z placówkowych specjalistów, życie Wani niewiele się zmieniło. Z jakiegoś względu został umieszczony w Grupie 6, w pokoju na parterze z dwu- i trzylatkami. Znow nie miał z kim rozmawiać. Nikt z personelu

nie troszczył się o to, by kontynuować jego terapię. Razem z Wanią przybyły jego szyny, ale nikt w domu dziecka nie wiedział, jak mu je zakładać, i nie wykazywał ochoty, by się tego nauczyć. W kolejnych tygodniach jego umiejętność chodzenia ulegała atrofii i nikogo to nie obchodziło.

Pewnego wieczoru Alan zadzwonił do Lindy, by przekazać jej dobre wieści. Wania przeszedł już dwie operacje. W szpitalu nauczył się chodzić z wielkim bólem, teraz wrócił do domu dziecka. Nowiny z Anglii nie były jednak obiecujące. Linda nie przewidziała bezczelności i skali procesu weryfikacji, któremu brytyjskie służby socjalne poddawały rodziny chcące adoptować dziecko. Pracownicy społeczni nie mieli zamiaru przyspieszać tego procesu tylko dlatego, że jakieś dziecko oczekiwało pilnego ratunku.

Linda skarżyła się, że angielskie służby społeczne robią wszystko, by sabotować adopcję Wani. Lokalna rada zamierzała obciążyć ją kosztami przeprowadzenia weryfikacji, które oceniła na trzy tysiące funtów, Linda potrzebowała wielu miesięcy, by zebrać taką kwotę. Pracownicy społeczni byli bezduszni, oporni i bezwstydnie wręcz wścibscy: powiedzieli jej wprost, że przyjrzą się uważnie życiu seksualnemu każdego członka jej rodziny.

- A może spróbujesz rozwiązać to na sposób rosyjski?  
- zasugerował Alan, by nieco rozluźnić atmosferę.

- Czyli jak? Nic nie poruszy serc tych szarych klonów.

- Butelka koniaku, czekoladki i brązowe koperty wypchane dolarami. Tutaj działa to bez zarzutu.

## ROZDZIAŁ 14

### DZIEŃ ŚWISTAKA

#### *Październik 1997*

Wania miał już prawie osiem lat i wciąż czekał, by jego życie naprawdę się zaczęło. Jak zwykle spędzał całe dni, siedząc przy niskim drewnianym stoliku w pokoju pełnym dzieci znacznie młodszych niż on. Teraz jednak umieszczono go w Grupie 6, nie w 2. Było tam jedno dziecko, z którym mógł rozmawiać - dziewczynka o imieniu Julia, która dzieliła z nim stolik, tak jak kiedyś Andriej.

Julia była o wiele ciekawszym rozmówcą niż jego dawny przyjaciel. Nie umiała chodzić, ale bardzo dużo wiedziała i chętnie dzieliła się swą wiedzą. Kiedyś mieszkała z tatą. Mieli własne mieszkanie. Za dnia tata zabierał ją do przejścia podziemnego, by prosić o pieniądze. Tata kazał jej siedzieć cały dzień. Czasami jednak zasypiał, a wtedy mogła sobie chodzić na czworakach. Pewnego dnia zasnął i już się nie obudził - wtedy Julię zabrano do domu dziecka.

Wania najbardziej lubił jej opowieści o mieszkaniu. Mieli z tatą łazienkę tylko dla siebie. Tata pozwalał jej siedzieć w wannie, pluskać się i puszczać wodę, gdy tylko tego chciała. Przy łóżku miała lampkę, którą mogła sama włączać i wyłączać. Wania słuchał tego wszystkiego z zafascynowaniem. Barney i Emily pozwalali mu pluskać się w wodzie w szpitalu, ale w domu dziecka nikt się tak nie bawił. I Wania nigdy sam nie włączył światła. Gdy Julia to usłyszała, powiedziała mu, że gdyby mieszkał w mieszkaniu, mógłby nawet sam włączać telewizor. Wania otworzył szeroko oczy ze zdumienia. I gdy mieszkasz w mieszkaniu, nigdy nie jesteś głodny, dodała Julia. Możesz zjeść tyle chleba, ile tylko zechcesz. Wystarczy, że pójdziesz do kuchni i weźmiesz sobie ze stołu.

Łóżka Wani i Julii sąsiadowały ze sobą, ich prowadzone szeptem rozmowy trwały więc często do późnej nocy. Gdy Julia w końcu zasypiała, Wania myślał o wszystkim, co mu powiedziała, i próbował to zrozumieć. A gdy już skończył, myślał, co robią wszyscy ludzie, których kochał. Najpierw ciocia Walentyna. Łatwo było ją sobie wyobrazić. Była na górze w Grupie 2. Przed rozpoczęciem dyżuru zaglądała do niego i powtarzała mu, by ćwiczył chodzenie. Nie zostawała długo, bo musiała opiekować się dziećmi z Grupy 2.

Uwielbiał przypominać sobie wszystkie te ekscytujące rzeczy, które robił z Barneyem i Emily, gdy przychodzili do szpitala go odwiedzić. Mówił Barneyowi, że chce mu się siusiu, a Barney zabierał go do łazienki; gdy się już tam znaleźli, pozwalał mu odkręcać kran i bawić się lejącą z niego wodą, ochlapywać nią sobie twarz i ręce. Raz Wania tak się zmoczył, że Barney musiał odnieść go na oddział i znaleźć mu

suchą koszulę. Pielęgniarka bardzo się zdenerwowała i nakrzyczała na Barneya. Na szczęście Barney nic z tego nie zrozumiał. Barney był z Anglii, tak jak Emily. Pielęgniarki krzyczały też na Emily, zwłaszcza gdy chciała wziąć Wanię na zewnątrz. Ale ona też ich nie rozumiała. Zabierała go na podwórko w wózku inwalidzkim. Najlepsza zabawa była wtedy, gdy Wania krzyknął:

- Szybciej, Emily. - A ona zaczęła biec. Krzyknął więc: -Szybciej, szybciej. - I dziewczyna jeszcze przyspieszyła. Krzyczał i ona też krzyczała. Biegła tak długo, aż zabrakło jej tchu i upadła na śnieg obok ścieżki, udając, że jest zbyt zmęczona, by się ruszyć. Jak się wtedy śmiali. Niestety, Barney i Emily wrócili już do Anglii. Anglia była daleko.

Andriej też był daleko. Pojechał do Ameryki. Miał mamę, tatę, brata i siostrę. Wania zaczął wyobrażać sobie Andrieja w mieszkaniu. Na pewno miał łóżko, które dzielił z rodzeństwem. Ale to Andriej mógł wyłączać światło. A gdy był głodny, raczkował do kuchni i częstował się kromką chleba.

Przypomniawszy sobie dzień, w którym Andriej opuścił dom dziecka. Była tam kobieta o imieniu Linda, która wzięła Wanię na ręce i przyniosła mu nowe buty. Wiedział, że przyjechała specjalnie dla niego. Powiedziała, że wróci. Gdzie mogła teraz być?

Była jeszcze Elwira. Ona też była daleko. Wróciła do domu dziecka. Przypomniawszy sobie, jak się nawzajem straszili. Wika i jej przyjaciółki odwiedzały go i uczyły wierszyków, czytały mu bajki. Sarah przychodziła z różnymi ludźmi, którzy także pochodzili z daleka. Leżał z otwartymi oczami i myślał o wszystkich tych ludziach i o rzeczach,

klóre mówili. Powtarzał sobie po cichu śmieszne imiona ludzi z daleka. Aż w końcu zasypiał.

Pewnego dnia Wania siedział przy stole z nadzieją, że wkrótce przyjdzie Asia. Może przyniesie mu tę małą drewnianą drabinę z małpką, która potrafiła schodzić w dół szczebelek po szczebelku, jeśli się ją odpowiednio ustawiło.

Gdy nie miał już o czym myśleć, zaczął się przysłuchiwać rozmowom personelu. Do sali właśnie weszła Świetlana i zaczęła dyskutować z opiekunką. Była w nowej cukierni, którą otwarto po drugiej stronie ulicy, i chciała zdać relację z tego, czego się dowiedziała.

- Wyobrażasz sobie te ceny? - powiedziała. - Więcej niż jedna moja pensja za jeden tort. Kiedy to się skończy?

Potem zaczęły rozmawiać na temat krążących w sierocińcu plotek. Wania nastawił uszu, gdy uświadomił sobie, że to jego dotyczy rozmowa. Obie kobiety były obojętne na jego obecność w kącie.

- Ta Angielka, ta, która mówiła, że go adoptuje... co się z nią stało? - zapytała opiekunka.

- Minęło już sześć miesięcy. To mnóstwo czasu, by przeprowadzić adopcję. Nie słyszeliśmy nic oficjalnego.

- A czy ona nie miała ponad pięćdziesięciu lat i nie była już babcią?

- Dokładnie.

- Dlaczego więc chciała zaadoptować dziecko w tym wieku? Nie wyglądała na bogatą. Widziałas jej ubrania?

- Masz rację. Wątpię, byśmy ją jeszcze kiedyś zobaczyły.

- Czyli jednak trafi do internatu? Jest za duży, by tu przebywać.

- Tak. Nie ma dla niego innego miejsca.

Rozmowa trwała dalej, ale Wania już nie słuchał, był zbyt oszołomiony. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo liczył na Lindę. Przyjechała z daleka specjalnie dla niego i obiecała mu, że wróci. A teraz opiekunki mówiły, że kłamała, że już jej nigdy nie zobaczą. Jego żołądek zawiązał się na supeł. Czy naprawdę powiedziały, że będzie musiał wrócić do internatu? To było zbyt okropne, by choć o tym myśleć. Utkwił wzrok w pustce, nie widział i nie czuł nic, dopóki ktoś nie uniósł go z krzeselka. Była to Adela, która przyszła zabrać go na cotygodniową mszę do kaplicy.

## ROZDZIAŁ 15

### NICZYJA WINA

#### *Listopad 1997*

Minęło siedem miesięcy od wizyty Lindy w Moskwie, a wciąż nie było żadnych postępów w sprawie adopcji Wani. Sarah była w domu, gdy pewnego dnia zadzwonił dzwonek do drzwi. Była to Wika, która gniewnie strzepywała śnieg z butów. Miała zarumienione policzki.

- Wika, biegłaś? Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł w twoim stanie.

Wika nie zwróciła uwagi na aluzję do jej ciąży.

- Właśnie byłam w domu dziecka. Znów to zrobili. - Zdjęła czapkę i potrząsnęła włosami. - Mam już dość tych wszystkich niespodzianek, którymi nas zarzucają.

Sarah zaprowadziła ją do kuchni i zaparzyła herbatę. Wika pokłóciła się z Adelą. Zaczęło się od tego, że Adela wspomniała o zbliżającej się wizycie komisji ze Szpitala nr 6, która miała przeprowadzić diagnozy starszych dzieci.



Adela nie zdołała nawet dokończyć zdania, gdy Wika jej przerwała:

- Adelu, chyba nie zamierzasz pozwolić na to, by Wania znów stanął przed komisją? Nie możesz dopuścić, by znów wystawiła mu złą diagnozę. Zapewne obniży jego poziom do imbecyla. A wtedy nigdy nie zostanie adoptowany.

Dzieci z taką diagnozą nie były nawet umieszczane w rejestrze adopcyjnym, było więc sprawą niezmiernie wagi, by Adela ukryła chłopca przed komisją. Wika przypomniała jeszcze dyrektorce, że ma ona obowiązek opiekować się Wanią do zakończenia procesu adopcyjnego. Adela odmówiła jednak udzielenia odpowiedzi od razu. Jak zwykle wydawała się liczyć na to, że wszystko pójdzie swoim trybem. Narzekała, że nie miała żadnych wieści z ministerstwa na temat adopcji Wani. Bez papierów nie mogła nic zrobić. Wania miał już osiem lat i miała poważne kłopoty, przetrzymując go w domu dziecka przez tak długi czas.

Wika w końcu straciła cierpliwość.

- Cieszysz się więc, że Wania wróci do internatu? By leżeć w łóżeczku przez dwadzieścia cztery godziny na dobę? Tego właśnie dla niego chcesz?

- Twierdzisz, że go nie kocham? - odparła Adela. - Mam kłopoty przez to, co dla niego zrobiłam. Zamierzają oddać moje stanowisko komuś innemu.

Sarah naląła Wice kolejną filiżankę herbaty i zaczęła ją pocieszać. Przypomniała jej, że Adela boi się nawet własnego cienia. Zasugerowała, że powinny pozwolić Adeli się uspokoić i odwiedzić ją za kilka dni z torcikiem „Praga”.

- Sarah, ty nie rozumiesz - stwierdziła Wika. - Ona mnie wyrzuciła. Powiedziała, że nie mogę już odwiedzać Wani.

Potem Wika zwierzyła się Sarah z czegoś jeszcze, tym razem znacznie bardziej szokującego. Zniżyła głos do szeptu. Od jakiegoś czasu odbierała w nocy obsceniczne telefony. Przestała podnosić słuchawkę i kupiła automatyczną sekretarkę, ale i tak budziła się z przerażeniem o drugiej w nocy, słysząc złowieszcze kliknięcie i wiedząc, że na taśmę nagrywa się stek wyzwisk. Co gorsza, telefony nie umilkły nawet po tym, gdy przeprowadziła się do swego męża i przyjęła jego nazwisko.

Przez długi czas zastanawiały się, kto może stać za tymi telefonami. Co takiego zrobiła Wika, że sprowokowała taką kampanię nienawiści? Nie dostrzegały związku, ale obie czuły instynktownie, że musi to mieć coś wspólnego z ich walką o ocalenie Wani. Co jeszcze zrobiła Wika, by ściągnąć na siebie taką uwagę?

Wprost nic jej nie zarzucano, ale Sarah wyczuwała, że to ją personel Domu Dziecka nr 10 wini za opóźnienia w sprawie adopcji Wani. Wszyscy wierzyli, że Wania wyjedzie do Anglii, powiesili nawet zdjęcie Lindy i Wani w jednym z gabinetów lekarskich. Nikt wprost nie zapytał, co się dzieje z adopcyjną rodziną chłopca, ale ich zachowanie zdradzało, co sobie myśleli. Gdy przyszedł list od Lindy do Adeli, Sarah poprosiła Alana, by zawiózł go dyrektorze sierocińca i przetłumaczył go dla niej. Adela zawsze wołała zwierzać się jemu.

Gdy Alan przyjechał do placówki, zgorzkniała Adela powitała go wyjątkowo agresywnie.

- Dlaczego przywozisz tu tylu ludzi? - zapytała wprost, zapominając o swym roztrzepaniu. - Torturujecie mnie. Przyprawiacie o mdłości. Moi szefowie twierdzą, że jestem fatalnym lekarzem naczelnym.

- Przecież ja nikogo tu nie przywiozłem - odparł Alan. Adela pomachała na niego palcem.

- Ty, Sarah, Wika... myślicie, że jesteście tacy przebiegli?

- Cóż, przyjeżdżamy odwiedzać Wanię. On potrzebuje towarzystwa.

Na wspomnienie Wani ton Adeli diametralnie się zmienił.

- Och, żałuj, że nie widziałeś go dziś w kaplicy. Śpiewał psalmy i żegnał się. Ten chłopiec to aniołek. - Oczy Adeli zaszyły mgłą.

Kilka minut później zasiedli z Alanem do herbaty jak starzy znajomi. Ich rozmowa przybrała jednak po chwili kolejny dziwaczny obrót. Anneke, holenderska przyjaciółka Sarah, postanowiła adoptować małego chłopca z domu dziecka. Chłopiec przyszedł na świat jako wcześniak i uważano go za opóźnionego w rozwoju.

- To moja wina. To moja wina, że próbowałam znaleźć mu jakąś rodzinę. Trzeba było nigdy o nim nie wspominać - wyrzuciła z siebie Adela, wyginając nerwowo palce.

- Ale co w tym złego? Mały powinien być adoptowany. Zasługuje na szansę.

- Nie rozumiesz. Jego mama jest Holenderką. W Holandii praktykują eutanazję. Gdy dorośnie, zobaczą, że jest opóźniony i go zabijają. Tam tak robią.

Wyjaśniła Alanowi, że nie ma nic przeciwko odsyłaniu dzieci do krajów „ortodoksyjnych”, jak Stany Zjednoczone

czy Anglia, ale była zdecydowana nie dopuścić do wyjazdu chłopca do Holandii.

- Nie podobają mi się - mruzczała.

Gdy Alan wciąż jeszcze starał się pojąć tę dziwną logikę, zgodnie z którą można było pozbawić dziecko takiej możliwości, usłyszał, że Adela wspomina o Wani.

- Nie możemy go tu trzymać do końca życia. W tym wieku powinien już mieszkać w internacie.

- Adelu, ty chyba nie mówisz o Wani, prawda? Przywiozłem ci list od Lindy. Píše, że sprawa idzie do przodu, ale bardzo wolno. Angielskie władze muszą się upewnić, że Linda nadaje się na adopcyjnego rodzica.

Adela zbyła list machnięciem ręki.

- To za mało. Ja potrzebuję czegoś oficjalnego. - Dodała, że komisja może przybyć w każdej chwili i na pewno udzieli jej nagany, jeśli okaże się, że siedmiolatek wciąż mieszka w domu dziecka.

- Ale, Adelu. Przypomnij sobie, co się z nim stało w Fili-monkach. Nie możesz znów do tego dopuścić.

Gdy Alan wychodził, wyczuł, że Adela chce mu powiedzieć coś jeszcze, nie może się jednak na to zdobyć.

- Poprosiłam dziś księdza, by się za ciebie pomodlił - wyrzuciła z siebie w końcu.

- To bardzo miło z twojej strony. Jestem wzruszony.

- Poprosiłam go, by się za ciebie pomodlił, żebyś już nie pisał o nas tych wszystkich złych rzeczy.

Gdy Alan opuszczał dom dziecka, zastanawiał się, co Adela miała na myśli. Nigdy nie wspominał o niej ani o Domu Dziecka nr 10 w swoich artykułach. Pisał tylko o pobycie Wani

w zakładzie. Dlaczego po tylu miesiącach znajomości Adela nagle zaczęła denerwować się tym, co on mógłby napisać?

Gdy tylko wrócił do biura, zadzwonił do Grigorija, prawnika, którego zatrudniła Linda, po tym jak dobrze sobie poradził z przeprowadzeniem amerykańskiej adopcji An-drieja. Grigorij wydawał się zestresowany, nie brzmiał już jak pewny siebie młody adwokat, który obwieszczał całemu światu, że oczyści z korupcji adopcyjny biznes. Alan zapytał, czy są jakieś problemy z adopcją Wani. Ostrzegł go, że jeśli sprawa nie zostanie pchnięta do przodu, Wania zostanie odesłany do kolejnego zakładu.

- To nie moja wina - warknął Grigorij. - Wciąż czekam na weryfikację z Anglii. Jak długo już się to ciągnie? Osiem miesięcy.

- A nie mógłbyś napisać jakiegoś oficjalnego listu do domu dziecka, aby mieli dowód, że Wania zostanie adoptowany?

- Nie, to nie działa w ten sposób. Potrzebne mi zaświadczenie z Anglii, że ta kobieta jest zdolna do adopcji, dopiero potem mogę wypełnić oficjalną aplikację.

Tego samego wieczoru Sarah zatelefonowała do Lindy, aby jej powiedzieć, że Adela otrzymała jej list, ale to niestety za mało. Czas, który mógł spędzić Wania w domu dziecka, upływał, a Grigorij potrzebował dokumentów, by pchnąć sprawę dalej. Należało pewne rzeczy przyspieszyć.

Linda wyraźnie się zaniepokoiła. Wyjaśniła Sarah, że lokalne władze obiecały jej zakończyć weryfikację w ciągu sześciu miesięcy - było to osiem miesięcy temu. Podejrzewała, że brytyjscy pracownicy socjalni są po prostu przeciwni

zagranicznym adopcjom. Jedna z urzędniczek miała się zjawić u niej nawet następnego dnia, lecz zadzwoniła, że coś się stało z jej samochodem, musi odwieźć go do warsztatu i w tym tygodniu już się nie pojawi.

- A nie może przyjechać transportem publicznym? - zapytała Sarah.

- Te kobiety wykorzystają każdą wymówkę, byle tylko nie pracować.

Pracownicy społeczni faktycznie wypytywali dokładnie wszystkich członków rodziny Lindy. Jakby szukali pretekstu, by odrzucić jej wniosek. Rozdmuchali do granic absurdu nieporozumienie, które poróżniło Lindę z córką dwa lata wcześniej. Obie panie dawno się już pogodziły, ale pracownicy opieki społecznej wciąż do tego wracali. Twierdzili, że nie mogą dopuścić do tego, by adoptowane dziecko stało się kozłem ofiarnym w rodzinie, w której dochodzi do napięć.

Sarah słuchała tego wszystkiego i ogarniały ją coraz gorsze przeczucia. Gdy odłożyła słuchawkę, po raz pierwszy dopuściła do siebie tę okropną myśl: Wania chyba jednak wcale nie pojedzie do Anglii.

## ROZDZIAŁ 16

### W OSTATNIEJ CHWILI (POWTÓRKA)

*Grudzień 1997*

Wika zdołała pewnego wieczoru wśliznąć się do Domu Dziecka nr 10, unikając Adeli i starszego personelu. Gdy weszła do sali Grupy 6, Wania właśnie jadł kolację. Posadziła go obok siebie na plastikowej sofie w kącie z nadzieją, że opiekunka nie powie nikomu o jej wizycie. Wciąż jeszcze była zdenerwowana po ostatnim spotkaniu z Adelą, na którym usłyszała, że nie jest dłużej mile widzianym gościem w sierocińcu.

Wydawało się jej, iż Wania wyczuwa, że dzieje się coś złego, ale nie była w stanie zwierzyć mu się ze wszystkich swych trosk. Adela nie była gotowa na to, by dłużej go chronić, a Wika zaczęła wątpić, czy Linda kiedykolwiek pokona trudności piętrzące się na jej drodze do adopcji. Słyszała też, że Grigorij, prawnik, ma jakieś problemy z władzami i to może być kolejna przyczyna ich kłopotów. Wszystko szło na opak. A na dodatek poprzedniej nocy znów odebrała obsceniczny telefon. Wszyscy mówili, że o tej porze do ludzi dzwoni tylko KGB. Wiedziała jednak, że musi przekazać Wani nowiny.

- Waniu, muszę ci coś powiedzieć. Chłopiec spojrzał na nią z powagą.

- Pamiętasz, jak mówiłam ci, że w czerwcu wzięłam ślub? Teraz będę miała dziecko.

Wania nie zareagował.

- Widzisz, mój brzuch jest większy? - Położyła jego dłoń na swoim brzuchu.

Wania wyraził miną uprzejme zdziwienie. Nagle zrozumiała, że on nie wie, skąd się biorą dzieci.

- Tam w środku jest dzidziuś.

Roześmiała się, gdy Wania spojrzał na nią ze zdumieniem i uścisnął go. Ta chwila miała słodkogorzki smak. Wiedziała, że ich relacja już wkrótce na zawsze się zmieni. Wania przestanie być głównym celem jej trosk. Będzie miała własne dziecko, którym będzie musiała się zająć.

Następnego dnia Sarah i Wika zarekwirowały biurko i komputer w biurze „Daily Telegraph”. Dzwoniła bardzo podekscytowana Linda, by powiedzieć im, że wkrótce ma się zebrać panel adopcyjny, który podejmie ostateczną decyzję, czy Linda nadaje się na rodzica. Dotarcie do tego punktu zabrało mu dziewięć miesięcy.

Linda wątpiła, by pracownicy opieki społecznej byli po jej stronie, potrzebowała więc dowodów, by przekonać do siebie



panel. Wika usiadła przy komputerze i spisała historię Wani. Opisała wszystkie instytucje, w których chłopiec przebywał, wszystkie sposoby, na które przeszkadzano jego rozwojowi. Napisała o tym, że pomimo iż Wania mówił płynnie, został odesłany do dziecięcego skrzydła szpitala psychiatrycznego, gdzie pośród sześćdziesięciorga dzieci tylko on umiał mówić. Gdy wrócił do domu dziecka, cofnął się do poziomu dwulatka. Dodała też, że jeśli nie zostanie adoptowany, znów odeślą go do zakładu, skazując tym samym na tragiczny los.

- Wierzę, że Wania to wyjątkowa osoba - zakończyła Wika. - Rozumie subtelności ludzkiej natury i mechanizmy jej funkcjonowania. Rozkwitnie w rodzinie, bo jest bardzo czuły i zdolny do reagowania na miłość.

Sarah wpadła na pewien pomysł. Wyjęła faksy, które dostała od Toma i Roz z Florydy, wesoło opisujące zdumiewające postępy Andrieja od momentu adopcji.

- Dołączmy jeszcze to, historię najlepszego przyjaciela Wani, którego Wania nauczył mówić.

Tom i Roz pisali, że Andriej urósł dziesięć centymetrów w pierwszych pięciu miesiącach. Bardzo szybko uczył się angielskiego. W tym krótkim okresie jego rozwój przeskoczył z poziomu osiemnastu miesięcy do poziomu sześciu i pół roku, zaczął też z powodzeniem uczyć się chodzić. Gdy pytano go o pobyt w Domu Dziecka nr 10, mówił: „Jadłem, spałem, jadłem, spałem, to wszystko, co tam robiłem”. Na jaw wychodziły coraz bardziej niepokojące fakty. Jego rodzice zauważyli na jego pośladkach ślady po igłach. Byli przekonani, że Andriejowi regularnie podawano leki uspokajające, by spał od jedenastej trzydzieści rano do piątej po południu.

W Ameryce Andriej odwiedził wielu specjalistów, którzy od razu wykluczyli zdiagnozowane u niego w Rosji krzywicę i dysplazję stawu biodrowego. Co do porażenia mózgowego, neurolog stwierdził tylko bardzo łagodną postać, która nie mogła uniemożliwić chodzenia.

- Patrz, co Amerykanie sądzą o tym, że chłopak nie może chodzić! - krzyknęła Sarah, wbijając palec w faks. - Tak jak podejrzewałyśmy. Twierdzą, że jego stan to efekt karygodnego zaniedbania. Z łatwością można to było skorygować w bardzo młodym wieku.

Sarah wpadła w prawdziwą złość.

- To, co się dzieje w tych sierocińcach, nadaje się tylko do kryminału. Biorą przedwcześnie urodzone dzieci i zamieniają je w kaleki. Zamiast zachęcać je do chodzenia, nie pozwalają im się ruszać. Wsadzają je do łóżeczek i spętanych chodzików, a ich nóżki tylko zwisają bezwładnie pod nimi.

Wika stwierdziła, że Sarah jest zbyt surowa.

- Adela i jej personel nie są bezduszni, Sarah. Po prostu są przepracowani. Padają z nóg przez samo sprzątanie po nich i karmienie ich. Nie są w stanie jeszcze dodatkowo poświęcać czasu każdemu dziecku z osobna.

- Przecież na liście płac jest siedemdziesięcioro dwoje członków personelu, a tylko sześćdziesięcioro czworo dzieci tam mieszka. To co oni wszyscy robią? A poza tym, gdyby nauczyli dzieci dbać o siebie, ubierać się i korzystać z nocnika, mieliby mniej pracy. Spójrz na Wanę, umie się sam ubrać i skorzystać z nocnika, ale nie ma takiej możliwości. A ci wszyscy specjaliści? Siedzą cały dzień w gabinecie,

piją herbatę i wypełniają bezużyteczne formularze. Może wstaną z foteli i zachęcą dzieci w chodzikach, by użyły nóg? Jest tam sala z drabinkami i sprzętem do fizjoterapii, której nikt nie używa!

- Oni bardzo mało zarabiają...

- I co z tego? Słyszałam, że im bardziej upośledzone dzieci, tym więcej przywilejów dostaje personel, na przykład dłuższe wakacje. Nie mają więc żadnej motywacji, by z tymi dziećmi pracować. Wika postanowiła nawrócić myśli Sarah na właściwe tory.

- Musimy mieć jeszcze jakąś niezależną opinię medyczną na temat Wani.

- Może tę? - odpowiedziała Sarah, podając przyjaciółce list od dziecięcego psychologa z Petersburga, który uczył się w Anna Freud Centre w Londynie.

Psycholog napisał: „Wania niewątpliwie rozwinie swoje umiejętności w przyjaznym środowisku, otoczony miłością, troską i stymulacją, co nie będzie możliwe, gdy będzie przebywać w sierocińcu”.

Włożyły list do wielkiej plastikowej koperty kurierskiej zaadresowanej do Lindy i dodały jeszcze potajemnie nakręcony przez Siergieja, pianistę koncertowego, film ukazujący przerażające warunki panujące w internatach, w tym kilka sekund z pobytu Wani w Filimonkach.

- To powinno wystarczyć - oświadczyła Sarah, gdy siedziały w biurze, czekając na przybycie kuriera.

Dobrze się spisały, ale teraz musiały się zmierzyć z kolejnym zagrożeniem, przed którym stanął Wania. Komisja miała się zjawić w domu dziecka w każdej chwili. Po jej

poprzedniej wizycie Wania został odesłany do internatu. A Adela była zbyt słaba, by to powstrzymać. Tej nocy Wika modliła się o cud.

Dopiero teraz, po ponad dziesięciu latach i wielu miesiącach mozolnego zbierania dowodów, wychodzi na jaw prawda o tym, co wydarzyło się w dzień wizyty komisji.

Gdy Sarah i Wika przygotowywały materiały, które Linda miała przedstawić panelowi adopcyjnemu w Anglii, Adela siedziała przy biurku, na którym leżało dziesięć grubych teczek osobowych, i układała dokumenty. Teczki zawierały dane medyczne dzieci, które następnego dnia miały stanąć przed komisją. Najgrubsza byłateczka Wani Pastukowa -był starszy od pozostałych dzieci - i niektóre kartki wysuwały się z oprawy. Pomiędzy nimi był świstek, który przykuł jej wzrok. Było to przypomnienie ze Szpitala nr 58, że Wania ma się stawić na trzeci etap swojego leczenia 23 grudnia. Adela aż się zachłysnęła ze zdumienia, gdy uświadomiła sobie, że ten dzień wypada jutro i że jest to dzień wizyty komisji. Ten zbieg okoliczności wywołał w niej burzę. Zaczęła się zastanawiać, co powinna zrobić. Czy ma postawić chłopca przed komisją, a potem odesłać go do szpitala? Z pewnych niezrozumiałych dla niej względów te dwie czynności jakoś do siebie nie pasowały. Wyobraziła sobie, że stawia Wanę przed komisją, a kilka dni później na jej biurku ląduje list z informacją, do którego internatu chłopiec został przydzielony. Wyobraziła sobie, że musi się z nim pożegnać ze świadomością, iż skazuje go na niewymowne cierpienie.

A potem w jej myślach pojawił się inny obraz. Wania był w szpitalu, a lekarze chwalili go za postępy; zobaczyła, jak Wania uczy się chodzić i dzielnie kroczy w przyszłość. Stało się dla niej jasne, co powinna zrobić. Zapewniała samą siebie w myślach, że komisja nie będzie mogła udzielić jej nagany za nieobecność Wani, jeśli zdoła udowodnić, że chłopiec jest w szpitalu. Pozostawało tylko upewnić się, że Wania opuści sierociniec, zanim pojawi się w nim komisja. Zebrała się na odwagę, zadzwoniła do leniwego kierowcy i nakazała mu zjawić się następnego dnia w pracy punktualnie.

Rankami w Moskwie panował ogromny ruch. Z tygodnia na tydzień było coraz gorzej, bo samochodów przybywało. Członkowie komisji ze Szpitala Psychiatrycznego nr 6 jechali na doroczną wizytę do Domu Dziecka nr 10. Byli już spóźnieni i w bardzo złym humorze, gdy samochód skręcił w ulicę okoloną z dwóch stron placami budowy, a ich oczom ukazała się stara szara wołga przebijająca się przez śnieżne zaspę.

Bramy sierocińca były zamknięte, więc wołga nie mogła zawrócić. Przeklinając i zmieniając biegi, kierowca komisji wycofał na główną drogę, by przepuścić tamten samochód. Komisja nie wiedziała, że w wołdze siedział mały chłopiec, którego nazwisko miała tego dnia na swojej liście. Uciekał przed badaniem, wyprzedzając ją zaledwie o minutę.

Wika modliła się o cud i Bóg odpowiedział na jej modlitwy. Wika oczywiście nie zgadza się z sugestią, że to jej modlitwy ocaliły Wanię tamtego dnia. Mówi, że co najmniej sto innych osób z jej kongregacji modliło się wtedy za Wanię. Wika twierdzi, że nawet Sarah po cichu się wtedy modliła, choć Sarah gorąco temu zaprzecza.

## ROZDZIAŁ 17

### IMPERIUM KONTRATAKUJE

*Styczeń - maj 1998*

Panel adopcyjny zebrał się 9 stycznia, tydzień później Sarah wciąż nie miała żadnych wieści od Lindy i podskakiwała za każdym razem, gdy słyszała telefon. Pewnego wieczoru, gdy podniosła słuchawkę, usłyszała głos z trudem przebijający się przez szloch.

- Linda, to ty? Co się stało?

- Tak, to ja. - Płacz nie słabł. To musiały być złe nowiny. Linda potrzebowała długiej chwili, by wziąć się w garść. - Zostałam zaaprobowana. Panel się zgodził.

- To wspaniale, ale wcale nie wydajesz się szczęśliwa.

- Czuję taką ulgę, że nie mogę przestać płakać. Wiem, że nie najlepiej okazuję radość.

Linda wyznała Sarah, że razem z córką zaczęły już świętować i otworzyły butelkę sherry, choć nie było jeszcze nawet szóstej, by wznieść toast za pomyślne rozwiązanie sprawy.

Wania musiał jeszcze trochę poczekać, ale w końcu naprawdę znalazł się na drodze do Anglii.

- Lindo, nie mogę się już doczekać, żeby wszystkich poinformować. Wika będzie przeszczęśliwa. Modliła się za ciebie.

Kolejną godzinę Sarah spędziła przy telefonie, obdzwanając wszystkich znajomych. Wika planowała następnego dnia odwiedzić Wanię w szpitalu, ale uzgodniły, że nic mu nie powie o jego nowej mamie, dopóki cały proces nie dobiegnie końca.

Jedyną osobą, która nie ucieszyła się z werdyktu panelu, był Grigorij, prawnik. Przez telefon wydawał się przygnębiony i opryskliwy.

- To dobre wieści, lecz mam teraz okropne kłopoty. Te suki chcą mnie dopaść. Chcą mnie zniszczyć.

Sarah w ogóle nie rozumiała, o czym on mówi, domyśliła się jednak, że nie jest to rozmowa na telefon, zaproponowała więc, że odwiedzi go następnego dnia.

- Muszę przyznać, że nie miałam pojęcia o rosyjskiej stronie procesu adopcyjnego - wspomina Sarah. - Nie rozumiałam roli tych wszystkich ministerstw, departamentów, baz danych i sądów, z którymi radził sobie Grigorij. I nagle usłyszałam, że ma kłopoty. Zrobiłam to, co zrobiłaby każda kobieta na moim miejscu: powiedziałam Alanowi, że musi iść ze mną na spotkanie z Grigorijem.

Odkryliśmy, że biuro Grigorija mieści się we wnętrzach budynku ministerialnego epoki Stalina. Grigorij dopiero zaczynał działalność, więc tak naprawdę nie miał biura. Okupował poczekalnię jakiegoś ważniaka, czekając na przełom. Zdumieliliśmy się na widok tego pewnego siebie, młodego

prawnika w okropnym stanie. Był nieogolony, miał ciemne worki pod oczami, a ubranie tak wymięte, jakby w nim sypiał.

Grigorij pokazał gościom, by usiedli po drugiej stronie jego biurka.

- Co się dzieje? - zapytał Alan. Grigorij podał mu gazetę.

- Próbują mnie zrujnować. Podrzucają do gazet kłamliwe historie wymierzone we mnie.

-Kto?

-Te kobiety... te suki z ministerstwa, które zarabiają ogromne pieniądze na układach z agencjami adopcyjnymi. Nie cierpią mnie, bo próbowałem uprzątnąć ten bałagan.

Sarah i Alan z niedowierzaniem czytali artykuł. Był to zmasowany atak na Grigorija, pełen fałszywych oskarżeń o czerpanie przez niego zysków z adopcji. Grigorij został opisany jako człowiek, który zarabia dziesiątki tysięcy dolarów na zdeperowanych obcokrajowcach chcących adoptować rosyjskie dziecko. Artykuł wspominał też o Wani, jego autor musiał więc przeczytać materiał na jego temat w „Daily Telegraph”. Alan poczuł niepokój, gdy przypomniał sobie, że zaledwie trzy dni wcześniej przekazał na konto Grigorija tysiąc dolarów od Lindy w ramach zaliczki za jego dotychczasową pracę.

- Grigorij, czy to prawda, co tu piszą, że pobierasz wielotysięczne opłaty od Amerykanów chcących adoptować dziecko? - zapytał Alan. - Jeśli tak, dostrzegam w tym pewną sprzeczność. Nie możesz być jednocześnie organizacją charytatywną i organizacją nastawioną na zysk.

Z gabinetu szefa wyszła sekretarka i zaczęła przeciskać się obok nich. Przysunęli krzesła bliżej biurka.



- Muszę na czymś zarabiać. Mam czynsz do zapłacenia.  
-Prawnik objął gestem drewniane panele pełne odprysków i wędnącą roślinkę na brzegu biurka. - Nie stać mnie nawet na sekretarkę. A poza tym moje honorarium to tylko ułamek tego, co pobierają amerykańskie agencje.

Ten pokaz oburzenia jakby go ożywił, znów stał się pewnym siebie prawnikiem. Wyjaśnił gościom, że artykuł to część skierowanej przeciwko niemu kampanii, zainspirowanej przez biurokratów odpowiedzialnych za adopcje. Ci biurokraci zarabiali, zdaniem Grigorija, ogromne sumy na łapówkach od zagranicznych agencji adopcyjnych. Temu lukratywnemu biznesowi poważnie zagroził działający na własną rękę, tani Grigorij i dlatego właśnie postanowili go zniszczyć.

- Musicie coś zrozumieć. Tu nie chodzi tylko o Wanię. Robię to dla wszystkich osieroconych dzieci w Rosji i wszystkich bezdzietnych par, których nie stać na ogromne opłaty.

Sarah podziwiała go za jego wysiłki, ale miała inny priorytet: adopcję Wani. Zapytała, jak Grigorij ma zamiar przeprowadzić tę adopcję, jeśli znalazł się w stanie wojny z ministerstwem.

Grigorij zbył jej obawy. W życie wchodziło nowe prawo adopcyjne, a on znał je na wylot. W zasadzie pomagał je pisać, gdy pracował jako asystent parlamentarny. Wiedźmy z ministerstwa nie mogły zrobić nic, by powstrzymać adopcję Wani. Wyprostował się i odchylił na oparcie fotela. Potrzebował tylko dokumentów z Anglii.

Sarah przypomniała mu, że proces weryfikacyjny został już od strony angielskiej zakończony. Grigorij machnął tylko dłonią i powiedział, że to dopiero początek. Otworzył

szufladę i wyjął z niej kartkę, na której drobnym drukiem wymieniono piętnaście osobnych dokumentów, które trzeba mu dostarczyć z Anglii.

- Gdybym je miał, Wania byłby już wolny. W kolejnych tygodniach kampania prasowa wymierzona w Grigorija przybrała na sile. Oskarżono go o sprzedawanie dzieci za granicę. Miał brać pieniądze od łatwowiernych Amerykanów i nie oferować nic w zamian. Jeden z artykułów kończył się słowami: „Jesteśmy w posiadaniu dokumentów, które dowodzą...”, i sugerował, że autor dysponuje teczką obciążających materiałów. Nagłówek innego artykułu głosił: „Rosyjskie matki sprzedają dzieci za 10 000 dolarów”.

Każdy dziennikarz w Moskwie stał się ekspertem od cen rosyjskich dzieci - na domiar złego, w tym samym czasie kilka incydentów z udziałem amerykańskich rodziców adopcyjnych dodatkowo podgrzało atmosferę. Jedna z adopcyjnych matek pobiła na śmierć swego dwuletniego syna; jakaś para straciła kontrolę nad adoptowanymi w Rosji dziewczynkami w samolocie do Nowego Jorku i zaczęła je bić na oczach oburzonych współpasażerów. Nieświadomy rosyjski czytelnik mógł z lektury gazet wynieść przekonanie, że to Grigorij jest w jakiś sposób odpowiedzialny za te nieszczęścia.

Wystarczyło kilka telefonów, by dowiedzieć się, dlaczego Grigorij ma tak wielu wrogów. W lutym, w czasie gdy prawie dobiegała finału adopcja Andrieja, Grigorij postanowił dodać nieco blasku swej chwale wielkiego pogromcy korupcji. Zwołał konferencję prasową, na której oskarżył wysoko postawionych urzędników zaangażowanych w adopcje zagraniczne o branie łapówek i organizowanie licytacji dzieci

i „sprzedawanie” ich tym, którzy oferowali najwięcej. Sam zaprezentował się w roli orędownika zwykłych ludzi, bezdzietnego rosyjskiego małżeństwa, które chciało adoptować dziecko, ale zostało przelicytowane przez Amerykanów.

Grigorij mógł mieć rację w kwestii nielegalnych opłat, lecz prowokując tego śpiącego niedźwiedzia, bardzo źle ocenił rozkład sił pomiędzy sobą a rządem. Wściekła i żądna zemsty biurokracja, nie tracąc czasu, wytknęła mu, że sam reprezentuje zagranicznych rodziców adopcyjnych - nawet jeśli czynił to za ułamek honorarium pobieranego przez amerykańskie agencje - i dla lepszego efektu dorzuciła jeszcze kilka dodatkowych oskarżeń.

Z perspektywy czasu można stwierdzić, że należało wtedy odebrać Grigorijowi sprawę adopcji Wani. Kto miał go jednak zastąpić przy skromnych środkach, którymi dysponowała Linda? Sarah i Alan nikogo takiego nie znali.

Dopiero w marcu na progu Sarah pojawił się kurier z ciężką przesyłką zaadresowaną do Grigorija. Paczka była tak cenna, że Sarah z wielkim wahaniem ośmieliła się zerwać papier. Usiadła przy stole w jadalni, otworzyła plastikową kopertę i wyjęła gruby stos dokumentów przewiązanych czerwoną wstążką. Każdy z nich był opatrzony szkarłatną pieczęcią. Nigdy wcześniej nie widziała czegoś takiego. Ostrożnie przejrzała osiemdziesiąt stron. Na każdej z nich były podpisy, kolejne pieczęcie, a na samej górze apostille, czyli poświadczenie dokumentu urzędowego przeznaczonego do obrotu prawnego za granicą, złożone przez brytyjski MSZ - pieczęć

z lwem i jednorożcem, za którą wносиło się opłatę w wysokości sześćdziesięciu dwóch funtów. Zapragnęła zabrać to wszystko do domu dziecka i cisnąć wszystkie te pieczęcie i znaczki Adeli w twarz. Czy nie był to wystarczający dowód, że Wania wyjeżdża za granicę? Dokumenty należało jednak niezwłocznie przekazać prawnikowi.

Upłynął tydzień, zanim Grigorij zdecydował się do kogośkolwiek odezwać. Sarah była tak pewna, że brytyjski system prawny dostarczył wszystko, czego od niego wymagano, że więcej o tej przesyłce nie myślała. Przeżyła więc prawdziwy szok, gdy Grigorij zadzwonił, by poinformować ją, że właśnie był w ministerstwie i jest pewien problem. Sarah poprosiła, by natychmiast do niej przyjechał.

Gdy tylko Grigorij wszedł do jej domu, poprosił o nożyczki. Obserwowała z przerażeniem, jak przykładła ostrze do czerwonej wstążki spinającej dokumenty.

- Nie możesz tego zrobić! - zawołała. - To są oficjalne dokumenty.

- Trzeba to zrobić - odparł Grigorij.

Nożyczkami przeciął wstążkę na pół z szelestem.

Grigorij wyjaśnił oburzonej Sarah, że urzędniczki z ministerstwa odrzuciły akta właśnie dlatego, że wszystkie dokumenty były powiązane w jedną całość. Próbował się z nimi spierać, ale powiedziały, że nie zajrzą do nich, dopóki każda kartka nie będzie osobno związana, poświadczona notarialnie i nie będzie mieć własnego apostille.

- Przecież to pochłonie połowę środków, które zebrała Linda. Jedno apostille kosztuje sześćdziesiąt dwa funty! - Czerwona tasiemka, która miała być nicią Ariadny wyprowadzającą Wanię z rosyjskiego labiryntu, leżała w strzępach na podłodze.

- To nie wszystko - kontynuował prawnik. - Twierdzą, że dokumenty zostały nieodpowiednio zszyte. Musisz powiedzieć Lindzie, by przekazała swojemu notariuszowi, że końce wstążki muszą być schowane pod pieczęciami. Nie mogą spod nich wystawać.

- Ty chyba żartujesz, Grigorij. Może oni sobie z ciebie żartują?

Sarah przypomniała sobie, jak wyglądał raport sporządzony przez opiekę społeczną dla jej amerykańskiej przyjaciółki. Pół strony na maszynie do pisania, efekt pracy jednego popołudnia. Jak mogli zaakceptować coś takiego, a odrzucić rezultat ośmiomiesięcznego dochodzenia?

Nie były to jedyne problemy. Grigorij rozłożył dokumenty na dwa stosiki i poprosił o kosz na śmieci.

- Te nie są potrzebne. Możesz je wyrzucić - powiedział, podając Sarah plik kartek. Niektóre z nich były opatrzone ważnie wyglądającymi znaczkami. - Będą za to potrzebne cztery inne dokumenty. - Podał jej listę.

Pierwszy dokument z listy miał być potwierdzeniem, że agencja, która przeprowadziła weryfikację Lindy, była do tego upoważniona.

- Oczywiście, że jest do tego upoważniona. Przecież zleciła jej to rada miejska. Jeśli lokalne władze proszą o coś takiego daną agencję, to z definicji ją do tego upoważniają. - Sarah spojrzała na Grigorija. - Jesteś pewien, że te kobiety nie próbują tylko wszystkiego opóźnić?

Nie odpowiedział.

Gdy Grigorij wyszedł, Sarah natychmiast zadzwoniła do Lindy, by przekazać jej fatalne nowiny. Kiedy poprzednio ze

sobą rozmawiały, Linda była zachwycona tym, że udało jej się dopełnić wszelkich formalności prawnych. A teraz Sarah musiała jej powiedzieć, że teczka, którą z takim mozolem kompletowała, została przez ministerstwo odrzucona. Próbowwała nie mówić tak, jakby cały proces trzeba było rozpocząć od nowa, ale tak chyba zabrzmiała. Gdy odkładała słuchawkę, stwierdziła, że są tylko dwa powody, dla których kobiety z ministerstwa są tak odporne. Albo czekały na łapówkę, albo - ta myśl była naprawdę przerażająca - miały tak zatwardziałe serca, że sabotowały adopcję Wani w ramach zemsty na Grigoriju.

Następnego ranka Sarah obudziła się z przeświadczeniem, że musi coś zrobić. Odrzucenie dokumentów miało znów opóźnić proces, a ona musiała utrzymywać jak najlepsze relacje z personelem sierocińca. Na szczęście właśnie otrzymała nowe zdjęcia Andrieja z Florydy, w tym jedno, na którym chłopiec z radością głaskał zwierzęta w zoo. Wyjęła zdjęcie swojej rodziny ze złotej ramki i włożyła w jego miejsce zdjęcie Andrieja. Sąsiadka podrzuciła jej ubrania dla dzieci, które miały zostać подарowane placówce. Sarah właśnie ładowała je do samochodu, gdy pojawiła się jej nowa przyjaciółka Rachel, z zawodu prawnik korporacyjny. Rachel bardzo chciała zobaczyć, jak wygląda rosyjski dom dziecka.

Był już początek kwietnia, ale gwałtownie się ochłodziło i znów spadł śnieg. Gdy dotarły na miejsce, okazało się, że grupa Wani bawi się na podwórku.

- Mówię: „bawi się”, ale te dzieci nie wiedziały, jak się bawić - wspomina Sarah. - Po prostu spacerowały w kółko, nadzorowane przez Dusię, starą opiekunkę, która często wyłudzała papierosy od nowych strażników. Wania przedstawiał sobą tragiczny widok, porzucony w wózku, z którego zsuwał się w śnieg. Jak zwykle powitał gości, informując ich o tym, co najważniejsze: „Zimno mi”. Wyjęłam go z wózka i zaczęłam z nim spacerować, by go rozgrzać. Rachel podeszła do dzieci, a Dusia wyraźnie je od niej odsunęła, jakby się bała, że Rachel je czymś zarazi. Wania zapytał, czy może usiąść w samochodzie, zostawiłam go więc z Rachel, by pouczył ją trochę rosyjskiego.

Sarah postanowiła nieco przypodobać się Dusi, ponieważ wyglądało na to, że to właśnie ta opiekunka będzie sprawować pieczę nad chłopcem w nadchodzących miesiącach. Nagle Dusia oświadczyła:

- Właśnie miał badania. Jest gotowy do drogi.

- To może jednak zająć jeszcze trochę czasu - sprzeciwiła się delikatnie Sarah.

- O nie. To już niedługo. Otrzymał papiery z Internatu nr 30, tak jak inne dzieci.

Sarah wpatrywała się w nią oniemiała.

- Przecież on ma zostać adoptowany. Jedzie do Anglii.

- Ja słyszałam co innego. Jedzie do „trzydziestki” razem z innymi.

Sarah wbiegła do budynku, by poszukać Adeli. Właśnie zdejmowała buty, gdy jeden ze strażników zaczął krzyczeć do członkini personelu, by nie wpuszczala do środka obcych.

- Wiedziałam, że ma na myśli mnie, choć przecież widział mnie już wielokrotnie. Zażądał, bym wpisała się do księgi gości.

Pojawiła się zastępczyni Adeli, która poinformowała Sarah, że Adela wzięła miesięczny urlop. Nie zostawiła żadnych instrukcji, z których wynikałoby, że Wania ma nie jechać do internatu z innymi dziećmi.

- Dlaczego nam nie powiedziałaś, że adopcja jest w toku?  
-Lekarka spojrzała na Sarah oskarżycielsko.

I znów Sarah okazała się wszystkiemu winna. Założyła, że prawnik poinformował dom dziecka, iż Linda została ostatecznie zaaprobowana jako rodzic adopcyjny. Okazało się jednak, że personel o tym nie wiedział. Powiedziała więc, że dokumenty zostały już prawie skompletowane, że wymagają tylko kilku drobnych poprawek i że Wania na pewno pojedzie do Anglii.

Gdy Sarah wracała do samochodu, dosłownie gotowała się ze złości. Adela wyjechała na miesięczny urlop i nie zostawiła żadnych instrukcji co do Wani. Sarah od razu zrozumiała, co próbowała tym osiągnąć na swój tchórzliwy sposób. Pozbywała się odpowiedzialności i pozwalała, by „problem Wani” rozwiązał się pod jej nieobecność sam poprzez odesłanie go do Internatu nr 30. Gdy Adela zniknęła ze sceny, cały personel zaczął określać Wanię jako trudny przypadek i wielki ciężar, ignorując wszelkie postępy, jakie poczynił w Szpitalu nr 58. Nie mógł się wręcz doczekać, by się go pozbyć.

Gdy podeszła do samochodu, zobaczyła, że Wania oczarował Rachel na tyle, że ta pozwoliła mu usiąść za kierownicą.



Odprowadziły go zaśnieżoną ścieżką do sierocińca. Wania był wyraźnie niezadowolony, że musi się rozstać z samochodem. Zaczął narzekać, że Sarah zbyt mocno ściska jego rękę. Nauczył się swobodnie wyrażać uczucia w stosunku do osób, które nie pracowały w domu dziecka.

Rachel nauczyła go robić śnieżki i rzucać nimi - nikt z personelu ośrodka dotąd o tym nie pomyślał. Nagle Wania zauważył Swietlanę i jego nastrój diametralnie się zmienił.

- Dlaczego powiedziałaś, że jadę do internatu, skoro to nieprawda? - zapytał ją z oburzeniem przekonany, że rozmawia z kimś sobie równym.

- Czy pojedę do Anglii? - zapytał później Sarah. - Tak.

- I już nigdy tu nie wrócę?

Nie wiedział, czym jest ta Anglia, ale wszystko było lepsze niż życie tutaj.

Worki z darami leżały na śniegu. Wania uparł się, że pomoże je wnieść do środka. Robił wszystko, by utożsamić się z gośćmi.

Gdy wrócili do sali, Dusia zostawiła dzieci z Sarah i Rachel. Ledwo zamknęła za sobą drzwi, rozpętało się piekło, dzieci zaczęły biegać po sali i ściągać zabawki z półek. Kiedy usłyszały, że nadchodzi, wróciły na swoje miejsca i usiadły prosto, wyraźnie bojąc się opiekunki. Przyniosła im obiad, jakąś szarawą jajeczną masę i groszek. Każdy dostał też kromeczkę chleba. Wania poprosił Sarah, by zabrała go do toalety. Zdumiała się, gdy dostrzegła, jaki jest wychudzony. Prawie nie miał pośladków. Musiał się właściwie odżywiać, by rosnąć. Chłopiec, którego holenderską adopcję zawetowała

Adela, wyglądał jak siedem nieszczęść. Gdy opiekunka wychodziła z sali, inni chłopcy się nad nim znęcali.

- Kiedy wracałam do domu, nie mogłam wyjść z podziwu, myśląc o harcie ducha Wani i jego elokwencji - wspomina Sarah ten nieprzyjemny dzień. - Z całego serca chciałam wziąć go ze sobą do domu i porządnie nakarmić.

Dwa tygodnie później, dwudziestego kwietnia, wydarzyło się coś, co potwierdziło najgorsze podejrzenia Sarah co do relacji Grigorija z biurokracją. Prawnik zadzwonił do niej i powiedział, że potrzebuje jej pomocy w kwestii jednego z rosyjskich dokumentów. Ministerstwo musiało potwierdzić, że Wania znajduje się w rejestrze adopcyjnym od sześciu miesięcy, co miało umożliwić adopcję rosyjskiej rodzinie, zanim będzie mógł trafić za granicę. Była to rutynowa sprawa.

- Zazwyczaj odpowiedź na taką prośbę zajmuje urzędnikom ministerstwa dwa tygodnie - oświadczył Grigorij. -Może mogłabyś do nich zadzwonić i poprosić uprzejmie, by nieco się pospieszyli? W przeciwnym razie cała sprawa opóźni się nie wiadomo o ile przez długi majowy weekend.

- A ty nie możesz poprosić?

- Lepiej, gdyby to wyszło od ciebie - stwierdził Grigorij. -Powiedz, że jesteś krewną Lindy... kuzynką czy kimś takim.

- Kuzynką, która przez przypadek mieszka w Moskwie? Fletcherowie planowali przyjechać do Moskwy w maju i przywieźć nowy komplet dokumentów. Gdyby Grigorij zdobył szybciej zaświadczenie z ministerstwa, istniała

szansa - znikoma szansa - zakończenia procesu adopcyjnego w czasie ich wizyty.

Gdy Sarah zadzwoniła do ministerstwa, od razu natknęła się na kogoś, kto wydawał się znać zawilosci sprawy Wani. Może jednak ci urzędnicy mają serce, pomyślała, i pomogą niepełnosprawnemu chłopcu, któremu grozi powrót do zakładu dla obłąkanych. Głos osoby po drugiej stronie słuchawki pozostał jednak niewzruszony, kiedy już wyartykułowała swoją prośbę.

- Wiem, że dokument powinien być gotowy na pierwszego maja, ale to początek majowego święta. Gdyby więc udało się państwu nieco przyspieszyć sprawę, bardzo by nam to pomogło.

- Nie ma mowy - odparła urzędniczka. - Dokument będzie gotowy po świętach. Może zostać wydany jedenastego maja.

- Ale to oznacza, że prawnik nie dostanie go przez najbliższy miesiąc. Wtedy będzie za późno.

- Zapewne tak.

Zdesperowana Sarah postanowiła dalej naciskać.

- To tylko potwierdzenie, że Wania jest w rejestrze. Przecież to tylko najprostszy dokument. Bardzo proszę, aby wydali go państwo jeszcze w tym tygodniu. Z chęcią sama po niego przyjadę. Mieszkam w Moskwie.

Głos stał się lodowaty.

- To niemożliwe. Wszystko musi przechodzić oficjalnymi kanałami.

Sarah rozłączyła się oszołomiona i zraniona. Myśli, które od tygodni spychała do podświadomości, nagle znów ją opanowały. Dlaczego ta kobieta czerpała taką radość, stawiając opór? Dlaczego Grigorij poprosił, by to Sarah wykonała

telefon? Czy trwała już otwarta wojna pomiędzy Grigorijem a kobietą z ministerstwa? Telefon utwierdził ją w jednym: ktoś bardzo wysoko postawiony robił wszystko, by uniemożliwić adopcję Wani.

Kilka dni później Sarah i Rachel znów pojechały odwiedzić chłopca. Zima odeszła, było słonecznie i ciepło. Grupa Wani została zagnana do małego kojca na zewnątrz, ich opiekunka Dusia tłoczyła się w nim razem z dziećmi. Była przygarbiona, wyczerpana, opierała się ciężko o szczebelki.

Jedna przygnębiona, starsza kobieta opiekowała się tuzinem trzylatków w kącie, a cała reszta podwórka była zajęta przez dorosłych, rozkoszujących się wiosennym słońcem. Trzej strażnicy siedzieli na ganku, paląc papierosy, rozwiązując krzyżówki i słuchając radia. Z miesiąca na miesiąc mieli coraz ładniejsze i bardziej eleganckie mundury. Tego dnia wypróbowywali nowy rodzaj czapki - przypominała żeglarską, z wstążką z tyłu.

Gdy Sarah i Rachel podeszły do kojca, małe dzieci wyciągnęły do nich ręce i zaczęły wołać: „Mama, mama”. Sarah podniosła jedną dziewczynkę i podała ją Rachel. Sama wzięła na ręce Anastazję, małą dziewczynkę z zespołem Downa, która uczyła się mówić. Dusia spojrzała na nie z wyrzutem, gdy inne dzieci zaczęły płakać, prosząc, by je też wziąć na ręce. Sarah i Rachel zrozumiały, że ich obecność nie jest mile widziana, i weszły do budynku.

Był wtorek, dom dziecka odwiedziło mnóstwo kobiet z kościoła, które przynosiły księdzu małe dzieci do pobłogosławienia. Pojawiały się dosłownie z każdej strony. Dom

dziecka otrzymał właśnie ze szpitala nowy transport dzieci, które zostawiały tam ich matki. Zająły one miejsca starszych dzieci, przeniesionych do innych sierocińców i zakładów psychiatrycznych. To był ten wielki transfer, którego udało się uniknąć Wani.

Sarah zapragnęła zaprowadzić Rachel do Grupy 2, w której Wania spędził pierwsze lata swojego życia. Po raz pierwszy nie pozwolono jej tam wejść. Sarah powiedziała, że przyniosła aloes dla Toli, ślepego chłopca z bardzo poważnym defektem skóry twarzy. Opiekunka poinformowała ją, że chłopiec został odesłany do internatu wraz z innymi dziećmi.

Przy wejściu Sarah i Rachel wpadły na Swietlanę, która po ostatniej wizycie Sarah stała się istnym wulkanem energii i kazała się wozić starą wołgą po całej Moskwie, zbierając dokumenty i podpisy dla Wani. W końcu sprawy naprawdę drgnęły.

- Rachel. - To głos Wani rozległ się na drugim końcu korytarza.

Zapamiętał imię, słysząc je tylko raz. Właśnie został pobłogosławiony w kaplicy; w przeciwieństwie do większości dzieci, które potem otrzymywały jedną świeczkę, Wania ścisnął w dłoniach dwie.

Na zewnątrz Sarah zapytała głównego strażnika, czy może zabrać Wanię do samochodu. Odpowiedział służbi-ście, że nie wolno wynosić dzieci poza teren sierocińca, na tyle głośno, by wszyscy usłyszeli, że wykonuje swoją pracę. A szeptem dodał:

- Sprawdzają nas. Mamy inspekcję. Sprawdzają nawet mundury.

Dobrze było się przekonać, że choć dzieci są skrajnie zaniedbywane, przynajmniej zasady dotyczące ubioru strażników są ściśle przestrzegane.

Pod koniec wizyty, gdy Sarah ukradkiem wpychała Wani do buzi jabłko, bo Linda powiedziała jej, że ma dostarczać chłopcu witamin, zobaczyła wolontariuszy z kościoła, którzy wyszli na zewnątrz za pięknym młodym księdzem wyglądającym jak Leonardo DiCaprio z brodą. Unosząc w górę sztandar z wizerunkiem Chrystusa, ksiądz poprowadził pochód wokół sierocińca. Nadchodziła Wielkanoc, a oni odprawiali tradycyjną wielkanocną procesję. Oczywiście dzieci nie brały w niej udziału.

Na początku maja Sarah odebrała telefon od pełnej niepokoju Lindy. Linda rozmawiała z angielskim specjalistą, który powiedział jej, że stan fizyczny Wani musi się gwałtownie pogarszać, jeśli chłopiec opuścił szpital już miesiąc temu, a w domu dziecka nikt z nim nie ćwiczy. Linda oświadczyła, że przyjedzie do Moskwy w połowie maja wraz z mężem i synem i zostaną w rosyjskiej stolicy na dwa i pół tygodnia, by wszystko połatwiać. To był jedyny termin, w którym jej mąż mógł dostać urlop, postanowili więc w ten sposób spędzić tegoroczne wakacje.

Sarah te daty w ogóle nie odpowiadały - jej syn William miał wtedy przerwę w szkole, a z wizytą przyjeżdżali jej rodzice - ale się zgodziła. Miała wystarać się o wizy, znaleźć środek transportu oraz zakwaterowanie i towarzyszyć im wszędzie jako tłumacz i kierowca.

Czuła niepokój na myśl o rodzinie zatrzymującej się na tak długi okres w obcym mieście. Czy Moskwa naprawdę była dobrym miejscem na rodzinne wakacje? Nawet mokrwanie uciekali latem na wieś albo nad Morze Czarne.

Mieszanie sprawy adopcji z wakacjami mogło okazać się gotowym przepisem na stres i rozczarowanie. Sarah zagłuszyła jednak swoje wątpliwości.

- Zrobiłabym wszystko, żeby Wania został adoptowany, a czas uciekał - wspomina. - Dom dziecka był gotów skorzystać z każdej wymówki, by go przenieść, a poza tym było coś jeszcze. Gazeta Alana zaczęła się domagać, by latem Alan przeniósł się na nową placówkę. Za trzy miesiące mieliśmy wyjechać. Nie mogłam sobie wyobrazić, że będę szykować się do wyjazdu, nie rozwiązawszy problemu Wani.

W dzień przyjazdu Fletcherów pogoda w Moskwie się popsuła. Sarah pojechała do domu dziecka, by się upewnić, że nadgorliwi strażnicy wpuszczą następnego dnia Anglików i pozwolą im wynieść Wanię poza teren - jak to ujęli - sierocińca.

Sarah pamięta, że Adela była w swoim biurze z jedną ze swoich zastępczyń, która właśnie ufarbowała włosy i miała pod białym kitlem seksowną spódniczkę z rozcięciem.

- Spojrzała na mnie, powiedziała, że chyba przytyłam i że nie powinnam się tak stresować. Jej zdaniem byłam w takim stanie, że para wydobywała mi się z tyłka.

Odparłam, że jestem zestresowana, bo adopcja powinna zostać zakończona podczas pobytu Lindy w Moskwie, a kobiety z ministerstwa specjalnie ją sabotują. Adela stwierdziła

wtedy naiwnie, że jeśli im powiem, że mają coś zrobić, to na pewno to zrobią. Zauważyłam, że wicedyrektorka traktuje Adele, jakby była odrobinę głupia. Ilekroć coś mówiłam, dziewczyna powtarzała jej to jak osobie z demencją. Obie jednak wydawały się cieszyć z wizyty Lindy następnego dnia, obiecały też, że uprzedzą strażników.

Gdy Sarah weszła do sali Wani, chłopiec pisnął jak zwykle ze szczęścia na jej widok. Był zachwycony, gdy mu powiedziała, że jego mamusia jutro przyjeżdża. Zapragnął ze wszystkimi podzielić się tą informacją. Chwycił balkonik i dosłownie wyskoczył z sali, by mówić wszystkim pracownikom sierocińca:

- Moja mama przyjeżdża i mój tata, i brat. - W myślach był już wolny.

Chciał o tym donieść opiekunkom ze wszystkich grup. Odbył więc triumfalny pochód po korytarzach - czegoś takiego nie zrobiło dotąd żadne dziecko, bo wszystkie były zamknięte w swoich salach. Gdy szedł korytarzem, krzyknął do Adeli:

- Daj mi kielbasy!

Gdy zobaczył kobietę zarządzającą zapasami, zaczął śmiało domagać się od niej czekolady. W ogóle nie zwracał uwagi na jej pełne dezaprobaty spojrzenie.

Zszedł na dół, do sali, w której mieszkała Anna, dziewczynka na wózku inwalidzkim. Anna została już przeniesiona do internatu, ostatecznie ona i Wania nigdy się nie spotkali. Opiekunka na dyżurze opiekowała się dziesięciorgiem niepełnosprawnych dzieci, w tym smutną, małą Maszą, która została tu przeniesiona z Grupy 2. W rezultacie



zaniedbań jej nogi stały się sztywne jak deski. Ona też miała wkrótce zostać przewieziona do internatu, gdzie czekało ją bardzo krótkie życie.

Następnie Wania zapragnął pójść na górę, do Grupy 2, swego dawnego domu. Schody były zbyt wąskie, by zmieścić się na nich balkonik, ale Wania uparł się, by spróbować, i udało mu się. Na szczycie schodów wpadł na główną opiekunkę, która powiedziała mu, że nie może wejść do sali Grupy 2, bo trwa tam remont. Bez mrugnięcia okiem oświadczył, że idzie do sypialni. Powiedziała, że to także jest zabronione, ale zignorował ją i ruszył dalej. Sarah poszła za nim.

Pokazał jej palcem miejsce, na którym dawniej siadał. Stolik wciąż tam był. Nie była to pora drzemki, ale dzieci i tak przeniesiono do łóżeczek, nigdzie nie było ani śladu opiekunki.

Wania zapragnął zajrzeć jeszcze do sali Grupy 3, w której nigdy nie był. Sarah zapukała do drzwi, ale nikt im nie otworzył.

- Ona nie słyszy, jest głucha - powiedziała im główna opiekunka.

Sarah pchnęła drzwi i zobaczyła kruchą staruszkę, która miała co najmniej osiemdziesiąt lat, opiekującą się tuzinem dwulatków. Wszystkie były spragnione miłości i kontaktu, ale staruszka ich nie słyszała. Dzieci skończyły już kolację i prosiły ją o chleb. Próbowwała je pocieszyć najlepiej, jak umiała.

Sarah ogarnęła falą współczucia dla tej kobiety. Wyglądała jak prawdziwa intelektualistka, dla której przyszły trudne czasy. Bardzo się ucieszyła na widok Wani. Chłopiec przyglądał się ze współczuciem swoim młodszym kolegom

i koleżankom, a jednocześnie widać było, iż jest zadowolony, że wkrótce zostawi to wszystko za sobą.

- Stara opiekunka dała mnie i Wani po cukierku. Sprawiała, że poczułam się bardzo młoda. Tu, w sali, jedna, słaba, starsza kobieta próbowała sama sobie poradzić z tuzinem dzieci, a na dole dwaj strażnicy, trzech kierowcy i pracownik kotłowni, nie wspominając już o niezliczonych kobietach w białych kitlach, beztrąsko sobie rozmawiali. Nie mogłam dłużej znieść przebywania w tej sali. Ponagliłam Wanię do wyjścia. Chciał sam zejść po schodach, ale ja bałam się, że się poślizgnie i złamie sobie kark tuż przed adopcją, więc zniosłam go na dół.

Gdy tylko Linda przyjechała do Moskwy ze swoim mężem Georgeem i piętnastoletnim synem Philipem, od razu stało się jasne, że coś się w niej zmieniło. Podczas kolacji pierwszego wieczoru z dumą opowiadała o swoich wnukach. W połowie wieczoru zatelefonowała jej córka, by omówić z nią jakiś mały kryzys dotyczący jednego z dzieci.

Od ostatniej wizyty Lindy w Moskwie jej córka zdążyła urodzić trzecie dziecko i zająć w ciążę po raz czwarty. Linda spotykała się z nią chyba codziennie. Zapytała nawet Asię, nauczycielkę specjalną, czy mogłaby przyjechać do Anglii z Wanią i zajmować się nim, gdy ona będzie w pracy. Asia powiedziała, że może zostać tak długo, jak będzie trzeba. Szybko stało się dla wszystkich jasne, że Wania będzie musiał wpasować się pomiędzy jej wnuczka. Sarah wyczuwała, że chłopiec raczej nie będzie dla niej centrum wszechświata.

Następnego ranka Sarah zawiozła Lindę i jej rodzinę do Domu Dziecka nr 10. Od ich ostatniego spotkania minął prawie rok, Wania pisnął z radości na widok Angielki. Linda jednak się cofnęła i to George wyjął chłopca z łóżeczka, i wziął go na ręce. Personel powiedział wcześniej Wani, jak mężczyzna ma na imię, i Wania wymyślił dla niego czułe przydomkowanie - Tata Żora - którym od razu podbił serce George'a.

Jedynym niezręcznym momentem było powitanie Wani z Philipem. Wania zaczął wołać do niego „brat, brat” - ale żaden angielski nastolatek nie chciałby być tak nazywany\*. Adeli nigdzie w pobliżu nie było, ale jej zastępczyni zgodziła się, by Fletcherowie zabierali Wanię na wycieczki codziennie podczas swego pobytu w Moskwie.

Z perspektywy czasu można powiedzieć, że był to wielki błąd. Żaden pracownik opieki społecznej nie poleciłby im spędzenia więcej niż godziny razem, biorąc pod uwagę, że przebywali w obcym mieście, a od chłopca oddzielała ich bariera językowa. Dom dziecka nie miał jednak żadnego doświadczenia w pomaganiu rodzinom adopcyjnym. A Linda była kompletnie nieprzygotowana do powiększenia rodziny w przygnębiającym, obcym środowisku.

Godzinę później Wania siedział zadowolony na kolanach Georgea w kuchni Sarah i Alana, jadł kromki ziemniaczane i fasolkę w sosie pomidorowym. Po raz pierwszy w życiu dostał nóż, by pokroić sobie ziemniaki, i wołał wszystkich, by na niego patrzyli. Przez prawie osiem lat żył jak Oliver Twist - nie wolno mu było prosić o jedzenie,

**\* Brat (z ang.) - bachor, smarkacz (przyp. tłum.).**

mógł tylko pokornie godzić się na to, co dostawał. Teraz jednak wiedział już, że otwiera się przed nim nowy etap życia. Władczym tonem zażądał kromki chleba i ze zdumieniem stwierdził, że dostał kromkę oraz stanowcze upomnienie, aby dodawał na końcu takich zdań „proszę”. Linda siedziała na końcu stołu i żałośnie pociągała nosem. Nie wiedziała, czy dopadło ją przeziębienie czy może alergia.

Popadli w pewną rutynę. Wania każdego ranka siedział przy wejściu do domu dziecka w ubraniu i czekał podekscytowany na swoją nową rodzinę. Jego umiejętności społeczne rosły z godziny na godzinę. Nie tracąc czasu, badał swoje nowe środowisko i próbował zrozumieć, jak żyje rodzina. Dlaczego w salonie nie ma łóżek? Nigdy nie oferowano mu żadnego wyboru, lecz szybko podejmował decyzję, gdy pytano go, czy woli sok pomarańczowy czy jabłkowy. Przystosował się do przebywania z psem i z zafascynowaniem obserwował dzieci w swoim wieku, które nie zawsze były grzeczne. Gdy dziewięcioletnia córka Sarah pomazała kredką menu w pizzerii, zawołał z zachwytem:

- Catherine jest chuliganem. Ja też chciałbym być chuliganem.

Linda uczyła się rosyjskiego przez ostatni rok, ale rosyjski był skomplikowany i zrozumienie Wani wykraczało poza jej możliwości. Wszystko jej tłumaczono, ale z jej ponurej miny można było wyczytać, że czuje się wykluczona.

Pogoda znacznie się w ciągu dwóch dni poprawiła, nadeszło prawdziwe lato. W czwarty dzień wizyty Fletche-rów wszyscy udali się na zwiedzanie, umówili się pod fontanną przed Teatrem Bolszój. Wania zapytał, czy może wstać

z wózka i włożyć rękę do fontanny. Ten prosty akt dał mu tyle radości, że nawet Linda została nią zarażona i ośmieliła się do niego podejść.

Następnego dnia Wania po raz pierwszy wziął udział w pikniku, który urządzono na brzegach rzeki Moskwy. Gdy dorośli rozmawiali, Wania milczał, odkrywając kolory i fakturę natury - miękkość trawy i szorstkość kłujących igieł sosnowych na ziemi. Gdy udali się na spacer, Wani udało się namówić każdego męskiego członka wyprawy, by niósł go na ramionach. Królował nad wszystkimi i śpiewał sobie cicho pod nosem przepełniony bezbrzeżnym szczęściem.

Zapanowała panika, gdy ktoś uświadomił sobie, że jest już piąta i że Wania powinien od godziny być w domu dziecka. Atmosfera w samochodzie była napięta, kiedy przedzierali się przez korki w drodze do centrum. Od czasu do czasu rozlegał się w ciszy tylko głos Wani, który dopytywał, jak daleko jeszcze. Nie chciał wracać do świata milczenia.

Wszyscy domyślali się, że spóźnienie Wani będzie poważnym problemem dla domu dziecka, ale nie spodziewali się, że znajdą cały personel w stanie podwyższonego pogotowia. Zastępczyni dyrektora została po godzinach, by reagować w sprawie potencjalnego porwania. Sarah gorąco przeproszała, choć jej serce przepełniał gniew na tych ludzi, którzy nie sprzeciwiali się, gdy chłopca odsyłano na pewną śmierć do szpitala psychiatrycznego, ale byli przerażeni, że będą mieć kłopoty, bo pozwolili mu pójść na piknik.

Następnego dnia Linda i George udali się do Grigorija z Nellie, tłumaczką „Daily Telegraph”, by dowiedzieć się, co wstrzymuje adopcję. O drugiej mieli spotkanie z panią

Morozową, która stała na czele wydziału adopcji. Wszyscy byli przekonani, że na tym etapie powodujący opóźnienia biurokracji zmiękną, gdy poznają poczciwą angielską rośl z inę o skromnych środkach, która chce tylko dać dom niepełnosprawnemu dziecku. Dodatkowo Linda przywiozła ze sobą kolejny zestaw dokumentów zszytych i zapieczętowanych zgodnie z instrukcjami.

Alan i Sarah zostali z Wanią. Było to jedno z najbardziej fascynujących popołudni w życiu chłopca. Alan poprosił go, by pomógł mu naprawić klamkę do składowika. Najpierw pozwolono mu wybrać nową klamkę, a potem odpowiednie śrubokręty. Wzdychał z zachwytem, przeglądając małą szafkę z narzędziami, wkretami i gwoździami wszystkich możliwych rozmiarów. Potem wszedł z pomocą dorosłych na drabinę, by móc dosięgnąć zamka. A na koniec pozwolono mu bawić się śrubokrętem. Gdy praca została skończona, Wania wezwał Sarah:

- Zobacz, co dla ciebie zrobiliśmy. Teraz możesz otwierać drzwi.

Było to idealne popołudnie.

Gdy Linda wróciła do domu, miała grobową minę. Nie mogła nawet zmusić się, by przywitać się z Wanią i wysłuchać jego opowieści na temat śrubokrętów. Powiedziała, że spędziła okropne popołudnie z biurokratami.

- Sarah, twój telefon jeszcze wszystko pogorszył. Tak nam powiedziano - oświadczyła, idąc się położyć.

Fletcherowie stawili się na spotkanie na czas, ale sekretarka poleciła im poczekać na twardych krzesłach na korytarzu przed biurem pani Morozowej. Minuty mijały, a Linda

w końcu wyjawiała swoje niezadowolenie z powodu tego, że musi czekać. Opowiedziała Nellie o wszystkich poświęceniach, na jakie się dotąd zdobyli. Oszczędzali na wszystkim od prawie dwóch lat, znieśli upokorzenia weryfikacji przez brytyjskie służby socjalne, odpowiadali na najbardziej natrętne pytania dotyczące ich życia prywatnego, usunęli część swoich największych skarbów - w tym kolekcję z meczów rugby Georgea - by zrobić miejsce dla Wani. Przywiozła do Moskwy rodzinę, wykorzystując cenny urlop męża i zmuszając syna do spędzenia wakacji w miejscu, które nie budziło w nim żadnego zainteresowania. Przyjeżdżając do Moskwy, zawiodła swoich najstarszych klientów i teraz obawiała się, że przestaną jej ufać i zwrócą się do kogoś innego.

Po trzydziestu minutach czekania drzwi się otworzyły, a na progu pojawiła się władcza postać. Pani Morozowa miała na sobie niebieską garsonkę, wykrochmaloną białą bluzkę i szal Hermes na szyi. Jej palce skrzyły się od dziesiątek złotych pierścionków, a jej gładkie ciemne włosy były upięte w nieskazitelny kok.

Spojrzała na kolejkę petentów, a jej twarz wykrzywiła się niesmakiem na widok Grigorija, pogniecionego, z niemytymi włosami i pokrytą chorobliwą bladością twarzą. Warknęła coś do prawnika, odwróciła się na pięcie i pomaszerowała korytarzem do wyjścia.

Nellie była naprawdę zażenowana, tłumacząc jej słowa. Pani Morozowa właśnie poszła na lunch i nakazała na siebie zaczekać.

Lindę ogarnął gniew. Zapytała Nellie, dlaczego ta kobieta uważa, że może traktować ich w ten sposób. Czy nie wie,

ż.c oni przyjechali aż z Anglii, by adoptować dziecko, które w przeciwnym razie zostałyby odesłane do zakładu dla obłąkanych? Cóż to za bezduszna istota!

Mieli mnóstwo czasu, by odpowiedzieć sobie na te pytania. Pani Morozowa wróciła dopiero po godzinie. Jej umeblowane z przepychem biuro - wypolerowane na wysoki połysk biurko z ciemnego drewna z pasującą do niego witryną, ogromny telewizor w kącie i czekoladki w szklanej misie na koronkowym obrusie - wywarły ogromne wrażenie na Nellie. Kontrast z jej skromnym miejscem pracy w biurze „Daily Telegraph” był oszałamiający.

Pani Morozowa nie przeprosiła nawet, że kazała im czekać. Grigorij zapytał, czy otrzymała list potwierdzający, że Sarah ponad miesiąc wcześniej próbowała przyspieszyć sprawę.

Ze złośliwym spojrzeniem kobieta odparła, że nie najlepiej reaguje, gdy obcy ludzie próbują wtrącać się w jej oficjalne sprawy. W ramach nauczki dla Grigorija i jego klientów jeszcze opóźniła proces. Co więcej, dodała, że nowe dokumenty przysłane z Anglii do niczego się nie nadają. Brytyjskie władze ewidentnie nie miały pojęcia, jak przygotować dokumenty w zgodzie z akceptowanymi standardami. W związku z tym poleciła im przygotować kolejny spis dokumentów. Machnęła upierścienioną dłonią, by dać im znać, że spotkanie dobiegło końca.

Grigorij bardzo dobrze pamięta tamten dzień.

- Pani Morozowa chciała zdruzgotać Lindę. Chciała wybić jej z głowy pragnienie adopcji rosyjskiego dziecka.

Opuścili biuro Morozowej niezwykle przybici. Linda była zła na Grigorija. Dlaczego nie postawił się tej dręczącej ich



urzędnicze? Jak to możliwe, że dokumenty zbierane z takim mozolem, kosztem wielu wydatków, znów są nieodpowiednie? Jej frustracja była tym większa, że musiała rozmawiać z prawnikiem przez tłumacza. Rozstali się w milczeniu na chodniku przed budynkiem ministerstwa, Grigorij poszedł do metra, a Fletcherowie razem z Nellie wsiedli do samochodu.

Pomimo tego upokorzenia dwa dni później Linda się otrząsnęła i zorganizowała przyjęcie urodzinowe dla swojego męża. Wszyscy zostali na nie zaproszeni - Alan, Sarah i Catherine, Nellie z biura „Daily Telegraph”, a nawet pies. Siedząc na sofie obok Wani, Linda uśmiechała się radośnie i rozdawała porcje sklejałego usta ciasta ozdobionego ja-skrawozielonymi i pomarańczowymi kwiatami. Pozwoliła Wani zrobić dla siebie koronę z łańcuchów, które znalazł w pudle z bożonarodzeniowymi dekoracjami.

- Wania wydaje przyjęcie z okazji urodzin taty - ogłosiła. Tamtego popołudnia Wania wyglądał tak, jakby znalazł

swoje miejsce na ziemi. Otoczony nową rodziną i przyjaciółmi, siedział przy stoliku kawowym, jadł tort widelcem, popijał herbatę i żartował z dorosłymi. Nikt by na jego widok nie powiedział, że od urodzenia mieszkał w instytucjach państwowych. Nagle, nie zmieniając tonu, oświadczył:

- Płakałem, wiecie. Łzy ciekły aż na podłogę. I wiecie, co zrobiłem?

- Co zrobiłeś, Waniu? - zapytał ktoś cicho.

- Skoczyłem jak kot. Wskoczyłem z łóżeczka. A potem odkręciłem kran. Ustawiłem największy strumień wody. Włożyłem do niej pupę i umyłem się.

Dorośli zaczęli cmokać z niezadowoleniem i zmienili temat. Potem zrozumieli, że Wania wspominał swój pobyt w Filimonkach, kiedy zmuszano go do leżenia godzinami we własnych ekskrementach. Jego największym marzeniem było uciec z łóżeczka i umyć się.

Pod koniec przyjęcia Nellie i Philip zaczęli uczyć Wanię, jak chodzić o kulach, które przywiozła mu Linda z Anglii, gdy Wania się zmęczył, zaczął prosić, by włączono mu wideo - chciał obejrzeć wizytę w zoo swojego przyjaciela Anil rieja. Dorośli sprawdzili zegarki. Pozostała jeszcze godzina do odwiezienia chłopca do Domu Dziecka nr 10.

Po przyjęciu sprawy znów przybrały gorszy obrót. Następnego dnia Linda poskarżyła się, że Wania jest agresywny i wyżywa się na jej synu Philipie. Sarah wezwała na pomoc swoją przyjaciółkę Ann, która niedawno przyjechała do Moskwy, sama była rodzicem adopcyjnym i prowadziła w Wielkiej Brytanii grupę wsparcia dla takich osób. Linda wylała przed nią wszystkie swoje żale. Wani nie dało się kontrolować, gdy z nimi był. Nie można było opanować jego humorów. Martwiła się, jak takie zachowanie wpłynie na jej wnuczeta. Po raz pierwszy ktoś narzekał na Wanię. Dotychczas było zupełnie odwrotnie - Wani udało się zmiękczyć serce nawet Nellie, której obawiały się całe pokolenia korespondentów „Daily Telegraph”. Wania siedział na jej kolanach, a ona z uśmiechem instruowała go, jak się posługiwać myszką. Po dziś dzień matka Sarah wspomina, jak uczyła chłopca używać odkurzacza i jak Wania szybko poprawnie wypowiedział słowo „Hoover”. W ciągu tamtych dwóch tygodni nauczył się dwudziestu siedmiu nowych angielskich słów i wyrażeń.

Pewnego ranka jak zwykle przyjechał służbowy samochód po Lindę, by jechać z nią do domu dziecka po Wanię. Minęła dziewiąta, a Linda się nie pojawiła. Minęła dziesiąta. Myśl o tym, że Wania siedzi w małym krzeselku przy wejściu do domu dziecka, gotowy na nowe przygody i czeka na ludzi, którzy kazali mu nazywać siebie mamą i tatą, była nie do zniesienia. Dzieci Sarah, William i Catherine, które bardzo polubiły chłopca, błagały mamę, by po niego jechać. Odpowiedzialność za Wanię spoczywała jednak na barkach Lindy i Sarah nie mogła się wtrącać.

W końcu o jedenastej Linda przyjechała na śniadanie. Powiedziała, że jest wyczerpana, potrzebuje przerwy i chce cały dzień spędzić na kupowaniu pamiątek. Nawet nie wspomniała o Wani.

Następnego dnia zabrała Wanię do sklepu, by kupić mu porządne buty. Była w stanie wypełniać praktyczne zobowiązania, lecz z upływem dni stawała się coraz chłodniejsza i bardziej krytyczna w stosunku do chłopca, coraz częściej zostawiała go pod opieką swoich gospodarzy albo personelu „Daily Telegraph”, wymawiając się złym samopoczuciem. George, który tak lubił być nazywaną Tatą Żorą, wziął z niej przykład i również przestał jawnie okazywać uczucia.

Wtedy przyszła im z pomocą Wika, która, mimo iż wciąż jeszcze karmiła piersią, zorganizowała przyjęcie, by Linda mogła poznać wszystkich jej przyjaciół, którzy odwiedzali Wanię. W najjaśniejszych barwach opisywali, jak ogromne postępy poczynił chłopiec i z jaką łatwością nawiązuje więź emocjonalną z innymi. Sarah dostrzegła, że Linda jest coraz bardziej niespokojna. Wszystkie te pochwały

tylko podkreślały niemożność Angielki nawiązania relacji z chłopcem.

Gdy nadszedł dzień ich powrotu do domu, Fletcherowie złożyli ostatnią wizytę w domu dziecka. Alan pojechał z nimi w roli tłumacza, bo Linda czuła się wyraźnie wykluczona, gdy widziała, z jaką łatwością porozumiewa się z Wali ią Sarah. Na pożegnanie Linda powiedziała malcowi, że go kocha. Obiecała mu, że wróci, gdy sąd wyznaczy termin rozprawy adopcyjnej i zabierze go ze sobą do Anglii. Wania chciał usłyszeć więcej na temat pokoju, który dla niego urządziła. Poprosił, aby jeszcze raz opowiedziała mu o lampce przy łóżku i potwierdziła, że będzie mógł sam ją włączać i wyłączać. Uścisnęła go po raz pierwszy od wielu dni i zostawiła go z sercem przepelnionym nadzieją.

Gdy wsiadała do samochodu, który miał ją odwieźć na lotnisko, uśmiechała się. Na kolanach miała dwa torty, które zawoziła do domu jako pamiątki z Rosji.

Podczas tego ostatniego dnia jej wizyty Sarah nieraz chciała ją wprost zapytać, czy naprawdę chce adoptować Wanię. Widziała przecież, że nie żywi do niego przesadnie ciepłych uczuć. Nigdy jednak tego nie zrobiła. Gdy wspomina tamte dni, mówi:

- Próbuję zrozumieć, dlaczego milczałam, gdy jej zachowanie było coraz gorsze i gorsze. Choć jej reakcje wskazywały na co innego, wciąż powtarzała, że chce adoptować Wanię. Walczyła bardzo zaciekle, pokonała wiele przeszkód i zaszła daleko. Pytanie brzmiało: jaką alternatywę miał Wania? Była nią powolna śmierć w klatce, w szpitalu. Może dlatego nic nie powiedziałam. Linda była jego jedyną drogą ucieczki.

## ROZDZIAŁ 18

### ŚWIĄTECZNY PUDDING W LIPCU

#### *Lipiec 1998*

Po wyjeździe Linda nie dawała znaku życia. Nie zadzwoniła, by powiadomić przyjaciół, że wraz z rodziną bezpiecznie dotarła do domu. Nie zadzwoniła, by zapytać o Wanię. Dosłownie zapadła się pod ziemię. Po dwóch tygodniach od jej upokarzającego spotkania z panią Morozową rosyjska biurokracja znów wzięła się do pracy i zaprezentowała najnowszą listę żądań - pięć kolejnych dokumentów, które Linda musiała zdobyć.

Sarah przez sześć dni próbowała się z nią w tej sprawie skontaktować, ale ciągle włączała się automatyczna sekretarka. Raz po raz wybierała numer, sortując jednocześnie rzeczy, które jej rodzina zgromadziła podczas czteroletniego pobytu w Moskwie. Wkrótce mieli pojawić się pakowacze, a ona z doświadczenia wiedziała, że przejdą przez mieszkanie jak tornado.

Gdy w końcu dodzwoniła się do Lindy, postanowiła zaafiszować optymizm.

- Nie uwierzysz, Lindo, ale oni wciąż czepiają się tej agencji, która przeprowadzała twoją weryfikację.

- Myślałam, że już z tym skończyliśmy - warknęła Linda.

- Cóż, potrzebny im kolejny dokument potwierdzający kwalifikacje pracownika opieki społecznej, który napisał raport. Poświadczony notarialnie i z apostille, rzecz jasna.

- Oczywiście.

- I jest problem z twoim zaświadczeniem o dochodach. Oni nie rozumieją, co oznacza samozatrudnienie. Sugerują, aby pracownik opieki społecznej napisał list, w którym przyzna, że poprzednio popełnił błąd i że w rzeczywistości jesteś niepracującą gospodynią domową. - Sarah od razu przeszła do kolejnego punktu. - Sugerują też, że brytyjskie ministerstwo zdrowia jest niekompetentne. Mówią, że dokumentacja odnośnie do adopcji, którą dostarczyło, jest zła. Chcą zobaczyć określone procedury dotyczące międzynarodowej adopcji.

- A co to oznacza dokładniej?

- Grigorij twierdzi, że wystarczy cokolwiek, byle na temat. Linda usłyszała już chyba wystarczająco dużo, ale Sarah nie miała wyboru - musiała dokończyć listę.

- Chcą też zobowiązania od lokalnych władz, że będą im przysyłać regularne raporty na temat adopcji. Możesz w to uwierzyć? Dwa lata temu ci sami biurokraci byli gotowi zamknąć go w miejscu, w którym nikogo nie obchodziło nawet to, czy żyje, czy już umarł.

Po drugiej stronie słuchawki panowała cisza, choć pozostawała jeszcze jedna kwestia. Sarah potrzebowała nowego

raportu policyjnego. Ten pierwszy został dostarczony prawie rok temu i Rosjanie traktowali go już jako nieważny. To żądanie wywołało reakcję Lindy.

- Scotland Yard powiedział, że taki raport jest ważny trzy lata. To im nie wystarczy?

- Może myślą, że w międzyczasie zostaliście gangsterami. Sarah usłyszała cichy śmiech.

- Te żądania mogą się ciągnąć bez końca - oświadczyła w końcu Linda z irytacją. - To dowód na to, jak bardzo te kobiety nienawidzą Grigorija. Mszczą się na nim. Widziałam to na własne oczy. To może trwać i trwać.

- Wiem, że to okropne. Ale spójrz, jak świetnie poradziłaś sobie z brytyjską biurokracją. Tak samo uda ci się z rosyjską. Wiem, że ci się uda.

Linda odmówiła słuchania słów otuchy. Powiedziała, że jest zmęczona. Koszt bezustannego poprawiania teczek wstępnych dokumentów już pochłoniął wszystkie zebrane przez nią środki.

Znalazła w sobie jednak siłę, by zdobyć jeden z tych dokumentów, potwierdzenie kwalifikacji pracownika socjalnego. Przejechała przez całe miasto w godzinach szczytu na lotnisko, by się upewnić, że dokument natychmiast dotrze do Moskwy. Po tym wysiłku powiedziała, że potrzebuje przerwy, że nie może już tego dłużej robić, ale powtórzyła po raz kolejny, że nie zrezygnuje z adopcji. Potem znów umilkła na dwa tygodnie.

Zbliżał się termin wyjazdu Sarah i Alana, a do zrobienia pozostawało jeszcze wciąż milion rzeczy. Sarah odwiedzała Wanię tak często, jak tylko mogła, i robiła to, czym powinien

był się zająć personel Adeli - pomagała mu ćwiczyć chodzenie, wspinanie się po drabinkach, rozmawiała z nim i podtrzymywała go na duchu. Wciąż pytał, kiedy wyznaczą termin rozprawy i kiedy dołączy do swojej rodziny w Anglii. Pewnego dnia Sarah przyniosła mu lizaka.

- Czy mogę go pogryźć? - zapytał. Zgodziła się.

- Nie, mylisz się. Linda powiedziała, że nie wolno mi gryźć lizaków.

Linda była centrum jego wszechświata, ośrodkiem jego nadziei i źródłem autorytetu. Nie dała mu miłości, lecz pokazała mu granice, i Wania robił wszystko, by ich przestrzegać.

- Zadzwoń do niej, Sarah, zadzwoń i powiedz, że za nią tęsknię, bardzo tęsknię.

Sarah wyjaśniła mu, że Linda ma trudności ze zgromadzeniem wszystkich potrzebnych do adopcji dokumentów. Wania słuchał uważnie każdego słowa.

- Ciągle myślę, jak mógłbym mamusi pomóc. Chciałbym, żeby wszystkie te dokumenty były gotowe na jutro. A jeśli nie na jutro, to na pojutrze. - Umilkł. - A potem moglibyśmy zebrać dokumenty dla Julii, żeby ona też mogła wyjechać.

Wciąż myślał o tym, co wydarzyło się podczas wizyty Lindy w Moskwie. Intrygowały go jej nieobecności, które illumaczyła złym samopoczuciem.

- Pamiętasz, że ciągle chorowała, a potem sama zdrowiała?

Linda poświęcała w Anglii całą swą uwagę wnukom i synowi. Gdy Sarah zdołała się z nią po długiej przerwie skontaktować, nie zapytała nawet o Wanę, nie wyraziła żadnej troski o jego samopoczucie. Mówiła tylko o swojej rodzinie i pracy.



Na szczęście, gdy Sarah już całkiem straciła nadzieję, że sobie poradzi, na ratunek przybyły jej trzy kobiety z odpowiednim doświadczeniem. Rachel, jasno myśląca prawniczka i negocjatorka, która spotkała Wanię dwukrotnie i została przez niego całkowicie oczarowana, zgłosiła się do pomocy Lindzie w walce o kolejne dokumenty. Co najważniejsze, zaproponowała, że od teraz to ona będzie do Lindy dzwonić.

Ann, pracownica opieki społecznej, cierpliwie wysłuchiwała narzekań Lindy. Zgodziła się pójść do domu dziecka i wydać profesjonalną opinię na temat stanu Wani. Potwierdziła, że Wani bardzo szkodzi brak pewności co do tego, czy zostanie adoptowany. Powiedziała też, że martwi ją brak korespondencji pomiędzy Fletcherami a Wanią.

Była też Mary, amerykańska psycholog i specjalistka od adopcji, która przemykała przez Rosję jak Batman, z młodym rosyjskim prawnikiem o imieniu Igor w roli Robina, organizując wizy medyczne dla dzieci z sierocińców, które wyjeżdżały do Ameryki. Na pierwszy rzut oka naprawdę dysponowała supermocami. Jej wiza już dawno straciła ważność, ale przechodziła wszystkie policyjne kontrole, udając, że nie rozumie, o co chodzi tak długo, aż w końcu policjanci się poddawali i puszczali ją. Sarah wpadła na Mary, gdy obie odwiedzały Elwirę, przyjaciółkę Wani ze szpitala. Mary natychmiast zaoferowała pomoc.

Gdy tylko zawiązał się nowy komitet wsparcia dla Wani, zadzwonił Grigorij. Pakowacze już się zjawili i pełzali po jej mieszkaniu jak plaga szarańczy. Byli zdumiewająco efektywni, ale pracowali całkowicie bez pomysłu. Byli gotowi zapakować brudną popielniczkę z niedopałkami w środku.

Grigorij zrzucił na Sarah prawdziwą bombę.

- Wyznaczyli datę rozprawy - oświadczył, odzyskując swój władczy ton. - Odbędzie się siódmego lipca.

Sarah była oszołomiona.

- Jak, na Boga, udało ci się to zrobić? To cud.

- Miałem już dość tych kobiet z ministerstwa. One nigdy by nie dopuściły do tej adopcji. Wprowadziłem więc w życie plan B, ominąłem je i poszedłem prosto do sędziego.

Kątem oka Sarah dostrzegła, że jeden z pakowaczy pakuje jej najcięższą patelnię do pudła ze szkłem.

- Grigorij, to za dwanaście dni. Nie sądzę, by dodatkowe dokumenty dotarły na czas.

- To nie ma znaczenia. Zapomnij o nich. Sędzia ich nie potrzebuje.

- Na litość boską, poruszyliśmy niebo i ziemię, by je zdobyć, a ty mówisz, że już nie są potrzebne!

- Bo tak jest. To te kobiety chciały dokumentów. Teraz dowodzi sędzia, która mówi, że wcale ich nie potrzebuje.

To wszystko wydawało się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Jak to możliwe, że udało się tych opornych biurokratów po prostu wykreślić ze scenariusza, jak w komikNie? Grigorij powtarzał, że prawo jest po jego stronie. Sędzia nalegała tylko na jedno: by oboje rodzice adopcyjni pojawili **Nię** na przesłuchaniu. Jeśli jednego z nich zabraknie, rozprawa zostanie odroczone. Grigorij powiedział Sarah, że do niej należy przekazanie tego Fletcherom.

Sarah zostawiła wiadomość na automatycznej sekre-ttirce Lindy. Wyznaczono termin rozprawy, a biurokraci nie mają już nic do powiedzenia. Rozprawa będzie tylko

formalnością - sędzia już zaakceptowała dokumenty. Problemy się skończyły. Trzeba tylko, by oboje z Georgeem pojawili się na przesłuchaniu. Potem mogą zabrać Wanię do domu.

Sarah zostawiła wiadomość na sekretarce rankiem angielskiego czasu. Przez cały ten dzień i kolejny nie było żadnej odpowiedzi. Gdy w końcu udało się jej do Lindy dodzwonić, kobieta potwierdziła, że odsłuchiwała wiadomość, i dała jej jasno do zrozumienia, że nie chce teraz rozmawiać. Pakowała się, bo wyjeżdżała na weekend, potrzebowała odpoczynku. Miała wrócić w poniedziałek. Tego wieczoru Sarah powierzyła swojemu pamiętnikowi swe najgorsze obawy: Linda wcale nie zamierza adoptować Wani.

Decydującym dniem okazał się poniedziałek. Grigorij, który znów nabrał wigoru, przesłał Lindzie faks. Zaledwie dwa dni wcześniej rosyjski prezydent wpisał do ustawy wymagania, by oboje rodzice adopcyjni pojawili się w sądzie na rozprawie adopcyjnej. W poniedziałkowy poranek Grigorij odbył rozmowę z sędzią, która przypomniała mu, że będzie musiała odroczyć posiedzenie, jeśli oboje rodzice nie pojawią się w sądzie. Podkreśliła, że nie ma możliwości obejścia tego wymogu. Tymczasem Alan przekonał British Airways do wystawienia dla Fletcherów dwóch darmowych biletów, by mogli pojawić się w sądzie i zabrać Wanię do domu.

Tym razem nie musieli długo czekać na odpowiedź. Faks ożył tuż po szóstej wieczorem. Przyszedł odręczny list od Lindy do sędziego. Linda donosiła w nim, że jej osiemnastomiesięczna wnuczka właśnie złamała nogę i że Linda musi pomóc córce zająć się dziećmi. Oprócz tego, jako osoba pracująca na własny rachunek, nie może pozwolić sobie

na odwołanie wizyt klientów w ostatniej chwili, jak to zrobiła, gdy przyjechała z wizytą w maju. Musiałaby też przywieźć ze sobą swojego piętnastoletniego syna, zakłócając jego edukację i powiększając koszty. Napisała, że jest gotowa wyposażyć męża w oficjalne pełnomocnictwo, by reprezentował ją w sądzie.

Grupa wsparcia Wani określiła te wymówki jako żałosne -tak tłumaczył się ktoś, kto nie chciał uczestniczyć w wydarzeniu towarzyskim, a nie w jednym na całe życie spotkaniu, na którym miał zdecydować się los dziecka. Grigorij tylko prychnął, gdy o tym usłyszał. Najwyraźniej rodzina nic miała zamiaru kontynuować procesu adopcyjnego.

Dwa dni później zadzwoniono z linii lotniczych z pytaniem, czy Fletcherowie skorzystają z darmowych biletów. Zażądano decyzji do południa brytyjskiego czasu. Rachel została wyznaczona do skontaktowania się z Lindą i powiedzenia jej o terminie ważności oferty BA. Jak zwykle skończyło się nagraniem wiadomości na automatyczną sekretarkę.

Odpowiedź Lindy, która nadeszła kilka godzin później, była pełna goryczy i urazy. Linda nie chciała wierzyć, że British Airways wyznaczyły jakiś termin. Uważała, że to tylko sposób wywarcia na nią presji. Wszystkie powody, dla których nie mogła przyjechać do Moskwy, wciąż były ważne, mogła przylecieć dopiero we wrześniu. Był środek lata i schroniska były przepełnione, nie miała gdzie zostawić psa. Jej wnuczka miała problemy z zagipsowaną nogą. Jej mąż straciłby pracę, gdyby znów wziął urlop. Czuła się całkowicie obnażona po długotrwałym procesie weryfikacyjnym, po którym wciąż emocjonalnie nie doszła do siebie.

Jednak pomimo tych wszystkich opóźnień, wydatków, przeszkód, bólu i cierpienia wciąż była przekonana, że chce adoptować Wanię.

Jej odpowiedź tylko skomplikowała sprawy. Nie miała zamiaru pojawić się na rozprawie, ale nie zamierzała też rezygnować z adopcji. To nie miało żadnego sensu.

Tego samego wieczoru w kuchni Sarah zwołano spotkanie kryzysowe, którego celem było ustalić, co się dzieje, i postanowić, co dalej. Mary, która przewędrowała całą Rosję, organizując adopcje niechcianych dzieci, i sama zaadoptowała ośmioro, była w tym towarzystwie największym ekspertem. Następnego ranka wracała jednak do Stanów i musiała myśleć szybko.

Pakowacze ogołocili kuchnię, ale w jednej z szafek na najwyższej półce Sarah znalazła bożonarodzeniowy pudding. Goście pożywili się nim, kwaśną śmietaną i litrami kawy.

Mary wyjaśniła, że najważniejszy element każdej adopcji to więź pomiędzy matką a dzieckiem. Jeśli się wykształcała, wszystko inne zaczynało się układać. Dlatego należało jak najlepiej zrozumieć motywy działań adopcyjnych matek. Wzięła kartkę papieru i podzieliła ją na dwie kolumny, reprezentujące dwa typy adopcyjnych matek: w kolumnie A napisała „samolubna” i „mam potrzebę, którą dziecko może zaspokoić”, a w kolumnie B - „bezinteresowna” i „dziecko ma potrzebę, którą mogę zaspokoić”.

To matki z kolumny B były bardziej pożądane, miały w sercach, domach i na kontach bankowych miejsce, by pomóc dziecku w potrzebie. W ich przypadku adopcja zazwyczaj dochodziła do skutku.

Więcej problemów przedstawiały matki, które same miały potrzeby i pragnęły dziecka, by coś sobie w ten sposób wynagrodzić. To były matki z kolumny A. Mary przyznała szczerze, że większość matek ma mieszaną motywację. Czasami I rudno było rozróżnić, czy matka jest typem A czy może B.

Gdy Linda po raz pierwszy przyjechała z wizytą, wydawała się zdecydowanie podpadać pod kategorię B. Miała umiejętności potrzebne do tego, by zająć się Wanią, i była gotowa włączyć go do swojej rodziny. Gdy wróciła rok później, okazało się, że bardziej pasuje jednak do kolumny A.

- Co się stało przez ten rok? Co ją zmieniło? - zapytała Mary, spoglądając na Sarah.

- Teraz ciągle mówi o wnukach. Przy pierwszej wizycie nawet o nich nie wspomniała - odparła Sarah.

- Dlaczego?

- Chyba był tam jakiś konflikt. - Nagle Sarah zrozumiała. - A potem pogodziła się ze wszystkimi członkami rodziny.

- Wielkie pojednanie? - Tak.

- I macie waszą odpowiedź. Jej pragnienie adopcji zniknęło. Teraz ma wokół siebie wnuczki. Nie potrzebuje już Wani.

Sarah przypomniała sobie coś, co zrobiła w maju, i ogarnęło ją poczucie winy. Zwierzyła się Mary, że zachęcała Wanię, by okazywał Lindzie uczucia, które nigdy nie zostały odwzajemnione. Mary nie była tym zaskoczona.

- Nie mógł zaspokoić potrzeby, której nie było.

- Zapomniałaś o czymś jeszcze - wtrąciła Rachel. - Linda nie przewidziała, jaki wpływ będzie miała adopcja Wani na jej nastoletniego syna. Gdy przywiozła go do Moskwy, stało

się jasne, że Philip nie jest szczęśliwy na myśl, że zejdzie na dalszy plan.

- Dlaczego więc cały czas powtarza, że chce adoptować?

- Wiele temu poświęcili. Nie chcą zawieść Wani. Ale w głębi serca nie mają już na to ochoty. To stało się dla nich za trudne.

Ann zasugerowała, że należałoby może spojrzeć na sprawy z punktu widzenia Lindy, by ją lepiej zrozumieć. Gdy przeczytała artykuł Alana w „Daily Telegraph”, pomyślała, że odpowie na apel o pomoc. Czuła, że do obowiązków Alana należy przygotowanie dla niej drogi i rozwiązywanie wszystkich problemów, które na niej napotka.

- Ale przecież musieliśmy jej pomóc - wtrąciła Sarah. - Była taka zdeterminowana. I nie stać jej było na usługi agencji adopcyjnej.

- Tak, ale spójrzcie na konsekwencje swoich czynów -kontynuowała Rachel. - Bez was Fletcherowie nigdy nie za-szliby tak daleko. Mieli całkowicie odrealnioną wizję swoich możliwości. W zasadzie, gdy pojawiły się przeszkody, nie mieli tak naprawdę ani środków, ani siły fizycznej, ani czasu, by je pokonać.

Pytanie brzmiało: co dalej? Sarah znalazła zakurzoną butelkę niebieskiego likieru i poczęstowała nim swoich gości. Rachel była zdania, że Sarah i Alan nie powinni robić już nic więcej dla Fletcherów. Najlepiej byłoby, gdyby żadne z nich nie pojawiło się na rozprawie. Bez odpowiedniego wyjaśnienia ich nieobecności sprawa sama by się zakończyła.

Pozostawała jeszcze kwestia przyszłości Wani. Rachel opowiedziała przyjaciółkom o pomysle, który mógł ocalić malca

od przeniesienia do zakładu. Zamierzała skontaktować się z Marią, dalekowzroczną i bardzo zmotywowaną młodą Rosjanką, która zainicjowała w Rosji projekt rodzin zastępczych, była to inicjatywa o doniosłym znaczeniu, naprawdę pierwszy wysiłek, by powstrzymać falę dzieci napływającą do instytucji państwowych. Maria nigdy wcześniej nie przyjęła do projektu dziecka, które nie potrafiło chodzić, nie wiadomo było więc, czy uda się ją przekonać do przyjęcia Wani. Gdyby się jednak udało, Wania zyskałby domową opiekę i matkę zastępczą, której by płacono i którą wspierałaby ekipa specjalistów.

- To doskonałe rozwiązanie - powiedziała Ann.

- Chwileczkę - wtrąciła Rachel. - Chłopiec nie trafi do rodziny zastępczej, jeśli adopcja będzie w toku. Jeśli to ma się wydarzyć, trzeba będzie przekonać Lindę, by się wycofała.

Do tego zadania zgłosiła się Mary, amerykańska psycholog. Alan dał jej międzynarodową kartę telefoniczną i poprosił, by zadzwoniła do Lindy ze Stanów. Powiedziała, że zrobi to w pierwszej wolnej chwili. Miała na głowie organizację ślubu córki.

Zrobiła się trzecia nad ranem. Mary i Igor wyszli ostatni. Musieli złapać samolot za sześć godzin. Gdy niebo na wschodzie pojaśniało, Mary podniosła głowę i zapytała:

- Czy j est j akaś szansa, byśmy przed wyj azdem zobaczyli Wanię? Moglibyśmy wpaść do Domu Dziecka nr 10 w drodze na lotnisko.

- Nie, nie mamy czasu. Przegapiliśmy już wystarczająco dużo samolotów - powiedział jej towarzysz, prawnik.

Faktycznie udało im się wsiąść do tamtego samolotu i Mary w końcu dodzwoniła się do Lindy. Zadzwoniła do



Sarah po pięciu dniach i powiedziała, że Linda jest już o włos od rezygnacji z adopcji.

Rozmawiały ponad godzinę. Mary powiedziała Lindzie, że powinna pomyśleć o swoich uczuciach, a nie o poczuciu obowiązku. Więż z dzieckiem rodziła się w sposób naturalny albo w ogóle się nie pojawiała. Nie można było jej wymuszać.

Linda wyznała jej, że czuła się naciskana i manipulowana. Mary zapewniła ją, że nikt nie chce jej do niczego nakłaniać ani stawiać w sytuacji, w której ona musiałaby siebie do czegoś zmuszać. Linda powinna po prostu zrozumieć swoje prawdziwe uczucia. Jeśli nie czuła więzi, ryzykowała, że każdy dzień będzie witała z napięciem, a dziecko od razu to zauważy.

Linda powiedziała, że to nie brak więzi ją martwi. Wania miał się po prostu dopasować, jak noworodek. Mary skorzystała ze swego adopcyjnego doświadczenia i wyjaśniła jej, że adopcja nie ma nic wspólnego z porodem. Mogła dojść do skutku tylko, jeśli matka nawiązywała z nowym dzieckiem więź równie silną jak ze swoimi innymi dziećmi. Rozmowa zakończyła się brakiem jakichkolwiek wniosków; Mary była jednak pewna, że Linda jest bliska wycofania się.

Trzeba było jeszcze jednej rozmowy telefonicznej, tym razem z Rachel, która wykorzystała swoje umiejętności negocjacyjne, by Lindę ostatecznie do wycofania się nakłonić. Linda płakała, a rozmowa toczyła się ciągle wokół jednego tematu. Rachel wpadła na pomysł, który miał pomóc Lindzie zyskać jasność sytuacji. Gdy kierowała rozmowę na odpowiednie tory, usłyszała w kuchni brzęk tłuczonego szkła - jej pięcioletnia córka rozbiła kieliszek. Wiedząc, że

dziewczynka ma na nogach buty, Rachel przewyciężyła instynkt macierzyński i naciskała dalej.

- To tak jak wtedy gdy młoda para przygotowuje się do ślubu, wszystko jest już zorganizowane, ale jedno z nich ma wątpliwości. Czy doradziłabyś im, by mimo wszystko brnęli w to dalej?

Nastąpiła długa pauza. A potem Linda powiedziała: nie.

- Cóż, ty jesteś w tej samej sytuacji.

Rachel wyczuła, że Linda zaczyna zdawać sobie z tego sprawę, i postanowiła to wykorzystać. Dodała, że przed Wanią otwierają się nowe możliwości. Jednak to zainteresowanie Lindy chroniło go przez ostatnie dwa lata przed powrotem do zakładu dla obłąkanych. Bez niej Wania już dawno byłby zgubiony. Jeśli jednak Linda nie jest w pełni przekonana, powinna się wycofać.

Następnego dnia Linda przesłała Grigorijowi faks z prośbą o wycofanie jej wniosku o adopcję z moskiewskiego sądu. Tego samego wieczoru Sarah i Alan byli gośćmi honorowymi na kolacji pożegnalnej w rezydencji brytyjskiego ambasadora. Mieli jeszcze czas, by napisać ważny list. Pozwolono im osobiście skompletować listę gości, pomiędzy dyplomatami, dziennikarzami i bankierami znaleźli się więc też pionierzy rosyjskiego ruchu społecznego, którzy bardziej niż ktokolwiek zasługiwali na wolny wieczór. Jedną z nich była Maria, dyrektorka projektu Nasza Rodzina, który skupiał rodziców zastępczych. W liście Alan i Sarah formalnie poprosili ją, by przyjęła do projektu Wanię i znalazła mu matkę zastępczą, by mógł uniknąć zesłania do internatu. „Wiemy, że zazwyczaj nie przyjmuje pani dzieci z instytucji

państwowych, ale błagamy, by dla tego dziecka zrobiła pani wyjątek", napisali. Był to strzał w ciemno, a jednocześnie jedyna nadzieja Wani.

Wieczór okazał się bardzo udany. Goście zasiedli do kolacji przy długim, wypolerowanym stole pod błyszczącymi żyrandolami, otoczeni licznymi portretami pokoleń brytyjskich ministrów spraw zagranicznych w pozłacanych ramach. Po kolacji podano kawę w biało-złotym pokoju, z którego rozciągał się wspaniały widok na rzekę i lśniące kopuły kościołów Kremla. Maria była zachwycona wieczorem; gdy żegnała się z Sarah, ta wepchnęła jej do ręki list.

- Muszę panią o coś poprosić. Proszę to przeczytać, gdy dotrze pani do domu.

Gdy Sarah obudziła się następnego ranka, znalazła w skrzynce e-mailowej odpowiedź od Marii. Maria napisała, że bardzo dziękuje za to, iż Sarah opiekowała się „jednym z naszych dzieci, które w przeciwnym razie zaginęłyby w ciemnościach”. Przypadek Wani miał pociągnąć za sobą „kaskadę podobnych działań w całym kraju, w rezultacie czego wszyscy zostaniemy odmienieni”. Maria zadeklarowała, że zrobi wszystko, co w jej mocy, by pomóc Wani. Oznaczało to jednak pokonanie biurokratycznych przeszkód, z którymi dotąd nie miała do czynienia. Ostrzegła też Sarah, że nie zdoła nic zrobić, jeśli chłopiec zostanie przeniesiony do internatu. Wiedziała, że musi działać szybko, zanim będzie za późno, by go uratować.

## ROZDZIAŁ 19

### PTASZEK NA uwięzi

*Czerwiec - lipiec 1998*

Był gorący letni dzień pod koniec czerwca. Wania i Julia byli sami. Wszystkie inne dzieci poszły na podwórko, lecz oni sprawiali zbyt wiele kłopotów, bo nie potrafili chodzić bez pomocy. Wychodzili na zewnątrz tylko wtedy, gdy przychodziła Sarah ze swoją córką Catherine, przyjaciółki Wiki, Ała albo Ola, lub babcia Julii Lusia, która zazwyczaj przyjeżdżała w niedziele i zabierała ich do piaskownicy, gdzie mogli się bawić, gdy ona czytała im bajki.

Wania opowiadał Julii o wszystkich tych rzeczach, które widział i robił w mieszkaniu Sarah i Alana podczas pobytu w Moskwie Lindy i jej rodziny. Był tam pies i na początku się go bał. A potem Sarah wyjaśniła mu, że ten pies żył na ulicy i ludzie byli dla niego okrutni, więc on na pewno bardziej boi się Wani niż Wania jego. Postanowił więc być odważny i siedział nieruchomo, gdy pies go obwąchiwał. A potem zostali

przyjaciółmi i pies zaczął go lizać. Bardzo się bał, gdy Wania włączał odkurzacz i uciekał wtedy, by skryć się pod łóżkiem Catherine.

W mieszkaniu można było tak wiele robić. Była tam szafka pełna narzędzi, a jemu wolno było otwierać pudełka i brać do rąk śruby i gwoździe. Było tam pudełko pełne kłódek, a on mógł wyciągać kluczyki i ćwiczyć otwieranie ich. Było tam też pudło pełne lśniących bożonarodzeniowych dekoracji. W urodziny Taty Żory Mama Linda pozwoliła Wani ozdobić swoje włosy łańcuchem. Przywiozła wielki tort, siedzieli z Sarah, Alanem i Catherine i pili herbatę. Zaprosili Nellie z biura. Nellie była Rosjanką, ale umiała mówić po angielsku. Biuro też było wspaniałe. Wania zdradził Julii, że Alan jest dziennikarzem. Dziennikarze ciągle rozmawiali przez telefon albo pisali na komputerze. Nellie też miała komputer. Wyglądał jak telewizor, ale miał myszkę. Nie prawdziwą, taką, za jaką uganiają się koty na podwórku, lecz bardziej jak samochodzik-zabawka. Należało ją przesuwac dłonią. Nellie pozwalała mu siadać na swoich kolanach i bawić się nią.

- Szkoda, że teraz nie możemy tam pójść - powiedziała Julia. - Tu jest tak nudno.

- Muszę czekać, aż wróci Mama Linda. Powiedziała, że musi jechać do Anglii, by przygotować mój pokój. A potem przyjedzie tu i mnie zabierze. Teraz, Julio, musisz mnie zapytać, jak będzie wyglądał mój pokój.

- Waniu, powiedz mi, jak będzie wyglądał twój pokój - poprosiła Julia posłusznie.

Grali w tę grę prawie codziennie.

- Będzie w nim stało łóżko. Takie prawdziwe, jak ma Callierine, a nie łóżeczko z barierkami. Łóżko, z którego możesz się zsunąć, jeśli tylko chcesz. Nie musisz czekać, by ktoś cię z niego zabrał. I będzie na nim prześcieradło i pościel z samochodzikami. I dywan.

- A będzie tam światło?

'Tb było ulubione pytanie Wani. Wziął głęboki oddech.

- Będą tam dwa światła. Jedno na suficie, z wyłącznikiem przy drzwiach. Tak jak tutaj. A drugie na szafce przy moim łóżku. Wystarczy, że wyciągnę rękę, i będę je mógł zapalać i gasić, kiedy będę chciał. Jeśli obudzę się w nocy, będę mógł włączyć lampkę i wszystko zobaczę.

Julia już miała przejść do kolejnego etapu gry i zapytać o prysznic i wannę, gdy drzwi się otworzyły i do sali weszła Świetlana.

- Waniu, ustalono termin rozprawy. Szósty lipca. Wania słyszał już wcześniej słowo „rozprawa” i wiedział, że to ważne wydarzenie. Nie miał co prawda pojęcia, czym jest lipiec, ale po tonie Świetlany poznał, że to już niedługo. Musiał się tylko jeszcze upewnić co do jednego.

- Więc nie pojedę do Internatu 30? - zapytał.

- Nie, Waniu. Pojedziesz do Anglii.

W ciągu kolejnych dni ciągle słyszał słowo „rozprawa”. I za każdym razem po jego ciele rozlewało się ciepło. Po raz pierwszy w życiu z niecierpliwością wyczekiwał popołudniowych drzemek, bo wtedy mógł popadać w zamyślenie i wyobrażać sobie swoje przyszłe życie. Jednego tylko nie mógł zrozumieć.

Linda powiedziała, że nie mieszka w mieszkaniu, lecz w domu. Co to jest ten dom? Dlaczego powiedziała, że sypialnie są

na piętrze? Co to jest piętro? Powiedziała, że ma kota, który mieszka w domu i śpi w jej łóżku. Bardzo dziwne. Wszyscy wiedzieli, że koty to brudasy mieszkające na podwórkach. I miała też psa. Psy już znał. I ptaszka w klatce, który umiał mówić. Wiele myślał o tym ptaku. Dlaczego był na uwięzi?

Następnego ranka, gdy przyszła Sarah, Wania zaczął wypytywać ją o Anglię; ona jednak chyba go nie słuchała. Zabrała go na podwórko, by poćwiczyć chodzenie. Gdy jej powiedział, że jest zmęczony i że wolałby usiąść i porozmawiać, zmusiła go do wspinaczki po drabinkach na placu zabaw. Potem wyjęła z torby nowe zabawki: młotek i gwoździe. Gdy stanął na szczycie drabinki, powiedziała: - Teraz musisz naprawić ramę drabinek. Całą swoją uwagę skupił na gwoździu, który trzymał w palcach, i zaczął uderzać w niego młotkiem. Dopiero później, podczas popołudniowej drzemki, uświadomił sobie, że Sarah nie odpowiedziała na żadne jego pytanie dotyczące Mamy Lindy.

Dni mijały, a on ciągle pytał kogoś z personelu, kiedy jest rozprawa. Z początku podawali mu liczby i słowa, których nikt go nie nauczył, ale z ich tonu wyczytywał zapewnienie, że to już niedługo. Pewnego dnia, gdy zadał pytanie, opiekunka odpowiedziała: „jutro”. To słowo znał. Minie popołudniowa drzemka, zaśnie wieczorem, a gdy się rano obudzi, nastanie dzień rozprawy. Był zbyt podekscytowany, by spać tej nocy. Nadszedł poranek, na dyżur przyszła zrzędliva Galina. Gdy jadł owsiankę, rozglądał się, by sprawdzić, czy Galina przygotowała już dla niego płaszcz i buty, żeby mógł iść na rozprawę. Nigdzie nie było ani śladu ubrań. Potem przypomniał

sobie, że przecież jest lato i nie potrzebuje płaszcza. Rozglądał się w poszukiwaniu innych znaków, które mówiłyby, że opuszcza sierociniec. Galina jak zwykle milczała. Ubrała go w stary podkoszulek i pocerowane szorty, nie reagowała, gdy protestował, twierdząc, że potrzebuje lepszych ubrań na rozprawę. Minęło kilka godzin, Galina zabrała inne dzieci na podwórko, a Wanię i Julię zostawiła w sali. Wania nie spuszczał wzroku z drzwi, czekał na Adelę lub Swietlanę. Jego przyjaciółka rzucała mu niespokojne spojrzenia, ale nic nie mówiła.

W końcu w drzwiach pojawiła się Adela. Miała zaciętą minę. Widział już raz u niej taki wyraz twarzy - gdy powiedziała przyjaciółce Wiki Alle, której wizyty tak lubił, by nigdy więcej nie przychodziła.

- Dziś była rozprawa, nikt się nie pojawił - oświadczyła Adela.

Wani zakręciło się w głowie. Czy ona mówi o Mamie Lindzie i Tacie Źorze? Chyba tak.

- Anglicy nie przyjechali - dodała po chwili.

- Może przyjadą jutro? - szepnął Wania.

- Nie, Waniu. Rozprawa była dzisiaj. Musisz zrozumieć, że oni nie przyjadą. Jesteś za duży, by tu dłużej mieszkać. Będziesz musiał jechać do internatu. Nigdy nie będziesz miał mamy.

Gdy Adela wyszła, Julia wyciągnęła rękę i nakryła nią drżącą dłoń Wani.

- Nie płacz - szepnęła miękko. Jednak to z jej oczu płynęły łzy. Oczy Wani pozostały suche.

- Ona nie ma racji, wiesz? Jestem pewien. Mama Linda nie przyjedzie, ale zjawi się jakaś inna mama.



## ROZDZIAŁ 20

### JEDEN Z NAS

#### *Lipiec 1998*

To w dzień odroczonej rozprawy Sarah wybrała się do domu dziecka, by wyjaśnić Wani, dlaczego Fletcherowie go zdradzili. Gdy szła do sierocińca, liczyła w myślach wszystkich dorosłych, którzy zawiedli chłopca w jego krótkim życiu - jego biedna matka biologiczna, która nie miała siły, by walczyć z negatywnymi ocenami radzieckich lekarzy; zastępczyni Adeli, która oświadczyła, że Wania nie nadaje się do adopcji; Adela, zbyt słaba, by się jej przeciwstawić i zapobiec odesłaniu Wani do Filimonek; dyrektor szpitala psychiatrycznego, który odmówił dziecku szansy; „psychopatolekarz” ze Szpitala nr 58, który nie pozwalał nikomu go pocieszyć, gdy leżał sam po poważnej operacji; i w końcu tego majowego dnia, gdy czekał ubrany, by na zawsze opuścić placówkę, Linda, która go wystawiła.

Sarah czuła, że ona i Alan także go zawiedli. Zaprzyjaźnili się z nim i wprowadzili Fletcherów do jego życia, pomogli im popchnąć do przodu proces adopcyjny i byli ślepi na ich niezdolność do zostania adopcyjnymi rodzicami. Bezmyślnie pokazali Wani radości życia domowego, które tak entuzjastycznie witał. I po tym jak mu to wszystko pokazali, mogło się okazać, że już nigdy w życiu nie opuści instytucji.

Poprzedniej nocy Sarah długo rozmawiała z Mary, amerykańską psycholog, na temat tego, jak przekazać Wani nowiny. Miała przede wszystkim w żaden sposób nie dać Wani do zrozumienia, że Fletcherowie go odrzucili. Lepiej było skłamać, niż pozwolić dziecku odczuć odrzucenie.

Gdy Sarah dotarła na miejsce, Wania siedział na ławce przed budynkiem. Ktoś musiał się nad nim zlitować i zabrał go na zewnątrz. Był taki samotny. Usiadła obok niego z przygotowaną przemową. Jak zwykle Wania zaczął od rzeczy najważniejszych.

- Dziś była rozprawa, Sarah. Nie przyjechali.

- Wiem. Tak mi przykro. - Wania spojrzał na nią, szukając wyjaśnienia. - Widzisz, wnuczka Lindy złamała nogę...

- A gdzie jest jej wnuczka?

- W szpitalu w Anglii. To dlatego Linda nie przyjechała.

- Ale Linda nie złamała nogi, prawda?

- Widzisz, Waniu, nie było dla jej psa miejsca w schronisku, nie miała z kim zostawić Philipa... - Sarah nie mogła kontynuować. Było jasne, że Wania przejrzał wszystkie te wymówki. - Waniu, jestem na nią bardzo zła. Czuję, że bardzo źle cię potraktowała.

- Nie mów tak, Sarah. Linda nie jest złą osobą. Jest dobra i miła.

Sarah nie mogła uwierzyć, że w dniu, w którym spotkało go największe rozczarowanie jego życia, Wania potrafi wykazać wielkoduszność, zwłaszcza że musiał wiedzieć, iż jego jedyną opcją teraz pozostaje internat.

Następnego dnia Sarah wróciła do sierocińca, aby sprawdzić, czy po katastrofie z wycofaniem się Fletcherów pozostało jeszcze coś z relacji, którą zbudowała z Adelą w ciągu tych czterech lat.

- W tej misji potrzebowałam wsparcia. Wzięłam więc ze sobą Alana i torcik „Praga”. Musiałam powstrzymać Adelę przed odesłaniem Wani do internatu, by umożliwić Marii wypełnienie wszystkich wniosków, by Wania mógł zostać przyjęty do projektu i znaleźć zastępczą matkę.

- Spodziewałam się, że zastanę Adelę u szczytu schodów, blokującą mi wejście i nakazującą mi już nigdy nie wracać. Wiedziałam, iż Adela czuła, że dla Wani postawiła wszystko na jedną kartę, a teraz, gdy osoba, która została przedstawiona jako mama chłopca, wszystkich zawiodła, to na głowę Adeli miały spaść wszelkie konsekwencje tego faktu. Poszliśmy za nią do jej biura, w którym przeprowadziłam z nią tak wiele nerwowych rozmów przez te lata.

Moja strategia polegała na tym, by mówić. Ukorzyłam się. Dosłownie czołgałam się przed nią na kolanach. Przeprosiłam za to, że wprowadziłam tę kobietę, Lindę, do jej życia. Powiedziałam, że nie zdołaliśmy jej przekonać do stawienia się na rozprawę i szansa na adopcję została zaprzepaszczona. Pochwaliłam troskę, którą Adela okazywała Wani,

to, że poznała się na jego wyjątkowości, podczas gdy wszyscy wokół traktowali go jak imbecyla. Widziałam, jak Alan nie próbuje nawet ukryć zaskoczenia, słysząc ten pełen hipokryzji i półprawd monolog.

Adela nigdy wcześniej nie widziała kajającego się w prochu i popiele obcokrajowca. Była przyzwyczajona do cudzoziemców w drogich samochodach, rozdających podarki. Niezależnie od czystości ich intencji dla niej uosabiali wysoki status, bogactwo i władzę. Jej serce się otworzyło. Gdy jedliśmy torcik „Praga” i popijaliśmy herbatę, wyjaśniłam jej, że Wania ma szansę wejść do projektu Marii. Maria była pobożną kobietą, naukowcem, należącym do prawosławnego Kościoła. Jej projekt był nowy, ale tym Adela nie powinna się martwić. Nie wspomniałam, że projekt Marii jest częściowo finansowany z zagranicznych funduszy i korzysta z pomocy brytyjskich ekspertów. Podkreśliłam, że projekt sięga korzeniami do czasów radzieckich, gdy był znany jako Dom Dziecka nr 19, i popiera go sam mer Moskwy.

Powiedziałam jej, że najważniejsze to nie pozwolić na odesłanie Wani do internatu. Gdyby się tam znalazł, władze nigdy nie pozwoliłyby go stamtąd wypuścić, by wziął udział w projekcie. Znów musiałam zdać się na umiejętności Adeli, która miała zatrzymać Wanię w swojej placówce jeszcze kilka tygodni. Przeprosiłam od razu za kolejne dokumenty, które będzie trzeba w związku z tym wypełnić.

Gdy zjedliśmy ciasto, stało się jasne, że pozostaliśmy w dobrych relacjach. Adela pobłogosławiła nas nawet, kiedy wychodziliśmy, a my odczytaliśmy to jako sygnał, że przemyśli opcję z rodziną zastępczą.

Gdy Sarah wspomina, co się działo dekadę wcześniej, nie może uwierzyć, że brała na siebie taką odpowiedzialność za los Wani.

- Ani razu nie wzięłam nawet świstka papieru od Adeli, który oficjalnie potwierdzałby, że uratuje Wanię od internatu. Trzeba było podsunąć jej kartkę pod nos i powiedzieć: „Adelu, ty to wszystko zaczęłaś. Wika i Alan wydostali Wanię z zakładu. Teraz ty powinnaś przejąć tę odpowiedzialność i zapewnić chłopcu przyszłość”. Nigdy tego jednak nie zrobiłam. Chodziłam wokół niej na paluszkach jak wokół myszki, tłumiąc w sobie cały gniew i frustrację. Gdybym odważyła się wyznać jej moje prawdziwe uczucia, zabroniłaby mi wstępu do sierocińca i nikt już nie zdołałby uratować Wani.

Sarah i Alan poszli do Grupy 6, by wziąć Wanię na spacer. Był gorący letni lipcowy dzień. Spragniony męskiej uwagi chłopiec podskakiwał z zachwytu, gdy Alan prowadził go do drabinek, zachęcając, by się po nich wspiał. Wydawał się znacznie doroślejszy, gdy w końcu wszedł na górę. Wyciągnął szyję i pokazał palcem wysoką stalową bramę, za którą toczyło się życie.

- Wujku Saszo! - zawołał rozkazującym tonem do jednego ze strażników czytających gazetę na ganku. - Jedzie samochód. Musisz otworzyć bramę. - Strażnik odłożył gazetę i powłócząc nogami, poszedł otworzyć.

Na szczycie drabinek Wania nie był już częścią odizolowanego świata sierocińca i ponurego, pełnego przymusu życia jego podopiecznych. Spoglądając ponad wysokie mury, znalazł się w sercu nowej Moskwy. Otoczyły go odgłosy

nerwowej aktywności dobiegające z trzech placów budów, okalających sierociniec.

- Trzymaj się mocno. Nie puszczaj! - zawołał do niego Alan.

Wania oderwał rękę od grubej metalowej poprzeczki i uniósł ją w powietrze teatralnym gestem.

- Mam tak nie robić? - zapytał, udając, że się chwieje. W tej chwili i Sarah, i Alan zrozumieli, że Wania jest na

najlepszej drodze do deinstytucjonalizacji. Dwa tygodnie normalnego rodzinnego życia wywarły na niego ogromny wpływ. Obserwując niegrzeczne zachowanie niespokojnej Catherine, znalazł sobie nowy wzór do naśladowania.

Świat sierocińca był teraz jeszcze bardziej dziwaczny niż wtedy, gdy Sarah przekroczyła po raz pierwszy jego bramy cztery lata temu. Piaskownica - zazwyczaj pełna tylko gałązek, listków i kocich odchodów - została pogrzebana pod piramidą piasku, po tym jak ciężarówka zrzuciła tu cały swój ładunek. Wytworna fasada była w coraz gorszym stanie, a dodatkowo szpeciły ją jeszcze stosy węgla wysypujące się ze składziku. Całe miasto było napędzane gazem, nigdzie indziej nie można było zobaczyć ani grudki węgla, ale królestwo Adeli utknęło w poprzedniej epoce. Sarah przypomniła sobie pierwsze spotkanie z dyrektorką, ubrudzoną sadzą po majstrowaniu przy bojlerze.

Głośny okrzyk dziecka szukającego otuchy u dorosłych wyrwał ją z zamyślenia.

- Czy moje łóżko w Anglii wciąż na mnie czeka?

- Waniu, później o tym porozmawiamy. - Nie wiedziała, co innego mogłaby mu powiedzieć.

Po chwili chłopiec znów zachowywał się tak, jakby nigdy nie dzielił się z nimi swoimi najskrytszymi obawami.

- Patrzcie, jak skaczę! - zawołał i zsunął się niezręcznie na ziemię. Gdy jego noga utknęła pomiędzy szczelkami i wykrzywiła się pod dziwnym kątem, dodał: - Patrzcie, mam ogon!

Gdy Sarah go uwolniła, znów ją zaskoczył.

- Gdzie jest Nellie? Czeka na mnie?

Sarah i Alan obawiali się takich pytań od chwili zniknięcia Lindy. Wania najwyraźniej przenosił swoje ambicje z Lindy na nich i w ten delikatny sposób dawał im do zrozumienia, że chce wrócić do ich mieszkania. Od początku bardzo uważali, by nie dawać mu odczuć, że mogliby się stać jego rodziną adopcyjną. Życie korespondenta zagranicznego było bardzo niestabilne. Podróżowanie po całym świecie było wystarczająco skomplikowane z dwojgiem dzieci, z trojgiem, z których jedno cierpiało z powodu wieloletnich' zaniedbań i łaknęło stabilności, byłoby niemożliwe.

Alan uzyskał pozwolenie strażnika i zaprowadzili Wanię do zaparkowanego za bramą samochodu.

- Pamiętasz, jak zabrałaś mnie do psychologa? - zapytał nagle chłopiec Sarah.

- Tak, pamiętam.

- Gdy wróciłem do sierocińca, płakałem.

Nie było wątpliwości co do kierunku, który Wania chciał, by obrało jego życie. To dziecko, które jeszcze niedawno cieszyło się ze zwykłej rozmowy, teraz wyraźnie nimi manipulowało. Gdy Wania usiadł w samochodzie, poprosił Alana żeby zawrócił, tak by nie musiał patrzeć na dom dziecka,

który stał się dla niego więzieniem. Spędził szczęśliwe dziesięć minut na siedzeniu kierowcy na kolanach Alana, próbując się zorientować w desce rozdzielczej.

- Śpiewają po angielsku - zauważył od niechcienia, gdy włączył radio. - Czyj to samochód? - zapytał chwilę później.

- To samochód Sarah.

- To nasz samochód - oświadczył Wania stanowczo. Nigdy wcześniej nie słyszeli, by używał słowa „nasz”. Nie miał nic swojego, nie czuł się częścią swojej grupy w domu dziecka. Tym doborem słów uświadomił Philpsom, że to ich rodzinę i biuro „Daily Telegraph” wybrał na miejsce, do którego chciał przynależeć, dokładnie w tym samym czasie, gdy okazało się, że oni opuszczają Moskwę na dobre. Miał więcej pytań.

- Komu zostawicie samochód? - W jego marzeniach samochód zostawał zapewne pod domem dziecka, gdzie mógłby się w nim bawić.

Alan wyjaśnił mu, że będzie go używał następny korespondent.

- A wasze mieszkanie zostanie zamknięte?

- Nie, zamieszka tam nowy korespondent. Głos malca zniżył się do szeptu.

- Więc już nigdy nie wrócicie?

- Wrócimy, ale nie od razu.

Strażnik zapukał w szybę. Przyniósł futerał na aparat, który upadł im na podwórku. Nadszedł dla Wani czas obiadu i popołudniowej drzemki. Jego nogi pracowały coraz wolniej, gdy zbliżał się do wejścia.



Niepokoił go los młotka i gwoździ, którymi się bawił, gdy wspinał się na drabinki z Sarah, chciał wiedzieć, gdzie one są. Zapytał Sarah, czy mogłaby mu je zostawić, jeśli znajdzie dla nich dobrą kryjówkę. Jakby myślał, że po raz ostatni widzi Sarah i Alana.

- Młotek i gwoździe są w mojej torbie. Jutro ci je przyniosę. Jego twarz się rozjaśniła, gdy powtórzył słowo „jutro”. Potem przyszło mu do głowy coś jeszcze.

- Jesteś pewna, że Adela cię jutro wpuści? - Zniknął pewny siebie chłopiec, który zachowywał się jak pan swojego przeznaczenia. Wania wiedział, że znów znalazł się na łasce kapryśnej, starszej kobiety, która nieraz już pozbawiła go przyjaciół.

Gdy mijali kuchnię, Wania dostrzegł możliwość opóźnienia swego powrotu do Grupy 6. Wdał się w długą rozmowę z kucharką na temat tego, dlaczego ona nosi fartuch, ubiór którego nigdy wcześniej nie widział, a nie biały kitel, i zapytał, z której szafki korzysta. Potem nalegał, by Alan zaprowadził go do łazienki i pomógł mu umyć ręce, zanim w końcu dołączył do grupy trzylatków na zupę i drzemkę.

Sarah dotrzymała obietnicy. Następnego dnia zjawiała się w domu dziecka w towarzystwie Catherine i przyniosła młotek, gwoździe, a także kolorową tablicę z klockami, które trzeba było dopasować do odpowiednich dziur, i kamerę. Chciała nagrać film dla potencjalnych rodziców adopcyjnych, choć me było nikogo, kto by się o to miano chciał ubiegać.

Wania siedział w sali z Julią, pozostałe dzieci wyszły na podwórko z Galiną, którą Wania nazwał osobą niegodziwą i mściwą. Tablica korkowa była tylko jedna, więc Wania

I Julia musieli się nią podzielić. Wania świetnie się bawił, pokazując przyjaciółce, jak używać młotka i gwoździ.

- W domu mamy jeszcze jedną tablicę - powiedział dziewczynce. Odwrócił się do Sarah: - Pamiętasz, gdy miałem mamę i bawiliśmy się w domu? W domu mieliśmy nasze gwoździe.

Gdy po dziesięciu latach Sarah ogląda to nagranie, uderza ją jedna myśl.

- W ciągu jednej nocy, całkowicie sam, pogodził się z porzuceniem przez swoją brytyjską rodzinę i umieścił ją w przeszłości. A sposób, w jaki tym razem użył słowa „nasz”, był bardzo subtelny... i jeszcze bardziej dla mnie bolesny. To słowo mogło odnosić się tylko do mojego mieszkania czy samochodu, ale nie do domu dziecka. „Nasze” gwoździe były w domu, tu traciły swoje magiczne właściwości, w domu dziecka były po prostu gwoźdźmi.

A ja powiedziałam mu, że mieszkanie zajmą inni ludzie. W krótkim odstępie czasu stracił mamę i drugą rodzinę, a także mieszkanie, w którym realizował swoje marzenia o pracy z narzędziami. Zrozumiałam, że pozwoliliśmy mu rzucić okiem na ziemię obiecaną, ale okrutnie pozbawiliśmy go szansy postawienia na niej stopy. Myślę, że każde inne dziecko upadłoby pod ciężarem tych ciosów, a Wania nigdy do końca nie stracił nadziei, że w końcu wszystko się ułoży.

Teraz boję się oglądać to nagranie. Doszłam właśnie do rozmowy, która, przysięgłabym, nie miała nigdy miejsca. Lecz choć całkowicie zatarła się w mej pamięci, mam ją na taśmie.

Sarah: Wkrótce wyjeżdżamy do Jerozolimy.

Wania: Z kim?

Sarah: Ja i Catherine, i Alan. Wania: I kto jeszcze? Sarah: I William, mój syn. Wania, szeptem: I ja też?

Nie wiem, co odpowiedziałam. Nagranie urywa się na zbliżeniu na twarz Wani wykrzywiającej się z wysiłku, którym okupił to pytanie o niemożliwe. Dlaczego nacisnęłam wtedy guzik „stop”? Czy po to by udawać przed samą sobą, że nigdy nie poprosił, by jechać z nami, bo nie zniósłabym tej świadomości? Kamera została włączona już po tym, jak zmieniłam temat. „W jakim kraju teraz mieszkasz?”

Na taśmie są jeszcze gorsze rzeczy. Sarah zawsze szczyciła się tym, że rozumie wszystkie subtelności tego, co mówią Rosjanie. Na taśmie jest jednak dowód na to, że popełniła ogromny błąd, który musiał być dla Wani jak policzek. Był zafascynowany samą przeprowadzką do innego kraju. Nic nie miał i bardzo interesowało go to, jak rzeczy Catherine przewędrują za nią cały świat.

- Czy Catherine spakowała już swoje zabawki?

- Tak. Jej zabawki są już w drodze do Jerozolimy.

- Kto je zabrał?

- Zapakowano je na ciężarówkę, potem przeplłyną morze i ktoś je odbierze inną ciężarówką.

Wania zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem zadał kolejne zaskakujące pytanie.

- Bierzecie gwoździe?

Sarah myślała, że pyta o to, czy zabierze gwoździe do domu, jak to czyniła każdego popołudnia, aby uchronić je przed zniknięciem, tak jak inne rzeczy, które podarowano Wani.

- Pewnie je zabierzemy, bo inaczej zginą - odparła od niechcienia.

- Gdy teraz oglądam to nagranie, widzę, że on pytał o coś znacznie ważniejszego. Czy bierzemy gwoździe do Jerozolimy? Gdybym wtedy zrozumiała, powiedziałabym, że zostawię je dla niego u Wiki. Wtedy jednak byłam nieświadoma tego, co kryje się za jego pytaniem. Nie wiedziałam, że właśnie pozbawiam go tych małych mosiężnych gwoździ, które dla niego, po stracie mamy, drugiej rodziny, samochodu i mieszkania, były ostatnimi cennymi rzeczami, jakie mu pozostały... pamiątką chwili, które spędził jako jeden z nas.

Wania nie odpowiedział, ale Sarah widzi na taśmie, jak nagle uszła z niego cała pewność siebie. Znow stał się dzieckiem z instytucji. Ostrzegł ją, że zaraz okrzyczy go zła Galina za to, że Sarah go odwiedziła. Najwyraźniej personel doszedł do wniosku, że Wania ma zbyt wielu gości, którzy zakłócają sympatyczną rutynę Grupy 6.

Sarah przyniosła ze sobą batonik Milky Way, a Catherine podzieliła go pomiędzy Wanię a Julię. Wania nalegał, by jeść go z papierka, nie dotykając czekolady.

- Czy mogę się ubrudzić? - zapytał z niepokojem. Ubrudzenie ubrania najwyraźniej stało się grzechem karanym okropną burą.

W końcu Wania stwierdził, że nadszedł czas, by odwiedzić samochód; to powodowało jednak dwa problemy, które postanowił samodzielnie rozwiązać. Chciał uniknąć zbesztania przez Galinę i nie chciał zostawiać Julii całkiem samej.

- Zapytam strażnika o pozwolenie - oświadczył.

W ten sposób zabezpieczał się przed gniewem Galiny. Wiele lat później opisał, jak Galina przeciągnęła Julię za włosy przez cały pokój, gdy dziewczynka się zmoczyła.

Tamtego dnia kawałek po kawałku odbierano mu jego dawne życie, ale nie chciał zostawić Julii.

- Musimy wziąć Julię ze sobą - uparł się. - Ale jej nie możesz prowadzić za rękę. Trzeba ją nieść. A potem będziemy mogli razem siedzieć w samochodzie. - Nie mógł znieść myśli, że Julia mogłaby zostać sama. - Bardzo by się tu nudziła. Musimy ją zabrać.

I tak właśnie zrobili.

Nadszedł dzień ostatecznego pożegnania Sarah z Wanią. Miała dla niego niespodziankę - książeczkę o jego życiu składającą się ze zdjęć, które mu zrobiła: w domu dziecka, w Filimonkach, w szpitalu, a także zdjęć wszystkich ludzi, którzy go odwiedzali, w tym zdjęcia Wiki i jej dziecka Stefana. Przez pół nocy wklejała zdjęcia do albumu i opatrywała je podpisami, była tym tak zaaferowana, że zapomniała spakować połowę swojej garderoby. Na szczęście sąsiadka zauważyła, że jej rzeczy wciąż wiszą w szafie, chwyciła za walizkę i upchnęła w niej wszystko w tej samej chwili, w której nadjechał samochód, by zawieźć Philipsów na lotnisko.

Był to najgorszy moment na wyjazd, zostawiali przecież Wanię w zawieszaniu, wspomina Sarah.

- Nie miałam na to żadnego wpływu. Mogło mi się wydawać przez cztery lata, że jestem pracownikiem organizacji charytatywnej; ale przecież tak naprawdę byłam tylko żoną

przy mężu, wizę i mieszkanie zapewniała mi praca Alana. Nie mogłam zostać.

Wania siedział na ławce, wyglądał uroczo: w domu dziecka jego włosy odrosły, miał na głowie masę brązowych loków. Był ubrany w dzinsy po Catherine. Stał się małym księciem sierocińca - tyle że jego królewskie przeznaczenie zo-siało mu odebrane. Bardzo mu się spodobał album. Sarah wkleiła do niego nawet zdjęcie Andrieja pod choinką na Florydzie, zdjęcie personelu moskiewskiego oddziału „Daily Tclegraph” i zdjęcie swojego psa.

Omawiali każdą fotografię bardzo obszernie, oboje wiedzieli, że gdy dotrą do ostatniej strony, wizyta Sarah dobiegnie końca.

- Zapewniałam go, że Wika znów zacznie go odwiedzać, gdy Stefan podrośnie na tyle, by można go było z kimś zostawić. Nie można było przynosić niemowląt do domu dziecka. Nagle podniosłam głowę. Z sierocińca wyszła młoda para, kobieta niosła dziecko. Nie mogli być Rosjanami. Rzadko widywało się nowe twarze w Domu Dziecka nr 10, oboje z Wanią zaczęliśmy się im więc bezwstydnie przyglądać. Mężczyzna wyciągnął aparat i ustawił żonę z dzieckiem do zdjęcia na ganku. Rozmawiali po angielsku, wysiliłam słuch i usłyszałam amerykański akcent. Uświadomiłam sobie, że właśnie adoptowali to dziecko.

Komuś udało się zaadoptować dziecko z Domu Dziecka nr 10. Dotychczas udało się to tylko w przypadku Andrieja. Największa amerykańska agencja adopcyjna działająca w Moskwie wielokrotnie próbowała współpracować z Adelą i w końcu się poddała. Nikt nie mógł sobie poradzić

z jej dziwactwami. Ci ludzie nie wyglądali jak typowa para adopcyjnych rodziców; nie emanowali władzą i uprzywilejowaniem, nie mieli idealnych zębów i ubrań od najlepszych projektantów, nie wyglądali na ludzi, którzy mogą pozwolić sobie na wydatek rzędu 30 000 dolarów. Na pierwszy rzut oka było jednak widać, jak bardzo się cieszą ze swojej nowej córeczki, która była typowym efektem wychowania w domu dziecka ze swoją opuchniętą skórą i niemytymi włosami.

- Przepraszam bardzo - powiedziała Sarah. - Czy właśnie adoptowaliście tę dziewczynkę?

- Tak. Czy nie jest cudowna?

Z radością opowiedzieli Sarah, że adopcja została zaaranżowana przez człowieka pracującego dla rosyjskiej Cerkwi prawosławnej, który miał kontakty z ich Kościołem w Ameryce. Pierwsza myśl, która przyszła Sarah do głowy, to: dlaczego Adela nigdy o tym człowieku nie wspomniała? Dlaczego nie zgłosiła się do niego po pomoc w odnalezieniu rodziców dla Wani po tym, jak Linda się wycofała?

Sarah przedstawiła tych miłych ludzi Wani. Byli tak poruszeni jego historią, że zapomnieli o swojej nowej córce i niecierpliwym kierowcy, który czekał na nich przed bramą i gestem pokazywał im, by wsiadali.

- Gdy przyglądali się Wani ze współczuciem, wszystko z siebie wyrzuciłam. Opowiedziałam im, jak Wanię zamknięto w szpitalu psychiatrycznym; jak, nawet otumaniony lekami i półnagi, zdołał zachować człowieczeństwo i przesłać światu wołanie o pomoc; jak wrócił do domu dziecka wychudzony jak szkielet; jak pojawił się w artykule prasowym, po którym pewna Brytyjka zadeklarowała, że go uratuje i da mu nowe życie, a w zeszłym miesiącu okrutnie go zawiodła.

A teraz był porzucony i samotny, po raz kolejny zawisła nad nim groźba powrotu do zakładu dla obłąkanych. Opowiedziałam im o kostnicy na terenie zakładu, która tylko czeka na cotygodniowy transport dzieci. Ich oczy robiły się większe i większe, gdy wyjaśniałam im, że rosyjski system zsyła dzieci z najłżejszymi nawet upośledzeniami do takich przybytków. Powiedziałam im, że Wania został zdiagnozowany jako imbecyl, choć był inteligentnym chłopcem z ujmującą osobowością, przy którym każdy czuł się wyjątkowo. To stało się zresztą jasne, gdy to Wania zaczął zadawać im pytania, korzystając z moich usług jako tłumacza. „Czy to wasz samochód?”, zapytał, chcąc wiedzieć, dokąd się wybierają i czy zabierają tę małą dziewczynkę, by z nimi zamieszkała.

Opowiedziałam im, jak Wania troszczy się o inne dzieci: jak uratował Andrieja, bo nauczył go mówić, jak podtrzymał na duchu Elwirę w szpitalu, jakim był czułym bratem dla Julii. Zasługuje na rodzinę, powiedziałam. Ma przecież tyle miłości do ofiarowania.

Słuchali uważnie wyraźnie zszokowani. Wania pomachał im, gdy odjeżdżali.

Spokojnie pożegnałam się z Wanią. Powiedziałam mu, że moi przyjaciele wciąż będą go odwiedzać. Nie zdradziłam mu, jakie nadzieje wiąże z projektem Marii. Już zbyt wielu rozczarowań doznał w życiu. Przez te cztery lata robiłam, co mogłam, by mu pokazać, że jestem jego przyjaciółką, nie matką. Gdy się żegnaliśmy, musiałam więc stłumić instynkt, który nakazywał wziąć go w ramiona i mocno przytulić. Pocałowałam go tylko przelotnie w czubek głowy, odwróciłam się i wyszłam za bramę sierocińca; wróciłam do domu, by dopilnować pakowania moich dzieci.



## ROZDZIAŁ 21

### SILA ŚWIEC

#### *Sierpień - wrzesień 1998*

Alan przeprowadził się z rodziną do Jerozolimy w sierpniu, ale myśli i serce Sarah pozostały w Moskwie. - Pamiętam swoje pierwsze tygodnie w Jerozolimie, gdy wyprowadzałam rosyjskiego psa na spacerzy pomiędzy drzewami oliwnymi i myślałam o Wani marniejącym w domu dziecka. Przyglądałam się moim dzieciom jeżdżącym na rowerach i brązowiejącym w słońcu i wyobrażałam sobie śmiertelnie bladą twarz Wani, który na próżno czekał, by ktoś zabrał go na podwórko. Gdy moje dzieci uczyły się doceniać świeże chlebki pita i dojrzałe czarne oliwki, Wania przebywał na diecie złożonej z pomyj i szarych omletów. Moi przyjaciele obiecywali w dobrej wierze, że będą go regularnie odwiedzać, ale ja wiedziałam, że mogą w każdej chwili paść ofiarą jednego z humorów Adeli.

Sarah zaczęła wyobrażać sobie, jakby wyglądało życie, które Wania dzieliłby z nimi w Jerozolimie. W Moskwie odpędzała od siebie takie myśli. Miała dla niego bardzo wiele uczuć, ale nigdy nie brała pod uwagę adopcji. Zamiast tego włożyła całą swoją energię w pomaganie Marii i ludziom takim jak ona, którzy wierzyli, że dzieci powinny być w rodzinach, nie w instytucjach. Teraz jednak, z dala od Rosji, była boleśnie świadoma swojej odpowiedzialności za los tego dziecka, która nie ustała w dniu przeprowadzki.

Sarah codziennie rozmawiała z Moskwą przez telefon. Wciąż istniało niebezpieczeństwo, że Wania zostanie wepchnięty do kolejnego transportu pięciolatek do Internatu 30. Każda zwłoka z dokumentami przypisującymi go do projektu Marii mogła zostać wykorzystana przez Adele, by przeforsować łatwiejsze rozwiązanie. Wieści z sierocińca nie były zachęcające. Podczas jednej z rozmów zastępczyni Adeli bardzo chwaliła udogodnienia w Internacie 28, który według niej doskonale nadawałby się dla Wani.

- Była tam pani? - zapytała Sarah. - Może to miłsze miejsce niż te inne, lecz wciąż więzienie.

Na szczęście był jeden członek personelu sierocińca, który postanowił zaryzykować dla Wani. Pewnego dnia Świetłana, kobieta, która towarzyszyła Wani w drodze do zakładu dwa lata wcześniej, poinformowała Sarah, że dzwoniła do niej Maria i pozostawiła jej szczegółowe instrukcje. Świetłana podjęła się ich wypełnienia. Następnego dnia Sarah zadzwoniła do Świetłany do domu. Rosjanka z dumą w głosie oświadczyła, że te same urzędniczki, które tak zawzięcie szkodziły adopcji Wani, teraz zgodziły się, by Wania

przeniósł się do rodziny zastępczej. To był prawdziwy cud. Minęły jeszcze cztery dni, nim w końcu cenny list o przeniesieniu dotarł do domu dziecka.

Rachel dotrzymała obietnicy i była w stałym kontakcie z Wanią. Przed pierwszą wizytą Sarah przypomniała jej, by uśmiechała się do strażników i przekazała im podziękowania za prezent pożegnalny, który wręczyli Sarah - tomik poezji.

Sarah odnalazła książeczkę i przeczytała dedykację. Mocno sfatygowana i najwidoczniej bardzo często czytana książka była zbiorem wierszy Jewtuszenki - kultowego poety, który w latach 60. zapełniał stadiony. Tylko w Rosji strażnik mógł w prezencie podarować czterdziestoletni tomik poezji. Podpisał go Witalij, naczelny strażnik, ten sam, który tak służbiście zabronił Sarah wyprowadzać Wanię za bramę. Dedykacja była pełna sympatii i ciepła. Witalij dziękował Sarah za troskę, którą okazywała rosyjskim niepełnosprawnym sierotom, i doceniał jej wysiłki, by znaleźć Wani rodzinę i lepsze życie „w warunkach kryzysu ekonomicznego panującego w Rosji”. Gdy Sarah kartkowała zakurzone pożółkłe strony w jasnym słońcu Bliskiego Wschodu, poczuła współczucie dla tych strażników. Wszyscy byli inżynierami i naukowcami, ludźmi wysoko cenionymi przez radzieckie społeczeństwo; w nowej sytuacji politycznej stali się wyrzutkami. Musieli podjąć pracę w domu dziecka, a ich status podkreślał jedynie tani mundur.

Jak się okazało, Rachel nigdy nie otrzymała szansy przekazania jej wiadomości. Następnego dnia opowiedziała przyjaciółce, że została powitana przez patrzącego na nią

wilkiem strażnika, który nie miał ochoty na pogaduszki i z wielką niechęcią wprowadził ją do środka.

Musiała czekać na korytarzu piętnaście minut, by wyszedł do niej lekarz, który poinformował ją, że termin jej wizyty nie odpowiada personelowi. Dopiero po kolejnych kilku minutach na korytarzu pojawiła się drobna, sztywno wyprostowana postać w dresie i czerwonej koszuli, z bardzo poważną miną.

Wania wpatrywał się w nią przez kilka minut, a potem krzyknął:

- Rachel! Nie jadę do Anglii.

Powiedziała mu, że już to wie. Odwiedziła Georgea, który był bardzo smutny. Rachel próbowała powiedzieć, że był smutny, ale nie mogła sobie przypomnieć odpowiedniego rosyjskiego słowa i w końcu powiedziała, że był „błotnisty”. Miała nadzieję, że Wania zrozumie. Słuchał jej z wielką uwagą.

„Wiesz, Wania tak robi, że nieruchomieje i koncentruje się całkowicie na tobie, gdy mówisz mu coś ważnego. Niewiele mu umyka” - napisała w e-mailu.

Wania zapytał Rachel, jak będzie wyglądało jego życie w rodzinie zastępczej. Czy będzie miał brata? Powiedziała mu, że to będzie duża rodzina. Bawili się w grę, w której Wania zamykał Rachel w szafce i odchodził. Najbardziej lubił, gdy Rachel udawała, że płacze. Potem wezwano go na obiad, Rachel zaprowadziła go więc do skwaszonej młodej kobiety, która nawet się nie przedstawiła. Jak zwykle dzieci usadzono na krzeselkach jak małe manekiny.

Gdy Sarah czytała e-mail od Rachel, słońce świeciło tak jasno, że musiała wstać, by zaciągnąć żaluzje, aby móc

dokończyć lekturę. Rachel pisała: „Moim zdaniem będą tęsknić za Wanią, gdy już odejdzie. Jego donośny głos, stałe zainteresowanie otoczeniem i radosne usposobienie wyróżniają go w tym ponurym miejscu. Wszyscy tam wyglądają, jakby należeli do jednej z dwóch grup: tyranów i tyranizowanych. Naprawdę nie czuję sympatii do tej instytucji. Wania nie może się doczekać przeniesienia”.

Sarah szybko przejrzała resztę wiadomości, niewiele uwagi poświęcając opisowi kryzysu, który rozwijał się w Moskwie - kolejek ludzi czekających cierpliwie przed zamkniętymi bankami, bójki dwóch kobiet w średnim wieku, które rywalizowały o miejsce na czele kolejki do kantoru. Włączyła program, który przez całą dobę nadawał wiadomości. Zobaczyła Moskwę z tłumami przed bankami, rozpaczliwie starającymi się dostać do swoich oszczędności. Miasto wyglądało tak, jakby stało na krawędzi rewolucji.

Gdy oglądała zamęt pokazywany w telewizji, zadzwonił telefon. Był to Alan z wiadomością, że gazeta wysyła go z powrotem do Moskwy jeszcze tego popołudnia. Sarah wpadła w panikę.

- Mieszkaliśmy w Jerozolimie dopiero dziesięć dni, nie miałam żadnych pieniędzy, karty stałego pobytu, nie jeździłam samochodem i nie znałam nawet drogi do szkoły Catherine. Ale przynajmniej, pomyślałam, Alan będzie w Moskwie, gdy nadejdzie czas przeniesienia Wani do rodziny zastępczej.

Kryzys finansowy był głównym tematem wszystkich serwisów informacyjnych, Rosja znalazła się na krawędzi bankructwa. Rubel gwałtownie tracił na wartości. Banki nie

miały pieniędzy i zamykały swoje podwoje. Kamery pokazywały sklepy z ogołoconymi półkami; najwyraźniej ludzie próbowali wykupić wszystko, co wpadło im w ręce, zanim ich waluta całkowicie straci wartość. Emerycy z czerwonymi flagami i rozwścieczonymi twarzami zbierali się na ulicach, wymachiwali pięściami i grozili kapitalistycznym oszustom, którzy ukradli ich oszczędności. Nagle Sarah nasza straszna myśl: Maria i jej projekt także musieli paść ofiarą tego zamętu. Może nie będzie już mogła przyjmować do programu nowych dzieci. I Wania zostanie na zawsze w Domu Dziecka nr 10.

Ta myśl nawiedzała ją bezustannie w kolejnych dniach, gdy Alan w końcu znalazł czas, by odwiedzić Marię, stało się jasne, że nie należy wątpić w jej determinację, by uratować Wanię. Powiedziała Alanowi, że Wania opuści dom dziecka w ciągu trzech dni, siódmego września. Niestety, ministerstwo wymagało, by każde dziecko wchodzące do programu przeszło kompleksowe badania, Wania miał więc kolejne czterdzieści dni spędzić w szpitalu dla sierot na Morozowskiej, zanim trafi do rodziny zastępczej. Nie były to dobre wieści, ale Maria obiecała, że tym razem Wania nie będzie sam. Miał znaleźć się pod opieką lekarza blisko współpracującego z programem, którego poznał, gdy Maria po raz pierwszy go odwiedziła. To dawało Marii czas, by znaleźć dla chłopca zastępczą rodzinę.

Od wybuchu kryzysu Maria nie otrzymywała żadnych pieniędzy, nie mogła więc wypłacać pensji. Jej grupa wsparcia dla rodzin zastępczych już zaczynała robić zapasy ziemniaków i puszek na zimę. Jeszcze bardziej niepokojąca była

zmiana tonu władz Moskwy, które nagle zaczęły domagać się dowodów, że projekt powinien istnieć. Najwyraźniej biurokraci postanowili ciąć wydatki między innymi ich kosztem.

Maria, zazwyczaj efektywna w swych staraniach, była też głęboko wierzącą chrześcijanką, a kryzys przemówił bezpośrednio do mistycznej strony jej natury. Wyznała Alanowi, że wierzy, iż kryzys to nie tylko osobisty dramat wielu ludzi, którzy utracili swe oszczędności, lecz także wielka próba dla wszystkich Rosjan, których Bóg wybrał, by służyli Jego celowi.

- Jesteśmy zmuszeni znów błąkać się na pustyni w poszukiwaniu ziemi obiecanej - powiedziała. - Tylko zdając ten kolejny egzamin, osiągniemy Nowe Jeruzalem.

Alanowi udało się odwiedzić Wanię w dniu, w którym chłopiec miał opuścić dom dziecka. Chłopiec był już ubrany, ale jak zwykle nikt nie poinformował go, co się z nim stanie, miał więc mnóstwo pytań.

- Zabierasz mnie do Marii?

- Nie, Maria przyjedzie tutaj i sama cię odbierze.

- Zjem kolację w kuchni, tak jak ostatnim razem? Alan wziął głęboki oddech.

- Waniu, muszę ci coś wyjaśnić. Nie jedziesz od razu do Marii. Najpierw pojedziesz do szpitala.

Wania wpatrywał się w Alana z napięciem, gdy przyswajał tę nową informację.

- Do Szpitala 58? Nie chcę następnej operacji. - Zbladł, a jego oczy wypełniły się łzami.

- Nie, Waniu, nie do Szpitala 58. To nowy szpital. Nazywa się Morozowskaja. Pamiętasz miłego doktora Zajcewa,

który odwiedził cię kiedyś z Marią? On tam pracuje. Nie będziesz więc sam.

Pomimo tych szokujących wieści Wania nie zapomniał zapytać o Sarah, dzieci i personel „Daily Telegraph”. Gdy Alan wstał, Wania pożegnał go słowami:

- Będę o tobie myślał.

- Ja też będę o tobie myślał i będę pytał Marię, jak sobie radzisz - odparł Alan i popędził na lotnisko, by złapać samolot powrotny do Izraela.

Wania cały tamten dzień przesiedział w korytarzu, czekając na samochód. Nikt po niego nie przyjechał. Następnego dnia Maria wysłała po niego jednego ze swoich pracowników. Po krótkiej wymianie dokumentów siedmioletni pobyt Wani w Domu Dziecka nr 10 dobiegł końca. Czasami rozjaśniał dni personelu i wydobywał z niego nieśmiały uśmiech, ale w końcu jego obecność stała się dla wszystkich ciężarem. Jego wyjazd oznaczał o jednego dzieciaka, o którego trzeba się troszczyć, mniej. Gdy pracownica opieki społecznej niosła go pustym korytarzem do wyjścia, Wania patrzył prosto przed siebie. Nikt nie wyszedł, żeby go pożegnać, a on ani razu się nie obejrzał.

Dzięki osiągnięciom współczesnej techniki w kolejnych tygodniach Sarah otrzymywała regularne raporty z Moskwy na temat Wani. Pod nadzorem Marii chłopiec został przeniesiony do zupełnie innego świata niż ten, w którym przez siedem lat doświadczał zaniedbań i przemocy. Maria poprosiła o listę wszystkich Rosjan, którzy go kiedykolwiek



odwiedzali, by poinformować ich, gdzie można go teraz znaleźć. Martwił ją fakt, że tak wielu obcokrajowców przewinęło się przez życie Wani, po czym zniknęło, niemniej jednak zachęcała Rachel do kontynuowania wizyt w szpitalu. Dla Rachel był to dodatkowy zysk - Wania był jej najbardziej efektywnym nauczycielem rosyjskiego.

Chłopiec już pierwszego dnia podbił serca szpitalnego personelu. Doktor Zajcew wyznał Rachel, że Wania zyskał przydomek „profesor”, bo mówił tak wiele mądrych rzeczy - wyraźnie kontrastowało to z podejściem personelu domu dziecka, który tylko wzdychał na jego widok i nazywał go głęboko upośledzonym.

Raporty Marii nabierały jednak coraz bardziej ponurego tonu, gdy przybywało jej zmartwień związanych ze stanem rosyjskiego państwa. Maria obawiała się powrotu do władzy komunistów. Wyraźnie dała to Sarah do zrozumienia po angielsku, a jej komunikat został jeszcze wzmocniony nietypowym doбором słów. „Moje życie tutaj to wyścig, a mój telefon ryczy do późnej nocy”.

Wyraźnie ciążyła jej troska o los Wani i innych niepełnosprawnych dzieci powierzonych jej opiece. Przed kryzysem myślała w perspektywie piętnastoletniej - była pewna, że gdy jej zastępcze matki staną się zbyt stare, by opiekować się dziećmi, Rosja będzie już miała rozwinięty państwowy system opieki. Teraz jednak stawało się dla niej jasne, że to się nie wydarzy, przyszłość niepełnosprawnych dzieci stanęła pod znakiem zapytania. Zawsze wykluczała adopcje zagraniczne, lecz teraz zaczęła niechętnie szukać dla takich dzieci domów za granicą.

Sarah nigdy nie wierzyła w moc modlitwy, ale pod wpływem Marii udała się na Stare Miasto i w Bazylice Grobu Pańskiego zapaliła dwie świece - jedną w intencji programu Marii i drugą w intencji Wani. W Jerozolimie było wiele kościołów, każde wyznanie miało co najmniej jeden, i Sarah przywykła do zapalania świec w każdym z nich po kolei. Prosiła o pomoc Rosjan, Ormian, Etiopczyków, Niemców, Syryjczyków i Kop-lów. Tak bardzo weszło jej to w krew, że gdy udała się z krótką wizytą do Anglii, weszła do katedry Salisbury i tam też zaczęła szukać świecey. Zawstydziała się, gdy przypomniała sobie, że Anglicy nie zapalają świec - goście mogli za to zostawić karteczkę z intencją modlitewną. Sarah poprosiła, by kongregacja modliła się za Wanę, i wsunęła karteczkę do skrzynki.

W życiu Wani wciąż brakowało stabilności. Po pięćdzie-sięciodniowym pobycie w szpitalu Morozowskaja został przeniesiony do sanatorium. Potem nadeszły kolejne niepokojące wieści od Rachel - Wania miał zostać przewieziony do kolejnego szpitala, prawdopodobnie nr 58, na operację kolan, bo w sierocińcu nikt nie zatroszczył się o rehabilitację po poprzednich zabiegach. Zaniedbania były tak poważne, iż zaistniało ryzyko, że wszystkie operacje trzeba będzie powtórzyć. Sarah przesłała przyjaciółce cięty e-mail, napisany z jasnością, którą zyskuje się dzięki dystansowi. „Cóż to za idiotyczny system, w którym dzieci z instytucji odsyła się do szpitali, operuje się je, lecz nikt z domu dziecka ich nie odwiedza ani nie okazuje żadnego zainteresowania ich postępami. W każdym domu dziecka jest masażysta i osoba od fizjoterapii, którzy nic nie robią, a co gorsza, nie czują żadnego wstydu na myśl o swojej obojętności”.

Jedynymi osobami, które wykonywały z dziećmi ćwiczenia zalecane przez Szpital nr 58, były matki-samouki. A przecież matkom Wani i Elwiry powiedziano, że powinny oddać swoje dzieci, bo nic nie mogą dla nich zrobić i że tylko sieroty pod opieką państwa otrzymują niezbędną pomoc medyczną.

Równolegle Maria szukała dla Wani rodziny zastępczej i w końcu ogłosiła, że znalazła dwie. Jedną była samotna matka, defektolog pracująca w internacie i opiekująca się nastoletnią córką, drugą była rodzina z dwoma starszymi synami. Maria powiedziała, że pozwoli wybrać Wani. Nikt w Moskwie i Jerozolimie nie wiedział jednak, że na scenie pojawiła się trzecia postać. Gdy Maria siedziała późnym wieczorem - była to jej ulubiona pora, gdy wszyscy pracownicy opieki społecznej poszli już do domu - przy swoim biurku i zastanawiała się, która z kandydatur jest bardziej odpowiednia, w innej strefie czasowej pewna kobieta siedziała przy kuchennym stole i ciągle od nowa czytała artykuł w kościelnej gazecie. Wzięła ją dzień wcześniej z cerkwi św. Mikołaja w Bethlehem, w stanie Pensylwania. Podczas mszy miejscowa para przedstawiła kongregacji najnowszego członka swojej rodziny, małą dziewczynkę adoptowaną z Domu Dziecka nr 10. Artykuł był także przez nich napisany, ale nie opowiadał o ich córeczce. Pod nagłówkiem WAŻNE OGŁOSZENIE znajdowała się historia innego dziecka, chłopca, u którego zdiagnozowano porażenie mózgowe, a którego spotkali podczas wizyty w sierocińcu. Chłopiec był inteligentny, radosny i miły, lecz miał przed sobą mętłą przyszłość. „Ten chłopiec jest tak bystry, że aż żal patrzeć na

to, co go spotyka", napisali. Para prosiła, by parafianie zastanowili się nad adopcją dziecka.

Kobieta, która czytała gazetę, nazywała się Paula Lahut-sky, a pierwszą myślą, która przyszła jej do głowy, było: „Ja go wezmę”. Zaskoczyła samą siebie siłą swojej reakcji. Miała wrażenie, że jej dom po prostu czekał na tego chłopca. Kupiła jednopiętrowe ranczo dla taty, ofiary podwójnej amputacji, którym opiekowała się przez ostatnie cztery lata jego życia. Dom doskonale nadawał się dla niepełnosprawnego dziecka.

Przez siedemnaście lat niezamężna Paula pracowała jako szkolny psycholog, nie miała swoich dzieci. Zaczęła wyobrażać sobie, ile mogłaby zrobić dla tego chłopca. Już miała sięgnąć po słuchawkę i zadzwonić do ludzi, którzy zamieścili ogłoszenie, powstrzymała się jednak, gdy uświadomiła sobie, że kieruje się emocjami, a nie rozumem. Co ludzie pomyślą? Na pewno będą pytać, za kogo ona się uważa. Dlaczego myśli, że może dać temu chłopcu wymarzone życie? Nawet tylko rozważając tę adopcję, narażała się na drwiny.

Wahała się przez dwa tygodnie. Zastanawiała się nad tym, jak wiele ta decyzja zmieni w jej życiu. Z jednej strony miała wygodne, satysfakcjonujące życie, wymagającą pracę, wielu przyjaciół, dużą rodzinę i zżytą wspólnotę kościelną. Gdyby adoptowała dziecko z taką przeszłością, wszystko to musiałoby zejść na dalszy plan. Z drugiej strony jednak miała tak wiele do zaoferowania, a w jej wspólnocie były osoby mówiące po rosyjsku. Postanowiła przede wszystkim zdobyć poparcie najbliższych.

Obdzwoniła znajomych, by wybadać grunt. Jej przyjaciel z dzieciństwa, z którym chodziła do liceum i z którym

rywalizowała o najlepszą lokatę w collegeu, zwięźle podsumował powody, dla których powinna się zdecydować.

- Pracujesz z dziećmi, które mają wyjątkowe potrzeby, mieszkasz na ranczu, masz rosyjskie korzenie. Chłopak będzie się czuł jak w domu. Nie ma nad czym łamać głowy, Paula.

Przez cały ten czas, choć nigdy nie spotkała tego dziecka, nie widziała nawet zdjęcia, nie mogła wyrzucić go z pamięci. Pewnej nocy miała bardzo realny sen. Zobaczyła wyraźnie małego chłopca w pokoiku pełnym łóżeczek. Patrzył przez szczelbelki prosto na nią.

- Zostaniesz moją mamą? - zapytał.

Po tym wydarzeniu jej pragnienie podarowania mu domu pokonało wątpliwości. Zadzwoiła do adopcyjnych rodziców, którzy zachęcili ją do podjęcia się tego zadania. Opowiedzieli jej, jak inteligentny i uroczy jest chłopiec. To od nich po raz pierwszy usłyszała jego imię, Wania, zdrobnienie od Iwan, czyli John po angielsku. Wyjaśnili jej, że skorzystali z usług mężczyzny, który pracował dla rosyjskiej Cerkwi i umożliwiał adopcje w Moskwie. Miał też związki z Cerkwią prawosławną w Ameryce. Polecili Pauli zadzwonić do biura głównego Kościoła w Nowym Jorku.

Paula, zdenerwowana, lecz podbudowana tym, że podjęła decyzję, wykręciła nowojorski numer. Odebrała kobieta, Paula wyjaśniła jej swoje intencje. Szybko stało się jasne, że jej entuzjazm nie spotyka się z miłym przyjęciem po drugiej stronie linii. Kościół, jak wyjaśniła jej kobieta, nie popierał adopcji przez samotne matki, istniała więc szansa, że Paula w ogóle nie zostanie do procesu zakwalifikowana.

Całkiem niedawno mieli bowiem sprawę, w której samotna kobieta chciała adoptować dziecko i wszystko zakończyło się porażką. Aplikacja Pauli miała być rozpatrywana właśnie w tym kontekście.

„Dlaczego wszystkie dzieci muszą cierpieć przez jedną, nieudaną adopcję?“, myślała Paula z goryczą, odkładając słuchawkę.

## ROZDZIAŁ 22

### POTENCJALNIE DOBRE WIEŚCI

*Listopad 1998 - luty 1999*

Zbliżał się koniec roku, a wraz z nim koniec wielu tygodni pozbawionych znaczenia badań w szpitalu dla sierot. Nadszedł czas, by Wania przeniósł się do rodziny zastępczej. Jego nowa mama miała na imię Sonia, była rozwódką z nastoletnią córką, utrzymującą rodzinę ze skromnej pensji defektologa w internacie dziecięcym - wszyscy jej podopieczni byli oligofrenikami, ale nie byli upośledzeni fizycznie. Sonia została wybrana przez Marię jako ktoś, kto będzie mógł się zająć Wanią w środowisku domowym, rozpocząć jego deinstytucjonalizację i poprawić jego mobilność.

Do nowej rodziny Wani dołączyła matka Sonii, która przeniosła się do nich, by Wania nie był sam w ciągu dnia. Ta sytuacja miała tylko jedną wadę. Sonia mieszkała na piątym piętrze w bloku bez windy. Była jednak bardzo zaradną kobietą, dorastającą w czasach gdy nic nie było, a ludzie

musieli radzić sobie z tym, co mieli. Schody przekształciła więc w ćwiczenie dla Wani.

Gdy z wizytą przyszła Wika, Sonia nalała jej filiżankę herbaty, a potem szybko ubrała Wanię do wyjścia. Wyprowadziła go na korytarz i zacisnęła jego rączkę na poręcz. Nie zamykając drzwi mieszkania, wróciła do stołu i nalała herbaty sobie, podczas gdy Wania powoli schodził na parter. Gdy obie panie jadły ciasto, słyszały, jak Wania wykrzykuje powitania do sąsiadów, których mija, i jak oni odpowiadają mu nieco ciszej, lecz równie ciepło. Zanim Sonia i Wika dokończyły herbatę, Wania zszedł na dół, a one po chwili do niego dołączyły.

Sonia w niczym nie przypominała znajomych Wiki z kościoła. Była energiczną kobietą z prowincji, która walczyła, odmawiając sobie wszystkiego, by utrzymać się w Moskwie. Palła, farbowała włosy i mówiła z szokującą bezpośredniością. Nie ukrywała swej pogardy dla „nawiedzonych kaznodziejów”.

- Byłam z początku zszokowana, gdy przy mnie poprawiała Wanię, gdy kazała mu siedzieć prosto i nie siorbać herbaty - wspomina Wika. - Szybko jednak uświadomiłam sobie, że robi to z dobrych pobudek. Starła się wykorzenić /, niego nawyki, których nabył w instytucji, i nauczyć go za-1 howania dziecka, które dorastało w domu.

Pomimo swojej niechęci do chrześcijan Sonia nie protestowała, gdy Wika w niedzielę zabrała Wanię do kościoła. W kącie stała otwarta trumna ze zwłokami starszego męż-i żyzny, czekającego na pogrzeb - powszechna cerkiewna praktyka. Wania zapytał Wikę, dlaczego ten pan umarł.



- Był chory - odparła Wika bez zastanowienia. Na twarz Wani wypłynęło przerażenie.

- Chory... Ja też jestem chory. Czy ja umrę?

Musiała mu wyjaśnić, że wcale nie jest chory; tak o dzieciach mówił personel w domu dziecka.

Jedna tylko rzecz niepokoiła Wikę: w mieszkaniu Sonii telewizor zawsze był włączony.

- Niepokoiło mnie to tym bardziej, że ja od lat nie oglądałam telewizji, nawet nie miałam telewizora. Co więcej, mama Sonii, którą Wania nazywał Babulą, pokazała mi wszystkie swoje ulubione opery mydlane. Pewnego dnia usłyszałam, jak Wania i Babula omawiają wątki jednej z nich bardzo szczegółowo. Zrozumiałam, że życie Wani toczy się głównie w mieszkaniu przed tym telewizorem. Nawet z kochającą rodziną zastępczą tylko tyle Rosja mogła mu zaoferować. Wkrótce miał skończyć dziewięć lat, byłam przekonana, że to najwyższy czas, by rozpocząć jego edukację. A on uczył się tylko zawilosci fabuły głupich programów telewizyjnych.

Dla Sonii bycie rodziną zastępczą było krokiem w przód w porównaniu z jej dotychczasową karierą i pracą znacznie lepiej płatną. Personel Marii dbał o swoje rodziny zastępcze, odwiedzał je, by poznać ich potrzeby, i sprawdzał regularnie, czy nie ma żadnych problemów, które mógłby pomóc rozwiązać. Pomagał nawet w drobnych naprawach domowych i wymianie zepsutych urządzeń.

Przygarnięcie Wani przyniosło Sonii jednak nie tylko korzyści finansowe. Obecność Wani wniosła do jej rodziny równowagę i spokój. Plan zakładał, że Wania spędzi

w rodzinie zastępczej kilka miesięcy, najwyżej rok. Niespodziewanie jednak Sonia bardzo się do niego przywiązała.

- Wania był bardzo wylewnym, pełnym wdzięczności dzieckiem, które uczucia wyrażało otwarcie i z wielkim wdziękiem - wspomina Maria. - Emanował takim ciepłem, że stopiłby pokrywę lodową Arktyki, więc podbicie serca Sonii nie było dla niego żadnym problemem. Jej uczucie dla niego, a raczej ciepło, które od niego otrzymała, zmieniło wszystko. Sonia zaczęła postrzegać go jako część swojej rodziny.

Tymczasem wiele kilometrów dalej siła uroku Wani przewracała do góry nogami kolejne życie. Paula nie rezygnowała z pomysłu adoptowania go. Zebrała argumenty, które postanowiła przedstawić Kościołowi: była doświadczonym psychologiem szkolnym przez wiele lat zapewniającym edukację na najwyższym poziomie dzieciom ze specjalnymi potrzebami. Miała rosyjskie korzenie, należała do Cerkwi i rozumiała rosyjską kulturę. Miała dużą rodzinę, do której Wania doskonale by pasował. Czy istniał lepszy kandydat?

Trochę to trwało, ale Kościół w końcu zaakceptował ją w roli rodzica i polecił swojemu przedstawicielowi w Moskwie, by ten udał się do Domu Dziecka nr 10. Paula wiedziała, że będzie musiała czekać, lecz podskakiwała nerwowo za każdym razem, gdy dzwonił telefon. Gdy w końcu odebrała tę rozmowę, z początku nie mogła uwierzyć w to, co próbuje jej powiedzieć przedstawicielka Cerkwi w Ameryce.

- Chłopiec zniknął - oświadczyła. Łącznik Cerkwi zjawił się w Domu Dziecka nr 10, spodziewając się zastać tam Wanię, ale starsza kobieta, która tam pracowała, tylko

wzruszyła ramionami i powiedziała, że chłopiec opuścił sierociniec. Co więcej, nikt nie wiedział, dokąd się udał. Ktoś z personelu powiedział pracownikowi Kościoła, że Wania jest chyba w drodze do Anglii.

Paula była przygotowana na wszelkiego rodzaju niespodzianki, ale nie na coś takiego. Zakręciło się jej w głowie. Przedstawicielka Cerkwi wciąż mówiła. Dodała, że pracownik ich Kościoła w Moskwie może dla niej znaleźć więcej dzieci do adopcji, „znacznie lepszych”.

- Proszę mi nawet o nich nie wspominać - sprzeciwiła się Paula z wyjątkową jak na nią otwartością. - Ja chcę jego. Chcę Wani. To musi być on. - Stanowczo poleciła kobiecie, by go szukano.

Pomimo dowodów, że Wania nie był już osiągalny, bo prawdopodobnie jechał do Anglii, Paula nie traciła wiary, że to właśnie będzie jej syn. Nie wierzyła, że angielska para go zaadoptuje, nie chciała w to wierzyć. Była przekonana, że to tylko wymówka, by nie szukać zaginionego chłopca.

Wiele czasu zajęło rozwiązanie tej zagadki. Paula wiedziała, że w Rosji sprawy toczą się wolniej, miała jednak nadzieję, że do świąt Bożego Narodzenia, które miały nadejść za miesiąc, zyska jakąś wiadomość o Wani. Nie miała pojęcia, że życie w Rosji praktycznie zamiera pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem. W czasach komunizmu świętowanie Bożego Narodzenia było zabronione, a uroczystości koncentrowały się wokół świeckiego Nowego Roku. Po jego upadku w kalendarzu przybyło po prostu powodów do świętowania. Pod koniec grudnia życie publiczne w Rosji zamiera, ludzie szykują się na przyjście nowego roku. Centrum

Moskwy wypełniają jodły obwieszane batonikami czekoladowymi, które są małymi bannerami reklamowymi dla sponsorów. Gdy wszyscy zaczynają trzeźwieć, nadchodzi dzień prawosławnego Bożego Narodzenia, siódmy stycznia. To jednak nie koniec zabawy. Trzynastego stycznia bowiem wypada „Siary Nowy Rok” - początek roku według starego rosyjskiego kalendarza, usuniętego przez komunizm. On także jest hucznie świętowany. Musiały więc minąć trzy miesiące, nim pracownik Kościoła podjął poszukiwania Wani - trzy długie miesiące, w czasie których Paula pozostawała w zawieszeniu.

W Jerozolimie Sarah była całkowicie nieświadoma wielkiego poszukiwania Wani aż do lutego, kiedy to otrzymała email od Rachel, tak niespodziewany, że musiała go przeczytać tuzin razy, by go zrozumieć. Z właściwą prawnikom ostrożnością Rachel pisała, że ma „potencjalnie dobre wieści, które mogą Sarah zainteresować”. Sarah przebiegła szybko list wzrokiem i pisnęła z radości. Pojawiła się Amerykanka, która była zainteresowana adopcją Wani. Najwyraźniej spotkała go, gdy odwiedzała Dom Dziecka nr 10.

Pierwszą reakcją Sarah było niedowierzanie. Jak Amerykance udało się ominąć Adelę i wejść do domu dziecka? Przypomniała sobie wszystkich obcokrajowców, których Adela wyrzuciła. Była Amerykanka, która prowadziła muzykoterapię, ale ona pojawiła się w domu dziecka, gdy Wania był już w zakładzie dla obłąkanych. A muzykoterapia została zabroniona, zanim stamtąd wrócił.

Im więcej o tym myślała, tym bardziej się martwiła. Po doświadczeniach z Lindą postrzegła tę sytuację jako kolejny przepis na złamane serce.

- Wyobrażałam sobie tych odzianych w kaszmiry Amerykanów, których poznałam w Moskwie. Wszyscy mieli idealne zęby i poszukiwali idealnego dziecka. Myślałam o Wani, bezpiecznym pod skrzydłami Marii, i stwierdzałam, że ostatecznie, czego ten chłopiec potrzebuje, to przeprowadzka do Ameryki, do rodziny, która nie mówi po rosyjsku i nie doceni jego elokwencji. I na pewno zmieni mu imię. Na Duane albo Bradley. A potem pomyślałam o Marii. Departament opieki społecznej zmusił ją, by obiecała, że nie będzie się angażować w zagraniczne adopcje. To mogło narazić przyszłość całego jej projektu. Tak czy inaczej, Wania został przecież wykreślony z rejestru adopcyjnego, jak więc miał wyjechać za granicę? „Potencjalnie dobre wieści” Rachel wydały mi się prawdziwą katastrofą.

Kolejny list od Rachel tylko powiększył wątpliwości Sarah. Kobieta, która chciała adoptować Wanię, okazała się prawosławną zakonnicą, mającą rosyjskie korzenie. Nic w tej historii do siebie nie pasowało. Potem Rachel doniosła, że kobieta jest bardzo zamożna i mieszka w ogromnym domu w miłej okolicy, a nie w klasztorze. Najwyraźniej w Ameryce faktycznie wszystko było możliwe, nawet zakonnica milionerka.

Wszystko się wyjaśniło, gdy pracownik Kościoła zadzwonił do Marii, by powiedzieć jej, że skontaktowała się z nim pewna Amerykanka, która chce adoptować Wanię. Mężczyzna odnalazł więc Wanię w Szpitalu nr 58, wtargnął tam

i nagrał film. Dla Marii było to jak grom z jasnego nieba. Nie mogła zrozumieć, jak ten człowiek mógł tak po prostu wejść do szpitala z kamerą. I co powiedział Wani? Cokolwiek to

było, musiało zbić z tropu dziecko, które właśnie miało rozpocząć nowe życie. A Sonia? Czy już słyszała?

Gdy w końcu wiele lat później Sarah obejrzała nagranie ze szpitala, była przerażona. Była to reklamówka, a Wania był produktem wystawionym na sprzedaż. Śliczna młoda lekarka została przedstawiona jako jego pediatra, choć widać było, że jest bardzo zdenerwowana i niewiele wie o jego przypadku. Potem Wani podano balkonik i zmuszono go do przejścia korytarzem w kierunku kamery. Urodzony aktor, śmiał się radośnie do obiektywu. Pomiedzy nim a jego przyjacielem ustawiono warcaby. Jedynie najwytrawniejszy obserwator mógłby dostrzec, że chłopcy grają tylko białymi pionkami.

Potem kamera przeniosła się na ordynatora, który nie mógł się nachwalić Wani.

- Chłopiec ma niezwykle jasny umysł, jest bardzo towarzyski - zapewniał lekarz. Potem dodał, iż ma nadzieję, że Wania znajdzie dobrą rodzinę i pójdzie do szkoły. Dokładnie w tym momencie Wania, który dotąd był bardzo pomocną, lecz niemą gwiazdą tej adopcyjnej reklamówki, wszystko zepsuł.

W tle rozbrzmiał jego głos, donośny i czysty.

- Przecież ja już mam rodzinę. Mam siostrę, która chodzi do szkoły.

Kamera zwraca się na niego. Wania się uśmiecha, widać, że chce powiedzieć coś jeszcze. Potem następuje przerwa i Wania mówi wyraźnie po angielsku:

- Dziękuję - a potem uzupełnia to jeszcze słowem: - Do widzenia.

Maria była oburzona, gdy usłyszała, że przedstawiciel Cerkwi rozmawiał z Wanią wprost o adopcji, nie zadawszy sobie trudu, by dowiedzieć się czegokolwiek na temat jego sytuacji. Jej oburzenie mieszało się jednak z ulgą. Może jej modlitwy zostały wysłuchane, może ktoś w Ameryce naprawdę pragnie mu zapewnić godną przyszłość. Teraz Maria musiała przekazać te nowiny Sonii, zanim kobieta usłyszy je od kogoś innego. Wciąż przypominała Sonii, że pobyt Wani w jej rodzinie to rozwiązanie tymczasowe, lecz mimo to obawiała się, że ta wiadomość złamie kilka serc.

## ROZDZIAŁ 23

### BILET DO SANTA BARBARA

*Marzec 1999*

Wania nie rozumiał, dlaczego Sonia wpadła w taką złość, gdy odłożyła słuchawkę. Widział już wcześniej jej gniew - Maria przysłała dla niego kule, które okazały się podrapane. Sonia była zła, że nie przystano mu nowych. Była zła także wtedy, gdy oszukano ją w sklepie przy wydawaniu reszty, kiedy kupowała skórzaną kurtkę. I wtedy, gdy jej córka dostała tróję z geografii, choć Sonia wiedziała, że zasłużyła na piątkę. Tym razem jednak jej gniew był jeszcze potężniejszy.

Wszystko zaczęło się, gdy w korytarzu zadzwonił telefon. Gdy Sonia odebrała, Wania po jej głosie poznał, że dzwoni Maria. Sonia długo milczała, co w ogóle nie było do niej podobne. Po długiej chwili zadała pierwsze pytanie:

- Kiedy to się stanie? - Znow zapadła długa cisza. - Ale ja myślałam, że wybrałaś mnie. Skąd wiesz, że ta kobieta ma poważne zamiary?



Gdy odłożyła słuchawkę, poszła do kuchni, mrużąc coś gniewnie do siebie. Wania siedział wyprostowany na krześle, wyęzając słuch, by coś zrozumieć. Żałował, że w pobliżu nie ma Babuli, która chwilę wcześniej wyszła na zakupy. Przez otwarte drzwi do kuchni słyszał, jak Sonia otwiera i zatrząskuje szufladę, w której trzymała papierosy. Potem zapaliła gaz i z hukiem postawiła na kuchence czajnik.

Po bardzo długim czasie Wania usłyszał szcęk klucza w zamku. Babula nawet nie zdążyła postawić zakupów na ziemi, gdy Sonia wybuchła.

- Nie uwierzysz, co te suki wykombinowały. I to za moimi plecami. Poszły do Amerykanów, żeby znaleźć mu matkę. Ja nie jestem dość dobra? Nie pokazałam im, że potrafię się nim zaopiekować? Przecież nawet zapłaciłam za twoją podróż do Moskwy, żeby nie musiał siedzieć w domu sam. Kocha to miejsce.

Ze swojego miejsca w salonie Wania wyławiał z tej tyrady poszczególne słowa. Pierwszym było „Ameryka”. Czy Santa Barbara nie leżała przypadkiem w Ameryce? Przypomniawszy sobie telewizyjny obraz jasno świecącego słońca, niebieskiego morza i ogromnych samochodów. Następnym słowem, które przykuło jego uwagę, było słowo „matka”. Miał już jedną matkę, a teraz miał dostać następną, amerykańską? Czy w ogóle można mieć dwie matki?

Sonia wciąż wyrzucała z siebie gniew i urazę.

- Czy ta Amerykanka będzie umiała się nim zająć jak ja? A co z nami? Zrezygnowałam z pracy, by się nim zajmować.

Usłyszał, jak Sonia zbiera rozrzucone torby. Po chwili do salonu weszła Babula, usiadła przy nim i otoczyła go ramieniem.

- Babulu, co się dzieje? Czy jadę do Ameryki?
- Jeszcze nie wiemy tego na pewno, Waniu.
- Babulu, jeśli pojedę, nie zostawię cię tutaj. Zabiorę cię ze sobą.

Tamtego dnia miejsce przytulnej domowej atmosfery zastąpiły gorycz i napięcie. Gniewny nastrój Sonii nie mijał. Wania czuł się coraz bardziej samotny. Podczas posiłków Babula często siadała razem z nim w salonie, teraz zostawał sam, podczas gdy kobiety gawędziły w kuchni. Przestał czuć się częścią tej rodziny.

Gdy Rachel przyszła z wizytą, Sonia nie wpuściła jej do mieszkania. Rachel musiała czekać na dole, gdy Sonia ubierała Wanię do wyjścia. Wania chciał zaprosić swoją amerykańską przyjaciółkę na herbatę, ale nie ośmielił się tego zrobić. Czasami wystarczało, by otworzył usta, a Sonia wpadała w szal. Mówił więc coraz mniej i mniej, bo wszystko, co robił, wydawało się ją gniewać.

Nikt już więcej nie wspomniał o Ameryce i amerykańskiej matce, a Wania bał się o to zapytać. Nigdy jednak nie zapomniał tego, co usłyszał.

## ROZDZIAŁ 24

### DIABELSKA SZTUCZKA

*Marzec - czerwiec 1999*

Paula otrzymała nagranie od przedstawiciela Cerkwi i całą wiosnę oglądała je prawie bez przerwy. Każda projekcja wzmacniała w niej przekonanie, że powinna zostać matką tego chłopca. Wciąż dręczył ją jednak niepokój, którego źródła nie potrafiła określić. Nie chodziło o stosy papierów - z tym musiała sobie radzić na co dzień. W końcu zrozumiała, co zakłóca jej równowagę. Dla większości ludzi to nie musiało być problemem, lecz dla Pauli było. Była płochliwym kierowcą, który bał się długich podróży i nawigowania w nieznanymi miastach. A musiała przecież wziąć dzień wolny w pracy i jechać do Filadelfii, dużego miasta oddalonego o ponad siedemdziesiąt mil od jej domu, by tam złożyć odciski palców i wypełnić podanie o adopcję.

Pomoc zjawiała się nieoczekiwanie. Gdy Paula wróciła pewnego dnia ze szkoły do domu, zobaczyła, że jej skrzynka na

listy jest przewrócona. W środku znalazła karteczkę z przeprosinami od winnego zniszczeń kierowcy, kobiety o imieniu Stacey. Kilka godzin później do jej drzwi zapukał Greg, mąż Stacey, z propozycją, że zapłaci za nową skrzynkę. Paula powiedziała mu, że to nie będzie konieczne, lecz bardzo przydałaby się jej pomoc w zamocowaniu nowej skrzynki, którą sama kupiła. Sprawdziła, czy ma numer, który Stacey zapisała jej na bilecie za przejazd autostradą pensylwańską.

- Jeżdżę tą autostradą do Filadelfii codziennie - napomknął Greg.

- Czy mogę zapytać, co pan robi?
- Pracuję w administracji rządowej.
- A w jakim departamencie?
- Imigracyjnym.

Paula wyjaśniła mu, że adoptuje chłopca z Rosji i w związku z tym musi się wybrać do tego właśnie departamentu. Korzystając z okazji, zapytała, czy mogłaby pojechać do Filadelfii z nim, gdy już nadejdzie odpowiednie wezwanie.

- Proszę pani, była pani dla nas taka miła, że z chęcią wezmę dzień wolny, by pani pomóc.

Następnego dnia nadeszło wezwanie, a Greg zawiózł Paulę do biura imigracyjnego. I tak rozwiały się obawy Pauli związane z prowadzeniem samochodu - dzięki uprzejmości nieznajomego.

Gdy Sarah usłyszała, że adopcja Wani posuwa się do przodu, poczuła, że musi wrócić do Moskwy, by zamknąć ujętą w formie albumu fotograficznego historię, którą kompletowała tak pośpiesznie tuż przed wyjazdem do Izraela. Czowała, jak ważny będzie ten album, gdy Wania zacznie

szukać siebie, gdy zacznie się zastanawiać - choćby i w odległej przyszłości - skąd wyrastają jego korzenie. Teraz jego tekst należało przełożyć na angielski.

Był też jeszcze jeden powód, dosyć nieoczekiwany.

- Gdy Maria dowiedziała się, że przyjeżdżam do Moskwy, poprosiła mnie, bym porozmawiała z Wanią i przygotowała go na wyjazd do Ameryki - wspomina Sarah. - Ta prośba wydała mi się dziwna. Nie widziałam chłopca od roku, a Maria prosi o to mnie, nie jego zastępczą matkę? Nie mogłam tego zrozumieć.

Czerwiec to w Moskwie najpiękniejszy miesiąc roku. Wszystko jest wilgotne, świeże i pełne życia, podczas gdy w Jerozolimie ostre słońce odbija się od kamiennych budynków i pali nagie, spieczone wzgórza. Gdy Sarah wyszła z samochodu w centrum miasta i ogarnął ją upajający zapach lip, przypomniała sobie wszystkie poprzednie lata, które spędziła w Rosji, a które, miała wrażenie, skończyły się równie szybko, jak się zaczęły.

Postanowiła odwiedzić Marię w drodze do domu zastępczego Wani. Wzięła ze sobą drewniany krzyżyk z Betlejem. Maria schudła, była blada i zmęczona. Musiała działać pod wpływem ogromnego stresu.

- Tak dobrze, że przyszłaś do mnie, zanim pojechałaś do Wani - oświadczyła. - Nie mów mu nic o jego wyjeździe do Ameryki.

- Ale przecież to jeden z powodów, dla których przyjechałam do Moskwy. Co się stało?

Pojawił się pewien kłopot. Sześć dni wcześniej Maria została wezwana pilnie do pani Morozowej, tej samej kobiety,

która kazała czekać Lindzie dwie godziny przed swoim gabinetem, podczas gdy ona jadła lunch. Już coś w głosie sekretarki pani Morozowej ostrzegło Marię, że spotkanie nie będzie przyjemne. Maria przybyła na miejsce i w korytarzu natknęła się na przedstawiciela Cerkwi, który czekał cierpliwie przed gabinetem. Wkrótce dołączyła do nich ekipa Domu Dziecka nr 10. Adela była w takim stanie, że musiała opierać się na swojej asystentce Swietłanie, która szeptała jej do ucha, że wszystko będzie dobrze i że ona nie zrobiła przecież nic złego. To, co wydarzyło się potem, musiało być urzeczywistnieniem najgorszych obaw Adeli.

Pani Morozowa siedziała za masywnym wypolerowanym biurkiem, obok niej stała asystentka. Kobieta dosłownie eksplodowała na ich widok, zaczęła krzyczeć i rozrzucać papiery. Szybko zidentyfikowała najsłabsze ogniwo i skupiła swoją tyradę na Adeli.

Jak to możliwe, krzyczała, że jakaś Amerykanka dowiedziała się o chłopcu z Domu Dziecka nr 10 i wyraziła chęć adopcji? Jak to mogło się stać bez jej wiedzy? Zapowiedziała, że przeprowadzi oficjalne śledztwo, by się tego dowiedzieć.

Popchnęła w kierunku Adeli pióro i czystą kartkę papieru.

- Pani... pani natychmiast złoży rezygnację. Rezygnuje pani z posady dyrektora Domu Dziecka nr 10.

Ręce Adeli drżały, płakała, gdy brała kartkę i pióro, by własnoręcznie zakończyć swoją trzydziestoletnią karierę w sierocińcu.

Maria nie zamierzała być milczącym świadkiem tej tyranii. Przypomniała Adeli, że to nie pani Morozowa jest jej bezpośrednią przełożoną. Adela odłożyła pióro, jeszcze

bardziej zdezorientowana, i spuściła wzrok. Wtedy pani Morozowa zaczęła wrzeszczeć na Marię.

- Okazuje się, że chłopiec był pod pani opieką. Jak to możliwe, że ktoś chce adoptować dziecko, które pani powierzono? Czyżby szukała pani rodziców adopcyjnych za moimi plecami? Chyba obiecała pani, że nie będzie brała udziału w międzynarodowych adopcjach?

Maria spokojnym tonem zapewniła ją, że nie odegrała żadnej roli w znalezieniu dla chłopca adopcyjnej matki.

- To skąd w takim razie ta Amerykanka dowiedziała się o chłopcu?

Maria nie wiedziała. Wiedziała tylko, że Amerykanka założyła na początku, iż chłopca znajdzie w Domu Dziecka nr 10.

Pani Morozowa w milczeniu przetrawiała tę informację. To pozwoliło Marii zapytać, kiedy mogą spodziewać się akceptacji teczki adopcyjnej.

- Adopcja nie będzie kontynuowana - warknęła pani Morozowa. - Teczka jest niekompletna.

To zdumiało Marię, przecież to ona własnoręcznie skompletowała wszystkie dokumenty, w tym dane medyczne, ułożyła je po kolei i przekazała przedstawicielowi Cerkwi.

Wtrąciła się asystentka pani Morozowej.

- Jest pani bardzo niedbała, jeśli chodzi o dokumenty. W pani wnioskach wiecznie czegoś brakuje. - Asystentka wyszła, by po chwili wrócić z teczką Wani. - Proszę spojrzeć. .. jest niekompletna.

Maria wzięła od niej teczkę i zaczęła ją przeglądać. Szybko zauważyła, że faktycznie części dokumentów brakuje. Musiały zostać usunięte z teczki umyślnie.

Maria milczała, więc pani Morozowa skierowała swój gniew na przedstawiciela Cerkwi.

- Pan z nich wszystkich chyba najlepiej powinien wiedzieć, jak to ma wyglądać. Dlaczego nie zrobił pan tego jak trzeba od początku?

Pani Morozowa gestem wyprosiła kobiety z gabinetu, by przeprowadzić poufną rozmowę z pracownikiem Cerkwi. Asystentka wyszła za nimi. Nie zastanawiając się wiele, Maria dyskretnie ruszyła za nią korytarzem. Skradając się, podążyła za nią schodami prosto do jej biura. Była pewna, że na biurku znajdzie brakujące dokumenty, ukryte pod stosem papierów. To asystentka musiała je usunąć z teczki, zanim przyniosła ją na górę.

Kobieta aż pisnęła ze strachu, gdy zobaczyła, że Maria stoi tuż za nią, ale było za późno. Maria sięgnęła po dokumenty.

- To chyba właśnie tego nie mogła pani znaleźć.

- Och, musiałam o nich zapomnieć - odparła bezczelnie asystentka.

Maria spojrzała na nią z pogardą i wróciła do biura pani Morozowej, przyciskając zagubione dokumenty do piersi.

Słuchając tego, Sarah nie mogła zrozumieć okrucieństwa biurokratów starających się za wszelką cenę uniemożliwić adopcję Wani. Wszyscy troszczyli się tylko o swoją pozycję i władzę. Nic ich nie obchodziło dobro dziecka, a w przypadku Wani nawet to, czy żył, czy umarł.

Z typową dla siebie skromnością Maria twierdzi dzisiaj, że zrobiła tylko tyle, ile każdy zrobiłby na jej miejscu. A jednak personel Domu Dziecka nr 10 dekadę później wciąż



wspomina z radością ten wspaniały dzień, gdy „niezłomna” Maria ośmieliła się przeciwstawić władzy.

Maria czuła, że teraz, gdy władze zostały przyłapane na bezczelnym akcie sabotażu, nic już nie powstrzyma adopcji. Absurdalny zarzut, jakoby ona i Adela były zaangażowane w potajemną sprzedaż dzieci, okazał się pomówieniem. Urzędnicy mogli jednak opóźnić postępy adopcji tylko po to, by udowodnić, kto tu tak naprawdę rządzi. Nikt nie wiedział, ile to jeszcze potrwa, dlatego należało nie wspominać Wani o wyjeździe.

Rachel i Sarah wspinały się po schodach do mieszkania Sonii w milczeniu, nie były pewne, z jakim przyjęciem się spotkają. Sonia wpuściła je do środka, włożyła nawet na tę okazję satynową tunikę. Sarah poczuła wzruszenie na widok tego wyjątkowego powitania, a jednocześnie wstyd, bo sama była w dżinsach i bez makijażu. Nie była wyrefinowaną kobietą z Zachodu, której spodziewała się jej gospodyni. Zaprowadzono je do salonu, gdzie już czekali Wania, jego zastępcza siostra i Babula. Sarah przywiozła Wani zestaw klocków Lego, który pozostał nieotwarty na stole. Wania sprawiał wrażenie bardzo ostrożnego.

Sarah usiadła obok Sonii, by ją nieco uspokoić, a Rachel zajęła miejsce obok Wani, po drugiej stronie stolika do kawy. Wkrótce Sonia zaczęła dzielić się z nimi historiami z pracy w internatach i matkowania tuzinom porzuconych nastolatek. Przyniosła pudło pełne tragicznych listów od tych dziewcząt, które błagały ją, by pozwoliła im ze sobą zamieszkać. Wyjęła nawet album pełen zdjęć z jej dzieciństwa na Kaukazie.

Widać było, że dla tych zrozpaczonych dziewcząt dokonuje heroiczych czynów, ale przecież nie po to, by się tego dowiedzieć, przyszły Sarah i Rachel. Sonia wciąż mówiła, gdy Wania szepnął do Rachel:

- Chodźmy do innego pokoju. Pokażę ci kuchnię. - Sarah bardzo chciała, by przyjaciółka go zrozumiała, ale sama niewiele usłyszała. Mogła się tylko domyślać, iż chłopiec wierzył, że jeśli znajdzie się z jedną z nich sam na sam, zdoła się w końcu dowiedzieć, co się dzieje w jego życiu. Sonia nawet słowem nie wspomniała o tym, jak mieszka się jej z Wanią ani o jego postępkach, nikt nie poruszył też tematu adopcji. Nalegała, by towarzyszyć im w spacerze dookoła bloków. Ostatecznie Sarah nie miała nawet szansy na choćby najkrótszą rozmowę sam na sam z Wanią.

Gdy wychodziła, mogła pocieszać się tylko tym, że zastępcza siostra i babcia wyraźnie darzą Wanię sympatią. Ani Sarah, ani Rachel nie potrafiły jednak zrozumieć zachowania Sonii. Była bardzo podejrzliwa w stosunku do nich i zaborcza w stosunku do Wani. Przed przyjazdem do Moskwy Sarah często wyobrażała sobie swoje spotkanie z Wanią i Sonią, robienie zdjęć z jego rodziną zastępczą do albumu i pogawędki o jego nowym życiu w Ameryce. Musiała wyjechać, wciąż nie wiedząc, jaka przyszłość go czeka.

## ROZDZIAŁ 25

### WIĘZIEŃ KAUKAZU

#### *Czerwiec - lipiec 1999*

Wania zwinął się w kłębek na sofie obok Babuli. Oglądali razem ich ulubioną operę mydlaną *Bogaci też płaczą*. Żona bogacza wymykała się właśnie z posiadłości w środku nocy, by spotkać się -ze swoim nowym przyjacielem, kelnerem. Wania zauważył, że mężczyzna przynosi jedzenie do stolików, że nie trzeba odbierać go osobiście, jak w McDonalddie. Z radością zobaczył, że kobieta nie zamierza zostawiać swojego prezentu urodzinowego, nowiutkiego sportowego samochodu, choć ryzykowała, że obudzi męża. Babula i Wania zesztynieli z napięcia, gdy drzwi garażu zaskrzypiały, a mąż się poruszył we śnie.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Sonia już leżała w łóżku, wstała niechętnie i wyszła na korytarz, by odebrać. Wania natychmiast przeniósł uwagę z lekkomyślnej żony

i sportowego samochodu na Sonię. Nie mówiła wiele, ale po kilku sekundach stała się w pełni przytomna.

- Ale nie możemy nie jechać. Tam jest moja córka. Muszę do niej dołączyć. - Zapadła cisza. Po chwili Sonia dodała: - Nie, nie mogę zostać w Moskwie. Powiem ci, co zrobimy. .. zostawię ci numer do mieszkania na wsi. Zadzwoń, jak ustalą datę rozprawy.

Serce Wani stanęło na chwilę, gdy usłyszał słowo „rozprawa”. To samo spotkało Lindę. Teraz rozmawiano o następnej. Czy Linda po niego wraca? Czyżby jechał do Anglii?

Naprawdę musiał poznać odpowiedzi na te pytania. Sonia je знаła, ale nic mu nie mówiła. Bał się ją zapytać; wiedział, że zacznie krzyczeć. A co ona teraz robi? Stała na krześle i wyciągała z szafki reklamówki.

Wpadła do salonu, wyłączyła telewizor i oświadczyła:

- Mamo, jedziemy wieczornym pociągiem. Przygotuj jeźdzenie. Ja nas spakuję. - Nawet nie spojrzała na Wanię.

Wkrótce Wania znalazł się w samym oku cyklonu. Każdy centymetr podłogi w salonie był zastawiony walizkami i reklamówkami. Sonia miotła się pomiędzy swoją sypialnią a salonem i znosiła narecza ubrań.

Babula była w kuchni.

- Naprawdę musimy jechać wieczornym pociągiem? Nie możemy jechać za dwa dni i porządnie się spakować?

- Nie, musimy jechać dzisiaj - odparła Sonia. Po jej minie Wania poznał, że już podjęła decyzję i nie da się od niej odwieść.

Babula weszła do salonu potargana, wciąż w bawełnianej nocnej koszuli.

- Przecież muszę jeszcze przygotować jedzenie na podróż, nawet nie zaczęłam się pakować. I spójrz na Wanię... nawet nie jest ubrany. - Sonia zignorowała ją i zapięła suwak przepelnionej torby.

Wania nigdy wcześniej nie jechał pociągiem. Wyszli z taksówki na Dworcu Kazańskim i włączyli się w tłum. Nikt nie zrobił miejsca dla wózka, Sonia musiała torować sobie drogę siłą przez nieustępliwe masy ludzi, z których każdy włókł za sobą jakiś bagaż. Przez cały czas powtarzała mamie:

- Chodź, chodź, nie możemy się spóźnić na pociąg. Gdy ona parła do przodu, Babula pozostawała coraz

bardziej w tyle objuczona dwoma ciężkimi torbami. Gdy w końcu dotarły do pociągu, kobieta w mundurze zbesztła je za spóźnienie. Kiedy Sonia podała jej wózek, Wania spojrzał w dół i poczuł dreszcz podekscytowania, widząc pod sobą ogromne stalowe koła. Ledwie zdążyli upchnąć w przedziale bagaże, a pociąg szarpnął i ruszył.

Wania z zachwytem rozglądał się po ich małym przedziale, z dwoma rzędami piętrowych łóżek. Babula posadziła go na jednym z niższych, a sama z Sonią zaczęła układać bagaże. Na korytarzu rozległ się hałas, kobieta w mundurze przyniosła im trzy szklanki z herbatą i dwoma kostkami cukru. Po raz pierwszy od pamiętnej rozmowy telefonicznej Sonia wyglądała na zrelaksowaną, zachęciła nawet Wanię, by poczęstował się jej cukrem. Babula wypakowała prowiant, obrali ugotowane na twardo jajka i zjedli je z czarnym chlebem.

Wania nie był przyzwyczajony do spania na pryczy, za każdym razem gdy pociąg szarpał i się kołysał, spadał na podłogę. Po dniu obserwowania sielskich krajobrazów

i drugiej nocy spadania z pryczy w końcu dotarli do celu, stacji o nazwie Mineralnyje Wody. To tu Sonia spędziła dzieciństwo.

W Moskwie życie Wani toczyło się głównie w mieszkaniu, przed telewizorem. Tutaj życie okazało się całkowicie inne. Ku jego wielkiej uldze nastrój Sonii bardzo się poprawił, zaczęła się nawet uśmiechać. Nie mógł tylko jednego zrozumieć - dlaczego wciąż przenosili się od jednego krewnego do drugiego? Dwa dni spędzili w mieszkaniu Babuli, potem pojechali do brata Sonii, a po kolejnych dwóch dniach, bez ostrzeżenia, znów wrócili do Babuli.

Ich dni miały ten sam ścisły reżim. Każdego ranka Sonia budziła go i zabierała na terapię do wielkiego budynku w parku z białymi kolumnami przed wejściem. Terapia rozpoczynała się w gorącym pokoju, gdzie owijali nogi Wani ręcznikami tak gorącymi, że nie mógł ich znieść. Gdy protestował, Sonia powtarzała mu, że musi wytrzymać, bo to go wyleczy i zacznie chodzić. Znosił więc żar, choć czuł się tak, jakby jego nogi płonęły żywym ogniem.

Jakby tego było mało, gdy ręczniki usuwano, Sonia zabierała go do kolejnego pokoju, gdzie musiał leżeć na ławce z uniesionymi nogami, które mocowano do masującej maszyny. Było to bardzo bolesne, ale Sonia powtarzała, że musi wytrzymać, bo to rozciągnie jego stopy.

Gdy ta tortura dobiegała końca, gruba kobieta w białym kitlu dawała mu wielki zastrzyk w pupę, jak to robili w Fili-monkach. Po tym zastrzyku nie chciało mu się spać, ale drażnił on jego żołądek, potem musiał siedzieć przez dwie godziny w toalecie. Nawet po powrocie do domu - niezależnie

od tego, dokąd wracali - Sonia zapinała na jego nogach metalowe obręcze z zawiasami w kolanach. Ignorowała go, gdy prosił o chwilę odpoczynku, i powtarzała, że obręcze wzmocnią jego nogi. Najwyraźniej wierzyła, że wszystkie te terapie mu pomogą.

Tylko popołudniami mógł uwolnić się od tego srogiego reżimu. Pozwalano mu się bawić samochodzikami w piaskownicy pod drzewami.

Czasami jego zastępcza siostra siadała obok niego, robiła dla niego zamki z piasku i drogi dla jego samochodów. Potem zabierała go wózkiem na promenadę, gdzie kupowała mu lody. Stamtąd obserwowali zaśnieżone szczyty gór Kaukazu.

Pewnego dnia wszystko jednak się zmieniło. Był ciepły wieczór. Wania siedział w piaskownicy przed mieszkaniem brata Sonii. Śpiewał sobie cicho i ustawiał samochodziki na murku. Wyobrażał sobie, że jest kierowcą wyścigowym i prowadzi w rajdzie przez góry. Podniósł głowę i zobaczył, że w jego kierunku zmierza Sonia z gniewną miną. Stała nad nim.

- Waniu, muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Jada tu dwie kobiety z Moskwy. Jada, by cię ode mnie zabrać. Chcą cię przekazać innej kobiecie, która będzie cię bić. -Urwała, by zaczerpnąć tchu. - Musisz je powstrzymać.

Rozrzuciła jego poukładane w rzędek samochodziki i chwyciła je w dłonie.

- Oto, co zrobisz, gdy przyjadą. - Zaczęła ciskać zabawki do piaskownicy. - Musisz obrzucić je samochodzikami. Musisz im powiedzieć, by sobie poszły. Jeśli będziesz się bardzo

źle zachowywał, nie zabiorą cię. Jeśli zamieszkas z tamtą kobietą, nie będzie tak jak ze mną. Ta kobieta jest bardzo zła i będzie cię bić.

Wania nie mógł pojąć jej słów. Nikt wcześniej nie nakazywał mu źle się zachowywać. Przez całe swoje dotychczasowe życie starał się zrozumieć ludzi i zadowolić ich. Przypomniaws sobie ze wstydem ten jeden raz, gdy źle się zachował w domu dziecka. Wika opowiedziała mu o wielbłądach, które plują. Udawał, że jest wielbłądem i chciał poćwiczyć plucie - personel w domu dziecka strasznie go wtedy zbeształ. Źle się czuł nawet teraz, gdy przypominał sobie, jak przyłapano go na pluciu. Nie chciał znów tak się czuć.

Sonia ostrzegła go jednak, że będzie bity. Przez jego umysł przebiegły wspomnienia z pobytu w Filimonkach. Dzieci ciągnięte po podłodze do pokoju obok. Drzwi się zatrząskiwały, ale on i tak słyszał ich krzyki, gdy je bito. Zawsze się martwił, że zrobi coś złego i że w końcu nadejdzie jego kolej.

W ciszy pozbierał swoje samochody i ustawił je znów na murku piaskownicy. Sonia siedziała obok niego w milczeniu pogrążona w myślach.

- Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam - wypaliła nagle - po leczeniu, które dla ciebie zorganizowałam, zostaję z niczym. Zamiast mnie obrażać, powinni mi dziękować.

Wróciła do środka. Wania wciąż bawił się samochodzikami, ale jego myśli krążyły wokół tych wszystkich niezrozumiałych rzeczy, które powiedziała mu Sonia. Kim były te kobiety, które po niego przyjeżdżały? Musiały być złe jak Galina z domu dziecka, która ciągnęła Julię za włosy. Dlaczego nie chciały, by został z Sonią? Przecież Sonia chyba



go kochała, nawet jeśli tak często się na niego gniewała. Jasno dała mu przed chwilą do zrozumienia, że go potrzebuje. Biedna Sonia.

Zmusił się, by wyobrazić sobie, jak rzuca zabawkami w te kobiety, tak jak Sonia mu kazała. Nie polubiłyby go za to. Na pewno nie chciałyby go zabrać. I nikt by go nie bił. Mógłby zostać z Sonią, która wtedy na pewno przestałaby się smucić.

Starał się, jak mógł, ale nie był w stanie wyobrazić sobie, że rzuca w kogokolwiek zabawką. Przyszło mu na myśl coś innego. Może gdyby te kobiety dały Sonii mnóstwo prezentów, to by ją uszczęśliwiło i aż tak by za nim nie tęskniła. Właśnie tego potrzebowała. Walizki pełnej ślicznych rzeczy. To sprawiłoby jej radość.

## ROZDZIAŁ 26

### BIAŁE KLAMSTWO

#### *Lipiec - sierpień 1999*

Data rozprawy adopcyjnej Wani została w końcu ustalona na trzydziestego lipca, przedstawiciel Cerkwi poinstruował Paulę, by przyleciała do Moskwy dwa dni wcześniej. Paula była zdania, że to za późno, ale mężczyzna przekonywał ją, że nie ma sensu, by zjawiała się wcześniej. Wyjaśnił jej, że prawo wymaga, by spotkała się z Wanią trzykrotnie, nim pojawi się w sądzie. Miała jechać do chłopca prosto z lotniska, spotkać się z nim po raz drugi następnego dnia i po raz trzeci rankiem przed rozprawą. Gdy zauważyła, że ma być w sądzie o dziesiątej rano, i zapytała, czy nie powinna jednak przylecieć dzień wcześniej, urzędnik zbył jej obawy.

- Po prostu wcześniej pani wstanie. Męcząca podróż do Moskwy była tym łatwiejsza, że przyjaciele towarzyszyli jej w niej na każdym kroku. Dwoje

odwiozło ją wcześniej rano na Lotnisko JFK w Nowym Jorku i pomachało jej na pożegnanie, deklarując, że będą tu na nią czekać, gdy wróci z synem.

Gdy Paula pojawiła się w hali przylotów moskiewskiego lotniska, ogarnęła ją panika na myśl o tłumach wokół niej. Hala była tak zatłoczona, że wydawało się niemożliwością przedrzeć się przez nią z walizkami. Nagle oczami wyobraźni ujrzała dziadka, który w 1914 roku podróżował w odwrotnym kierunku. Prawie wiek wcześniej musiał walczyć z podobnymi tłumami, by dostać się na statek do Ameryki. W wieku lat siedemnastu opuścił ojczystą Ukrainę, by poszukać szczęścia w amerykańskich kopalniach węgla. Nigdy nie wrócił do kraju. Ona, jego wnuczka, odbywała tę podróż za niego.

Oderwała się od ponurych rozmyślań i zaczęła przyglądać się morzu rosyjskich twarzy. Wszystkie zlewały się w jedno. Jej wzrok przyciągnęła jasna broda i młodzieńcza fizjonomia, która rozciągnęła się w powitalnym uśmiechu. To był Aleksiej, młody diakon, który mieszkał z nią przez trzy lata -najpierw sam, potem z żoną Marią - gdy studiował w prawosławnym seminarium w Pensylwanii.

- Paula. Witaj w Moskwie.

Objął ją niedźwiedzim uściskiem. Wziął od niej walizkę, otoczył ją ramieniem i zaczął przeciskać się przez tłum na zewnątrz, w kierunku czegoś, co wyglądało jak wielki plac budowy otoczony zaparkowanymi samochodami.

- Aleksiej, jestem ci taka wdzięczna, że po mnie wyszedłeś -powiedziała, gdy Aleksiej zapalił silnik. - Bez ciebie nie dałabym sobie rady. Ty i twoja żona jesteście dla mnie jak rodzina.

- Nie jesteśmy jak rodzina - odparł z namaszczaniem.  
-Jesteśmy rodziną.

Gdy Aleksiej prowadził samochód przez zatłoczone moskiewskie ulice, Paula kurczyła się na swoim siedzeniu na widok zmiżdżonych wraków na poboczach. Auta wyprzedzały ich z obu stron, zajeżdżały im drogę, tu nie obowiązywały żadne zasady. Autostrada pensylwańska była ospała w porównaniu z Leningradzką.

Urzędnik Cerkwi dał Aleksiejowi adres w centrum Moskwy, gdzie, jak założyła Paula, znajdował się Dom Dziecka nr 10. Obiecał, że tam będzie na nich czekał. Gdy więc zaparkowali przed starym domem w wąskiej, krętej uliczce, pomyślała, że to właśnie w tych murach Wania musiał spędzić całe życie. Zaczęła rozglądać się w poszukiwaniu mężczyzny, który miał zabrać ją do jej syna. Na chodniku stała tylko jedna osoba - mężczyzna w ciemnym garniturze i białej koszuli, z aktówką w dłoni. Miał krótkie włosy i gładko ogoloną twarz i wcale nie wyglądał na przedstawiciela Kościoła. W gruncie rzeczy przypominał raczej biznesmena. Gdy Paula i Aleksiej wysiadali z samochodu, podszedł do nich i po zdawkowym powitaniu mruknął:

- Wejść do środka. Proszę tu na mnie zaczekać.

Paula była mile zaskoczona wyglądem zabudowań. W pobliżu były elegancka siedziba banku oraz kościół. Nigdzie jednak nie słyszała głosów dzieci. Miejsce wydawało się opuszczone. Minuty mijały, a ona czuła coraz większy niepokój. Zapytała Aleksieja, co tu się, jego zdaniem, dzieje.

Skupiła wzrok na drzwiach, oczekując przybycia chłopca, którego w myślach już nazywała swoim synem, Johnem.

Gdy jednak drzwi się otworzyły, okazało się, że przedstawiciel Cerkwi jest sam.

- Musi pani iść ze mną.

Paula sięgnęła na tylne siedzenie po torbę z prezentami, które przywiozła. Wraz z Aleksiejem i mężczyzną weszła do środka. Była zdumiona, że nigdzie nie dostrzega dzieci. Na korytarzu panowała idealna cisza. Coś było nie tak. Weszli do biura pełnego książek, dokumentów i barwnych drewnianych figurek na półkach. Przedstawiciel Cerkwi przedstawił ich szczupłej, bladej, młodej kobiecie z burzą loków na głowie.

- Paulo, to jest Maria. Ona wyjaśni ci sytuację. Doskonałą angielszczyzną, niskim, lecz autorytatywnym

tonem Maria wyjaśniła, że Wani nie ma w budynku. Znajdował się tysiąc mil na południe, w rodzinnych stronach swojej zastępczej matki.

- Zastępcza matka! Jaka zastępcza matka? - wyrzuciła z siebie Paula. Nic z tego nie rozumiała. Zaczęła się rozglądać i nagle coś przyszło jej do głowy. - To nie jest Dom Dziecka nr 10, prawda?

Błada Maria uśmiechnęła się.

- Nie, to nie jest dom dziecka. To siedziba projektu Nasza Rodzina. Wania opuścił dom dziecka rok temu. Mieszka z jedną z moich zastępczych matek.

Świat Pauli zaczął rozpadać się na kawałki. Odwróciła się do cerkiewnego urzędnika.

- Dlaczego nie powiedział mi pan, że chłopiec przez cały ten czas miał zastępczą matkę? Dlaczego nie powiedział mi pan, że już nie przebywa w domu dziecka?

Mężczyzna nie okazał skruchy.

- Nie chciałem niepokoić pani szczegółami.

- A teraz dowiaduję się, że nawet nie ma go w Moskwie!

Wzruszył ramionami wyraźnie obojętny na rosnący gniew Pauli.

- A co z rozprawą? Przecież to pojutrze. Co zrobimy?

Urzędnik stwierdził, że to rutynowa sprawa.

- Nie zmienimy daty rozprawy. Przesłuchanie musi się odbyć. Coś wymyślimy.

Paula wpatrywała się w niego z niemym niezrozumieniem zdumiona jego całkowicie obojętną reakcją na narastający kryzys.

Maria postanowiła dodać jej otuchy.

- Nie martw się, Paulo. Polecę tam i sprowadzę Wanię. Spotkacie się jednak dopiero po rozprawie. To nic takiego, bo Wania i tak nie jest potrzebny w sądzie.

Paula instynktownie wyczuwała, że może zaufać tej młodej kobiecie, ale mimo to czuła się bardziej zawiedziona niż kiedykolwiek w życiu. W samochodzie się rozpłakała. Po dziewięciu miesiącach oczekiwania, stosach podań, prze-aranżowaniu całego dotychczasowego życia i długiej podróży przez osiem stref czasowych nie miała nic. Chłopiec zniknął. Szlochając, poinformowała Aleksieja, że czuje się tak, jakby złamano jej serce. Tak liczyła na to, że tego dnia spotka się z Johnem. Czuła się jak matka, która opuszcza szpital położniczy z pustymi rękami.

Następne trzydzieści sześć godzin byłoby dla niej nie do zniesienia, gdyby nie wsparcie Aleksieja i jego małżonki. Udawało się jej trzymać emocje na wodzy dzięki temu, że

bawiła się z ich dzieckiem, chodziła do kościoła i wspominała z nimi czasy, gdy mieszkali razem w Ameryce. Strach jednak bezustannie czaił się w jej podświadomości. Co miała powiedzieć sędziemu?

Przebudziła się rankiem w dzień rozprawy po prawie bezsennej nocy. Miała stanąć przed sędzią i zeznać, że widziała się z Johnem trzy razy i że wytworzyła się pomiędzy nimi silna więź. Wyobraziła sobie, jak odprowadzają ją w kajdankach za składanie fałszywych zeznań. A potem pomyślała o nagraniu wideo. Ile razy je obejrzała? Co najmniej trzysta. Znała każdy gest, każdą minę tego małego chłopca. Uśmiechnęła się do siebie, gdy przypomniała sobie, jak mówił po angielsku „dziękuję” ze słyszalnym rosyjskim akcentem.

Gdy tego dnia sędzia poprosił ją, by opisała jednym słowem relację, która łączy ją z Wanią, odpowiedziała bez wahania:

- Miłość.

Sędzia zaaprobował jej podanie. Chłopiec należał do niej. Teraz musiała go już tylko odnaleźć.

## ROZDZIAŁ 27

### BEZ PRZEBACZENIA

#### *Sierpień 1999*

Wania siedział sam w piaskownicy całkowicie nieświadomy tego, że w końcu po latach oczekiwania i tęsknoty zyskał matkę. Wiedział tylko, że jadą po niego dwie złe kobiety, by zabrać go od mamy i przekazać innej mamie, która będzie go bić. Jego zadaniem było odstraszyć je, rzucając w nie zabawkami.

Gdy nadszedł wieczór, przed dom zajechał samochód. Wania z napięciem wpatrywał się w dwie kobiety, które z niego wysiadły; było w nich coś znajomego. Gdy podeszły bliżej, w jednej z nich rozpoznał Marię dzięki jej burzy loków. Drugą była Irina, która kilkakrotnie odwiedzała go w mieszkaniu Sonii. Przecież Sonia nie mogła mówić o nich, prawda?

Usiadły obok niego i zapytały, dokąd jadą jego samochody. Gdy opowiadał im o rajdzie przez góry, uświadomił sobie, że to jednak muszą być one, i poczuł wyrzuty sumienia, że nie



robi tego, o co Sonia go poprosiła. Ogarnął go niepokój na myśl, że jego opiekunka zaraz się pojawi i zobaczy, jaki jest przyjacielski.

- Musisz jeszcze jego dodać do wyścigu - powiedziała Irina, wyciągając z torebki nowiutką resorówkę. Była taka błyszcząca i nowa, że Wania od razu ustawił ją na samym przedzie. To miał być zwycięzca.

Poczuł ukłucie winy, że przyjął samochodzik. Mógł im go rzucić w twarz, tak jak domagała się tego Sonia. Teraz jednak było już za późno.

- Powinnyście dać Sonii wielką walizkę pełną prezentów - wypalił nagle. - Tego właśnie jej trzeba.

Kobiety nie zareagowały. Zapytały go tylko łagodnie, gdzie jest Sonia. Wania pokazał im, że już do nich idzie.

W mieszkaniu brata Sonia zrobiła dla wszystkich herbatę w całkowitym milczeniu. Kobiety wypity ją bez słów, gdy Wania bawił się samochodzikami w salonie. Dopiero miękki, lecz stanowczy głos Marii przerwał ciszę.

- Przecież musisz to rozumieć. Dla Wani to jedyna szansa. Nic dobrego go w Rosji nie czeka. Doskonale o tym wiesz, pracowałaś w internacie. Dzieci takie jak Wania trzyma się u nas w klatkach. W Ameryce pójdzie do szkoły.

- Myślicie, że nie zrobiłam dla niego wszystkiego, co mogłam? To teraz zupełnie inne dziecko. Jest częścią naszej rodziny. W niczym nie przypomina już dziecka z instytucji. Patrzcie, jak poprawiło się jego chodzenie. Zabieram go na zabiegi na nogi, dostaje witaminy, każdego dnia. Nie jestem tu na wakacjach.

- Jesteśmy ci bardzo wdzięczni za wszystko, co dla niego zrobiłaś. Zająłaś się nim, gdy byliśmy w rozpaczliwej sytuacji...

- Tak, i nie było mi łatwo. Musiałam sprowadzić do Moskwy mamę. Zamieszkała z nami, by Wania nigdy nie był sam.

- Soniu, to dla niego jedyna szansa. Przecież wiesz, że żadna szkoła w Rosji go nie przyjmie.

- Wy nic nie rozumiecie. - Sonia podniosła głos, rozległ się hałas odsuwanej krzesła. - Odbieracie mi syna.

Wania kątem oka zobaczył wykrzywioną smutkiem twarz Sonii, która wpadła do salonu, chwyciła paczkę papierosów i wybiegła przez frontowe drzwi, zatrzasnąjąc je za sobą.

Spojrzał na samochodzik, który trzymał w dłoni, błyszczący, nowy samochodzik, który podarowała mu Irina. Odłożył go na podłogę. To nie był już zwycięzca rajdu. Wbił go w inny samochodzik z całej siły. Dopiero po chwili zauważył, że Irina siada na podłodze obok niego.

- Co się stało z tym samochodem, Waniu? Chyba miał wypadek.

- To samochód policyjny. Przyjechał, by nas aresztować i wsadzić nas wszystkich do więzienia.

- Przecież nie zrobiliśmy nic złego. Nikt nie pójdzie do więzienia. Jutro jednak pojedziesz z nami do Moskwy, ktoś tam na ciebie czeka.

Wania wrócił do niszczenia samochodzików. Ten nowy całkowicie wymknął się spod kontroli. Wbił się w nogę stołu, zawrócił i wbił się w nią jeszcze raz. Jego błyszcząca nowością maska pokryła się zadrapaniami. Wania porzucił wrak i zaczął rozbijać inne samochody.

Tego wieczoru, gdy obie kobiety wyszły, Sonia wyładowała swój gniew na Wani.

- Dlaczego nie zrobiłeś tego, o co cię prosiłam? Dlaczego nie obrzuciłeś ich swoimi zabawkami i ich nie odstraszyłeś? Przecież powiedziałam ci, co masz zrobić. - Jej twarz wykrzywiła się w gniewie, gdy krzyczała na niego. - Myślałam, że mnie kochasz, ale ty jesteś małym obłudnikiem. Zawiodłeś mnie.

Coś w Wani pękło. Poczul, że musi powiedzieć cokolwiek, byle tylko Sonia przestała. Znow ogarnął go żal, który narastał w nim przez te miesiące, gdy obdarzała go tylko chłodem.

- Nie Kocham cię. Chcę jutro jechać z Marią.

Pożalował tych słów, gdy tylko padły z jego ust. Sonia wyszła z pokoju. Godzinę później wróciła z walizką. W ciszy włożyła do niej wszystko, co posiadał - jego ubrania i cenne samochodziki. Pomogła mu się położyć w milczeniu. Nie pocałowała go na dobranoc. Zgasiła światło.

Tamtej nocy Wania niewiele spał. Sonia przyszła go obudzić, gdy było jeszcze ciemno. Milczała. Wziął głęboki oddech.

- Przecież wiesz, że cię Kocham. Przepraszam za to, co powiedziałem. Będę za tobą tęsknić, Soniu.

Czekał na odpowiedź, ale żadna nie padła. Gdy kończył jeść owsiankę, rozległ się dzwonek do drzwi. Sonia podniosła jego walizkę, wzięła jego kurtkę i zaprowadziła go na dół do samochodu. Posadziła go na tylnym siedzeniu i zamknęła drzwi. Nawet się z nim nie pożegnała.

Gdy dekadę później Wania wspomina te chwile, w jego głosie wciąż pobrzmiwa uraza i ból.

- Tak bardzo chciałem pogodzić się z Sonią, uleczyć rany, zanim wyjadę - mówi - lecz ona nie przyjęła moich przeprosin.

Sonia nawet teraz, gdy pyta się ją o Wanię, traci oddech. Jakby emocje wciąż ścisnęły jej gardło.

Na lotnisku Wania nie miał czasu, by rozmyślać o swoim pożegnaniu z Sonią. Był oszołomiony widokiem samolotów i podekscytowany, gdy szli asfaltem do największego z nich, który leciał do Moskwy. Gdy już wszedł na pokład, znów opadły go myśli o rodzinie, którą porzucił, jedynej rodzinie, którą dotąd miał.

Przez cały lot męczył wielkiego misia. Trzymał go za uszy i uderzał w niego kolanami. Nieszczęsna maskotka padła ofiarą jego lęków. Po raz kolejny zostawiał za sobą wszystko, co znał, i zmierzał ku nieznanemu. Czuł też smutek i gniew na Sonię, która odrzuciła jego wysiłki pojednania i odmówiła przyjścia na lotnisko, by się z nim pożegnać.

Gdy samolot podszedł do lądowania, żal całkowicie go ogłuszył. Maria zniosła go po stopniach samolotu na asfalt. Był tak wyczerpany, że prawie nie zauważył rysów uśmiechniętej kobiety, która podeszła do nich, by się z nimi przywitać, kobiety, która pokonała tak wiele przeszkód, by go odnaleźć.

- Cześć, jestem twoją mamą - powiedziała po rosyjsku z amerykańskim akcentem.

Po raz pierwszy w życiu Wania stracił mowę.

W drodze do centrum siedział na tylnym siedzeniu pomiędzy Paulą a Iriną. Prowadził urzędnik Cerkwi, a Maria siedziała obok niego. Gdy w końcu Wania odzyskał głos,

zwrócił się do kierowcy. Nigdy nie rezygnował z możliwości, by porozmawiać z innym mężczyzną o samochodach. Gdy już dowiedział się, co to za samochód i do kogo należy, nagle, bez żadnych przerw, odwrócił się do Pauli i zapytał:

- Czy będziesz mnie biła?

Takie były pierwsze słowa, które skierował do matki. Paula nie zrozumiała pytania. Maria je przetłumaczyła. Z twarzy Pauli nie zniknęło zdumienie. Potem jej wyraz się zmienił.

- Ależ skąd - odparła wyraźnie zszokowana.

Wania pochylił się ku niej, uścisnęli się. Potem nie potrzebowali już tłumacza.

- Gdy zobaczyłam ten moment akceptacji, gdy Wania zaczął ufać swojej nowej mamie, poczułam pod powiekami łzy szczęścia - wspomina Irina.

Wania potrzebował już tylko czasu i jakiegoś ustronnego miejsca, w którym mógłby nawiązać silniejszą relację ze swoją mamą. Nie było mu to jednak dane. Przedstawiciel Cerkwi był zobowiązany, by tego dnia wziąć udział w mszy celebracyjnej w soborze Archangielskim. Nie wyjaśnił swoim pasażerom, dlaczego wiezie ich na uroczysty lunch z hierarchami kościelnymi w tych pierwszych, najważniejszych godzinach wspólnego życia Wani i Pauli. Paula domyśliła się jednak powodu - dzięki temu nie musiał sam organizować lunchu dla swych podopiecznych.

Sobór Archangielski nie był zwyczajnym kościołem. Była to jedna z najstynniejszych rosyjskich cerkwi, spor-tretowana w uwielbianym przez Rosjan filmie *Szczęśliwego Nowego Roku*, w którym reżyser śmiało skonstrastował jej

ponadczasowe piękno z ponurą monotonią radzieckiego życia. Nawet dla niewierzących ta świątynia z pięcioma złotymi kopułami i jaskrawoczerwonym wnętrzem stała się symbolem nadziei.

Gdy dotarli na miejsce, lunch już trwał w najlepsze. Biskupi w czarnych szatach z długimi brodami zajadali się gryczanymi blinami i czerwonym kawiozem, marynowanym śledziem i zimnym mięsem. Zanim usadzono ich przy stole, Wania wyznał Marii, że musi iść do toalety. Maria zapytała, kto ma mu towarzyszyć.

- Mama - odparł Wania bez wahania.

Paula nie mogła uwierzyć, że w godzinę po ich pierwszym spotkaniu chłopiec już postrzegał ją jako osobę, która będzie umiała zaspokoić jego potrzeby.

Przedstawiciel Cerkwi zaprowadził gości do stolika, z którego mieli bardzo dobry widok na jedzących kapłanów. Kobietom podano po kieliszku gruzińskiego wina, Wania dostał szklanekę wody. Wkrótce, zgodnie z rosyjską tradycją, zaczęły się toasty, biskupi jeden po drugim wstawali i wznosili kieliszki z wódką na zdrowie zgromadzonym. Wania był tak zafascynowany tym rytuałem, że zapomniał o traumie ostatnich dwudziestu czterech godzin. Zignorował jedzenie, które piętrzyło się przed nim na talerzu, i przyglądał się z napięciem biskupowi siedzącemu po jego prawej stronie, który wstał i wznosił kwiecisty toast, a potem usiadł, opróżniwszy kieliszek. Wania poczuł, że teraz on musi coś powiedzieć w imieniu siedzących przy jego stoliku pań. Wziął szklanekę do ręki, a drugą oparł na blacie, próbując się podnieść. W ostatniej chwili Paula uświadomiła sobie,

co chłopiec próbuje zrobić. To małe dziecko było tak wyczu-  
lone na towarzyskie niuanse, że już stało się jednym z tych  
mężczyzn - w tym przypadku biskupów. Położyła mu kochającą  
dłoń na ramieniu i szepnęła:

- Będzie na to czas, mnóstwo czasu, gdy dorośniesz.

## ROZDZIAŁ 28

### POŁĄCZENI

*Marzec 2007*

Dotąd zdumiewającą historię Wani opowiadały osoby, które były mu bliskie w latach 90. - Wika i Sarah -oraz sam Wania. Moją rolą jako autora było zebranie ich opowieści i złożenie ich w jedną całość. Historia nie kończy się jednak w chwili, gdy Wania wsiadł do samolotu lecącego do Ameryki. Nadszedł czas, bym to ja wyszedł z cienia i przeprowadził śledztwo, by odkryć rzeczy, o których nie wiedzieli nawet ludzie najbliżsi Wani.

Zawsze się zastanawiałem, co sprawiło, że to niezwykle dziecko, choć nagie i bezradne, nie poddało się okrutnemu systemowi rosyjskich sierocińców i wpłynęło na życie tak wielu różnych osób. Nieoczekiwanie na początku roku 2007 po zakończeniu długiej kariery dziennikarskiej w końcu znalazłem czas, by dowiedzieć się, co stało się z Wanią. Nadszedł czas naszego ponownego spotkania w Ameryce.



W marcu 2007 roku pojechaliśmy z Sarah do parterowego domu ukrytego pod grubą warstwą późnowiosennego śniegu. Nie była to Santa Barbara - prawdziwa czy wymyślona - lecz Bethlehem w stanie Pensylwania.

W drzwiach stanął wsparty na kulach przystojny młody człowiek z olśniewająco białymi zębami i dosyć ascetyczną fryzurą. Sarah nie zdołała się powstrzymać i powitała go dokładnie tak samo, jak witała go wiele lat wcześniej w Domu Dziecka nr 10. Słowa „Priwiet, Wania” po prostu się jej wymknęły. Młody człowiek spojrzał na nią ze zdumieniem. Minęło osiem lat od dnia, gdy ktoś witał go po rosyjsku czy nazywał Wanią. Teraz był Johnem Lahutskym, uczniem liceum i młodym liderem w swojej grupie skautów.

Jego matka Paula powitała nas ciepło i po kilku chwilach czuliśmy się tak, jakbyśmy się znali całe życie. Na cześć jej słowiańskich korzeni salon był udekorowany barwną rosyjską sztuką ludową.

Na pierwszy rzut oka było widać, że John i Paula są sobie bliscy. Gdy zapytałem ich, co czuli, gdy po raz pierwszy zobaczyli się na moskiewskim lotnisku, odparli zgodnie:

- Przerazenie - i oboje wybuchnęli śmiechem.

John nauczył się płynnie mówić po angielsku w trzy miesiące po przybyciu do Stanów i prawie równie szybko zapomniał swój rosyjski. Byłem wzruszony, gdy słyszałem, jak przenosi swój styl mówienia z rosyjskiego na angielski. Nie wyzbył się czarującego nawyku przerywania, by znaleźć dokładnie to słowo, o które mu chodziło. Gdy wspominał odrażające warunki, w jakich przetrzymywano go

w Filimonkach, zaczął szukać słów, by opisać gołe materace, na których leżał dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Były zrobione ze... sztucznej skóry. - Nie można było lepiej opisać faktury taniego syntetycznego materiału, którym pokrywano kostki z pianki.

Teraz John każdego dnia jeździ do szkoły autobusem. Jego ulubionym przedmiotem jest historia, a najwięcej trudności sprawia mu matematyka, bo podstawowych umiejętności matematycznych nabywa się na wczesnym etapie życia, kiedy Wania był uwięziony w ciszy.

Przy herbacie po raz pierwszy usłyszeliśmy opowieść Pauli - wyznała nam, że jej życie zmieniło się na zawsze wtedy, we wrześniu 1998 roku, gdy przeczytała parafialną gazetkę i natknęła się w niej na artykuł napisany przez młode małżeństwo, które właśnie adoptowało małą dziewczynkę z Rosji.

Jej opowieść w końcu obnażyła tajemnicę tego, jak dowiedziała się o Wani. Była to ta sama para małżeńska, która wychodząc z Domu Dziecka nr 10 ze swoją świeżo adoptowaną córeczką w lipcu, natknęła się na Wanię i Sarah, którzy siedzieli na ławce na podwórku. Wania wywarł na nich takie wrażenie, że nie potrafili o nim zapomnieć, i poczuli się zmuszeni do działania. Artykuł ich autorstwa miał podobny wpływ na Paulę.

Paula powiedziała nam, że przez pierwsze dwa tygodnie po ich pierwszym spotkaniu na lotnisku, które spędzili razem w Moskwie, Wania był w wyjątkowo delikatnej kondycji, ciągle wybuchał płaczem.

Gdy opowiedzieliśmy jej nieco o jego przeszłości, zrozumiała, jak przerażony musiał być myślą, że i ona go odrzuci. Wszyscy zgodziliśmy się, że jego stan nie był zaskoczeniem, biorąc pod uwagę to, że choć starał się stworzyć więź z dwiema poprzednimi „matkami”, nie zabrano go do Anglii i wykluczono ostatecznie z rodziny zastępczej. Jak wszystkie porzucone dzieci i on przywykł do brania na siebie odpowiedzialności za swój los, i gdy dwie matki odwróciły się do niego plecami, obwinił siebie.

John przybliżył nam swoje najbardziej ponure wspomnienia z Domu Dziecka nr 10, które nawiedzały go niczym powracający koszmar. Wciąż widział twarz Adeli pochylającej się nad jego łóżeczkiem w dniu, w którym Linda nie stawiała się w sądzie. Jej delikatne rysy wykrzywiały się w grymasie wiedzy, a jej cichy głos stawał się nikczemnym rechotem Baby Jagi, gdy szydziła z niego: „Nie przyszli po ciebie. Już nigdy stąd nie odejdziesz”.

W tamtym czasie Paula miała nikłe pojęcie o tym, przez co przeszedł Wania. Problem polegał między innymi na tym, że Wania nie był gotowy na to, co go spotkało. Podczas dziewięciu miesięcy, których Paula potrzebowała, by zakończyć proces adopcyjny, nikt nie wyjaśnił Wani, że wyjeżdża do Ameryki. Nie jest to wcale takie zaskakujące. Maria, oficjalna opiekunka Wani, nie miała żadnego kontaktu z Paulą, dopóki ta nie przyjechała do Moskwy. Nie знаła nawet daty jej przylotu. Biorąc pod uwagę oporność władz i zdradę, której dopuściła się Linda, psycholog należący do personelu Marii doradził jej, że lepiej nic nie mówić, dopóki adopcja nie stanie się faktem. Tyle że w międzyczasie to się po prostu wydarzyło.

Osoba, która zrobiła najwięcej, by ocalić Wanię, nie mogła ostatecznie dzielić radości, jaką była jego adopcja. Powód był bardzo prozaiczny: Wika zabrała swoje dziecko na wieś, by spędzić lato na świeżym powietrzu w drewnianej chatce bez telefonu. Dlatego nie miała szansy, by się z Wanią pożegnać, przytulić go i życzyć mu szczęścia w nowym życiu. Takiej okazji nie mieli też jej przyjaciele, którzy poświęcili tak wiele czasu, by go odwiedzać. Dla Wiki, gdy Wania zniknął z Moskwy, było tak, jakby umarł.

Po dziś dzień Maria żałuje, że nie udało jej się doprowadzić do spotkania Wiki i Pauli. Wika mogła przecież opowiedzieć matce Wani historię jego dzieciństwa i pomóc jej zrozumieć traumę, którą przeżył jej syn.

- Do pewnego stopnia wszyscy byliśmy tak naprawdę wykluczeni z procesu adopcyjnego. To, co się stało, jest doskonałym przykładem na to, jak niewiele myśli rosyjskie prawo poświęca dziecku. Opieka społeczna i sąd obchodzą się z dziećmi jak z towarem, który można przemieszczać z jednego miejsca na drugie bez traktowania ich po ludzku czy poszanowania ich uczuć.

Przez dwa tygodnie, które Paula spędziła w Moskwie, czekając na zatwierdzenie adopcji, Wania żył w permanentnym stresie. To mogłoby przytłoczyć każdą inną matkę, ale Paula była szkolnym psychologiem i zdołała przetrwać te wszystkie łązy. Gdy w końcu dotarli do Pensylwanii, Wania poczuł, że tym razem nikt go nie porzuci. Pewnego razu gdy wrócił do domu po dniu spędzonym na podwórku, poczuł się na tyle pewnie, by powiedzieć:

- Jesteś moją ukochaną mamą.

Spędziliśmy u Johna i Pauli dwa dni, wspominając przeszłość. Nikogo nie dziwiło to, jak bolesne są te wspomnienia dla Johna i jak wiele pytań w nim budzą.

John jasno wyraził swoją gorycz z powodu kłótni z Sonią, to jego wspomnienia tego stresującego okresu stały się inspiracją dla poprzednich rozdziałów. Powiedzieliśmy mu, że nie tylko on ma bolesne wspomnienia. To doświadczenie zostawiło w Sonii głęboką ranę, która nigdy się nie zagoiła. Jej wspomnienia miesięcy, które razem spędzili, dramatycznie różnią się od jego wspomnień. Bieg zdarzeń sprawił, że poczuła się zdradzona i osamotniona, ponieważ, mimo tego wszystkiego, co się wydarzyło, Wania na stałe zajął miejsce w jej sercu.

Drugiego dnia Wania zaczął zadawać bardziej konkretne pytania na temat swojego życia w Rosji. Starał się zrozumieć, dlaczego był w ojczyźnie tak, a nie inaczej traktowany.

Dlaczego, zastanawiał się, Adela - która była chyba dobrym człowiekiem - zgodziła się odesłać go do zakładu dla obłąkanych?

- Chyba bała się komunistów - zgadł.

Chciał także dowiedzieć się, co się stało z jego rodzicami.

- W papierach znalazłem wzmianki, że nadużywali alkoholu - powiedział delikatnie. Był świadom, że ma starszego przyrodniego brata Wadima i siostrę Olgę, urodzoną w roku 1985, która była w sierocińcu, gdy on opuszczał Rosję.

Najtrudniej było nam odpowiedzieć na pytanie, które on z największym trudem nam zadał.

- Czy gdy powiedziałaś Wice o okropnych warunkach, w jakich byłem przetrzymywany w zakładzie, zgłosiła to na

policję? - zapytał Sarah. Był zbyt dobrze wychowany, by zapytać wprost: dlaczego mnie stamtąd od razu nie wyciągnęłyście? Dlaczego mnie tam zostawiłyście na długie miesiące?

Przemawiał przez niego Amerykanin. W umyśle Johna doniesienie o znęcaniu się nad dzieckiem mobilizowało policję i opiekę społeczną do akcji ratunkowej z helikopterami i bronią w pogotowiu. Trudno było mu wytłumaczyć, że to, co zrobiono mu w Rosji, nie było niezgodne z prawem, że taki los spotykał dzieci zdiagnozowane jako oligofrenicy.

Udzielenie pełniejszej odpowiedzi na delikatnie postawione pytanie Johna stało się impulsem do napisania tej książki. Pytanie o los jego rodziny wymagało jednak staroświeckiego pukania do wielu drzwi.

Zanim się rozstaliśmy, Sarah poczuła, że nadszedł czas, by połączyć dwie osoby rozdzielone przez los ponad dekadę wcześniej. Wyjęła komórkę i wybrała moskiewski numer. Gdy odezwał się radosny głos, powiedziała:

- Ktoś chce z tobą rozmawiać.
- Wika, tu John.

Nie był w stanie dodać nic więcej. Ogłuszył go niepowstrzymany potok rosyjskich słów. Na jego twarz wyplęła panika. Po chwili wziął się w garść i powtórzył stanowczo „Wika” kilka razy, aż w końcu po drugiej stronie zapanowała cisza. Potem powiedział po angielsku coś, co wiedział, że ona musi zrozumieć.

- Wika, bardzo cię kocham.

## ROZDZIAŁ 29

### MAŁE ŚLEDZTWO

*Maj 2007*

Kilka tygodni po spotkaniu w Bethlehem wróciłem do Moskwy i stanąłem na wąskiej platformie metra. Pociągi przetaczały się z hukiem przez stację po obu stronach. Co dziewięćdziesiąt sekund nadjeżdżały z przeciwległych kierunków, rozlegał się pisk ich hamulców i szcęk idealnie zsynchronizowanych drzwi, jak maszyny w wielkiej fabryce. Nie mogłem opuścić tej platformy, ponieważ czekałem na młodą kobietę, której niepunktualność przyprawiała mnie o irytację już dekadę wcześniej. Dziesięć lat temu Wika zaprowadziła mnie do małego chłopca ukrytego za wysokim murem. Tego dnia znów potrzebowałem jej pomocy.

Zastanawiałem się, czy ją rozpoznam. Wtedy była biedną studentką, która wstydziła się poprosić mnie o kupno pasztecika z mięsem, gdy była głodna. Teraz miała ponad

trzydzieści lat, była szanowaną żoną i matką trojga dzieci. Gdy szum pociągów męczył moje uszy, wyjąłem z kieszeni pojedynczą kartkę papieru - zapis, datowany na 27 listopada 1991 roku, przybycia do moskiewskiego sierocińca chłopca, Wani Pastukowa. Obok nazwiska był adres. Musiała to być jakaś wieś, która nie wiedzieć czemu, znajdowała się w granicach miasta Moskwy. Było to bardzo zbijające z tropu, ale była to też moja jedyna wskazówka, moja piracka mapa skarbów. Tylko tyle miałem, by namierzyć jedną rodzinę w mieście zamieszkanym przez dwanaście milionów. Gdy wpis ten umieszczono w rejestrze, Moskwa była stolicą mocarstwa, Związku Radzieckiego, które za kilka tygodni miało przestać istnieć. Miasto równały z ziemią buldożery i wznosiły je od nowa nawet wtedy, gdy czekałem na tej platformie. Szanse na znalezienie kogoś pod starym adresem były równe zeru.

Gdy Wika wysiadła z wagonu, wyglądała na niewiele starszą niż w dniu naszego pierwszego spotkania jedenaście lat wcześniej. Wysoka i szczupła, na pierwszy rzut oka nie mogła być matką trojga dzieci. Entuzjazmu, z jakim podjęła się zadania, które przed nią postawiłem, nie zakłócała nawet perspektywa pozostawienia na cały dzień trzech chłopców w domu. W zasadzie była to dla niej rzadka okazja, by na chwilę odpocząć od ciężarów macierzyństwa. W ogłuszającym hałasie wyjaśniła mi, do czego musiała się posunąć, by na chwilę uciec. Najmłodszy syn był chory i musiała zawieźć go do babci; najstarszego bolała głowa i został w domu sam.

Wyszliśmy na ulicę i zostaliśmy porwani przez nieprzebrane masy ludzi. Pomędzy autobusami, tramwajami i minibusami stały stoiska, na których sprzedawano wszystko.



Każdy walczył o przetrwanie, jak w miastach Afryki czy Azji. Przypomniałem sobie czasy komunizmu, gdy handlując, trzeba było odstraszać klientów, a nie zachęcać ich. Przypomniałem sobie sklep z meblami na rogu ulicy, na której mieszkałem. Na wystawie stała w nim szalenie droga przeszklona witryna z metką: TEN PRODUKT JEST NIEDOSTĘPNY.

Znaleźliśmy postój taksówek na chodniku, kilka rzeźących ład, za kierownicą których siadała banda odzianych w skórę opryszków ze złotymi zębami. Najbardziej pękaty był pierwszy w kolejce. Pokazałem mu adres, poprosił o czterysta rubli. Ostatecznie stanęło na trzystu. Zjechał z chodnika i wkrótce podążaliśmy ku znacznie ładniejszym dzielnicom. Moskwa była całkiem inna niż miasto, z którego wyjechałem dziewięć lat wcześniej.

Przypomniałem sobie moją wycieczkę do tej części miasta w poszukiwaniu domu, w którym Sołżenicyn, słynny pisarz dysydent, zamieszkał po powrocie z wygnania. Pamiętałem tylko zalesione zbocza wzgórz i nieuregulowaną rzekę. Teraz na brzegu Moskwy stały cztery fantastyczne wieżowce z jaskrawopomarańczowymi balkonami i fantazyjnymi latarniami. Każda z wież była zwieńczona czymś na kształt greckiej świątyni i koloseum, co miało im dodać szyku.

- To dla superbogatyh. Mogą na rzece trzymać swoje jachty - wyjaśnił mi kierowca.

Wszyscy biedni ludzie, którzy tu mieszkali, zostali przeniesieni, co wzbudziło wiele niechęci, by ten kawałek urojonego Miami mógł stanąć na brzegu Moskwy.

Kierowca kontynuował z nieskrywaną radością:

- Architekci złamali wszelkie możliwe zasady. Czytałem o tym w gazetach. Wieże są zbudowane na podmokłym gruncie. Jeśli na godzinę odetną im prąd, piwnice zaleje woda.

- Dobrze więc, że pan nie kupił tutaj apartamentu - odparłem. Kierowca wybuchnął śmiechem i tak zostaliśmy przyjaciółmi.

Przejechaliśmy nad ośmiopasmową obwodnicą i nagle znaleźliśmy się na wsi. Jechaliśmy pomiędzy walącymi się parterowymi domkami pokrytymi rdzewiejącą blachą, z okienkami ozdobionymi geometrycznymi wzorami i podwórkami zastawionymi zardzewiałymi samochodami. Pośród nich zza brzoź wystawały wieżyczki minizamków z cegły - kolejne rezydencje superbogaty, powszechnie znane jako daczki.

Jeszcze raz sprawdziliśmy z Wiką adres. Mieliśmy tylko nazwę ulicy i ciąg cyfr: Druga Miakinińska 2-2-7. Wszystkie ulice miały tam taką samą nazwę i zostały po prostu ponumerowane jako pierwsza, druga, trzecia i tak dalej. Szukaliśmy więc domu numer dwa na drugiej ulicy. Dom numer dwa musiał składać się z kilku budynków, a my szukaliśmy drugiego. W tym budynku musieliśmy jeszcze znaleźć mieszkanie numer siedem. Wieś wydawała się mieć tylko jedną drogę, ale nigdzie nie było żadnych tabliczek ani nikogo, kogo można byłoby zapytać. Żaden z budynków nie wydawał się na tyle duży, by mogło się w nim mieścić siedem mieszkań.

Wika zwiedziła tę wieś w 1996 roku, by odnaleźć biologiczną matkę Wani, ale teraz w ogóle nie poznawała otoczenia. Na końcu drogi stała betonowa stróżówka strzegąca

bramy do osiedla eleganckich nowych domów z mnóstwem miejsca na podjeździe, by można było zaparkować te wszystkie SUV-y. Wsiadłem z taksówki, by zapytać o drogę, i poczułem się tak, jakbym znalazł się w Zielonej Strefie w Bagdadzie. Nie mogłem podejść do stróżówki, musiałem krzyczeć przez wysokie stalowe ogrodzenie.

- Czy to Druga Miakinińska?
- Może - odparł strażnik.
- To gdzie będzie numer drugi?

Pokazał palcem drugą stronę drogi. Minęliśmy przystanek podmiejskiego autobusu i wjechaliśmy piaszczystą ścieżką na szczyt wzgórza. Bez słowa skargi kierowca prowadził swą starą ładę po nasypach z piasku i wokół wielkich dziur, nie chcąc przyjąć do wiadomości naszej propozycji, że wysiadziemy i pójdziemy pieszo. Zatrzymaliśmy się przed gigantycznym betonowym murem, który dzielił na pół gęsty las. Mur był dwa razy wyższy ode mnie, a le-gary sugerowały, że będzie jeszcze dwukrotnie wyższy, gdy zostanie skończony. Zza muru dobiegły nas odgłosy buldożerów i krzyki robotników.

Droga kończyła się wielką stalową bramą. Wsiadłem i spróbowałem przecisnąć się przez betonową barierę. W tej samej chwili brama się otworzyła i pojawiło się dwóch mężczyzn. Jeden był niski, wesoły i okrągły, drugi wysoki o wyglądzie intelektualisty, z okularami i zaczeską. Pokazałem im adres.

- Został zburzony - stwierdził pierwszy.
- Wciąż stoi - sprzeciwił się drugi równie pewnym tonem.
- Zburzony.

- Wciąż stoi.

Zaczęli kłócić się zaciekle, pokazując palcem drugą stronę muru. Wszystkie budynki zostały zburzone z wyjątkiem jednego. Może to właśnie tego szukaliśmy. Istniała pięćdziesięcioprocentowa szansa, że pierwszy dom Wani wciąż stoi.

- Co się tam buduje za murem? - zapytałem.

- Taunhauzy - odparł intelektualista.

- A cóż to takiego?

- Wie pan, takie dacje, tylko większe.

Ściemniało się. Dawny dom Wani miał zostać zburzony i zastąpiony miejskimi domkami. Jeśli nowa rosyjska dacza była rozmiarów pałacu w Disneylandzie, te miejskie domki rywalizowały z pałacem Buckingham. Nawet najwyższy mur nie był w stanie uchronić ich przed zazdrosnymi spojrzeniami biedoty.

- Kto tam zamieszka? - zapytałem Wikę oburzony zniszczeniem lasu.

- Zwyczajni ludzie, rzecz jasna - zażartował kierowca, małpując pompatyczną manierę radzieckiego spikera. - W rosyjskim kapitalizmie, towarzysze, biednych chroni się przed tyranią bogatych!

Teraz już nie można było go powstrzymać.

- Spójrzcie tylko na ten mur. Jest równie wysoki jak ten, który Amerykanie budują w Bagdadzie pomiędzy sunnitami a szyitami.

Zaproponował, byśmy zjechali ze wzgórza i wrócili tu od drugiej strony, by poszukać innego wjazdu na teren budowy. Zrobiliśmy tak, jak powiedział, i natrafiliśmy na posterunek dwóch umundurowanych strażników. Pokazałem im adres.

- Nigdy nie słyszałem - odparł jeden z nich. - Proszę jechać do wsi i popytać staruszek.

Wika była całkiem zdezorientowana. Gdy zjechaliśmy ze wzgórza, natknęliśmy się na starszą kobietę, bez wątplenia urzędniczkę poczty. Kierowca, który zaczął nam pomagać, zatrzymał ją. Powiedziała, że nie ma pojęcia, co to za adres. Siedzieliśmy w samochodzie w milczeniu, zastanawiając się co dalej. Minęło już pół dnia, a my nic nie znaleźliśmy.

- I chyba nic tu już nie znajdziemy - stwierdziła Wika ponuro.  
- Będziemy musieli wrócić wieczorem. Może wszyscy sadzą ziemniaki. Coś wymyślimy - dodała.

Wieczorem miał się odbyć koncert pianistyczny jej syna, pomysł, by tam wracać, nikomu nie był więc na rękę.

Gdy popadłem w zamyślenie, Wika nagle wyskoczyła z samochodu. Zobaczyła kobietę zerkającą na nas zza uchylonej bramy i podbiegła do niej.

- Czy mogłaby nam pani pomóc? - zapytała. - Szukamy rodziny chłopca, który miał na imię Wania i kiedyś tu mieszkał. Jego mama miała na imię Natasza.

- Wiem, o kogo chodzi. Znałam tę rodzinę - odparła kobieta. - Proszę wejść.

Wysiedliśmy z samochodu. Nasza pomocnica miała na sobie błękitną koszulkę polo i przedstawiła się jako Nadia, nestorka wsi. Jej rodzina mieszkała tu od siedemnastego wieku. Niedawno została zwolniona z instytucji, którą określiła jako bezpieczeństwo państwowe - innymi słowy, z KGB. Wika z zachwytem zauważyła, że ściany jej schludnego drewnianego domku są ozdobione ikonami i prawosławnymi krzyżami.

- Najlepiej znałam babcię chłopca Tatianę. Była malarzem dekoratorem - oświadczyła kobieta. Tak jak wielu innych mieszkańców osiedla na wzgórzu Tatiana pracowała w kompleksie wypoczynkowym w Rublowie, następnej wsi.

Wtrącił się mąż Nadii.

- To tam imprezowały największe komunistyczne szychy.

Kobieta opowiedziała nam, że babcia Wani ciężko pracowała, była doskonałą kucharką i długie godziny poświęcała swemu warzywnikowi. Ledwie wczoraj Nadia robiła sałatkę z marynowanej papryki, na którą przepis dostała właśnie od Tatiany. Tatiana urodziła dziecko bardzo późno, miała prawie czterdzieści lat, gdy na świat przyszła jej córka Natasza. Nadia nie chciała mówić o matce Wani.

Wika postanowiła naciskać.

- Kiedy wszystko się popsuło?

- Natasza była rozpuszczona jak dziadowski bicz. Była jedyną córką starszego już małżeństwa - odparła Nadia. - Tatiana zmarła, gdy Natasza była w ciąży z Wanią. W zasadzie oboje z mężem zmarli jedno po drugim, a Natasza nie umiała poradzić sobie z dziećmi bez wsparcia rodziców.

Starszy syn Nataszy Wadim - przyrodni brat Wani - chodził do jednej klasy z synem Nadii, a teraz chyba siedział w więzieniu.

Nadia urwała, by skonsultować się z mężem. Zamierzali wyjść na podmiejski autobus, by jechać do lekarza na badanie krwi. Ustalili jednak, że pojedą innego dnia.

- Dla dobra sprawy wszystko można przełożyć. Powiedziała nam, że wszyscy mieszkańcy osiedla zostali niedawno przeniesieni, by zrobić miejsce dla nowych

domów. Z prawdziwą radziecką efektywnością zadzwoniła do swojej przyjaciółki z administracji, by ustalić obecne miejsce pobytu rodziny Wani, ale przyjaciółki nie było niestety w biurze. Jej sekretarka powiedziała, że wróci po lunchu, za dwie godziny, i że wtedy powinniśmy zadzwonić. Nadia znalazła więc telefon do sąsiadki, która lepiej знаła tamtą rodzinę. Ona również nie odebrała.

Nadia była zdecydowana, by jakoś nam pomóc. Zaprowadziła nas na wzgórze i pokazała palcem jeden z budynków za murem.

- Jeśli wejdziecie na drzewo, zobaczycie budynek, w którym mieszkała ta rodzina.

Stojąc na kupie gruzu, mogliśmy dostrzec tylko wierzchołek starego radzieckiego bloku, w którym mieszkała kiedyś rodzina Wani. Był to jedyny budynek, który się ostał, nie mogłem zrozumieć, co opóźnia jego wyburzenie.

Zaczęło padać. Zignorowaliśmy to i zaczęliśmy robić zdjęcia. Zadzwoniła komórka Nadii. Oddzwaniała jej dawna sąsiadka Oksana. Wika przez chwilę z nią rozmawiała, robiąc notatki w moim notesie, na który padały wielkie krople deszczu.

Zapytałem Nadie, jak to możliwe, że wyjrzała za bramę dokładnie w tej samej chwili, gdy nam zabrakło pomysłów, gdzie jeszcze szukać.

- Mój Anioł Stróż zawsze jest w pobliżu i posyła mnie tam, gdzie mogę pomóc ludziom.

Mój Anioł Stróż z KGB, pomyślałem. Wika się rozłączyła. Oksana, sąsiadka, pamiętała Wanię jako dziecko. Przedwcześnie urodzony i słaby, miał wspaniale

wyraziste oczy. Nigdy nie zapomniała tych oczu, które mówiły: chcę wszystkiego, całego świata. Założyła, że chłopiec umarł dawno temu w instytucji.

Powiedziała nam, że dawny dom Wani jeszcze stoi z powodu przyrodniego brata Wani Wadima, który wciąż był w nim zameldowany, choć siedział w więzieniu, a potem zniknął. Zgodnie ze starym radzieckim prawem żadna nieruchomość nie mogła zostać wyburzona, dopóki jej byłym rezydentom nie zapewniono zastępczych mieszkań. I dlatego blok stał pusty - czekał na Wadima, który musiał się zrzec swojego „przydziału”.

Oksana wpadła na pomysł, że pomoże nam odnaleźć starszą siostrę Wani Olgę. Dała Wice numer do innej sąsiadki Aidy, która mogła mieć numer do Olgi.

Schowaliśmy się z Wiką przed deszczem w samochodzie. Byliśmy już bardzo zmęczeni. Zapomniałem nawet, że zostawiłem okulary na dachu samochodu. Na szczęście mój nowy przyjaciel kierowca je uratował. Pożegnaliśmy się z naszym aniołem z KGB i wróciliśmy na stację metra. Kierowca zgodził się na tysiąc rubli.

Zjedliśmy późny lunch w okropnej, przypominającej stodołę restauracji w nowym centrum handlowym. Pomimo napięcia całego dnia Wika nie straciła swej uroczej cechy dostrzegania we wszystkim tego, co najlepsze, i z entuzjazmem dokonywała wyboru spośród egzotycznych dań w menu. Zapytała kelnera, co to jest sałatka kaukaska, kelner odparł, że nie ma pojęcia, a Wika i tak ją zamówiła.

Gdy czekaliśmy na tiramisu, nie zdołałem się powstrzymać i zacząłem z niej kpić:



- Podobno ludzie z KGB też mają Aniołów Stróżów. Może przez te wszystkie lata myliliśmy się co do nich.

- Nadia była bardzo pomocna, może sama była aniołem, a tylko udawała agentkę KGB.

Podaliśmy Wice mój telefon. Dowiodła, że potrafi być bardzo wrażliwym, a jednocześnie rzeczowym rozmówcą, a ja nie chciałem odstraszyć nikogo moim obcym akcentem. Tym razem wszystko poszło gładko. Oksana zadzwoniła do Aidy, która już czekała na telefon od Wiki. Dała Wice numer do męża Olgi Farida. On z kolei podał Wice swój numer domowy. Minutę później Wika rozmawiała z siostrą Wani.

Olga odpoczywała w domu. Przeprosiła, że nie może nas zaprosić, ale właśnie się przeprowadzili i ma okropny bałagan. Umówiliśmy się więc następnego dnia na stacji metra niedaleko domu Wiki. Obiecałem, że będę miał ciasto i gazetę, by można mnie było zidentyfikować.

- A jak ja panią poznam? - zapytałem.

- Mnie nie można przegapić. Jestem w bardzo, bardzo zaawansowanej ciąży.

## ROZDZIAŁ 30

### OPOWIEŚĆ SIOSTRY

#### *Maj - październik 2007*

Rankiem następnego dnia prosto z hotelu poszedłem do eleganckiej piekarni, którą zauważyłem poprzedniego wieczoru. Perspektywa spotkania z siostrą Johna była tak onieśmielająca, że postanowiłem rozproszyc nieco mój niepokój zakupem ciasta. Statystyki - nawet te oficjalne -dotyczące losu dzieci dorastających w instytucjach państwowych i dołączających do społeczeństwa w wieku lat osiemnastu nie dawały nadziei. Ci wrażliwi młodzi dorośli często padali ofiarą dilerów narkotykowych, handlarzy żywym towarem i alfonsów, a potem kończyli na ulicy jako prostytutki, alkoholicy i narkomani. Obiecaliśmy jednak Johnowi, że pomożemy mu odnaleźć jego rodzinę, i nie mogliśmy go zawieść.

Gdy próbowałem utorować sobie drogę przez sforę bezpańskich psów mieszkających wokół hotelu, doliczyłem się w kieszeni czterystu rubli i pomyślałem, że stać mnie chyba

na najdroższy tort w całej Moskwie. Piekarnia była już pełna elegancko ubranych ludzi, którzy kupowali rogaliki i bagietki. Gdy zerknąłem na witrynę, uświadomiłem sobie, że całkowicie straciłem kontakt z rosyjską rzeczywistością. Najtańsze ciasto kosztowało siedemset rubli, czyli około piętnastu funtów.

Minąłem w drzwiach bogate Rosjanki wyposażone w cały zestaw kart kredytowych, od złotych do czarnych, i udałem się na poszukiwanie bankomatu. W końcu wydałem osiemset rubli na mały flan z dekoracją z egzotycznych owoców -kumkwatów, miechunki peruwiańskiej i cząstek grejpfruta.

Zjawiliśmy się z Sarah na stacji metra wcześniej. Wyjście było tylko jedno, więc umówiliśmy się z Olgą, że spotkamy się na ulicy. Przy kolumnie stała szczupła młoda kobieta z długimi, prostymi jasnobrązowymi włosami i bladą twarzą. Ewidentnie była w ciąży, w rękach trzymała pudełko na ciasto. Przywitaliśmy się z nią. Mówiła cicho, była skromnie ubrana - w zasadzie stanowiła całkowite przeciwieństwo większości młodych Rosjanek, żadnych wysokich obcasów, krótkich spódniczek, makijażu. Miała bardzo rosyjską twarz z wysokimi kośćmi policzkowymi. Potem pokazała nam zdjęcia, na których miała włosy utlenione na blond, wiedziała, że to jej nie pasowało, i zarzekała się, że nigdy więcej tego nie zrobi. Sprawiała wrażenie osoby delikatnej, wrażliwej i potrzebującej ochrony, lecz zapowiedziała, że z chęcią przejdzie się do Wiki. Wzięliśmy ją pod ramiona i przeszliśmy przez ruchliwą ulicę.

Wika była bardzo podekscytowana, jej synowie biegali po mieszkaniu. Razem z Sarah nie mogły się doczekać, by

opowiedzieć Oldze o jej bracie, najpierw musieliśmy jednak wysłuchać jej historii. Usiadła przy kuchennym stole wyprostowana i pełna gracji jak balerina. Z torebki wyjęła wycinek z gazety. Poznałem artykuł, który „Izwestia” wydrukowały na podstawie historii mojego pióra o Wani wyjeżdżającym do Anglii.

- Dyrektor sierocińca podszedł do mnie pewnego dnia i powiedział: „To na pewno o twoim bracie”. Byłam przekonana, że mój brat jest w Anglii. - Powiedziała, że w zeszłym miesiącu oglądała z Faridem popularny talk-show *Czekaj na mnie*, do którego zgłaszają się widzowie szukający pomocy w odnalezieniu najbliższych krewnych. - Zaczęłam się wtedy zastanawiać, czy mogliby odnaleźć Wanię, ale nie znałam nawet jego daty urodzenia i nowego nazwiska.

Ze spokojną godnością podzieliła się z nami szczegółami swego wczesnego dzieciństwa i rozpadu rodziny, nie ukrywając bolesnych detali i ciesząc się szczęśliwymi wspomnieniami. Tylko jedno wydarzenie zdradziło, że wychowywała się w instytucjach - w dzieciństwie nie dawano jej wyboru, nie mogła się więc zdecydować, którą herbatę owocową woli i czy będzie jeść flan z kumkwatami czy może ptasie mleczko, które przyniosła.

Pamiętała czasy, gdy mieszkała z mamą Nataszą i ojcem Anatolijem w mieszkaniu ojca. Najmilej wspominała jednak wizyty u dziadków. Zawsze wiedziała, że matka ją kocha, ale zostawiała ją z dziadkami na coraz dłuższe okresy. Uwielbiała chodzić z dziadkiem do warzywnika. Pamiętała, jak dziadek sadził jabłonie - jedną dla niej i jedną dla jej starszego przyrodniego brata Wadima, który na stałe mieszkał

z dziadkami. Życie zmieniło się dramatycznie, gdy miała cztery lata, to wtedy umarli najpierw dziadek, a potem babcia. Wadim zamieszkał z ojcem, ale nigdy nie otrząsnął się po stracie babki. Dorastając, wpadał w coraz poważniejsze tarapaty. Olga trafiła do domu dziecka.

Gdy była pod opieką państwa, jej matka zaszła w ciążę z Wanią - to wtedy rodzice postanowili zmienić swoje życie. Jej ojciec sprzedał swoje mieszkanie, przeprowadzili się do mieszkania po dziadkach i rozpoczęli zupełnie nowy rozdział. Skończyli z piciem i przekonali sąsiadkę, by ta zeznała w sądzie, że nadają się na rodziców, bo chcieli odzyskać Olę. Aby uczcić jej powrót do domu, kupili psa, nowofunlandczyka, takiego samego jak ten, który opiekował się dziećmi w *Piotrusiu Panie*. Nazwali go Irma, Olga bardzo się do niego przywiązała.

Matka była bardzo surowa. Posiłki podawano w ściśle określonych porach, a gdy jej przyjaciele bawili się na podwórku, Olga zostawała w domu na popołudniową drzemkę. Matka była bardzo lubiana przez sąsiadów - dopóki nie zaczęła znów pić.

Ojciec był z zawodu kucharzem i przygotowywał dla rodziny pyszne dania z ziemniaków i grzybów. Wkrótce rodzice zaczęli się kłócić. Pewnego dnia ojciec przyprowadził Olę z przedszkola do domu, a ona już na progu wyczuła, że coś się zmieniło, w mieszkaniu panowała osobliwa cisza. Pobiegła do kuchni. Miska psa zniknęła.

- Gdzie jest Irma, tatusiu?

- Nie stać nas na to, by ją karmić. Odeszła do dobrego domu. Zapomnij o niej.

Najgorsze miało dopiero nadejść. Rodzice strasznie się pokłócili, gdy tata odkrył, że mama znów pije. Olga pamięta, jak ojciec stanął nad nią z Wanią w ramionach i zapytał:

- Z kim chcesz zamieszkać, z mamą czy z tatą? Przypomniała sobie jego obiady i odparła:

- Z tobą, tatusiu.

Niedługo potem mama wyszła z domu, a ojciec pobiegł za nią, zamykając za sobą drzwi na klucz. Zrobiło się ciemno, a Olga była w mieszkaniu sama z Wanią. Pamiętała, jak podczołgała się do okiennego parapetu i zaczęła wołać do sąsiadów, że jest bardzo głodna. Jeden z nich wspiął się do mieszkania i uratował ją. Dopiero wiele godzin później jej wybawca przypomniał sobie o Wani. Olga zapewniła go, że brat ma się dobrze, że przez cały dzień karmiła go chlebem, by nie zgłodniał, i że leży na podłodze. Sąsiad wrócił więc do mieszkania i po niego.

Następnego dnia przyjechała po nich policja. Wtedy po raz ostatni Olga widziała braciszka. Ona miała pięć lat, on roczek. Rozdzielono ich przez różnicę wieku. Ona trafiła do domu dziecka, a on do domu małego dziecka.

Gdy była w sierocińcu, zaczęła ją odwiedzać pewna para. Zabrali ją na swoją dachę i poprosili, by narysowała biało-różowy kościół, który stał obok sierocińca. Obiecali, że znów ją odwiedzą - teraz rozumie, że brali pod uwagę adopcję - ale nigdy tego nie zrobili.

- Pewnie wciąż do mnie jadą - śmieje się Olga.

Gdy skończyła sześć lat, stanęła przed komisją medyczno-psychologiczną, która miała zdecydować, czy nadaje się do normalnej szkoły. Jednym z zadań było zidentyfikować drzewo. Olga zaryzykowała i powiedziała:

- To dębowy klon.

Oblała test, została zdiagnozowana jako „kretynka” i przeniesiona do sierocińca dla opóźnionych w rozwoju, który oferował tylko ograniczoną edukację.

I wtedy Olga zrobiła coś naprawdę niezwykłego. Zdołała przekonać nauczycieli, że jest mądra. Wzięła na siebie rolę klasowej asystentki. Dzięki determinacji, bez żadnego zewnętrznego wsparcia, przeniosła się do Sierocińca nr 15, gdzie mogła pójść do szkoły.

Rok później wydarzyła się kolejna niezwykła rzecz. Sierociniec został zamieniony w szkołę cyrkową pod patronatem gwiazdy Moskiewskiego Cyrku Państwowego, klauna i aktora filmowego Jurija Nikulina. Wszystkie dzieci poddano forsownym testom, po których Olgę wybrano do roli akrobatki. Trenowała stanie na rękach i balansowanie na różnych przedmiotach. Podczas jednego z występów, gdy stała na rękach na dwóch kolumnach z cegieł, z których po kolei wyjmowano cegłówki, straciła równowagę i spadła ze sceny. Trafiła do szpitala i przeszła bardzo poważną operację kręgosłupa, co zakończyło definitywnie jej akrobatyczną karierę. Miała trzynaście lat.

Gdyby nie spadła, trafiłaby do moskiewskiego instytutu cyrkowego i podróżowałaby po całym świecie. Zamiast tego odesłano ją do szkoły, w której miała nauczyć się sprzedawać wino i inne alkohole. Bardzo się krzywiła na ten pomysł; i ona, i mąż byli abstynentami.

Nadszedł czas, by zapytać o Nataszę. W 1997 roku, gdy Olga miała dwanaście lat, a Wania dochodził do siebie w Domu Dziecka nr 10 po pobycie w zakładzie, dziewczynka

postanowiła skontaktować się z matką, której od sześciu lat nie widziała. Napisała list i wysłała go na ich stary adres. „Gdzie jesteś? Dlaczego mnie nie odwiedzasz? Bardzo cię kocham”.

Natasza nie mieszkała już w swoim starym mieszkaniu. Wynajęła je wyjątkowo kłopotliwym lokatorom, którzy dosłownie je zrujnowali. W dniu, w którym przyszedł list Olgi, przypadkiem tam zajrzała, by odebrać pocztę. Pojechała do córki w następny weekend. Od tamtej pory regularnie ją odwiedzała, czasami przywoziła ze sobą nowego mężczyznę w jej życiu, starszego pana, który zalecał się do niej, gdy miała siedemnaście lat. Oldze przedstawiono go jako wujka Wołodię.

Pod jego wpływem Natasza przestała pić, wspólnie złożyli podanie z prośbą, by Olga znów mogła z nimi zamieszkać. Na początku października następnego roku, mniej więcej w tym samym czasie gdy Wania wchodził do programu Nasza Rodzina, wszystko zostało uzgodnione. Natasza miała przyjechać po córkę i zabrać ją do domu w sobotę dziesiątego października. Dzień wcześniej Olgę ogarnął ogromny niepokój, zadzwoniła do mamy, by jej o tym przypomnieć.

- Ależ oczywiście, kochanie - odparła Natasza. - Jak mogłabym zapomnieć? Byłam na rynku i kupiłam ci nowe ubrania. Nie możesz przecież paradować ciągle w ciuchach z sierocińca.

Następnego dnia Olga siedziała na korytarzu, ściskając w dłoniach swoje jedyne skarby - ulubiony ołówek i kilka książek do szkoły - i czekała na mamę. Mijały godziny. W końcu podeszła do telefonu i zadzwoniła do domu. Odebrał jakiś obcy mężczyzna, nie wujek Wołodia.



- Czy mogę rozmawiać z mamą? - zapytała.

- Nie masz już mamy - odparł tamten ktoś.

Przez chwilę siedzieliśmy w pełnym zdumienia milczeniu. Tylko Olga zachowała równowagę.

Upiwszy łyk herbaty, powiedziała nam, że jej matka w poprzednią noc źle się poczuła. Minęło dużo czasu, nim w końcu zjawiała się karetka i mama zmarła w szpitalu.

Okrutnym zrzędzeniem losu Olga skończyła osiemnaście lat i odeszła z sierocińca w tym samym czasie, gdy Wadim wyszedł z więzienia. Po śmierci babci, która zmarła, gdy Wadim miał ledwie siedem lat, chłopak popadał w coraz większe kłopoty. Zaczął od kradzieży chleba, wkrótce potem przyłapano go na próbie kradzieży samochodu. Został zaklasyfikowany jako „dewiant społeczny” i w wieku dwunastu lat zamknięty na cztery lata w więzieniu. Nigdy nie doszedł do siebie po odsiedzeniu wyroku ze znacznie starszymi od niego poważnymi przestępcami, od tamtej pory częściej siedział za kratkami, niż chodził wolny.

Tak więc oboje zamieszkali w mieszkaniu matki, tym samym, na które zerkaliśmy ponad murem poprzedniego dnia. Relacje rodzeństwa bardzo się popsuły, gdy do Wadima wprowadzili się jego kumple z celi. Zachowanie Wadima zaczęło bezpośrednio zagrażać Oldze. Na szczęście wtedy już znała Farida, który pracował jako brygadzista na budowie. To on powiedział Wadimowi, by się wynosił i nigdy więcej nie zbliżał do siostry. Gdy zjawili się deweloperzy z propozycją przesiedlenia mieszkańców ich bloku, Olga zażądała jednopokojowego mieszkania w Moskwie, jak najdalej od Wadima. To mieszkanie dzieli teraz z Faridem.

Nie wiedzieliśmy, co powiedzieć. Sarah wyjęła ostatnie fotografie Johna - oficjalny szkolny portret i kilka zdjęć w mundurku skauta. Twarz Olgi rozjaśniła się na widok brata. Wpatrywała się w zdjęcia, jakby chciała pożreć je wzrokiem.

- Wygląda tak amerykańsko. Jak Arnold Schwarzenegger! - zawołała.

- Ale jest znacznie lepiej wychowany - wtrąciła Wika wyraźnie przerażona tym porównaniem.

- Ma włosy po mamie - dodała Olga, spoglądając na wcześniejsze zdjęcia. Opowiedziała nam, jak kiedyś skarżyła się mamie, że odziedziczyła jej odstające uszy, ale nie kręcone włosy, pod którymi mogłaby je ukryć.

Te zdjęcia bardzo wiele dla niej znaczyły. Do śmierci matki nie miała ani jednej rodzinnej fotografii. Gdy wypuszczono ją z sierocińca na pogrzeb, znalazła dowód Nataszy, wyrwała z niego zdjęcie i ukradkiem schowała je do kieszeni. Do tamtego dnia ta mała fotografia była całym jej rodzinnym albumem.

Nie mogłem nie zauważyć zdumiewającego podobieństwa pomiędzy Olgą a Johnem. Oboje walczyli ze swoim pochodzeniem, w sobie doszukując się motywacji i celu. Oboje wykształcili bardzo silne poczucie moralnych wartości i wysoką samoocenę, wręcz niespotykaną u dzieci wychowywanych w bezdusznych instytucjach.

John był, rzecz jasna, zachwycony, gdy usłyszał, że odnaleźliśmy jego zaginioną siostrę. W jeszcze większy zachwyt wpadł, gdy miesiąc później dowiedział się, że Olga urodziła śliczną córeczkę Karinę - jego siostrzenicę.

Przez całe lato brat i siostra próbowali się ze sobą skontaktować, ale ich wysiłki spełzały na niczym z powodu różnicy czasu i konieczności posiadania tłumacza.

W końcu w październiku do Moskwy udała się Sarah. Siedziała w mieszkaniu z Olgą i Faridem, trzymała na kolanach Karinę i z niecierpliwością czekała na dzwonek telefonu. W Pensylwanii John wcześniej wyszedł ze szkoły, tłumacząc się tym, że musi porozmawiać z siostrą, z którą w dzieciństwie zostali rozdzieleni.

Wielkie spotkanie po latach okazało się pod względem technicznym prawdziwym polem minowym. Wszyscy tłoczyli się w wąskim przedpokoju i na zmianę brali na ręce dziecko. Farid przełączył telefon na głośnik, przestarzałe rosyjskie linie telefoniczne nie były jednak na to gotowe, nikt nie mógł zrozumieć, co mówi John. Sarah podawała słuchawkę naokoło, a John musiał wszystko dwukrotnie powtarzać - żeby krewni mogli usłyszeć jego głos i potem Sarah, która tłumaczyła.

Wysiłki zaprocentowały. Olga przywołała wspomnienia Johna z wczesnego dzieciństwa - psa Irnę, spacer w śniegu po lesie z ojcem w poszukiwaniu drzewka na choinkę na Nowy Rok, pyszne smażone ziemniaki taty.

Musiała wyznać coś, co ciążyło na jej sumieniu przez te wszystkie lata. Mały Wania leżał na sofie, a mama powiedziała jej, że ma go przypilnować, by nie spadł. Ona jednak odwróciła się, by włączyć jakieś nagranie, i chłopiec spadł na podłogę. - Proszę, wybacz mi. Byłam taka mała.

Paula powiedziała, że czuje się tak, jakby zyskała córkę i zięcia. Farid wystosował kwieciste zaproszenie do Johna

i Pauli. Chciał, by przyjechali poznać jego wielką rodzinę na północnym Kaukazie, gdzie wszyscy mieli spotkać się z miłym przyjęciem.

W końcu John zyskał możliwość, by porozmawiać z Faridem. Zapadła jedna z tych znaczących pauz, a potem John oświadczył stanowczo:

- Farid, dobrze się opiekuj moją siostrzyczką.

Gdy Olga odprowadzała Sarah na przystanek, obejmowała ją i śmiała się, powtarzając sobie słowa Johna.

## ROZDZIAŁ 31

### EFEKT WANI

*Wrzesień 2009*

Wszyscy ludzie zaangażowani w wielką podróż Wani twierdzą, że ich życie się zmieniło - dla niektórych nieznacznie, dla innych dramatycznie. - Wania ma wspaniały, rzadki dar, który ocalił jego życie - mówi Wika. - Dar nawiązywania kontaktu z ludźmi. Od razu zapamiętuje twoje imię i wie, jak z tobą rozmawiać. Dyskusja z nim to rozkosz dla duszy. Dzięki niemu odkryłam w sobie talenty, o które wcześniej siebie nie podejrzewałam. Nauczyłam się, jak organizować ludzi i jak radzić sobie z władzami. Dzięki moim skromnym wysiłkom oraz wysiłkom innych ludzi Bóg był zdolny sprawić cud. Dla mnie Wania był jak papierek lakmusowy, który pokazywał stopień dobra i zubożenia w ludziach.

Niedawno do starego mieszkania Wiki zadzwonił pewien mężczyzna. Chciał ją przeprosić za obsceniczne telefony,

którymi prześladował ją w roku 1997. Twierdził, że był do nich zmuszany i odczuwał głęboką skruchę.

Sarah wciąż pomaga Akcji dla Dzieci Rosji (ARC), fundacji, którą pomogła założyć, a która zajmuje się wspieraniem oddolnych rosyjskich inicjatyw, mających na celu wyrwanie dzieci z instytucji państwowych. W 1999 roku została zaproszona do pałacu Buckingham, gdzie królowa Elżbieta wręczyła jej Order Imperium Brytyjskiego w uznaniu jej zasług dla upośledzonych moskiewskich dzieci. Wciąż jest zła na Alana, że przez niego musiała opuścić Rosję.

Emily Spry, angielska studentka, która odwiedzała Wanię w Szpitalu nr 58, wróciła na Oksford, by studiować literaturę angielską, ale wkrótce poczuła powołanie do zawodu lekarza. Właśnie rozpoczęła staż na pediatrii.

Elwira, kruczowłosa dziewczynka, z którą Wania zaprzyjaźnił się w Szpitalu nr 58, znalazła adopcyjnych rodziców w Ameryce tuż przed zesłaniem do internatu. Mieszka w Oklahomie, teraz ma na imię Elena. Jest w jedenastej klasie, lubi nauki ścisłe, uczy się gry na gitarze i pianinie. Jej ulubieni pisarze to J.R.R. Tolkien i CS. Lewis. Twierdzi, że największy wpływ na jej życie wywiera Jezus.

Andriej, przyjaciel, którego Wania nauczył mówić w Domu Dziecka nr 10, opuścił Moskwę w roku 1997 i przeniósł się na Florydę, gdzie jego ojciec pracował jako menedżer pięciogwiazdkowego hotelu. Dwa lata później cała rodzina powróciła do Rosji. Wciąż mieszkają w Moskwie, przygarnęli już ponad dwadzieścioro dzieci z upośledzeniami. Andriej wraz z ojcem regularnie odwiedzają Dom Dziecka nr 10.

Władimir Putin, prezydent Rosji w latach 2000-2008, a obecnie premier, zadeklarował w 2006 roku, że życzy sobie, by wszystkie porzucone dzieci znalazły miejsce w rodzinach, a nie w państwowych instytucjach. Mimo to wciąż ponad 800 000 dzieci znajduje się pod opieką rosyjskiego państwa - to więcej niż tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej, gdy Związek Radziecki znalazł się w ruinie.

Maria Ternowskaja, inicjatorka programu rodzin zastępczych w Rosji, kontynuuje swoją pracę pomimo coraz większej wrogości, która spotykają ze strony biurokratów. Osiągnęła poziom dziewięćdziesięciu pięciu procent skuteczności w umieszczaniu dzieci z problemami w rodzinach zastępczych, a mimo to rosyjski parlament zakazał niedawno formy opieki, którą ona zapoczątkowała. Na przekór oficjalnym szykanom odmawia kapitulacji.

Rachel Smith wróciła do Wielkiej Brytanii w 1999 roku, pracuje jako londyński sekretarz ARC. Wciąż próbuje nauczyć się rosyjskiego.

Masza, mała dziewczynka z Grupy 2, którą Wika tak pokochała, zmarła wkrótce po przeniesieniu do Internatu 30.

Waleria, błękitnooka dziewczynka, która dzięki interwencji Sarah i Alana przeszła operację serca, zmarła dwa lata później. Nigdy nie stała się dla nikogo najważniejsza.

Dima, chłopiec, który pływał w swoim własnym moczu w zakładzie dla obłąkanych w Filimonkach, zmarł w wieku lat dziesięciu.

Sława, niezrównoważony chłopiec, który zaatakował Wanę, przebywa w zamkniętej instytucji. Prośba o wizytę u niego, złożona w 2007 roku, została odrzucona.

Anna, mała dziewczynka z wyjątkowo pogodną osobowością, która jako pierwsza podopieczna Domu Dziecka nr 10 otrzymała wózek inwalidzki, została przeniesiona do Internatu 28. Energiczna siedemnastolatka w 2007 roku spędzała całe dni na podłodze instytucji, robiąc ozdoby z koralików i czekając na przeniesienie do domu starców, gdzie miała spędzić resztę życia.

Adela, dyrektorka Domu Dziecka nr 10, przetrwała zamieszanie, które spowodowała nieautoryzowana adopcja Wani, i umarła, pełniąc swoją funkcję. Pogrzeb urządzono w domu dziecka. Bojler na węgiel zniknął, ale nic więcej się nie zmieniło, dzieci wciąż trzyma się tam w spętanych chodzikach.

Starsza, głucha opiekunka Domu Dziecka nr 10, która poczęstowała Sarah cukierkiem, została zamordowana na schodach w swoim domu w 2006 roku.

Grigorij, prawnik oskarżony o praktyki korupcyjne w procesach adopcyjnych, został aresztowany w maju 1999 roku i oskarżony o handel dziećmi. Trzy lata spędził w więzieniu, głównie w izolatce, bez dostępu do książek, ćwiczeń, wizyt czy paczek z zewnątrz. Po sześciu miesiącach, gdy czuł, że wkrótce straci rozum, doznał w rocznicę śmierci swej matki religijnego objawienia i odnalazł w sobie siłę, by żyć dalej. Jego sprawa trafiała przed oblicze sądu cztery razy, sam się bronił i za każdym razem jego wnioski były odrzucane z powodu braku dowodów. W kwietniu 2002 roku został zwolniony z więzienia, bez przeprosin, teraz jest bardzo znanym adwokatem. Był pełnomocnikiem w wielu głośnych sprawach o naruszenie praw człowieka, lecz szczególnie dumny



jest z tego, że niektórzy z jego dawnych wrogów - w tym oskarżyciel, naczelnik więzienia i agenci tajnych służb -zwracają się do niego z prośbą o obronę. Po jego więziennej przygodzie wszyscy rosyjscy prawnicy nauczyli się, że nie należy prowokować biurokratów zaangażowanych w międzynarodowe adopcje. Grigorij wspomina Adelę z sympatią i wdzięcznością. Pomimo wielu nacisków odmówiła współpracy z władzami, które nakłaniały ją do sfałszowania dowodów przeciwko niemu w sprawie o handel dziećmi, przez co zdecydowanie osłabiła pozycję prokuratury.

Walentyna (ciocia Walentyna) odeszła na emeryturę w 2000 roku. Gdy pokazano jej amerykańskie zdjęcia Johna, rozplakała się z radości.

Nastolatki opiekujące się Wanią w Filimonkach wciąż są ofiarami psychiatrycznych nadużyć. Przebywają w tej samej instytucji, która teraz jest otoczona wysokim murem zwieńczonym drutem kolczastym. Mają ponad dwadzieścia lat i żadnych praw. Niektórym pozwala się pracować w pobliskiej ubojni drobiu.

Sonia, zastępcza matka Wani, jest teraz kochającą opiekunką Julii, tej samej Julii, która zapewniała towarzystwo Wani w ostatnich miesiącach jego pobytu w domu dziecka.

Doktor Ronald Swanger, nowojorski pediatra, który odwiedził Dom Dziecka nr 10, przeszedł już na emeryturę, mieszka na Florydzie. Udziela się jako wolontariusz w centrum pomocy dzieciom.

Siergiej Kołoskow, pianista i działacz praw człowieka, który zwrócił uwagę opinii publicznej na warunki, w jakich przetrzymuje się dzieci w zakładzie w Filimonkach,

i przekazał dalej wołanie Wani o pomoc, teraz jest ekspertem i doradcą rosyjskiego rzecznika praw człowieka. Dzięki temu może bez przeszkód odwiedzać dziecięce instytucje w całym kraju.

Niedawno stwierdził:

- W każdym internacie znajdujemy zawsze jedno lub dwoje dzieci takich jak Wania, ewidentnie inteligentnych. Pomiedzy krzykami a całkowitą ciszą zawsze jest chłopiec lub dziewczynka, którzy nawiązują rozmowę i błagają o zabawki. W Rosji wciąż prawie 5000 dzieci jest skazanych na tak zwany stały reżim łóżeczkowy, na spędzenie całego życia w łóżku. Myślę, że każda normalna osoba, która raz postawi stopę w jednej z tych instytucji, opuści ją z nieuleczalną raną w sercu. Nie zrezygnuję z pracy, dopóki ta niesprawiedliwość będzie trwać.

Jest jeszcze jedna osoba, dla której nie znalazło się miejsce w tej opowieści - jedenastoletnia dziewczynka, mieszkanka Domu Dziecka nr 31. Nie pamięta swojej ślicznej mamy z kręconymi włosami, która zmarła, gdy ona miała ledwie osiem miesięcy. Do niedawna odwiedzał ją starszy pan o lasce, jej ojciec, ale od jakiegoś czasu już go nie widziała. Dziewczynka ma na imię Tatiana, po babci, ma delikatne rysy matki i jej odstające uszy.

Gdy zjawiała się w domu dziecka, zgłosiło się kilka rosyjskich par chcących ją adoptować, ale szybko zostali odstraszeni przez jej kartę chorobową, w której Tatiana jest opisana jako „inwalidka”. W rzeczywistości jej jedynym problemem jest niewielka wada serca, która dawno temu została naprawiona.

Nie miałem okazji jej poznać, ale mówiono mi, że jak na dziecko wychowywane w instytucjach jest wyjątkowo elokwentna, ożywiona, domaga się uwagi ze strony personelu i nie pozwala o sobie zapomnieć nikomu, kto miał z nią kiedykolwiek styczność.

## EPILOG

### CHŁOPIEC Z BETHLEHEM

*Wrzesień 2009*

Minęło dziesięć lat od mojego przyjazdu do Ameryki. Wystarczy mi jeden rzut oka na zdjęcie, które Alan zrobił mi na terenie internatu w 1996 roku, bym zobaczył, jak daleko zaszedłem. Włożył mi na głowę czapkę bejsbolową, by zakryć moją ogoloną czaszkę, ale ja nigdy nie zdołałem zapomnieć o tym wstydzie. To czapka drużyny Red Sox. Dlaczego akurat ta? Przecież ja jestem fanem Yankees. Czasami kibicuję drużynie z Filadelfii, bo przecież mieszkam w Pensylwanii, ale nigdy prze-nigdy nie kibicowałbym Red Sox. Mam nadzieję, że Nowa Anglia mi wybaczy.

Obecnie jestem uczniem liceum Freedom w Bethlehem, w stanie Pensylwania. Moim ulubionym przedmiotem jest historia. Wstaję codziennie o piątej czterdzieści pięć, by zdążyć na autobus, i nie jest mi lekko, możecie mi wierzyć.

Niezależnie jednak od tego, jak bardzo jestem zmęczony, nigdy nie śpię popołudniami. W Rosji zbyt wiele życia zmarnowałem w łóżku, czuję się tak, jakbym musiał to nadrobić.

Gdy mama przywiozła mnie do Ameryki, miałem dziewięć i pół roku, lecz trafiłem do pierwszej klasy. Nie znałem angielskiego i musiałem się go szybko nauczyć. Miałem szczęście, bo w świetlicy poznałem przyjaciela. Miał na imię Danny. Był w moim wieku, ale był już w czwartej klasie. Danny uczył mnie tak, jak ja uczyłem Andrieja w Rosji. Andriej ode mnie nauczył się mówić po rosyjsku, a ja od Danny ego nauczyłem się mówić po angielsku. Przez dwa lata w świetlicy rozmawialiśmy codziennie, przed i po szkole. To on pierwszy zaprosił mnie na przyjęcie urodzinowe i bym u niego przenocował. Po tych wszystkich latach Danny wciąż jest jednym z moich najlepszych przyjaciół.

Mama wspomina, że gdy uczyłem się mówić po angielsku, najbardziej lubiłem słowo „nasz”. Nic nigdy nie posiadałem, więc uwielbiałem podkreślać, że to „nasz samochód” i „nasz dom”. „Wszystko jest nasze”, powtarzałem podobno, by przekonać samego siebie, że nikt mi tego nie odbierze.

Mama godzinami potrafi mówić o tym, co działo się w tych pierwszych miesiącach. Dała mi na przykład skrzynkę z narzędziami, która stała się moim największym skarbem. Teraz rozumie, że to dlatego, iż moje najszcześniejsze wspomnienia z Rosji to właśnie wspomnienia chwil, gdy bawiłem się młotkiem i gwoźdźmi. Przypomina mi, że uwielbiałem bawić się w śniegu, moczyć się i brudzić, czego dotąd nie wolno mi było robić. Wkrótce po moim przyjeździe do Ameryki zabrała mnie do rezerwatu. Bardzo mnie zaniepokoił widok

klatek i zwierząt za kratami. Ciągłe pytałem, dlaczego one są zamknięte. Nie wszystko jednak mnie przerażało czy przypominało mi o złych chwilach w Rosji. Mama często wspomina pewien incydent z naszej wizyty w Disneylandzie. Tygrysek wyszedł ze swojej roli (co w świecie Disneya jest surowo zakazane) i szepnął do mamy: „Niech Bóg błogosławi tego chłopca”. Bóg chyba wysłuchał modlitwy Tygryśka.

Pewnego dnia gdy byłem w trzeciej klasie, zdarzyło się coś, co miało znacznie poszerzyć moje horyzonty. W szkole odbyło się spotkanie, na którym zachęcano chłopców, by dołączyli do skautów. Nie wiedziałem tak do końca, co to oznacza, ale byłem pewien, że wiąże się to z wieloma ekscytującymi przygodami, między innymi z biwakowaniem. Tamtego dnia po szkole powiedziałem o tym mamie i poprosiłem ją o zgodę. Nie była pewna, czy mnie przyjmą ze względu na moją ułomność, i nie wydawała się zachwycona tym pomysłem.

- Mamo, dawaj mi tę szansę - powiedziałem do niej. (Mój angielski wciąż jeszcze miał rosyjskie naleciałości).

Po czymś takim nie mogła mi odmówić. Po okresie przygotowawczym chłopcy z mojego kółka musieli zdecydować, do której grupy skautów chcą dołączyć. Odwiedziliśmy co najmniej cztery. Tylko jedna wywarła na mnie niezatarte wrażenie. Ostatecznie moi koledzy postanowili zgodnie przejść do jednej grupy, lecz ja podjąłem inną decyzję. Dla mnie to musiała być Drużyna 362. Była to najlepsza grupa, jaką widziałem, doskonale zorganizowana i oferująca wiele możliwości.

To zmartwiło mamę. Była przekonana, że będzie mi tam źle samemu.

- Nie chcesz być z przyjaciółmi? Ja jednak się uparłem.

- Mamo, nawet nie próbuj mnie od tego odwieść. To było pięć lat temu. Teraz mama często powtarza:

- Cóż, muszę przyznać, John, że miałeś rację, gdy wybrałeś Drużynę 362.

Dzięki niej nawiązałem wiele dobrych przyjaźni, odkryłem świat na zewnątrz, nabyłem wielu potrzebnych w życiu umiejętności. Najbardziej podoba mi się to, że skauci z drużyny nigdy nie robili szumu wokół mojej niepełnosprawności. Dzięki nim w ostatnich pięciu latach dojrzałem i wykształciłem w sobie zdolności przywódcze.

W 2006 roku musiałem przejść „próbę”, by stać się członkiem pewnego honorowego skautowskiego stowarzyszenia. Miałem samotnie spędzić noc w lesie. Nie wolno mi było mieć telefonu ani latarki. Potrzebowałem co prawda balko-nika czy kul, by dotrzeć na miejsce, ale poza tym traktowano mnie jak każdego innego skauta. Miałem prawo wziąć tylko śpiwór i brezent, by było mi ciepło i sucho. Dano mi też pomarańczę i jajko na śniadanie. Całe wieki musiałem przekonywać mamę, ale w końcu zgodziła się, bym przeszedł próbę. Była jedenasta w nocy, padało i było całkiem ciemno, gdy dotarliśmy na miejsce. Starszy skaut odszedł i zostałem sam na środku ciemnego lasu. Nigdzie nie było ani kawała suchego miejsca, bym mógł rozłożyć śpiwór, brezent nie chronił przed deszczem. Nad ranem byłem przemoczony do suchej nitki, prawie nie zmrużyłem oka. Mama przysięga, że

ona też nie spała, bo całą noc się o mnie martwiła. Gdy wzeszło słońce, zjadłem jajko i pomarańczę, czekając, aż ktoś po mnie przyjdzie. Przetrwalem próbę, zdałem egzamin i stałem się członkiem Zakonu Strzały. Od tamtej pory poczyniłem dalsze postępy i teraz z dumą mogę oznajmić, że jestem braterskim członkiem Zakonu.

Modlimy się z mamą w cerkwi św. Pawła w Emmaus. Ten kościół to jedna z najwyraźniejszych nici łączących mnie z przeszłością. Świadectwo prawosławnego chrztu, podpisane przez popa, który we wtorki odwiedzał Dom Dziecka nr 10, to jeden z niewielu dokumentów, które przywiozłem ze sobą z Rosji i które w Ameryce coś znaczą. Chodzę do szkoły niedzielnej i jestem ministrantem. To mały kościół, ale wypełniony wspaniałymi ludźmi. Zawsze mogę liczyć, że kupią ode mnie popcorn, gdy zbieram co roku pieniądze dla drużyny.

Poza kościołem, szkołą i skautami przyjazd do Stanów dał mi też możliwość zobaczenia rzeczy, których w Rosji nigdy bym nie zobaczył, i rozwinięcia wielu zainteresowań, w tym fascynacji starymi programami telewizyjnymi i filmami. Widziałem każdy film z Jamesem Bondem, a gdy w 2003 roku szedłem na bal przebierańców, przebrałem się właśnie za 007. Uwielbiam serię J.K. Rowling o Harrym Potterze, lubię sport - rozgrywki futbolowe, bejsbol i golf. Jestem zagorzałym fanem Tigera Woodsa.

Moja rodzina to dla mnie wielkie błogosławieństwo. Gdy mama przywiozła mnie do Stanów, stałem się częścią tej wspaniałej ogromnej rodziny, której członkowie mieszkają tuż obok, tu, w Pensylwanii, ale też w Teksasie czy Kalifornii.



Do „rodziny” zaliczam też przyjaciół mamy, którzy mnie kochają i którzy są dla mnie bardzo dobrzy. Muszę wspomnieć, że moja amerykańska rodzina nie byłaby kompletna bez mojego psa Jambo. Moja rodzina nie kończy się jednak na amerykańskiej granicy. Nigdy nie zapomnę tego dnia, gdy leżałem w wannie, a mama zawołała przez drzwi, że Alan znalazł moją siostrę Olgę. Nie widziałem jej od dnia, gdy ona miała sześć lat, a ja rok i zabrano nas do różnych instytucji. Gdy w końcu usłyszałem jej głos, rozplakałem się. Tak wiele części mojej rodziny się połączyło.

Oczywiście najbardziej jestem wdzięczny losowi za mamę. Bez niej nie byłbym dzisiaj tym, kim jestem. Przez cały ten czas gdy byłem w Rosji, krzyczałem: dajcie mi szansę. Mama mi ją dała. Łączy nas najcudowniejsza relacja na świecie. Mama mnie kocha, wspiera, zachęca i prowadzi. Kocha mnie za to, kim jestem, i jest ze mnie dumna. Gdy mam problem, idę z nim do niej. Nie wyobrażam sobie życia bez niej. Mówi, że ona też nie wyobraża sobie swojego życia bez mnie. Wiemy, że to Bóg nas połączył, i dziękujemy Mu za to każdego dnia.

Mam szczęście. Mam wspaniałe życie, lecz nie zapominałem o mojej przeszłości. Jak mógłbym? Jestem bardzo wdzięczny wszystkim ludziom, którzy pomogli mnie ocalić, gdy byłem w Rosji. Niektórych z nich nie wymieniono w tej książce. Gdybyśmy mieli napisać o wszystkich, książka miałaby kilka tomów. Mam nadzieję, że wciąż mają w sobie siłę i odwagę, by kontynuować swoją pracę i uchronić od cierpienia inne dzieci.

Mam też nadzieję, modłę się o to, by ta książka położyła kres nikczemnym praktykom zamykania dzieci za wysokimi murami w nieludzkich warunkach. Marzę, by pewnego dnia wszystkie te instytucje zamknięto. Każde dziecko powinno mieć rodzinę. Chciałbym, by wszystkie zyskały swoją szansę.

## JAK POWSTAWAŁA TA KSIĄŻKA

U podstaw tej książki leży wywiad, którego John i Paula udzielili lokalnej gazecie w maju 2006 roku. Gdy Alan i Sarah go przeczytali, uświadomili sobie, że John bardzo mało wie o swojej niezwyklej przeszłości. To skłoniło Alana i Sarah do przeszukania pudeł pełnych papierów, notesów i zdjęć z ich pobytu w Moskwie. Mieli wystarczająco dużo informacji, by określić przebieg wydarzeń w życiu Johna w Rosji. Po ponad dwóch latach ich opowieść rozrosła się do arkusza z trzystoma dziesięcioma opatrzonymi datami wpisami. Fotografie Sarah ten arkusz ożywiły. Najpierw jednak musiały zostać posortowane: wiele z nich dawno oddzieliło się od negatywów. Ostatecznie więc Sarah zeskanowała ponad tysiąc odbitek. Wskazówki na zdjęciach, takie jak ilość świeczek na urodzinowym torcie, pozwoliły dopasować je do odpowiednich dat. Sarah, będąc z natury chomikiem,

nie wyrzuciła ani jednego ze swych notesów i pamiętników, a gdy je znalazła, uzupełniła tę historię o kolejny wymiar. Znalazła fragmenty zapisów swoich rozmów z Johnem i gorących dyskusji, które toczyła z grupą wsparcia chłopca, po tym jak brytyjska adopcja została udaremniona. Pamiętnik Alana, pisany w starym osobistym organizerze z nieprzewidywalną pamięcią, został wymazany przez awarię baterii. Na starym komputerze Alan znalazł jednak kopię i przywrócił go do życia, potwierdzając wiele dat i zapewniając zapisy rozmów z Adelą, Wiką i wieloma innymi osobami.

Niektóre nagrania Johna - między innymi to nakręcone w 1998 roku celem znalezienia dla niego rodziny i nigdy do tego celu niewykorzystane - dostarczyło wiarygodnych zapisów na temat jego ostatnich miesięcy w domu dziecka. To te taśmy wykorzystano do napisania rozdziału dwudziestego, to dzięki nim odzyskano komentarze, które czynił Wania, a które zostały wymazane z ludzkiej pamięci. Uśpione służbowe konto pocztowe, które miało zostać zlikwidowane wiele lat wcześniej, dostarczyło wielu cennych e-maili obejmujących lata 1998-1999, ukazując w lepszym świetle okres, który w przeciwnym razie zostałyby zapomniane. Pomędzy ogólnie dostępnymi materiałami znalazł się film dokumentalny Manon Loizeau *Dorastając w kaftanie bezpieczeństwa*, który przywołał wiele wspomnień z pobytu w Filimonkach. Kamera ujęła nawet w przelocie Johna w wieku lat sześciu, który podskakiwał w łóżeczku, by zwrócić na siebie uwagę.

John nie ma prawie żadnych wspomnień z okresu przed 1996 rokiem. Potem jego wspomnienia stają się coraz bardziej wyraziste i pełne, aż do roku 1999, okresu kiedy John

trafił do rodziny zastępczej - to pamięta już doskonale. Paula, co nie dziwi, ma żywe wspomnienia z okresu, kiedy podjęła odmieńającą całe jej życie decyzję, by adoptować Johna, ale niewiele pamięta z tego, co wydarzyło się po jej przylocie do Moskwy.

W 2007 roku, gdy Alan i Sarah ponownie spotkali się z Johnem w Bethlehem, chłopiec zadał im wiele pytań. Aby znaleźć odpowiedzi, trzeba było odbyć trzy wycieczki do Rosji. Wika z typowym dla siebie entuzjazmem odsłaniała przeszłość. Maria Ternowskaja i jej personel, w tym Irina Szpiłowa i Maria Kalinina, nie żalowali czasu na wspomnienia. Siostra Johna Olga wyjaśniła rodzinny aspekt historii, w czym pomogli jej dawni sąsiedzi. Prawie wszyscy ludzie, którzy znali Johna w Rosji - gdy już przemogli szok, jakim był dla nich obecny wizerunek chłopca - z chęcią dołączali swoje opowieści o dziecku, które nie chciało się poddać. Dawni członkowie personelu domu dziecka pomogli lepiej zrozumieć funkcjonowanie tych instytucji.

Wiele osób starało się naświetlić ukryte mechanizmy działania radzieckiego systemu opieki nad dziećmi, z domami dziecka i internatami. Wśród nich byli Siergiej Kołoskow, przewodniczący Stowarzyszenia Syndromu Downa; Borys Altszuler, dyrektor organizacji charytatywnej Prawo Dziecka; Anna Bitowa i Roman Dimensztajn z Centrum Pedagogiki Specjalnej; Swiatosław Dowbnia, neurolog pediatra, i Tatiana Morozowa, psycholog z Instytutu Wczesnej Interwencji w Petersburgu; doktor Ronald Swanger, emerytowany pediatra z Nowego Jorku, i doktor Stewart Britten z Health-Prom. Ta lista byłaby niekompletna bez Caroline Cox, której

książka *Trajektorie rozpaczy* ujawniła skalę błędnych diagnoz rosyjskich dzieci i dzięki której zebrano środki na uruchomienie programu Marii Ternowskiej Nasza Rodzina.

Książka nie powstałaby bez wspomnień byłych moskiewskich rezydentek: Ann Kitson, Fay Roberts i Rachel Smith, które zapewniły niezwykle istotny wgląd w życie Johna i życie innych dzieci w placówkach państwowych. Emily Spry przywróciła do życia okres hospitalizacji Wani. Nagranie wideo dzieci z Domu Dziecka nr 10 zrealizowane przez Viv Frost pozwoliło odtworzyć Grupę 2 i Grupę 6.

Wszystkie wydarzenia opisane w tej książce są prawdziwe i zostały opatrzone datami możliwie najbliższymi prawdzie. Co do rozmów zamieszczonych na kartach powieści, są one oparte na wywiadach z głównymi bohaterami i całokształcie dostępnej informacji. Rozmowy te zostały zrekonstruowane: nie istnieją ich dokładne zapisy.

Niektórzy z bohaterów zostali umieszczeni w książce pod zmienionymi nazwiskami, ze względu na szacunek dla ich prywatności. W kilku przypadkach rozmowy toczone na przełomie kilku dni zostały skompresowane, by nie męczyć czytelnika.

Historia uratowania Johna jest skomplikowana i bierze w niej udział wiele postaci: to nie sprint, lecz sztafeta. Wiele osób, które bez wątpienia zasłużyły na wzmiankę, nie zostały wspomniane w książce, by nie komplikować narracji w jeszcze większym stopniu. W niektórych przypadkach postaci zostały na siebie nałożone - na przykład chłopiec o imieniu Ilia, rezydent zakładu w Filimonkach, to w rzeczywistości trzech chłopcy, odesłani tam za karę za ucieczkę

z domu dziecka. Wszyscy trzej okazali niespotykaną dobroć Johnowi, gdy znalazł się w tych odrażających warunkach.

Prawdziwość wydarzeń przedstawionych w książce opiera się na sprawozdaniach świadków. Są jednak również rzeczy, które bez wątpienia się wydarzyły, a przy których nikogo nie było: na przykład ocena Johna dokonana przez Psycho-Medyczną Komisję Pedagogiczną ze Szpitala nr 6, opisana w rozdziale trzecim. Wiele osób przekazało informacje na temat tego, jak takie badania przeprowadzano, między innymi psycholog, logopeda i opiekunka z domu dziecka. Olga dostarczyła szczegółów z własnego doświadczenia. Obrazki, które pokazywano Johnowi, zostały zaczerpnięte z radzieckich podręczników przedszkolnych.

Jak to często bywa w przypadku ludzkiej pamięci, wspomnienia wielu osób różnią się od siebie. Czasami nawet sobie przeczą. Decyzje odnośnie do tego, którą wersję włączyć do opowieści, podejmowali tylko i wyłącznie autorzy. Żadna z osób, które współpracowały przy pisaniu tej książki, nie ponosi odpowiedzialności za tekst. Jej celem nie było dzielić ludzi na dobrych i złych, ale raczej mierzyć człowieczeństwo inną skalą - od obojętności do troski. Tak jak powiedziała Wika, Wania był papierkiem lakmusowym. Wiele osób, znacznie więcej niż te, o których tu wspomniano, troszczyło się o Wanę. Przeprosiny należą się tym, których wysiłki nie zostały publicznie docenione. Jeśli jednak ta książka choć odrobinę obniży poziom obojętności, wszyscy odniesiemy sukces.